

*E.K. Wrlik*



*Wakacje  
i inne  
nieszczęścia*

NOVAE RES

E.K. URLIK

*Wakacje  
i inne  
nieszczęścia*



**NOVAE RES**

## Spis treści

Rozdział pierwszy w którym mamy cholerny widok na morze

Rozdział drugi w którym jest trochę wspomnień ze złych czasów i trochę wspomnień z dobrych czasów, ale nie moich

Rozdział trzeci o obrzydliwych krewnych i planach na przyszłość

Rozdział czwarty w którym jestem dzielna

Rozdział piąty w którym dostajemy sprzeczne informacje na temat orgazmu

Rozdział szósty cóż, Monte Carlo, kotku

Rozdział siódmy w którym... ach, do diabła!

Rozdział ósmy w którym aż się roi od wzajemnych oskarżeń

Rozdział dziewiąty którego nie lubię

Rozdział dziesiąty i tyle

Ostatni rozdział który musi być, bo nie znoszę niedokończonych historii

Epilog czyli kilka lat później

## Podziękowania

ROZDZIAŁ PIERWSZY  
*w którym mamy cholerny widok na  
morze*

- Nie znoszę facetów, którzy się drapią po jajach.
- Gdzie? - Alicja leniwie opuściła okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa.
- Po jajach - mruknęłam.
- Gdzie jest? - zniecierpliwiła się Alicja.
- Już się nie drapie - Jill podparła policzek dłonią. - Szedł i się drapał. Palant.

Siedziałyśmy we trzy przed małą lodziarnią zagłębione w rattanowych fotelach z kwiciastymi poduchami i myślę, że wglądałyśmy jak Aniołki Charliego czterdzieści lat później. Wiatr gnał po niebie szare chmury, przepędzał śmieci wzdłuż jezdni i wprawiał nas w wisielczy nastrój. Jill miała sińce pod oczami i śliczny żakiet z szortami w kolorze wędzonego łososia. Alicja za małą brązową filiżanką z napisem „segafredo” próbowała ukryć setne ziewnięcie. Drgnęłam przestraszona, gdy gwałtowny podmuch wiatru załopotał markizą. Siedziałyśmy tu od godziny, senne i znudzone. Zimna kawa stała na stoliku prawie nietknięta. Żadna z nas

nie lubiła mocnej kawy, a ta była obrzydliwie mocna, nawet jak na espresso.

- Ale się tu zabawimy - Jill wysunęła dolną wargę i siedziała tak przez chwilę, jakby zastanawiała się głęboko nad tym, co właśnie powiedziała.

- Jestem głodna - Alicja popatrzyła ponuro na swoje paznokcie.

- A ja śpiąca.

- A ja wkurzona - Jill wstała i wygładziła szorty. - Świetnie się zapowiada, nie ma co. Zimno, mokro, ubaw jak diabli. Idziemy.

Ruszyła przed siebie, kręcąc pupą. Alicja popatrzyła smutno na szare morze, z ciężkim westchnieniem wzięła swoją staroświecką torebkę pod pachę i podreptała za Jill.

- Kto wymyślił to Loano? - wściekała się Jill pół godziny później, kiedy przeszłyśmy przez niemal całe centrum miasteczka w poszukiwaniu czynnej restauracji, baru, czegokolwiek z jedzeniem. - Zdechnę z głodu, cholera. Nawet nie wiem, co tu napisali - postukała palcem w kolejne zamknięte drzwi do czegoś, co wyglądało na podrzędną restaurację. - No, co tu jest napisane? - spytała naburmuszona.

Zbliżyłyśmy nosy do jaskrawopomarańczowej wywieszki, która chyba była widoczna z kosmosu.

- Prawdopodobnie otworzą o drugiej - powiedziałam niepewnie, zanim dotarło do mnie, że to Jill powinna

wiedzieć, co tu napisali, bo mieszkała mnóstwo lat we włoskiej dzielnicy, a jej mąż był trochę Włochem. W trzecim pokoleniu wprowadzie, ale to chyba nie powód, żeby nie znać języka przodków.

- Za godzinę! Zaraz zacznę płakać - Jill wcisnęła ręce w kieszenie szortów. - I nigdzie się stąd nie ruszę.

Teraz wkurzyła się Alicja.

- Ruszysz. Wrócimy do hotelu albo na tę ulicę z palmami, znajdziemy knajpę ze stolikami na zewnątrz, tam usiądziemy i poczekamy.

- I tam zdechniemy - powiedziała mściwie Jill, odwróciła się i pomaszerowała przed siebie jak pruski oficer. Już nie kręciła pupą, za to miotła pod nosem przekleństwa.

Dwie godziny później, w *ristorante* „La lanterna di Mario”, odsunęła pusty talerz, spojrzała na nas wzrokiem obżartego kota i stwierdziła, że zawsze chciała pojechać do Włoch.

- A ty, Alex? Nawet jeśli umrzemy tu z nudów, to i tak jest super. Spójrzcie na te palmy. Uwielbiam palmy. Po prostu uwielbiam. Jutro na pewno będzie słońce, zobaczycie. A ten kelner jaki piękny - umoczyła palec w resztkę różowego *vino della casa*. - Ma niezły sześciopak na brzuchu. O, spojrzał na mnie - zachichotała i włożyła palec do ust.

- Gdzie ty widzisz jego brzuch? - spytała Alicja, kręcąc głową z dezaprobatą.

- Teraz będzie widzieć wszędzie. A włoskie jedzenie jest lepsze u nas niż we Włoszech - powiedziałam rozczarowana i



zaczęłam odliczać banknoty, oglądając je najpierw uważnie. Były duże, nieporęczne i w dziwnych kolorach.

- Idę spać - Alicja pokręciła głową znów z czegoś niezadowolona i zaczęła szukać torebki. - Jutro popatrzę na te włoskie piękności.

- Ja też idę spać. A jutro mam zamiar grzać tyłek na plaży, choćby miało lać - stwierdziłam, kładąc pieniądze na stole.

- Zwariowały, o tej porze spać! Ja idę się gdzieś zabawić, na jakąś balangę, do klubu... Dziewczyny, trochę więcej entuzjazmu!

- A gdzie ty masz zamiar znaleźć tu balangę? - spytała zjadliwie Alicja, wykrzywiając usta. - Już widzę, jak przechadzasz się główną ulicą od latarni do latarni i machasz swoją torebką...

- Ode mnie niczego nie wymagaj, a już zwłaszcza entuzjazmu - przyłączyłam się do szampańskiej zabawy. - Jak odeśpię, to pogadamy, może nawet o balangach. Nie mam już dwudziestu lat i prowadzę stabilny tryb życia, a każde odstępstwo...

- Nie będę spędzać wakacji pod kuratelą dwóch... - przerwała mi Jill, ale zaraz ją zatkało, bo śliczny kelner, sięgając po pieniądze, dotknął jej ramienia i się uśmiechnął.

- Alex, widziałaś? - Jill wzniosła oczy do sufitu. - Podrywa mnie.

- Jasne - Alicja obciągnęła bluzkę. - Pewnie dla twoich zmarszczek.



- Jasne - powiedziałam. - Pewnie szuka mamy.
- Jasne - wściekła się Jill. - Pewnie jesteście zazdrosne.
- Jasne - powiedziałyśmy równocześnie i pierwszy raz od długiego czasu zobaczyłam cień uśmiechu w oczach Alicji.

Szliśmy pustym nadmorskim bulwarem, wiatr się uspokoił i zrobiło się cieplej. Morze ciągle było szare, tylko przy brzegu rozjaśnione białą pianą fal. Pomyślałam, że to nie był dobry pomysł, żeby przyjeżdżać tu pod koniec września. Żeby w ogóle tu przyjeżdżać!

- Czy tu ktoś mieszka? - spytała Alicja, rozglądając się wokoło.

- Nikt, tylko my - stwierdziła Jill, nie odrywając wzroku od krzywego chodnika i starając się nie machać torebką.

- Może wszyscy są w kościele - powiedziałam.

- Albo na wiecu.

- Albo w szpitalu psychiatrycznym - Jill podrapała się w udo. - Jak nie będzie słońca, to zapijemy się tu na śmierć. Jak w tym filmie *Las Vegas* coś tam. Z Nicolasem Cage'em.

- Nawet nie widziałas tego filmu - prychnęłam pogardliwie, poprawiając sobie ramiączko stanika. Nie mam szacunku dla ludzi, którzy nie widzieli wszystkich dobrych filmów.

- Jill, tu są chyba jakieś sklepy - powiedziała Alicja, wygrzebując sobie coś z kącika oka. - I włoskie buty, wiesz.

Jill jest uzależniona od zakupów. Alicja stwierdziła kiedyś,

że jedni lokują pieniądze w nieruchomościach, inni w dziełach sztuki, a Jill ma wszystko w ciuchach i w ten sposób napędza koniunkturę. Alicja zna się na tym, bo jest poważnym doradcą finansowym w poważnym banku i ma nawet sekretarkę. Sekretarka to jedyna rzecz, której jej zazdrozczę.

- Mam to gdzieś - Jill wzruszyła ramionami. - Jestem na wakacjach. I wiecie co? Właśnie nie wiedzieć czemu bulwar się skończył.

- Zabłądziłyśmy. Jest super - stwierdziłam bezradnie. - Czy któraś pamięta, przy jakiej ulicy jest nasz hotel?

- Żartujesz?! Nie pamiętam, jak się nazywam, a ty mnie pytasz o jakąś ulicę, i to po włosku!

- Nie pytam cię po włosku, Jill.

Poczułam się tak zmęczona, że miałam ochotę położyć się na dziurawym chodniku. Miałam dość dzisiejszego dnia, nocy spędzonej na lotniskach i w samolotach, w których umierałam ze strachu, mdłości w czasie jazdy nad przepaściami hotelowym busem, zbyt mocnej kawy i jedzenia, do którego nie byłam przyzwyczajona. Jak dotąd najbardziej podobała mi się przerwa na lotnisku w Rzymie, gdzie spędziłyśmy kilka godzin wśród kolorowego, ruchliwego i hałaśliwego tłumu. Właściwie była to jedyna rzecz, która mi się w ogóle podobała, a cała reszta to były godziny stresu, których nikt mi nie wynagrodzi. Do tej pory czułam ucisk w uszach i ból w krzyżu. Nagle wszystko stało się okropne i nie do zniesienia.

- Chcę do mamy - wyszeptałam.

- Wracamy. - Jill miała dziś monopol na energię życiową.

Podreptałyśmy za nią, Alicja ciągle wpatrzona w dziurawy chodnik, ja z opadającymi powiekami. Do hotelu trafiłyśmy przez przypadek, penetrując uliczki w pobliżu bulwaru z palmami.

- Jutro będziemy się z tego śmiać - Jill zdjęła szpilki przed pustą recepcją i weszła bosą po schodach. - Idę się kąpać.

- Tylko umyj nogi - Alicja zwała się na łóżko. - I niech ktoś otworzy okno z cholernym widokiem na morze.

•

Trzy tygodnie wcześniej siedziałyśmy z Alicją u mnie, komentując bez szczególnego zaangażowania wygląd tyłków facetów z Chicago Bulls we fragmentach meczów Wschodniej Konferencji. Jak na początek września było bardzo gorąco, przez otwarte okna wraz z upałem wdzierał się zapach kurzu i rozgrzanego, wędnącego trawnika oraz przytłumione odgłosy ruchliwych ulic Montrealu. Alicja podwinęła spódnicę i szklanką chłodziła sobie kark. Popatrzyła w okno niewidzącym wzrokiem i powiedziała, że Mark ma raka.

- Mark ma raka - powtórzyła, bo nie zareagowałam.

- Jak to? - tylko to przyszło mi do głowy. - Raka czego?

Alicja przytknęła sobie szklankę do czoła, machnęła ręką, broda jej się zmarszczyła i zaczęła płakać.

- Alicja, wszystko będzie dobrze - usiadłam obok i zaczęłam ją głaskać po głowie, czując się jak debil. Nic innego nie mogłam wymyślić, tylko głupie „wszystko będzie dobrze”. Mogłam się ograniczyć do pełnego współczucia „oooo”. Gorączkowo szukałam jakiegoś mądrego tekstu, który powinno się mówić w takich sytuacjach, ale w panice nic nie wymyśliłam.

- Nie... będzie - łkała Alicja.

Chciałam ją przytulić, ale wyrwała mi się i wstała. Przeszła parę kroków, patrząc w dywan i próbując niezdarnie wytrzeć nos ręką, w końcu uniosła rąbek spódnicy i ukryła w nim twarz. Stała tak przygarbiona na środku pokoju, trzęsły jej się ramiona i kosmyki włosów.

Bardzo chciałam ją pocieszyć, ale wiedziałam, że też się rozplaczę, a wtedy nie będzie już ze mnie żadnego pożytku. Poszłam do łazienki po papier toaletowy. Kiedy wróciłam, Alicja stała w tym samym miejscu, twarz miała czerwoną i była wściekła. Popatrzyła na mnie czerwonymi oczami, wyrwała mi z ręki rolkę, oddała kawałek i oddała mi ją z powrotem.

- Nie będzie, kurwa, dobrze. Wyprowadził się.

Dawka rewelacji odebrała mi zdolność logicznego myślenia. Mogłam tylko stać i patrzeć na nią, mając w głowie bezmyślną pustkę. A ona wzruszyła ramionami i podeszła do okna. Wysmarkała nos, a zwiniętą kulkę papieru schowała do kieszeni spódnicy. Stałyśmy tak kilka minut, Alicja wpatrzona w cichą ulicę przed domem, ja wpatrzona w tył jej

głowy.

- Alicja... - zaczęłam mówić cicho, jak do chorego dziecka  
- kiedy się wyprowadził?

- Dwa dni temu - powiedziała równie cicho. - W środę wieczorem.

Podeszłam do niej i pogłaskałam ją po przygarbionych plecach.

- Moje biedactwo. Rozumiem, jak musisz się czuć. Chodź, usiądziemy, naleję ci czegoś do picia...

- Nie. Nie chcę usiąść i nie chcę pić. I nie rozumiesz, jak się czuję. I nie głaszcz mnie, bo jestem spocona - Alicja mówiła cicho, ale była stanowcza jak nigdy dotąd.

Odśloniłam firankę, usiadłam na parapecie naprzeciw niej, ale z dołu widziałam tylko jej brodę i jeden policzek.

- Dwa dni temu? Alicja, dwa dni? Czemu nie powiedziałaś wcześniej? Przecież musiało ci być... okropnie.

- Było mi okropnie. Jest mi okropnie - wzruszyła ramionami. - Ale myślałam, że coś się wyjaśni w ciągu tych dwóch dni. Że może się opamięta i wróci. Dobrze, że mam pracę, bo chyba bym oszalała - uśmiechnęła się smutno, dalej zapatrzona w okno.

- Alicja, ja naprawdę wiem, jak się czujesz. Naprawdę. I jest mi bardzo przykro, że coś takiego spotyka właśnie ciebie - powiedziałam powoli. - Skarbie, bardzo, bardzo chciałabym ci jakoś pomóc...

- Jill tu idzie - oznajmiła i odwróciła się gwałtownie.

Podeszła do fotela, popatrzyła na niego ze zniecierpliwieniem, po czym znów machnęła ręką.

Jill zdążyła zadzwonić cztery razy, zanim dotarłam do drzwi.

- Nie masz pojęcia, co wymyśliłam, ale gorąco, masz się zgodzić, musisz się zgodzić, błagam cię. Co? - dostrzegła nagle moją niewyraźną minę. - Przyszłam nie w porę? Jesteś z jakimś facetem? - odruchowo poprawiła włosy.

- Ja z facetem, coś ci się chyba miesza - oznajmiłam, zamykając drzwi. - Alicja.

- O, to świetnie. Dzwoniłam do niej z samochodu, ale nie odbierała.

- Jest u mnie - powiedziałam ponuro, ale Jill nie zwróciła na to uwagi, pośliniła palec i przechylając się w stronę lustra, pogładziła brew. Wyszczrzyła zęby i wyprostowała się, nie odrywając wzroku od swojego odbicia.

- Masz piwo?

Wzruszyłam ramionami i poszłam do pokoju, słysząc, jak Jill szeleści swoją wielką torbą w czerwone piwonie, idąc za mną. Wyminęła mnie w drzwiach, prawie podbiegła do Alicji i cmoknęła ją w policzek.

- Dobra, może być kawa, ale dożylnie. Cześć, Alicja, co się dzieje z twoją komórką? - powiedziała, rozsiadając się na kanapie naprzeciw Alicji. - Ale upał. Po co ci ten papier

toaletowy? Siadaj wreszcie. Alicja, co się stało, wyglądasz jakbyś miała zawał, Alicja, co jest?

Alicja zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, zacisnęła usta i nagle parsknęła śmiechem. Przechyliła się na bok, uderzyła ręką w oparcie fotela, nie mogąc złapać oddechu, śmiała się cała, trzymając się drugą ręką za brzuch, w końcu spadła na podłogę i zaczęła fikać nogami. Z szeroko otwartych ust wydobywał się głośny, gardłowy śmiech, którego nie mogła powstrzymać. Łzy ciekły jej z oczu, wypłukując skutecznie wodoodporny tusz do rzęs.

Przez chwilę patrzyłam na nią zdziwiona, że potrafi tak szybko przejść od rozpacz do niepohamowanej radości, ale pojęłam, że jej zmęczony mózg postanowił odreagować stres w ten właśnie sposób. Zaczęłam chichotać razem z nią, przypominając sobie nieskładną, wyrwaną z kontekstu paplaninę Jill, w końcu zaczęłam rechotać nieopanowanie, zarażając się śmiechem od Alicji. Przez łzy widziałam, jak Jill siada na skraju kanapy i patrzy z otwartymi ustami raz na mnie, raz na Alicję. Teraz już nie mogłam się opanować, opadłam na kolana i na czworakach, wydając z siebie durne chrząkające odgłosy, pełzłam w kierunku Alicji. To, że poruszam się na kolanach, rozśmieszyło mnie jeszcze bardziej, tak że nie mogłam się już ruszyć. Leżałam na plecach i ryczałam ze śmiechu, nie potrafiąc złapać oddechu. Trwało to dobre dziesięć minut, zanim zaczęłyśmy się uspokajać. Alicja leżała na dywanie, jęcząc cicho i trzymając się za brzuch. Jill zrezygnowana podparła dłońią czoło, zerkając na nas co jakiś czas i chyba była obrażona.



- Mark ma raka - powiedziała Alicja po raz trzeci tego popołudnia.

- No to naprawdę jest baaardzo śmieszne - Jill zareagowała na swój sposób, ale z wyraźną ulgą, że to nie z niej się śmiejemy. Widziałam z perspektywy podłogi, jak Alicja próbuje niezgrabnie wstać, jak poprawia spódnicę i sadowi się z powrotem na fotelu.

- To lepsze niż orgazm - zakomunikowała, ocierając oczy.

- Co, że Mark ma raka? - Jill, nie czekając na odpowiedź, podniosła się z kanapy. - Chyba się z tobą zgadzam. Idę do kuchni, a wy się uspokójcie.

Byłyśmy spokojne, kiedy wróciła, niosąc butelkę canada dry.

- Nie masz piwa?

- Nie mam. I tak byś nie dostała, bo prowadzisz, w razie gdybyś zapomniała. Zresztą Mimi podbiera, więc nie kupuję.

- Miałam na myśli imbirowe. Zaraz mnie podejrzewasz, zaraz mnie podejrzewasz! - Pogroziła mi palcem.

- No pewnie - potwierdziłam żartobliwie.

- Zawsze byłaś wredna - odgryzła się pogodnie, krzywiąc się i wystawiając język.

Jeszcze raz pogroziła mi palcem i usiadła na oparciu fotela obok Alicji. Przez chwilę słychać było tylko daleki szum samochodów jadących ulicą Jean Talon i dźwięk butelki, lekko uderzającej o zęby Jill.

- Idziemy coś zjeść? - spytałam, żeby coś powiedzieć, i wstałam z podłogi.

- Nie chcę jeść i nie chcę iść - zaprotestowała Alicja. - Nie będę się mazać przy ludziach.

- Mazałaś się? - zainteresowała się Jill. - Ja bym się cieszyła.

- Opowiedz nam o tym, Jill - powiedziałam, biorąc się wojowniczo pod boki.

- Kiedyś - machnęła wolną ręką i pociągnęła z butelki.

„Kiedyś” słyszałam od niej za każdym razem, kiedy prosiłam, żeby opowiedziała o swoim zniknięciu po śmierci jej męża. Jill przez siedem lat twierdziła, że nienawidzi go do granic możliwości, tak jak nienawidziła swojego ojca, i to wspaniałe, że obaj już nie żyją. Szokowała tym stwierdzeniem mnóstwo ludzi, ale na mnie to nie działało. Wiedziałam, że w stanie przymulenia alkoholowego zwykła używać wielkich słów, więc zawsze trzeba było brać na to poprawkę. Ale kiedy już walnęła sobie kilka drinków, informowała o swoich uczuciach każdego, kto znalazł się w jej zasięgu, czym doprowadzała do tego, że niewiele osób chciało z nią rozmawiać, a te, które pozostawały na placu boju, były równie zaburzone jak ona. Lecz zwykle to ja stawałam się jej ofiarą, bo najczęściej osamotniona na imprezach i lekko znieczulona alkoholem byłam łatwym celem.

Chyba dziesięć czy dwanaście lat temu wiosną zmarł jej

ojciec, a jesienią tego samego roku mąż, aż o dziesięć lat młodszy od jej ojca. Ceremonię żałobną ojca zignorowała zupełnie, łażąc przez cały dzień po wyprzedazach i przymierzając setki ciuchów. Natomiast na pogrzebie Patryka bił od niej radosny blask, którego nie potrafiła ukryć nawet przed zgorszoną teściową. Zaraz potem wyjechała, chyba nikomu nie mówiąc dokąd, a na pewno nie powiedziała tego mnie. Nie było jej co najmniej pół roku, a kiedy wróciła w aurze tajemnicy, była jeszcze bardziej promienna i radosna, ale też cyniczna do bólu. Zdradziła tylko, że była za granicą, że było jej dobrze i że wszystko będzie dobrze, i że dobrze zrobiła. Musiałam to przyjąć za dobrą monetę i nie zadawać więcej pytań, nawet o ciemną opalenizną wczesną wiosną.

Co do męża Alicji... cóż, nie lubiliśmy go obydwie, choć tylko Jill odważyła się mówić o tym głośno, a ja dla dobra Alicji udawałam, że nie jest taki zły. Poznali się w jednym z wielu pubów na Bishop Street, gdzie Mark uwielbia przesiadywać do tej pory, a my kiedyś uwielbiałyśmy bywać w soboty. Było to w czasie, kiedy Alicja prawie straciła nadzieję, że znajdzie kiedykolwiek męża, ale nie była jeszcze tak zdeterminowana, żeby zacząć go szukać w biurach matrymonialnych.

Nie było to poznanie, które sobie wymarzyła. Nie było szumiącego morza, tajemniczego bruneta z gołym tarsem, który wyłania się z ciemności rozświetlonej światłem ogromnego tropikalnego księżyca, trzymając malinowe mojito z parasolką\* i mówi „*cara mia*, kocham cię, odkąd cię

zobaczyłem w świetle wschodzącego słońca, gdy laguna jest taka spokojna, a delfiny ścigają się, śpiewając radośnie”. Potem kochają się na plaży, a ciepłe fale obmywają ich opalone ciała.

Zamiast tej tropikalnej bzdury był blondyn z zakolami opalony w solarium i pijana noc, zakończona spacerem w Starym Porcie, w zimnym deszczu ze śniegiem i z zaczynającym się kacem. Mark twierdził, że nigdy dotąd nie chodził na spacer, a na pewno nie chodził na spacer w październikową noc, więc prawdopodobnie to nim wstrząsnęło do tego stopnia, że pozwolił Alicji wkroczyć do swojego życia. Po mniej więcej roku chodzenia na sobotnie seanse do kina i na niedzielne obiady do rodziców Alicji przyjął jej oświadczenia.

Mark jest młodszy od Alicji o dwa lata i z upływem czasu ta różnica wieku dziwnie się zwiększała. Kiedy ona spokojnie się starzała, sprawiając wrażenie szczęśliwej i ustabilizowanej, on wrednie szalał. Obściskował i klepał po tyłkach znajome i nieznajome dziewczyny na imprezach, a większość wieczorów spędzał w swoim naturalnym środowisku - w pubach na Bishop Street, które w większości były targami żywym towarem. Podrywał, a właściwie starał się podrywać każdą napotkaną dziewczynę, czarował podstarzałymi uśmiechami i rozdawał komplementy równie łatwo, jak Mimi wydawała kasę. Alicja znosiła to z podziwu godną cierpliwością, której nie potrafiłam jej wybaczyć. O ile zwykle była pewna siebie, opanowana i zdecydowana, to kiedy tylko na horyzoncie pojawiał się Mark, zamieniała się

w dziwną mieszaninę podlotka i spanikowanej służącej. Ta wersja Alicji zupełnie nam nie odpowiadała.

Jill twierdziła, że głupia Alicja tak go kocha, że jest mu w stanie wybaczyć wszystko, byleby tylko z nią był. Po cichu przyznawałam jej rację, ale powstrzymywałam ją, kiedy przy każdej okazji próbowała robić Alicji pranie mózgu, przekonując ją, żeby się wreszcie zbuntowała, nie robiła z siebie ofiary losu i poszukała partnera, który na nią zasługuje.

- Nienawidzę takich małych drani - warczała po każdej wizycie u Alicji. - On ją wykorzystuje jak jakiś pieprzony feudał swoich chłopów. Żeby chociaż był bogaty. Albo żeby był przystojny. A to taki... jest paskudny - udawała, że wymiotuje, żeby zupełnie odrzeć Marka z urody. - I zachowuje się jak sprzedawca butów. Ohyda, poważnie. Czy ona tego nie widzi? Czy ona nie ma honoru? Niedługo zacznie go karmić łyżeczką i robić pranie jego paniątkom. Powinna go już dawno kopnąć w dupę, a nie tkwić w tym bez sensu.

Nie miałyśmy dowodu na to, że Mark zdradza Alicję, ale nieraz naprawdę zachowywał się wobec niej podle. Pozwalał się traktować jak dziecko, które ma wszelkie prawa i żadnych obowiązków, a na odrobinę uczuć mogła liczyć wtedy, kiedy skacowany potrzebował doraźnej pomocy. Alicja nie skarżyła się na wykorzystywanie, choć była regularnie przez nas buntowana, a Jill nigdy nie przepuściła okazji, żeby zaocznie przyłożyć Markowi.

- No ale powiedz, po co ci taki facet? Nic nie umie robić, mało zarabia i jeszcze jest paskudny, po prostu... - Jill nie omieszkała pokazać, jak paskudny jest Mark.

- A czemu ty nie kopnęłaś w dupę Patryka, tylko się z nim męczyłaś tyle lat? Pamiętasz siebie wtedy? Byłaś jak... jak kundel - zripostowała raz Alicja stanowczo, usiłując mówić wyraźnie i próbując za wszelką cenę utrzymać w pionie widelec z nabitym na niego kawałkiem kraba.

- I też był paskudny - dodałam z satysfakcją, ale widziałam, że Alicji jest przykro.

- Chociaż umiał naprawiać krany! - Jill wzniosła oczy do nieba, jakby prosiła o sprawiedliwość. - A zresztą zrobiłabym to w końcu, ale na szczęście sam zdechł, ten pieprzony... - W tej kwestii nie można było jej zaskoczyć i zawsze była przygotowana na plucie jadem. - Do tej pory mnie denerwuje, kiedy o nim myślę, po tylu latach, wyobrażasz sobie?

Rzuciła fistaszkiem w kierunku swoich otwartych ust, ale nie trafiła. Próbowwała go bezskutecznie znaleźć na podłodze, w końcu się poniosła i jakby nigdy nic mówiła dalej:

- ...ale ja przynajmniej od razu wiedziałam, że on jest sukinsynem, cholernym... Nie mogę nawet znaleźć słowa!

- Dupkiem? - podsunęłam uprzejmie, wznosząc kieliszek z winem, ale Jill była już zbyt zaperzona, żeby chcieć obrócić wszystko w żart.

- Czekałam tyle lat, żeby mieć go z głowy, żeby móc

powiedzieć, żeby spadał, kiedy to on będzie czegoś potrzebował. Żeby sobie, rozumiesz, sobie udowodnić, że nie jestem żadnym pieprzonym zerem, którym można pomiatać! Ale to już wiecie, prawda?

Wtedy Alicja opuściła głowę na zgiętą rękę i zasnęła, a we mnie nie wiedzieć czemu zakiełkowało podejrzenie, że Jill zabiła Patryka. Nigdy przecież nie mówiła o okolicznościach jego śmierci, ja nigdy o to nie zapytałam przez delikatność, a Alicja nie chciała ze mną rozmawiać na ten temat. Wyjazd Jill zaraz po pogrzebie był co najmniej podejrzany – mogła uciekać przed sprawiedliwością, a kiedy przez pół roku sprawa nie wyszła na jaw, wróciła.

Nienawidziła go, wiedzieli o tym wszyscy, którzy choć raz z nią rozmawiali, bo zamiast jak wszyscy zaczynać rozmowę od wymiany informacji o stanie pogody, Jill z ujmującym uśmiechem informowała: „Nie masz pojęcia, jakim sukinsynem jest mój mąż, nienawidzę go, poważnie”. Kiwała głową, aby podkreślić znaczenie swoich słów, zaciskała usta i zmieniała temat albo odchodziła, pozostawiając osłupiałych słuchaczy bez żadnych dodatkowych informacji.

Kiedy była mężatką, ilekroć wyrywała się z domu, żeby spędzać z nami piątki, była na zmianę nieszczęśliwa, zapłakana, wściekła albo wszystko naraz, aż do dnia, w którym owdowiała.

I oto nagle, z dnia na dzień, Jill zamieniła się w kobietę szczęśliwą. Była to przemiana równie znacząca, jak przemiana pana Hyde’a w doktora Jekylla lub odwrotnie, jak



zamienienie dyni w karoce albo jak kompletnie dla mnie niezrozumiała przemiana mojej córki ze słodkiego, malutkiego dziewczątka we wredną, pozbawioną skrupułów nastolatkę.

Nową Jill mogłam poznać dopiero wtedy, kiedy po powrocie ze swojej tajemniczej wyprawy wpadła do mnie uśmiechnięta, ubrana prawie jak Audrey Hepburn w *Śniadaniu u Tiffany'ego*, pachnąca perfumami Escada\*, ze szczupłymi udami, triumfalnie pokazująca paluchem stojącą przy krawężniku dziesięcioletnią, czerwoną i dekadenczką mazdę miata MX-5, z niezrozumiałą dla mnie manualną skrzynią biegów. Mazda służyła głównie do tego, żeby zauważyła ją matka Jill, zwłaszcza w czasie tych miesięcy, kiedy temperatura wzrastała powyżej dwunastu stopni Celsjusza i wszyscy posiadacze kabrioletów zdejmowali z nich brezentowe dachy. Wtedy matka Jill mogła mieć doskonały widok na córkę, siedzącą w niedbalej pozie za kierownicą, z rozwianymi włosami, powiewającym szalem dopasowanym odcieniem do torebki i butów, choć tych dodatków na pewno nie było widać z okien domu, w którym mieszkała matka Jill. Jill zdawała sobie sprawę, że jej matka spędza większość czasu na chodzeniu do kościoła, przebywaniu w kościele i wracaniu z kościoła, i w związku z tym rzadko ma czas, żeby stać w oknie i czekać na przejeżdżającą Jill, ale zawsze istniała taka szansa. Poza tym Jill nie omieszkała przywitać się ze wszystkimi sąsiadami, opowiadając z entuzjazmem o swoim zadowoleniu z życia i błyskając na odjezdne czerwonym lakierem na paznokciach,

w tym samym odcieniu co wypucowany i nawoskowany lakier samochodu.

Zaraz też zaczęła wyciągać mnie na zakupy, do wesołego miasteczka na Wyspę Świętej Heleny<sup>\*</sup>, do niedrogich restauracji w Downtown, gdzie można było zjeść wspaniały obiad za dwanaście dolarów, i do klubów muzycznych. Co więcej, była do wszystkiego nastawiona zbyt radośnie i entuzjastycznie i przez ten entuzjazm bardzo męcząca. Moje pytania o długą nieobecność zbywała okrzykami w stylu: „Och, kochana, to skomplikowana historia, koniecznie muszę ci wszystko powiedzieć, ale teraz nie mamy tyle czasu”.

Była walnięta, to pewne. I budziła we mnie niechęć, bo cieszyła się ze wszystkiego jak mała dziewczynka, a ja byłam tak zniechęcona, padnięta i zmęczona, że chciałam tylko leżeć jak zwłoki i nie myśleć o niczym.

Ale teraz siedziała zamyślona na mojej kanapie z prawie pustą butelką przy ustach i po raz pierwszy od długiego czasu zauważyłam, że pod ciągłym pozorem zadowolenia z życia i cynizmem kryje się zmęczona, stara, dobra Jill. Rozczuliło mnie to trochę i ze wzruszenia oraz z gorąca znów usiadłam przed nimi na podłodze.

- Dobra, na czym stanęło? - Jill ocknęła się z zamyślenia. - Aha, Mark ma raka czego?

Alicja popatrzyła na nią z bólem w oczach.

- Cholera, nie wiem.

Jill pokiwała głową. Obydwie popatrzyły na mnie, jakbym

to ja wiedziała, która część Marka ma raka.

- Nie zapytałaś go? - zdziwiłam się. - Tak szybko się wyniósł, że nie zdążyłaś?

- Wyniósł się? - Jill gwałtownie odwróciła się do Alicji. - Dlaczego? Wyjechał? Dokąd? Do szpitala?

- Nie wiem - powiedziała zrezygnowana. - Już tego nie ogarniam.

- Kto będzie się opiekował tym... cyckiem? Poszedł do szpitala? Powiedz!

- Jill, przestań! - W głosie Alicji znów zadrżał płacz. - Nie wiem, gdzie jest. Czekam od kilku dni na wiadomość, ale na razie się nie odzywa. Może chce być teraz sam albo nie chce być dla mnie ciężarem...

- Wiesz co, Alicja, przestań! - Jill wzniosła oczy do góry i pokręciła głową z niedowierzaniem. - Zastanów się! Ten twój mąż nigdy nie zrobił niczego, co nie byłoby dla ciebie ciężarem - włożyła w to zdanie całą pogardę, na jaką było ją stać, i jak zwykle nie miała złudzeń. - Nie, coś mi tu nie gra. Alicja, jeśli ktoś jest chory, a już zwłaszcza facet, to płacze i marudzi, rozczuła się nad sobą i chce, żeby się nim zajmować, a nie idzie nocować na stację metra. Naprawdę nie wiesz, dokąd poszedł?

Alicja pokręciła głową i ukryła twarz w dłoniach. Jill bezlitośnie objawiała przed nią podłość tego świata.

- I jeśli rzeczywiście się wyniósł, to są dwie możliwości: albo chciał się bezkarnie urwać na jakiś czas, a potem wrócić

i dać się sobą łaskawie opiekować, albo chce, żebyś miała wyrzuty sumienia i błagała go, żeby wrócił i pozwolił się sobą opiekować. Wychodzi na to samo.

- Jezu, Jill, uspokój się. Nie wszyscy są tacy podli, jak myślisz - próbowałam odebrać jej pustą butelkę, ale nie pozwoliła. - Może on rzeczywiście nie miał złych intencji, tylko tak wyszło, że znowu ją uraził.

- Jestem tutaj - powiedziała cicho Alicja, wskazując na siebie palcem.

- I tak wszystko prowadzi do tego samego. Powiedz, płakał i marudził?

- Jezu, Jill, nie wiem. Przyszedł zdenerwowany, spytałam, o co chodzi, a on na to, że właśnie się dowiedział, że ma raka, i że się wyprowadza, bo musi ostatnie dni życia spędzić tak, jak mu się podoba, bo to ostatnia okazja, żeby zrobić coś tylko dla siebie - łkała Alicja. - Powiedział, że odchodzi, bo ją go zagłaskuję swoją miłością. Potem spakował torbę i powiedział, że zadzwoni, jak się upora z... z czymś tam, nie pamiętam. I tyle. Jill, ja byłam w szoku. A on po prostu... poszedł sobie. Dzwoniłam do pracy, ale powiedzieli mi, że ma wolne przez kilka dni, dzwoniłam nawet do jego matki, ale wyjechała na jakiś rejs.

- No ale był załamany albo smutny, albo... no nie wiem, mówił „kochanie, nie chcę być dla ciebie ciężarem” albo coś w tym stylu? Nie, nie wierzę... on coś kombinuje. - Brakowało jej tylko fajki, skrzypiec i fotela przed wiktoriańskim kominkiem. - I naprawdę nie wiesz, dokąd

mógł pójść? Może ma jakiegoś kumpla?

- Jill, skończ to śledztwo - powiedziałam ostro. - Przecież nie będzie za nim latać, jest dorosły, to po pierwsze, a po drugie...

- Nie! - wrzasnęła Alicja, wprawiając mnie w osłupienie. - Nie był załamany i nie płakał, i... I zrobił ze mnie kretynekę, bo znów go błagałam, żeby nie szedł, żeby został ze mną, znowu go prosiłam jak jakaś idiotka! A on nie chciał ze mną nawet porozmawiać, nawet porozmawiać... - Alicja zanosiła się płaczem, wtulając twarz w swoją granatową spódnicę, a my patrzyliśmy na nią oniemiałe.

Po raz pierwszy tak mówiła o nim i o sobie. Po raz pierwszy przyznała głośno, że jej małżeństwo to nie szalony miesiąc miodowy.

Podniosłam się z podłogi i poszłam do kuchni. Znalazłam przeterminowane od pół roku krople na uspokojenie i nalałam do szklanki solidną porcję. Słyszałam, jak Jill z właściwą sobie delikatnością zaczyna przekonywać Alicję, że są na świecie miliony facetów, którzy pozwolą się sobą opiekować, dając w zamian coś więcej niż głupie uwagi na temat jej nadwagi albo beznadziejne czekanie z kolacją, a poza tym medycyna zrobiła już szalone postępy w leczeniu raka. W odpowiedzi Alicja mruczała coś płaczliwym głosem.

Kiedy weszłam, drobna Jill tuliła do siebie wielką, zapłakaną Alicję.

- Wypij to - powiedziałam, wyciągając rękę ze szklanką. -

Ona ma rację. Nie we wszystkim, ale generalnie ma. Zostawił cię właściwie bez wyjaśnienia. Powinien ustalić jakiś plan, a nie zostawiać cię bez żadnych informacji. Przecież wiedział, że będziesz się martwić jak nie wiem co. Faceci ponoć tak mają, że kiedy mają problem, to muszą być sami przez jakiś czas, ale on raczej przesadził. Pewnie wróci, a ty w tym czasie powinnaś odpocząć i nie obraż się, zacząć wreszcie trochę myśleć o sobie, cokolwiek się zdarzy. To okropne, że jest chory, ale postąpił niefajnie. Postąpił okropnie. Naprawdę.

Pokręciłam głową z niesmakiem i zobaczyłam wpatrzone we mnie dwie pary oczu. Postanowiłam powiedzieć coś jeszcze, bo rzadko zdarzało mi się mieć jakiegokolwiek audytorium, a już na pewno nie takie, które uważnie słucha.

- Nie można wiecznie udawać, że się jest zadowolonym z życia. Pomyśl, ile rzeczy możesz jeszcze zrobić. Objechać świat, nie wiem, przepisać encyklopedię, tarzać się w rozpuście albo cokolwiek byś chciała. Musisz zacząć planować jakąś przyszłość dla siebie, bo to pozwoli ci przetrwać - wzięłam głęboki oddech. - Jeśli nie wróci, przeżyjesz to, choć będzie ci strasznie ciężko. Ale będziesz miała swoje życie, a nie czekanie z kolacyjkami, pilnowanie, czy ma czystą koszulę...

- I majtki - wtrąciła Jill, dostając za to ode mnie cios w kolano.

- Mówię o koszuli.

- Stringi. - Jill nie można było złamać.

Próbowałam zabić ją wzrokiem, ale chyba za mało ćwiczyłam.

- Dość z wyciskaniem soczków, kiedy ma kaca. Pomyśl, czego zawsze chciałaś, czego każda z nas chciała, i to przyjdzie wcześniej czy później... Pamiętacie? Rozmawialiśmy o tym tysiące razy. Ja chciałam wieczorów przy kominku. I brylantów na rocznicę ślubu.

- To ty chciałaś brylantów, ja chciałam dwójkę dzieci - Alicja wysmarkała nos w rąbek swojej wymiętoszonej spódnicy. - Albo chociaż jedno...

Popatrzyłyśmy na siebie z Jill, bo Alicja powiedziała to, o czym żadna z nas nie miała już ochoty z nią rozmawiać. Od dzieciństwa marzyła o dwójce dzieci, tak jak Jill od dzieciństwa miała pewność, że dzieci mieć nie chce. Ja wtedy pozostawiałam tę kwestię do rozpatrzenia w innym terminie, bo byłam na etapie zostania narzeczoną Jamesa Bonda, a przecież nikt nie myśli o dzieciach, ratując świat od zagłady.

- Widzisz? Znajdziesz kogoś, kto będzie chciał tego co ty, a nie jakiegoś wiecznego chłopca. Jeszcze nie jest za późno - powiedziałam z największym przekonaniem, na jakie mogłam się zdobyć. - Choć może na razie poprzestań na jednym dziecku. Gdyby ci się trafiło takie jak Mimi, to masz zapewnioną rozrywkę na długie lata.

Alicja uśmiechnęła się blado. Ucieszyłam się, że udało nam się choć na chwilę oderwać jej myśli od zmartwień.

- Znowu coś wywinęła? - zainteresowała się Jill.



- Nie pytaj - machnęłam ręką, zadowolona ze zmiany tematu. - W tym tygodniu tylko raz była w szkole. Stwierdziła, że to dopiero początek roku i można olewać. Kochana córeczka.

Liczbą problemów, jakie miałam z moją córką, można by obdzielić ze cztery wielodzietne rodziny, a nieobecności w szkole i nocne eskapady to był drobiazg w stosunku do jej możliwości. Od mniej więcej sześciu lat, odkąd zaczęła w niej szaleć hormonalna burza, wywijala już nie takie numery, a ja mogłam tylko błagać los, żeby jak najszybciej zmądrzała.

- Jeszcze trochę, Alex - pocieszała mnie zwykle obdarzona nadludzką cierpliwością Alicja, kiedy wypłakiwałam się przy każdej okazji. - Kiedyś dorośnie.

- Tylko czy ja tego dożyję? - odpowiadałam.

Poza tym Alicja bardzo lubiła Mimi i wiem, że była jedyną dorosłą osobą, której moja córka się zwierzała. A ja byłam o to trochę zazdrosna, choć niechętnie to przyznawałam nawet przed samą sobą. Wkurzało mnie to, że żadna z nich nie chciała nic powiedzieć, więc nigdy nie wiedziałam, czy moje dziecko nie ma jakiegoś problemu wymagającego mojej natychmiastowej interwencji. Wierzyłam jednak, że w razie czego Alicja, jako człowiek dorosły, mądry i nawet dojrzały, złamie tajemnicę spowiedzi i dostanę ostrzegawczy sygnał na czas.

Ja zresztą też zwierzałam się Alicji w kwestiach dotyczących prób wychowywania mojego dziecka, choć częściej były to próby zrozumienia, dlaczego u nastolatków,

nawet tych starszych, jeszcze nie wykształcił się mózg.

- Jak można, jak w ogóle można wymagać ode mnie - wrzeszczałam w którąś sobotę w słuchawkę, usiłując jedną ręką włożyć sobie skarpetkę - żebym się nie wtrącała w jej życie, skoro robi same głupoty!

- Mhm - odpowiedziała mądrze Alicja, a ja miałam wrażenie, że je spokojnie śniadanie i raczej ma gdzieś moje żale.

- Ona by chciała, żebym pozwalała jej na wszystko, dawała jej pieniądze, które ona będzie wydawać nie wiadomo na co, zupełnie bez kontroli, żebym pozwoliła jej spędzać noce poza domem. Ja mam prać jej ciuchy, czekać z obiadem... a ona robi nie wiadomo co, nie wiadomo z kim i ma wszystko gdzieś! To jest niedopuszczalne!

- Rozwiedź się - mruknęła.

- Och, Alicja...

- Ty też taka byłaś.

- Ja? Nigdy w życiu! - oburzyłam się jeszcze bardziej. - Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby w ogóle prosić o pieniądze na jakieś bzdury!

- To nie dawaj jej pieniędzy - poradziła spokojnie Alicja.

- A jak zaczniesz kraść?

- Ale komu?

To było trudne pytanie i wymagało zastanowienia. Słyszałam, jak Alicja czymś szeleści, a potem spuszcza wodę

w toalecie.

- Rozmawiasz ze mną z kibla? - spytałam zaskoczona.

- Zaskoczyłaś mnie, co miałam zrobić? Ciesz się, że ktoś wymyślił telefony bezprzewodowe. - Alicja chyba wyszła z toalety, bo zmieniła się akustyka. - Możesz jej zlecać jakieś prace w domu i płacić jej za to, albo niech pracuje gdzieś w soboty i niedziele. Albo tylko w niedziele...

- Albo tylko w soboty... - powiedziałam zniechęcona.

- Pogadaj z nią. Pamiętaj, że oprócz tego, że jesteś jej wrogiem numer jeden, powinnaś być też autorytetem. Więc ty musisz być w porządku, a ona kiedyś to doceni.

- Albo nie.

- Albo nie.

Tymczasem Jill postanowiła wykorzystać moment, kiedy Alicja zaczęła wyglądać na pogodzoną z losem, a ja poczułam się lekko znudzona własną niemocą w pokonywaniu problemów. Stała przed nami, jakby miała wygłosić mowę na otwarcie cyrku.

- Dziewczyny, nie przyszedłam tu bez powodu, chociaż okoliczności są inne, niż miały być - chrząknęła i oparła ręce na biodrach. - Nie ma nic lepszego na własne problemy niż cudze problemy - stwierdziła. - Alicja, Alex, mam dla was propozycję nie do odrzucenia - uniosła ręce jak dyrygent i zrobiła głupią minę. - Słuchajcie, słuchajcie! W związku z zaistniałą sytuacją i tak dalej... wyjeżdżamy na wakacje!

Uniosła jedną rękę do góry, zrobiła nią kilka kółek i podskoczyła, opuszczając rękę. Znów wzięła się pod boki i okręciła się na palcach wokół własnej osi.

- Drogie panie, proponuję wam niesamowitą, jedyną w swoim rodzaju ucieczkę przed kłopotami codzienności! Przez dwa tygodnie będziecie czerpać z życia pełnymi garściami, wygrzewając wasze stare cielska na boskich plażach słodkiej Italii!

Jill była tak komiczna, że nawet Alicja się uśmiechnęła.

- Tylko przez dwa tygodnie? Czemu nie przez pół roku, Jill? - próbowała być złośliwa, przypominając Jill o jej tajemniczym zniknięciu.

- To dopiero po pogrzebie Marka - odgryzła się Jill.

Alicja spojrzała na nią z wyrzutem, potrząsając głową.

- Nie mogę jechać. Sama widzisz, że nie mogę. Przecież on jest chory i może mnie potrzebować. A w ogóle to jesteście świnię - zakomunikowała nam, znowu bliska płaczu.  
- Jesteście wstrętne, zamiast mnie pocieszyć, traktujecie to wszystko jak kabaret. Wiem, że go nie lubicie, że macie ku temu powody, ale to mój mąż! Cholera, jak w ogóle możecie takie być?

- A ta znowu swoje. Jezu, kobieto, przecież od godziny wbijamy ci coś do głowy! - wkurzyła się Jill. - Jeszcze nie umarł i w dodatku cię zostawił! Nie wierzę w jego agonalny stan, to po pierwsze. Po drugie daj mu za sobą zatęsknić! Daj mu się o siebie pomartwić, niech wreszcie dotrze do niego,

że ty też możesz być nieprzewidywalna, bo jak dotąd zawsze mógł na ciebie liczyć, ale postanowił uciec bez wytłumaczenia. Wiesz, dla mnie to jest zwolnienie cię ze zobowiązań. A po trzecie daj sobie szansę nabrać dystansu do tego wszystkiego i ukarż go nareszcie za jego okropne zachowanie. A po trzecie, do cholery...

- Po czwarte - mruknęłam.

- Dobra, po czwarte nie ty jesteś chora, tylko on. I na pewno wyzdrowieje, zobaczysz. Alicja, Alicja, chociaż raz zrób tak, jak ci radzimy, chociaż raz! Zaczniemy żyć, zanim nasze tyłki tak obrosną w cellulit, że nie będzie nam się chciało ich ruszyć nawet do pubu za rogiem.

- Jill, nie mogę zostawić domu, bo może nie będę miała już do czego wracać, jak Mimi zacznie tu rządzić - teraz ja musiałam ostudzić trochę entuzjazm Jill. - To po pierwsze. Po drugie mam mnóstwo pracy, za którą dostaję bardzo niewiele kasy, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć. A po trzecie za rogiem nie ma pubu. A po czwarte jestem splekana, musiałam wymienić niedawno chłodnicę w samochodzie\*, muszę kupić nową pralkę, ta ma chyba z piętnaście lat... I w ogóle...

- Nie wymądrzaj się, to po pierwsze. Po drugie nie będziemy mieszkać w jakimś Ritzu, tylko w posezonowym hoteliku, i mogę cię zapewnić, że będzie cię na to stać. Jeśli chodzi o pralkę, to na pewno kupisz coś taniego, choćby z drugiej ręki. Po trzecie tutaj może przyjechać twoja mama, która i tak się nudzi na odludziu...

- Zwariuje tutaj z Mimi i w dodatku zacznie mi sprzątać.

- Po czwarte, Alex, po czwarte nie wyjeżdżałaś od... nie wiem ilu lat, bo ci się zdaje, że świat się zawali, jak wyjedziesz. Wiesz, jak to jest: jak zaczynasz wyglądać jak twoje zdjęcie w paszporcie, to znaczy, że powinnaś wyjechać na wakacje.

Alicji pewnie przypomniało się jej zdjęcie w paszporcie, bo znowu zaczęła płakać. Jill usiadła obok i zaczęła ją głaskać po głowie.

- Nie płacz, głuptasie. Będiesz jeszcze żyła, jak ci się nie śniło. Pomyśl, kopciuszku, morze, plaża, gęsto od ognistych Włochów, śródziemnomorska orgia, mówię ci, będzie super!

- Zastanowię się, ale chcę pokój z widokiem na morze - szlochała Alicja.

- Będziesz miała cholerny widok na morze - obiecała Jill.

---

\* Utrzeć małą, pokrojoną limonkę albo cytrynkę z brązowym cukrem, kilkoma malinami i kilkoma listkami mięty, dodać 40 ml białego rumu i pokruszony lód. No i parasolkę.

\* To było chyba Rock'n Rio, które zawsze chciałam sobie kupić, ale kiedy już uzbierałam pieniądze, to przestali je produkować. Szczęściara ze mnie, zaoszczędziłam 60 dolców.

\* Do wesołego miasteczka La Ronde chodziłam z Mimi bardzo chętnie w ramach bycia-dobłą-matką, na zakupy trochę mniej chętnie, bo wszystkie zakupy nudzą, kiedy się nie ma za co kupować.

\* Renault alliance, zwany „Biedulką”, czterodrzwiowy sedan, przedni napęd, automatyczna, czterobiegowa skrzynia. Został złożony w Kenosha w Wisconsin. Nazywa się renault, choć był skonstruowany i wyprodukowany przez American Motors Corporation (AMC), kiedy

AMC zostało kupione przez Chrysler Corporation, którego Renault był partnerem. Został stworzony na bazie renaulta 9 i 11. I jest moim pierwszym i jak dotąd ostatnim samochodem, jedynym i ukochanym, i dlatego tyle o nim wiem. Jest cudowny, bo prawie nigdy się nie psuje, nie licząc cholernej chłodnicy.



## ROZDZIAŁ DRUGI

### *w którym jest trochę wspomnień ze złych czasów i trochę wspomnień z dobrych czasów, ale nie moich*

Następny dzień nie był piękny, ale wiatr zupełnie ustał i było o wiele cieplej. Termometr przy rozsuwanych drzwiach wyjściowych wskazywał dwadzieścia stopni w cieniu, a my byliśmy wyspane, co zdecydowanie poprawiło nastrój. Poprzedniego wieczoru poszliśmy spać zaraz po zachodzie słońca, kiedy w miasteczku prawdopodobnie zaczynało się życie. Dla nas, kobiet Północy, nocna aktywność w jakiegokolwiek formie była tego wieczoru zbyt męcząca.

Rano Alicja wyglądała koszmarnie, bo nie chciało jej się ani czesać, ani malować. Ja zjadłam trzy francuskie rogaliki z miodem, płatki z owocami i ze dwa kilogramy arbuza i nie chciało mi się ruszać. W prawie pustej hotelowej jadalni bardzo przejęta i rozczochrana Alicja studiowała rozmówki włoskie, a Jill w pełnym rynsztunku nerwowo połykała grzanki z dżemem. Przyglądałam jej się przez chwilę, mieszając w zamyśleniu latte, jedyną kawę odrobinę przypominającą tę, którą piję na co dzień.

- Co? - spytała po chwili z pełnymi ustami, widząc, że jej się przyglądam.

- Alicja, jak myślisz, co chodzi po głowie naszej gwiazdzie? Podryw czy buty? - spytałam.

- *Aperto* - otwarte, *aperto* - otwarte - mruzczała Alicja. - Buty, buty, nie wiem, jak są buty, *scusi, prego*, przepraszam, dziękuję...

- *Prego* znaczy „proszę” - powiedziała szybko Jill. - Myślisz, że nauczysz się włoskiego przy śniadaniu? W naszym wieku zdolność zapamiętywania jest równie duża jak zdolność maskowania zmarszczek.

- Mów za siebie. Wiecie, że jeszcze nigdy nie byłam we Włoszech? Wreszcie będę mogła dotknąć czegoś, co powstało w czasach, kiedy dopiero raczkowałeś, Jill, czyli co najmniej dwa tysiące lat temu.

- Uuu, Alicja! Co za dowcip. Dobra, ty idziesz dotykać, choć mam nadzieję, że nie dosłownie. A ja idę... wchłaniać lokalny klimat? Cywilizacja rzymska upadła, bo nie miała turystyki. Później opowiemy sobie wrażenia. Cześć!

Alicja machnęła ręką pochylona nad rozmówkami. Poszłam do bufetu nalać sobie soku - latte była okropna. Zgarnęłam przy okazji jeszcze jednego rogalika z czekoladą i niewielką kiść czerwonych winogron, starając się nie myśleć o konsekwencjach. Pomyślałam za to, że wcale się nie czuję, jakbym była na wakacjach.

- Alicja, czujesz się jak na wakacjach? - spytałam,

siadając. – Bo ja nie. I nic mi się nie chce.

– To znaczy, że jesteś na wakacjach. Ponoć idea najlepszych wakacji to nuda i lenistwo. Chyba że jedziesz z Club Med, wtedy organizują ci wszystko, łącznie z opiekunką do dzieci i facetem na dyskotekę.

– Naprawdę? Faceta też? – spytałam z nadzieją.

– Idę obejrzyć okolicę – wzruszyła ramionami, wcisnęła pod pachę swoje rozmówki i poszła.

– Tylko niczego nie dotykaj – powiedziałam cicho.

Zostałam sama przy stoliku pod czujnym okiem pani z recepcji i nie chciało mi się ani zostać, ani iść. Miałam ochotę zadzwonić do domu i zapytać, czy wszystko w porządku, ale w końcu byłam na wakacjach i miałam za zadanie za wszelką cenę unikać stresów. Posiedziałam jeszcze chwilę, gapiąc się smętnie w okruszki na talerzykach i na różowe rybki pływające na turkusowych ścianach wśród białych wodorostów, po czym poszłam oddać klucz do recepcji.

Wąska uliczka, na którą wychodziło się z hotelu, wyglądała ponuro i nie mogły tego zmienić dwa przekwitające krzaki białych azalii, ustawione w wielkich glinianych donicach po obu stronach wejścia. Może sprawił to mój nastrój, może chwilowy brak słońca na wąskiej ulicy, ale stare kamienice z odpadającymi tynkami nie wyglądały malowniczo i jeśli nadawałyby się do reklamówki biura podróży, to byłoby to biuro dla trolli. Zapewne wyglądały tak

od czasów, w których zostały zbudowane, bo wilgoć i zimowe wiatry robiły swoje, zima za zimą, rok po roku. Nie dodawało im to antycznego uroku, ale mogło być przyjemną odmianą dla kogoś, kto mieszka na pustyni. Dla mnie było następnym powodem, dla którego nie powinnam była tu przyjeżdżać.

Spękane mury wiekowych kamienic mają jednak większy urok niż kupa kamieni ułożona w jednym miejscu przez tysiące niewolników. Myślę tak zawsze, kiedy widzę piramidy czy walące się ruiny bram triumfalnych, zbudowanych dla tych, którzy w imię wielkości swoich imperiów eksterminowali całe społeczności żyjących w pokoju ludzi i wmówili nam, że zrobili to, bo chcieli ujarzmić barbarzyńców albo krzewić Jedyną Słuszną Wiarę.

Przepełniona niechęcią do władców wszelkiej maści, skręciłam w lewo, minęłam ruchliwą ulicę, niewielki zaśmiecony plac z cyprysami i kościół. Zakurzona droga pięła się pod górę wzdłuż kolczastych żywopłotów, za którymi ukrywały się stare, zaniedbane domy z kamiennymi schodami i oknami, połykającymi światło jak czarne dziury. Miałam wrażenie, że zza ciemnych szyb śledzą mnie oczy zwyrodniałych staruszków, którzy spędzają resztkę życia na obmacywaniu kościstymi dłońmi młodych służących. Albo jak Don Vito Corleone przyjmują hołdy od pokornych członków swoich mafijnych klanów. Nie wiem, która z tych idiotycznych wizji bardziej mnie przestraszyła, ale wolałam przejść na drugą stronę uliczki, zabudowaną rzędem kilku czteropiętrowych, betonowych domów.

Po kilkunastu minutach, zasapana i spocona, znalazłam się na szczycie wzniesienia, myśląc o tym, że czas najwyższy zadbać o moją kondycję fizyczną. Pomyślałam też o spalonych kaloriach i poczułam się odrobinę lepiej. Morze w dole wyglądało spokojnie, na horyzoncie widziałam białe i szare sylwetki statków. Zaczęłam się zastanawiać, dokąd płyną, wyobraziłam sobie mapę basenu Morza Śródziemnego, doszłam do genialnego wniosku, że wiozą do Hiszpanii włoskie samochody i makaron. Pewnie płynęły zupełnie gdzie indziej i wiozły zupełnie co innego, ale przez chwilę to była moja wielka flota i mogłam ją posłać dokądkolwiek i z każdym towarem, jaki mi się zamarzył. Tak więc moje statki płynęły do Barcelony i Walencji, a ja mogłam przestać się nad tym zastanawiać. Przez chmury przedarł się wąski pas słonecznego blasku, oświetlając jak reflektor kawałek morza i otaczające zatokę wzgórze. Mewy wyglądające jak białe punkciki zataczały koła nad powierzchnią wody, która z tej odległości zdawała się nieruchoma. Na prawo widziałam kilka ciemnych wzgórz, rzadko porośniętych drzewami, których nie potrafiłam rozpoznać, po lewej stronie małą marinę, w kierunku której płynęła motorówka, zostawiając za sobą biały, malowniczy kilwater. W dole, jakby na wyciągnięcie ręki, zobaczyłam dziesiątki czerwonych dachów z wystającą ponad nie zieloną kopułą kościoła. Wiał chłodny wiatr, który zarzucał mi włosy na twarz, niosąc zapach soli, ziół i gnijących wodorostów.

Zaczęłam schodzić drogą, która wiła się wśród pożółkłych, przysadzistych palm daktylowych i wyschniętych, pasiastych,

biało-zielonych traw. Trochę dalej było pole z przekwitłymi, brązowymi słonecznikami o wielkich, smutno spuszczonej głowach. Minęła mnie kobieta na skuterze, ubrana w elegancki kostium. Rudawy kundelek obszczał ją bez zaangażowania i znowu zapadł w sen w niewielkim cieniu kilku begonii rosnących przy betonowym murku.

Pomyślałam, że to dobrze, że to miejsce nie jest romantyczne. Nie lubię romantycznych miejsc, bo rozklejają mnie i pozbawiają zdrowego rozsądku, napawając smutkiem i nostalgią. W romantyczne miejsca trzeba jeździć z ukochanym, trzymać się za ręce, patrzeć sobie w oczy, zachwycać się każdym zapleśniałym zabytkiem, traktować jak relikwię każdą znalezioną muszelkę, a nade wszystko przestrzegać pokopanych rytuałów, które przerabiałam jakieś osiemnaście lat temu i jak na razie nie ciągnęło mnie do tego, żeby je powtarzać. Przecież to byłoby chore, gdybym w moim wieku traciła czas, prowadząc się z kimś za rączkę, biegając na jakieś randki, patrzyła czule w czyjeś oczy, myśląc tylko o tym, że świetnie widać moje zmarszczki, i płakać z powodu rozstania na dwadzieścia minut. A za pół roku mieć atak klaustrofobii, leżąc z nim w łóżku, albo chcieć wypruć mu flaki, bo mnie zdradził z jakąś ulepszoną wersją kobiety albo ze swoim trenerem z siłowni. Ale najgorsze w związkach jest czekanie na telefon i rezygnacja z własnego życia, z własnego czasu i z własnych planów. Zdecydowanie wolę poczytać książkę albo pograć w *Tomb Raidera*. Zdecydowanie.

Od wielu lat jestem sama i jak ognia unikam

zaangażowania w jakikolwiek poważny związek, a mężczyźni pojawiali się w moim życiu na czas krótszy niż przelot komety nad horyzontem. I niech tak, do diabła, zostanie. Dość mam kłopotów z Mimi, pracą, ogrodem, migrenami, syndromem przedmiesiączkowym, rachunkami do zapłacenia i całym nieładem w moim życiu, żeby brać sobie jeszcze na głowę kogoś, z kim trzeba będzie dzielić stół i łóżko. Każdy związek oznacza dodatkowe obowiązki - najpierw obowiązkowe uczestnictwo w randkach, potem wspólnie spędzane noce albo dni, czasem wyjazd na wspólny weekend, aż w końcu wspólne mieszkanie. I kto wtedy musi się poświęcić? Kto ma więcej do sprzątnięcia, więcej zakupów do zrobienia, więcej prania i mniej czasu dla siebie i swoich przyjemności? Przy całym szacunku dla związków, mężczyźni zawsze szukają kogoś, kto zdejmie z nich jak najwięcej obowiązków za jak najmniejsze pieniądze.

Moje znajomości zwykle kończyły się na pierwszym etapie, a jeśli nawet zahaczały o etap drugi, to na ogół po wspólnie spędzonej z kimś nocy wycofywałam się chyłkiem, żeby nie robić niepotrzebnego zamieszania, jakim jest na przykład wspólne śniadanie. Na szczęście żadna z moich randek nie okazała się na tyle ekscytująca, żebym chciała wyjechać na wspólny weekend, na przykład do Vermontu.

Mimo wszystkich moich obaw czasem przychodziło mi do głowy, że hipotetyczny partner mógłby zdjąć ze mnie część trosk, bo być może umiałby naprawić rynny i kosić latem trawę, płacić część rachunków i kupować mi perfumy. Wyobrażałam sobie jednak reakcję Mimi, która

zdetronizowana, mogła być zdolna do wszystkiego. Ale też trudno mi przyznać, że boję się szaleństwa, jakie kiedyś mnie opanowało, odbierając bez reszty zdrowy rozsądek, skazało mnie na ciągłe rozpamiętywanie przeszłości i na drażniące uczucie poniżenia. Wolałam myśleć, że nie mogę wprowadzać w życie Mimi i moje dodatkowego zamętu i jest tak, jak powinno być. Przez długi czas żyłam z poczuciem, że zasłużyłam sobie na wszystkie małe nieszczęścia, które mnie spotykają, wszystkie klęski i niepowodzenia są tylko moją zasługą, bo kiedyś dałam się ponieść niekontrolowanym emocjom. I bałam się przyznać do tego, że ominęło mnie w życiu coś istotnego, czego nazwać nie umiem, ale co czasem daje bolesne poczucie pustki.

Czy kiedykolwiek chciałam białej sukni z welonem i chwilowej pewności, że dokonało się właściwego wyboru na resztę życia? Oczywiście, że tak. Nie znam żadnej dziewczyny, która by tego nie chciała chociaż raz, chociaż na próbę, choć zwykle ma to być tylko raz i nie na próbę, i dopóki śmierć nie rozdzieli. Dobrze, że mi przeszło, i to dawno temu. Stwierdziłam, że skoro nie mogę mieć wszystkiego, czego chcę - nie mogłabym mieć wszystkich sukienek, które mi się podobają, wszystkich facetów, którzy by do mnie pasowali, wszystkich środków transportu, którymi mogłabym odjechać na miesiąc miodowy po rzuceniu bukietu, wschodu i zachodu słońca równocześnie, a do tego plaży i skalistego klifu, wysoko upiętych i rozpuszczonych włosów równocześnie - to dziękuję. Można bez tego żyć, tym bardziej że nigdy nie byłam na ślubie, który by spełnił moje



wymagania, każdy był kiczowaty i przesadzony, z beznadziejną muzyką, paskudnym jedzeniem i nieciekawymi gośćmi. Ale może po prostu miałam pecha.

Myślałam o tym wszystkim, schodząc coraz szybciej, i byłam coraz bardziej wściekła. Wystarczyło stado mew nad kawałkiem morza i promień słońca, żeby myśleć o głupotach. O samotności, o tym, że czasem bardzo chciałabym dzielić z kimś każdą radość, a jeszcze bardziej smutek. O tym, że się starzeję i że coraz trudniej mi zaakceptować innych ludzi, tak jak coraz trudniej mi zaakceptować samą siebie. Lubię moją codzienność, jest oswojona i bezpieczna, ale czasem przydałoby się trochę odświeżności, choćby po to, żeby mieć kiedyś co wspominać.

„Będzie dobrze, będzie dobrze” – powtarzałam w takt kroków. Karciałam się w duchu, że zachciało mi się spacerów, rozpamiętywania przeszłości, i znów zbłądziłam, schodząc z prostej ścieżki myślenia wyłącznie o teraźniejszości. Znów musiałam po raz tysięczny tłumaczyć sobie, że wszystko jest tak, jak powinno być, i że dzielna mała Jill przymierza teraz pewnie kolejną parę butów, nie przejmując się głupstwami tak jak ja i jest szczęśliwa.

Pomyślałam o prostej filozofii Jill – robić to, co sprawia nam radość, bez względu na uczucia innych. Powtarzała często: „Myślicie, że to jakiś skrajny egoizm próbować być szczęśliwym? Nie, to pieprzony obowiązek każdej z nas!”.

Kiedy byłyśmy dziećmi, ona była małym, wiecznie zmartwionym stworzeniem, chętniej przebywającym poza

domem niż choćby w jego pobliżu. Tysiące zakazów i kar sprawiły, że nie potrafiła nawet się bawić. Mieszkałyśmy przy cichej, niedługiej ulicy, ja, Jill, Alicja i piękna rudowłosa Anna, chodziłyśmy do tej samej szkoły, pożyczaliśmy sobie ubrania i płyty, ale tylko Jill nie wolno było brać udziału w wieczornych spotkaniach pod wierzbą w parku i tylko Jill nie pisała pamiętnika, i nie miała pojęcia, kto to jest Jimmi Hendrix. Jej rodzina była toksyczna jak fabryka kwasu siarkowego i pewnie dlatego zaraz po szkole Jill wyszła za faceta, którego poznała zaledwie kilka tygodni wcześniej w swoim domu, gdzie wymieniał jakieś rury.

Patryk poza tym, że był kawalerem młodszym od jej ojca zaledwie o dziesięć lat, to jeszcze pochodził z włosko-irlandzkiej rodziny, co w tym przypadku stwarzało nadzwyczaj pokopaną osobowość faceta, który najbardziej lubił przesiadywać z irlandzkimi kumplami w pubie, w oknie którego pewnie do dziś wisi napis: „Tylko dla mężczyzn”. Patryk uważał, że Bóg stworzył kobiety do prania skarpet, oddawania się mężowi w pokorze i robienia w niedzielę po mszy *penne alla putanesca*<sup>\*</sup>. Zapewne nie była to jego wina, ale Jill płaciła wielką cenę za ucieczkę z domu.

Po skromnym ślubie i wielkim weselu dla irlandzko-włoskich krewnych pana młodego na nowo nawrócona katoliczka Jill wyprowadziła się do St. Leonard, montrealskiego *citta italiana* i przestała odwiedzać dom, w którym spędziła prawie dwadzieścia lat. Spotkałam ją po wielu latach w domu handlowym Eaton, a właściwie to ona mnie spotkała, bo ja przez kilka minut nie miałam pojęcia,

kim jest. Nie chodziło o to, że właśnie wpadłam w amnezję, tylko o to, że była kompletnie odmieniona.

Z wyglądu nastoletniej Jill pozostał tylko mały pieprzyk na lewym policzku. Włosy nosiła związane w cienką, postrzępioną kitkę, nie miała makijażu, a cienie pod jej oczami były głębokie i wspaniale zachowane. Ale najbardziej wstrząsnął mną jej ubiór - bordowa, smutna kurtka z plamami na rękawach, spodnie z wielkim tyłkiem i niegdyś białe sportowe buty. Wprawdzie był listopad i nikomu nic się nie chciało, ale to nie usprawiedliwiało takiego wyglądu w centrum miasta.

Poszliśmy na ciastko i po kilku minutach Jill zaczęła tak płakać, że musiałyśmy wyjść.

- Oni mnie wykończą, oni mnie wykończą... - wychlipała na ulicy, skulona pod ścianą jak psiak.

- Kto, skarbie?

- Nie mogę nic, rozumiesz? Żadnych praw! Nie mam dokąd pójść! I jeszcze mam z nią codziennie rozmawiać, rozumiesz? Bo jej się nudzi, siedzi w domu jak stara ropucha i chce mieć ciągle nade mną kontrolę, więc jak już wszystko zrobię, to mam ją zapraszać na kawę, żeby mogła mnie jeszcze zabijać swoim gadaniem!

Zapraszanie kogoś na kawę nie wydawało mi się jakąś straszną tragedią, więc zamiast wyciągać z niej szczegóły życia w szczęśliwym stadle z teściową - samicą alfa, wzięłam ją za rękę, ale wyrwała mi się, wyszłochała, że się odezwie, i

zwiąła. Znowu straciłam z nią kontakt na kilka lat, bo nie znałam jej numeru telefonu i nie miałam pojęcia, jak się nazywa po ślubie. Potem często miałam wyrzuty sumienia, że nie zainteresowałam się bardziej jej problemami, ale przez myśl mi nie przeszło, że jest tak bardzo nieszczęśliwa. Moje problemy były wtedy największe i najważniejsze.

W każdym razie nasza szkolna paczka przestała istnieć. Ruda Anna, w której bracie Gregorym byłam beznadziejnie zakochana w wieku sześciu lat, wyjechała studiować zwyczajnie samców gdzieś w obcych krajach, bo jak twierdziła, „na własnym podwórku można znaleźć tylko śmieci”, co obrazował zresztą ich ogród. Znalazła czterdziestoletniego Latynosa i jak doniosła mi kiedyś jej ciągle zdumiona tym mama – ma czwórkę dzieci, które wychowuje w swojej hacjendzie wśród stad bydła na pampasach, czy jak to się w Argentynie nazywa. Ponoć jest szczęśliwa, ale mnie trudno w to uwierzyć, bo oglądałam zdjęcia, które przysłała swojej mamie – gruba kobieta z gromadką dzieci, wyglądających jak reklama musicalu *Les Misérables*.

Ja też zviałam z domu na kilka lat, bo odkryłam w sobie słabość do Europy – obowiązkowa pielgrzymka tych młodych mieszkańców Ameryki Północnej, którzy nie bardzo wiedzą, co zrobić ze swoim życiem. Zaczynają więc od grobu Jima Morrisona na cmentarzu Père-Lachaise w Paryżu, a kończą w knajpach na Ibizie albo na prowincjonalnych uniwersytetach.

Moja słabość zaowocowała dyplomem takiego właśnie

małego uniwersytetu, ognistym romanssem, który wypalił się doszczętnie po roku, i śliczną Mimi, stworzeniem z piekła rodem.

Kilka kompletnie zmarnowanych miesięcy po powrocie do domu i następnych kilka smutnych miesięcy po urodzeniu Mimi, kiedy zamiast tłumaczyć szwajcarskich poetów współczesnych albo chociaż napisać poradnik *Jak zostać największą kretynką na dwóch kontynentach*, z trudem znalazłam pracę, zatajając moje wykształcenie. Najpierw dostałam pracę kelnerki w restauracji ze stekami na Starym Mieście, ale ponieważ nikt nie lubi smutnych kelnerek, więc zamieniłam to na niewielkie przyfabryczne biuro, gdzie otrzymałam odpowiedzialne stanowisko popychadła i tygodniówkę wystarczającą na czterokrotne zakupy w sklepie warzywnym. W zamian za to wstawiałam codziennie przed piątą, biegłam na przystanek autobusu sto sześćdziesiąt dwa, ten zaś wiozł mnie do najbliższej stacji metra, w którym spędzałam dwadzieścia minut we wszechpanującym słodkim zapachu gnijącej cebuli. Potem przedzierałam się przez gęsty dym z trawki, palonej zawsze w tym samym miejscu przez grupę kolorowej młodzieży, wsiadałam do autobusu i już po piętnastu kolejnych minutach wchodziłam po betonowych schodach ohydneho budynku w industrialnej strefie Ville St-Laurent.

Poza tym byłam jedyną znaną mi osobą nadal mieszkającą w rodzinnym domu, zamiast być młodą, niezależną kobietą, która korzysta z życia, uprawia seks chociaż raz w tygodniu i nie zakłada trzy dni z rzędu tych samych skarpetek.

Ale wtedy miałam to gdzieś. Chciałam się tylko gdzieś zaczepić i mieć spokój, płacąc mamie niewielki czynsz. Nadal nie miałam żadnego pomysłu na życie, a ambicje i marzenia schowały się w niedostępne zakamarki pamięci. Byłam wiecznie zmęczona, płakałam z byle powodu albo bez powodu. Przestałam się malować, uznając, że nie warto, skoro się ryczy co pięć minut. Miałam napady złości na przemian z okresami apatii, paliłam dwie paczki papierosów dziennie i ocierałam się o alkoholizm. Moja codzienność dla mnie samej stała się przedsiódkiem piekła, a dla mamy i Mimi była piekłem *par excellence*.

Mama zawsze miała jak najlepsze intencje, ale często nie potrafiła właściwie odczytywać sygnałów. Tak było i tym razem, kiedy postanowiła zrobić coś ze mną i moim zachowaniem.

- Córeczko, nie możesz się tak wszystkim przejmować. - Mama przytuliła mnie, a ja stałam sztywno z opuszczonymi rękami, marząc, żeby wszyscy dali mi spokój, żebym mogła się położyć i spokojnie rozpaczać. - Wiem, że chcesz, żeby wszystko było zrobione po twojemu, ale tak nie można, musisz dać sobie trochę luzu, bo zwariujesz. I my razem z tobą - dodała, próbując rozładować atmosferę.

- A z ciebie to niby taka hedonistka. - Odsunęłam się gwałtownie, patrząc, jak jej wielkie niebieskie oczy robią się jeszcze większe\*. - To ty mnie zmuszałaś, żebym się wszystkim przejmowała, ty i babcia! Od dzieciństwa wszystko musiało być zrobione teraz, natychmiast!

Pamiętasz, wystarczyło, żebym spóźniła się pięć minut z karmieniem dziecka, to już była tragedia, jakbym popełniła zbrodnię! Wystarczyło przez chwilę nie podnieść jakiegoś śmiecia z podłogi, to dostawałaś wysypki ze złości! Wszystko miało być zrobione natychmiast, bo świat by się zawalił! Tak jakbyś nie mogła poczekać pięciu sekund! I tak całe życie!

Nic nie mogło się równać z siłą moich pretensji lub uporczywego milczenia, w którym potrafiłam tkwić całymi dniami. Mój chory mózg wykombinował sobie, że jeśli będzie coraz gorzej i gorzej, to w końcu będzie tak źle, że nie będzie mogło być gorzej, i wtedy będzie już tylko lepiej. Dążyłam więc konsekwentnie do osiągnięcia dna w każdej dostępnej dziedzinie. Chciałam być już bardzo stara, żeby mieć wszystko za sobą, nie musieć o nic zabiegać, o nic się martwić i czekać tylko na koniec, który, jak miałam nadzieję, nadejdzie lada dzień. W zasadzie nie chciało mi się żyć, ale nawet z tego nie bardzo zdawałam sobie sprawę. Może docierało to do mnie wtedy, kiedy jechałam samochodem i ogarniała mnie chęć, żeby skręcić gwałtownie i wjechać pod pędzącą z naprzeciwka ciężarówkę, i móc wreszcie odpocząć. Nie zdarzało się to zbyt często, zaledwie kilka razy dziennie i działało pocieszająco - zawsze miałam jakieś wyjście. Były to mroczne czasy, ale wtedy przynajmniej nie bałam się wychodzić z domu.

Czasem miewałam lepsze dni, wtedy wlokłam się do parku, gdzie udawałam, że nie płaczę, huśtając się z Mimi na oponie zawieszanej na konarze wielkiej wierzby, tej samej, pod którą ja bawiłam się jako dziecko. Na ławeczkach

siedziały znudzone nianie albo jeszcze bardziej znudzone matki, które raczej nie potrafiły zaakceptować faktu, że sama wychowuję córkę i nie stoi za mną żaden legalny mąż wraz ze swoją pensją, pozycją, samochodem oraz sekretarką. Trudno w to uwierzyć, ale część z nich nie pozwoliła się bawić swoim dzieciom z Mimi, jakby miały się od niej zarazić wirusem nieszczęśliwego dzieciństwa. Równie trudno uwierzyć, że większość z nich skończyła jako rozwiedzione alkoholiczki bez prawa jazdy i bez zawodu.

W sobotę rano, kiedy mama wychodziła, aby spędzić dzień z Ianem, zwlekałam się z łóżka i zaczynałam gotować zupę, co trwało prawie do wieczora i więcej w tej zupie było moich łez niż marchewki. Nie były to fajne czasy, ale też niewiele z nich pamiętam.

W końcu miarka się przebrała - mama siłą zaciągnęła mnie do lekarza i po czterech miesiącach łykania końskich dawek leków antydepresyjnych byłam już w niezłej formie. Wtedy mama zdecydowała, że może już przestać mnie wychowywać, po prawie dwudziestu latach wdowieństwa wyszła za mąż i wyjechała ze swoim mężczyzną do jakiejś dziury, zostawiając mi stary dom oraz wszystkie związane z nim problemy. Obłazący tynk i konserwowanie dachu można było zlekceważyć na początek, ale tony jesiennych liści do uprzątnięcia i naprawa rynien nie mogły czekać. Pozostawały jeszcze hipotetyczne termyty, zapewne niestrudzenie drażące każdą drewnianą belkę aż do nieuniknionej katastrofy, nie wspominając o innych zagrożeniach, które spędzały mi sen z powiek przed świtem.



Alicja przez cały czas, kiedy ja przez kilka lat szalałam w wielkim świecie, spokojnie mieszkała z rodzicami, skończyła finanse na Concordia University, robiła karierę i nie hodowała zmarszczek podczas nieprzespanych nocy. Kiedy mama zajęła się na serio uprawą kukurydzy i indyków na farmie Iana, a ja już zupełnie zakopałam się w domu jak zakonnica w klasztorze kontemplacyjnym, w moim życiu jak dobra wróżka pojawiła się Alicja.

Nie wiem, czy mama poprosiła ją o to przed wyprawką, czy zrobiła to z własnej poczciwej woli, ale raz w tygodniu zajmowała się moim życiem - zmywała moje gary, pomagała mi porządkować zawartość pudeł zalegających szafy i segregować pranie, zabierała Mimi na spacer, przynosiła wieści ze świata. Poświęcała mi swój czas, ukradziony niedawno poznanemu mężczyźnie, na temat którego wyśpiewywała pochwalne hymny i z którym spędzała każdy weekend.

Pewnego dnia niespodziewanie w drzwiach mojego domu pojawiła się Jill, rozgoryczona swoim życiem, smutna, wściekła, płaczliwa, sfrustrowana i przerażona tym, że nie potrafi podjąć żadnej decyzji, która zmieniałaby jej życie. Tak narodził się rytuał spędzania u mnie piątkowych wieczorów.

Najczęściej wypożyczałyśmy jakiś film, najchętniej komedię z romanssem w tle i oczywiście happy endem, omijając starannie horrory, filmy z potworami, dramaty wojenne\* i filmy bez jednoznacznego zakończenia. Zakazane były filmy, w których kobiety lub dzieci są dręczone, chyba

że na końcu sprawców spotykała okrutna kara.

Każda z nas miała ulubione filmy, które miałyśmy obowiązek wspólnie obejrzeć, choćby nie wiem jak były nudne dla pozostałych dziewczyn. Na szczęście trudno było nazwać nudnymi *Indianę Jonesa*, czy *Ojca chrzestnego*. Lubiłyśmy też dramaty sądowe, w których zwycięża sprawiedliwość, te najbardziej klasyczne westerny i wszystkie filmy z Gregorym Peckiem. Ale najbardziej pożądane były komedie romantyczne, bo po pierwsze mogłyśmy zaspokoić nasze pragnienie uczestniczenia w bajce, po drugie rozładować negatywne emocje, a dodatkowo przedyskutować kilka ważnych zagadnień. Jednym z najistotniejszych była kwestia całowania się zaraz po przebudzeniu. Zaczęłam ten temat, kiedy oglądałyśmy *Dzień świstaka*, mój ulubiony film wszech czasów, który składa się przecież głównie z poranków. I tego, co potem.

- Jak oni mogą się tak całować, przecież musi im strasznie śmierdzieć z pysków!

- Faktycznie - powiedziała Jill z ustami pełnymi popcornu.  
- Nie zwróciłam na to uwagi.

- Co? - Alicja podniosła się gwałtownie, obudzona z drzemki.

Odtąd zwracałyśmy baczną uwagę na poranne pocałunki filmowych bohaterów i dwie z nas zostały ekspertkami w tej dziedzinie. Alicja tylko pukała się w czoło, ale kiedy oglądałyśmy razem, po każdym takim pocałunku z kanapy leciało w stronę ekranu potrójne, pełne obrzydzenia i

potępienia „yyyyy”. Po latach wprawdzie doszliśmy do wniosku, że ludzie w filmach mają specjalne oddechy, które nigdy, przenigdy nie są nieświeże, ale nie byliśmy do końca przekonane do tej teorii.

Tak więc w piątki zasiadałyśmy wygodnie i w celach terapeutycznych oglądałyśmy film i wypijałyśmy butelkę martini bianco. W zależności od nastroju i ilości nagromadzonego w nas smutku litrowa butelka poprawiana była piwem, winem stołowym albo czymś, co akurat było w domu, i nawet bananowy likier Bols był nie do pogardzenia. Jill płakała, my ją pocieszałyśmy, choć nigdy do końca nie powiedziała, o co właściwie chodzi w tym jej przekłętym małżeństwie, ja tańczyłam dziko na skrawku podłogi w rytm latynoskiej muzyki, Alicja zasypiała. Potem ja się rozklejałam, Jill klęła, Alicja szła rzygać, Jill chciała wyjeżdżać w nieznane albo przymierzała moje ubrania, a ja odśpiewywałam balkonowy kawałek z *Evity* albo grałam na powietrznej gitarze *Sultans of Swing*. Później omawiałyśmy wszystkie nurtujące nas aktualnie sprawy, Alicja znowu zasypiała, a Jill i ja śpiewałyśmy cicho, w zależności od nastroju wesołe albo smutne piosenki\*.

Rano Alicja na kacu robiła śniadanie, Jill pogodzona z losem wracała do ukochanego męża i wyzywającej ją pod nosem od kurew teściowej, ja próbowałam zdobyć się na odwagę i wyjść z domu, podbudowana wczorajszym nastrojem babskiej rebelii. Bilans spotkań był taki, że miałyśmy zaliczone wszystkie filmy dekady i nie musiałyśmy się leczyć u psychoanalityka.

## Było cudownie.

---

\* Przez wiele lat myślałam, że nazwa tej potrawy w wolnym tłumaczeniu znaczy „penne po kurewsku” i dlatego nigdy jej nie zamówiłam. Ani nie przyrządziłam... hm, nie wiem czemu.

\* Przepraszam, Mamusiu...

\* Nie oglądałyśmy na przykład żadnego filmu o wojnie w Wietnamie, popierając w ten sposób pacyfistyczną politykę naszego ulubionego premiera Pierre’a E. Trudeau, ale nie popierając absolutnie jego przyjaznych kontaktów z Fidalem Castro.

\* W naszym plebiscycie na najsmutniejszą piosenkę wszech czasów na pierwsze miejsce jednogłośnie wybrałyśmy *Hallelujah* Cohena, a tuż za nią *Save Tonight*, wraz z *Fragile* Stinga. Najweselsza piosenka nie została jeszcze oficjalnie wybrana, ale według mnie to *Don’t Stop Me Now* Queen.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### *o obrzydliwych krewnych i planach na przyszłość*

Nie wiedząc kiedy, dotarłam do nadmorskiego bulwaru, który ciągnął się prawdopodobnie przez całą długość miasteczka. Zdjęłam buty i zeszłam po nierównych, rozwalających się betonowych schodkach na zimny piasek. W dzieciństwie byłam nad morzem w czarodziejskiej Gaspésie, gdzie na zawsze zakochałam się w wielkich wodach i gdzie wydawało mi się, że już nigdy nie będę mogła żyć bez szumu fal i wiecznego wiatru. Pomyślałam, że to ta sama woda w każdym kawałku wiecznego oceanu w każdym zakątku świata i zaczęłam się śmiać ze wzniosłych uczuć, jakie mnie opanowały. Ale tak samo myślałam w Szkocji, na Lazurowym Wybrzeżu i nad Jeziorem Bodeńskim, więc pewnie każda wielka woda miała na mnie taki wpływ.

Szłam brzegiem morza, uciekając przed falami, i zdawało mi się, że mogę tak iść i iść, a nawet pobiec jak Forrest Gump tylko dlatego, że chciało mi się biec. I nagle zrobiło się dobrze - mogłam znowu myśleć realnie, stare kamienice wydały mi się bardzo stylowe, a przeszłość, jak to przeszłość, była coraz dalej. W tym stanie błogości mogłam nawet

zadzwoić do domu i stawić czoło kolejnym kłopotom dostarczonym masowo przez Mimi, mogłam iść na zakupy z Jill, mogłam też pocieszać Alicję lub chodzić sama po ulicach.

Większa fala ochlapała mnie, zamoczyła mi spodnie do ud, ale woda okazała się cieplejsza niż powietrze. Pozwoliłam więc falom zmoczyć mnie jeszcze bardziej i wtedy poczułam, że jestem na wakacjach. Naprawdę. A wtedy usiadłam na piasku i się rozplakałam. Ryczałam głośno przez dobre piętnaście minut, odreagowując i stres podróży, i chwilowy brak bieżących problemów, i całe szczęście bycia nad morzem, i nieuzasadnioną tęsknotę za mamą i moją kochaną córeczką. A potem leżałam na plecach, patrząc w niebo i uśmiechając się do ławic chmur w kształcie piórek, aż wygonił mnie chłód wilgotnego piasku.

Mój żołądek gwałtownie domagał się jedzenia, więc musiało być już bardzo po południu. Mając nadzieję, że nikogo nie obudzę, zadzwoniłam do domu z ulicznego aparatu na kartę, w którą zaopatrzyłam się jeszcze w Montrealu w hinduskim sklepie. Zdziwiło mnie, że odebrała Mimi, bo właściwie tylko nocowała w domu, czasem wpadając po szkole i robiąc nieludzki bałagan na swojej drodze. Jej pokój przypominał magazyn odzieży używanej połączony ze składem surowców wtórnych, ze szczególnym uwzględnieniem aluminiowych puszek po 7-up i opakowań po słodyczach.

Ucieszyłam się, że ją słyszę, bo to znaczyło, że nie została aresztowana ani nie kradnie właśnie batoników w

supermarkecie. Jak zwykle była obrażona na cały świat, a na mnie w szczególności.

- Świetnie się bawisz? - spytała ironicznie.

- Dziękuję, nieźle. Byłaś dziś w szkole?

- Żartujesz? Jaki jest dzień na twojej planecie? Bo tutaj jest sobota.

Oczywiście, że była sobota. Mój autorytet znowu ucierpiał, ale nie zamierzałam go tym razem ratować. Spytałam o babcię, widząc w wyobraźni, jak wzrusza ramionami.

- W porządku. Poszła do tej plotkary z naprzeciwka\*.

Powiedziałam, że zadzwonię za kilka dni, i rozłączyłam się, wiedząc, że nie dowiem się od niej niczego więcej.

Wróciłam do hotelu, zastanawiając się, co zrobić z tak pięknie rozpoczętym dniem i ile par butów przyniesie Jill, i jak bardzo niezadowolona będzie Alicja z powodu braku starożytnych atrakcji. Było wczesne popołudnie, zdawało mi się, że widziałam już wszystko w miasteczku i pewnie czekała mnie nuda. I zaczynałam być bardzo głodna po porannym śniadanku pełnym węglowodanów. Zdjąwszy mokre spodnie, poszłam do łóżka, zrzucając z niego kapelusz Jill i szare swetrzysko Alicji. Właśnie rozgrzewały mi się stopy, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i przepychając się i chichocząc wpadły moje przyjaciółki.

- Ale ubaw, dzisiaj jest sobota, wiedziałaś? Na ulicach sami emeryci, a faceci do wzięcia jeżdżą poobijanymi

kabrioletami, wrzeszczą do siebie i są całkiem przystojni! – wołała Jill z zadowoleniem, rzucając torebkę na krzesło. – I plaża się zaludniła!

– Jakiś żigolak chciał nas poderwać – Alicja usiadła ciężko na swoim łóżku.

– Skąd wiesz, że żigolak? – spytałam i zaczęłam podejrzewać, że Alicja ma jakąś obsesję na punkcie żigolaków.

– Miał koszulę rozpiętą do pasa i złoty łańcuch. Myślał, że jesteśmy bogatymi Amerykankami – chichotała Alicja. – Okropnie szybko mówił i chciał nas wozić swoim skuterem. Wyobrażasz sobie? Ja i skuter – stwierdziła tonem posiadaczki co najmniej bentleya continentala GTC z szoferem w uniformie.

– Może to jakiś miejscowy elegant. A co mówił?

– Nie mam pojęcia. Jill powiedziała mu w końcu, żeby spadał, a on się wkurzył, nakrzyczał na nas i odjechał.

– To był nasz pierwszy kontakt z bogatą włoską kulturą. Ale mam brudne nogi – stwierdziła pogodnie Jill, kładąc się na łóżku. – A ty co?

– A ja nie mam brudnych nóg, ale zdążyłam wykąpać się w morzu i zrobić mały rozrachunek z samą sobą. A teraz jestem strasznie głodna.

Jill przytuliła się do poduszki i westchnęła.

– Jak to jest, że byle idiocie się wydaje, że może cię



zaczepić na ulicy, a ty już natychmiast na niego lecisz? Co za kretyn powiedział mężczyznom, że wszystkie jesteście do wzięcia? Czy oni nie mają luster? Przecież gdyby taki palant spojrział na siebie raz uważniej, to chodziłby kanałami. I jeszcze się nie myją! Chociaż nie, ten ładnie pachniał... – zamyśliła się na chwilę. – Czy myślą, że nas to bierze? – chwyciła swoją stopę i oglądała ją jakiś czas z uwagą. – Tyle się naczytałam o tych Włoszech, a tu taka dziura. Jedna główna ulica ze sklepami, o reszcie można zapomnieć. Myślałam, że to będzie coś jak mały Mediolan, a tu nawet nie ma po co wkładać przyzwoitych ubrań. Prawie wszystkie kobiety wyglądają jak wdowy po Rudolfie Valentino. Dziura, dziura, dziura. I jeszcze raz dziura.

– Jedź do San Remo. – Alicja się podniosła i otworzyła okno na oścież. – Przejaśnia się. W soboty mają tu targ, bazar, coś w tym rodzaju. Widziałam fajne rękawiczki, naprawdę śliczne, czerwone w czarne kropeczki albo w białe... Może sobie kupię. Tylko do czego ja je będę nosić? – zamyśliła się, robiąc zapewne w myślach przegląd swojej garderoby.

– Ale atrakcja! – prychnęła Jill. – Porto Cervo, kochana, Porto Cervo, to tam jeżdżą milionerzy. Jestem bardziej zmęczona niż przed wyjazdem, kiedy trzeba było pracować i w ogóle.

– Jill, przecież ty nie pracujesz – powiedziała Alicja, wychylając się przez okno. – Widać morze. Właściwie kawałek, między dachami.

Obserwowałam ją z niepokojem, bo mój lęk wysokości obejmował też wszystkich innych, którzy wychylają się przez okna.

- Jak to nie pracuję? - zaprotestowała spokojnie Jill. - Jeśli nie chodzę codziennie do fabryki, to dla ciebie znaczy, że nie pracuję? Dbam o porządek, robię zakupy, gotuję sobie zdrowe obiady, myślę o założeniu własnej firmy... Cały czas jestem zajęta.

Kiedyś Jill co najmniej raz w miesiącu objawiała nam swój nowy pomysł na życie. Najpierw obmyślała sobie wszystko w zaciszu domowym, potem idea dojrzewała w czasie kilku wizyt w centrum handlowym, aż w końcu dzwoniła do mnie albo do Alicji i nawiedzonym głosem zaczynała „a co byś powiedziała, gdybym...”. Przyjmowałyśmy każdy z tych pomysłów z bardziej lub mniej udawanym entuzjazmem, czując, że Jill kompensuje sobie w ten sposób wszystkie lata, kiedy jej życie podporządkowane było innym, kiedy jej inwencja mogła się objawiać jedynie w wyborze mięsa na obiad. Zaskakująco wiele z tego, o czym nam opowiadała, było całkiem niezłe, jeśli pomijało się jej brak doświadczenia i niewielkie zasoby finansowe. W czasie nielicznych narad Alicja biedziła się nad przekazaniem nam w najprostszej formie finansowych aspektów przedsięwzięcia, a ja przekonywałam Jill, że da sobie ze wszystkim radę, w miarę jak słabło jej zainteresowanie własnym pomysłem.

- Słuchaj, największe fortuny powstawały nieraz z małych rzeczy. Trzeba tylko mieć pomysł i chcieć go zrealizować -

zapewniałam ją i siebie przy okazji.

- Widziałaś *Pracującą dziewczynę*? - podsuwała Alicja z ogniem w oczach. - Wiesz, trzeba wpaść na coś, czego nikt inny jeszcze nie wymyślił w promieniu stu kilometrów, a potem wiesz, tylko to zrobić.

Jill kiwała głową i na końcu oświadczała, że jeszcze to wszystko przemyśli, chowała do torebki kartki z wyliczeniami i zmieniała temat.

Najbliższy realizacji był pomysł sklepu „ze spirytyzmem”, jak to nazwała Jill. Zanim się z tym zdradziła, odwaliła kawał roboty, szukając w bibliotece wiadomości na temat duchów, numerologii, chiromancji, latających stolików, tarota w różnych odmianach, ciał astralnych, stowarzyszeń wyznawców wudu, przeczytała dwie części *Harry’ego Pottera*, obejrzała jeszcze raz *Czarownice z Eastwick* i zaczęła ćwiczyć telekinezę. Posunęła się nawet do kupienia czarnej długiej sukienki z aksamitu, w której wyglądała jak funkcjonariusz hiszpańskiej inkwizycji. Nawiązała też listowny kontakt z producentem amuletów, talizmanów i innych czarodziejskich przedmiotów. Szkicowała figurki elfów, którymi miała ozdobić ściany, zaprojektowała fontannę, która miała stanąć na środku sklepu, a której nie powstydziliby się żaden mieszkaniec Rivendell. Naprawdę się w to zaangażowała.

Pewnego dnia poszła do wróżki, żeby podpatrzeć jej metody pracy i cały *entourage*, i tam za pięćdziesiąt dolarów dowiedziała się, że przeznaczone jej jest życie wśród

kwiatów. Od tamtej pory chciała otworzyć kwiaciarnię, machając ręką na podsuwane przeze mnie inne interpretacje tej przepowiedni, takie jak praca w szklarni z tulipanami w Holandii, praca na plantacji czosnku, czy wieczny spoczynek pod ukwieconą łąką.

Wspomnienia przerwał mi powiew wiatru, który wpadł przez okno i wydał bluzkę Alicji pochylonej nad ulicą.

- Alicja, zejź z tego parapetu! Innym razem pofruniesz do swojego psychiatry!

- Co? - Alicja wsadziła głowę do pokoju. - Kto do psychiatry?

- Kiedyś widziałam taki dowcip rysunkowy. Facet stoi na parapecie okna, w dole Manhattan, a on mówi: „Taki dziś ładny dzień, że chyba polecę sobie do mojego psychiatry” albo coś w tym rodzaju.

- A pamiętasz, jak targałaś sama kanapę? - Jill przystąpiła do oklepywania sobie ud. - To dopiero nadawało się do psychiatry. Byłaś taka wściekła, że dostałaś jakiejś nadludzkiej siły i miotałaś się z nią po całym domu, a potem poszłaś rąbać drzewo.

- Drewno - poprawiłam ją odruchowo.

- Alex targała kanapę? Którą? - zainteresowała się Alicja, siadając obok mnie.

- Tę wstrętną bordową w brązowe i czarne plamy. Jakaś ciotka kupiła jej kanapę. Wybrała chyba najbrzydszą w całym Quebecu - chichotała Jill. - Jak przywieźli to paskudztwo,

oczywiście bez uprzedzenia, to Alex tak się wściekła, że ją targała i wrzeszczała: „co ja z tą kurwą zrobię?, nie ma tu dla niej miejsca, nigdzie mi nie pasuje” i dalej w tym stylu. Kanapa zaklinowała się w drzwiach, więc Alex, żeby nikogo nie zabić, poszła rąbać drzewo. Znaczy drewno.

- A ty? - spytała rzeczowo Alicja, patrząc na mnie badawczo.

- A ona nie mogła się ruszyć ze śmiechu. Leżała na dywanie i kwiczała, wredna mała.

- Kwiczałam, akurat. Trzeba było się widzieć. Wyglądałaś jak jakaś Walkiria czy inna mścicielka z opery, co się miota po scenie i śpiewa.

Tu usłyszałyśmy próbkę jej operowego śpiewu, czyli trwający około trzydziestu sekund fragment habanery z *Carmen*, choć spodziewałam się raczej Wagnera. Zaśpiewała to po hiszpańsku, co bardzo mnie zastanowiło. Alicja, niewrażliwa na wyższą sztukę, przerwała mi podejrzliwe myśli.

- I co potem?

- Potem zadzwoniła ta jej ciotka, żeby się dowiedzieć, czy towar dotarł na miejsce, a ona „tak, ciociu, dziękuję bardzo, ciociu, bardzo mi się przyda”, ale dalej trzymała siekiere. Pamiętasz Jacka Nicholsona w takim filmie? To był przy niej mruczący kotek...

- Wtedy jak wpada i mówi: „Kochanie, jestem w domu” czy coś takiego? Pamiętam - Alicja wykazała się dużym

znawstwem tematu. - I co potem?

- *Lśnienie*. To było *Lśnienie* - wtrąciłam, jak zawsze spragniona dokładnych informacji.

- Potem kopnęła kanapę, dalej w tych drzwiach, i poszła do kuchni, i wywaliła szklanę rumu.

- Rumu? - zdziwiła się Alicja. - Przecież ty nie lubisz rumu.

- Mama jakiś zostawiła, był do celów kuchennych, zresztą nic innego nie miałam - usprawiedliwiłam się. - I nie szklanę, bo piłam z butelki.

- Wywaliłaś całą butelkę?

- Ooo, wywaliła, tak, tak, aż jej bulgotało w gardle.

- Nie całą, tylko lekko na dnie. Musiałam się znieczulić.

- No i tak się znieczuliła - kontynuowała Jill - że usiadła na tej kanapie i zaczęła ryczeć. I tyle.

- No dobrze, ale co dalej z tą kanapą? - Alicja była nieustępliwa jak oficer śledczy KGB.

- Och, co dalej, co dalej. Dalej ustawiliśmy to w salonie i stoi tam do dziś. Alex, masz pilnik do paznokci?

Alicja wydała z siebie westchnienie ulgi i poklepała mnie pocieszająco po kolanie. Wzruszyłam ramieniem.

- To pewnie był syndrom przedmiesiączkowy - uśmiechnęłam się do niej. - Zresztą znasz mnie. Albo mam to, co chcę, albo nie mam nic.

- Akurat masz, czego chcesz. Zasuwasz na pięć etatów, latasz ciągle po domu ze ściereczką jak jakaś francuska pokojówka... - Jill przeszła do oglądania swoich dłoni.

- I tak cię nie prześcignę w robieniu porządków, bo u ciebie nie ma nawet bakterii... - broniłam się słabo.

Fakt, nie znosiłam nieporządku. Ciągle kłóciłam się o to z Mimi, która wrzeszczała, że jestem nienormalna, ale dla niej byłam nienormalna pod każdym względem. Natomiast Jill była w tej kwestii zupełnie szalona, jej mieszkanie było wręcz sterylne, a każda rzecz miała swoje miejsce, które musiało zostać niezmienione do końca świata. Zajmowała śliczną piętrową kamieniczkę na krańcach Notre-Dame-de-Grâce, z całkiem dużym kawałkiem zaniedbanego ogrodu, przy cichej uliczce z rzędem podobnych do siebie kamieniczek po jednej stronie i ze ślicznymi domami po drugiej. Fakt, że dom był wąski jak sznurówka, ale za jej łazienkę z malutkim trójkątnym balkonem, ciemną i lśniącą drewnianą podłogą i starą, stylową wanną na lwich łapach mogłabym zabić. Urządziła je starymi meblami z pchlego targu w Saint-Eustache, gdzie przez jakiś czas jeździłyśmy nałogowo każdego lata. Maleńki salonik mieścił kominek, niski stół w stylu kolonialnym, stary, spłowiały, ale za to perski dywan, dwie niewielkie sofy i stojącą lampę w stylu Tiffany'ego. Mój salon był zastawiony podobnymi meblami, ale nie był, tak jak salonik Jill, najbardziej przytulnym miejscem na ziemi. Nie zazdrościłam jej tylko dlatego, że obiecała mi, że kiedy umrze, to będę mogła tam zamieszkać. Nie wiem, czym przekupiła właściciela, albo jakie świadczyła mu usługi, ale

za ten kawałek rajy płaciła tylko trzysta dolarów miesięcznie.

Chyba nie lubiła, kiedy ktoś ją odwiedzał. Patrzyła podejrzliwie, czy gość nie sieje jakimiś pyłkami z ubrania, nawet kiedy siedział grzecznie w jednym miejscu przez cały czas wizyty. Po wyjściu intruza sprzątała starannie trasę jego przejścia. Ale jeśli zachciało mu się łązić po mieszkaniu, wyrzucić przez okno, iść do łazienki albo nie daj Boże do kuchni – Jill musiała robić generalne porządki. Mawiała, że przynajmniej w ten sposób może mieć kontrolę nad swoim życiem i jak na nią była to bardzo głęboka refleksja.

– Nie kupujesz sobie ciuchów, bo ciągle oszczędzasz, nie masz faceta...

– Ty też nie...

– Nigdzie nie wychodzisz...

– Bo nie lubię.

– Bo się boisz! Odkładasz dwieście dolców tygodniowo...

– Dwadzieścia – poprawiłam ją odruchowo.

– I ciągle się martwisz. W życiu nie zaoszczędziłam nawet dwudziestu rocznie. – Jill z uwagą oglądała swoje paznokcie.

– Ty to nazywasz „to co chcę”? Masz ten pilnik?

– Mówię o rzeczach, o przedmiotach, które chcę mieć albo których nie chcę. Albo coś mi pasuje, albo nie. I nie mów, że nie masz kasy, bo jesteś bogatsza niż my obie razem – odparowałam. – Znajdź sobie w torbie z kosmetykami.

– Alex, kochamy cię – stwierdziła stanowczo. – Owszem,



nie jestem biedna, ale też nie jestem bogata. Alicja, podaj mi, proszę, torbę. Alicja, mówię do ciebie! Hej, baza do Alicji!

- Ale gdzie jest ta kanapa? - Alicja się ocknęła, a Jill otworzyła usta i wzniosła oczy do sufitu.

- Jeeezu, kobieto, weź sobie tę kanapę - zawyłałam, zakrywając twarz dłońmi.

- Alicja, popatrz na mnie - Jill uniosła dwa palce w kierunku swoich ust. - Ka-na-pa sto-i w sa-lo-nie u A-lex. Jest przy-kry-ta po-kro-wcem zrobionym z zas-ło-ny. Dom Alex. Salon. Ulica Kingsey trzysta piętnaście, Mont Royal, Kanada.

- Planeta Ziemia, Układ Słoneczny - dokończyłam, siadając na łóżku. - Od godziny wam mówię, że jestem głodna i umieram z głodu.

- Wszystko jest *aperto* - stwierdziła Alicja, przetrawiając jeszcze kanapowe rewelacje. - Nie, zaraz, jak to było? - Rzuciła się gwałtownie w stronę swojej torebki, wyjęła rozmówki i zaczęła je wertować. - O, jest. *Chiuso*, zamknięte. - Wymawiała to „cziuzo”, co obudziło we mnie odległe wspomnienie lekcji włoskiego, które porzuciłam dla spotkań z jakimś palantem.

- To chyba wymawia się przez k. Jak „chianti”. Chyba. „Kiuzo”. Zresztą spytaj Jill.

Alicja zniecierpliwiona zamknęła książeczkę i rzuciła ją na stolik.

- Nie lubię chianti. Lubię martini.

- Wstrząśnięte, nie mieszane. - Jill grzebała w mojej kosmetyczce.

- A ta ciotka to kto? - spytała zniecierpliwiona Alicja, oglądając z nienormalną uwagą pasek od mojej torebki.

- Ta ciotka to pomyłka ewolucji. Nienawidzę jej.

Alicja ze zrozumieniem pokiwała głową, ale patrzyła wyczekująco.

- Kiedyś pękła jej proteza i skleila ją jakimś superklejem. Po godzinie wylądowała w szpitalu, bo klej zawierał cyjanek - opowiedziałam z rozkoszą rodzinną anegdotkę, świadczącą o superinteligencji ukochanej cioci.

- Jaka ciotka, taka trucizna - zaśmiała się Jill. - Co jeszcze wykombinowała?

Co jeszcze miałam im powiedzieć o ciotce Elizabeth, która przez wiele lat mojego dzieciństwa otoczona była aurą tajemniczości, ponieważ wujek Jeremy, straszny bigot i nieudacznik, jak go nazywał mój ojciec, ożenił się z nią w Nowej Południowej Walii, gdzie kopał węgiel dla brytyjskiej firmy, i przez ponad dziesięć lat nikomu z naszej rodziny jej nie pokazał?

Wujek jest młodszym bratem mojej mamy, ale jedyne, co ich łączy, to ten sam odcień niebieskich oczu i to, że oboje postanowili umrzeć na raka płuc. Jeremy wyjechał na kontrakt do Australii kiedy byłam w powijakach i zjawiał się co dwa, trzy lata z okazji niezmiernie ważnych rodzinnych uroczystości, takich jak pogrzeb dziadka, albo kiedy babcia

dzieliła swoją biżuterię, na którą składały się klejnoty babci mamy, jej mamy, a wcześniej pewnie mam z poprzednich pokoleń\*. Co do ciotki... zanim zobaczyłam ją pierwszy raz, wyobrażałam ją sobie jako zwiewną wróżkę, która pewnego dnia zjawi się z mnóstwem prezentów i zabierze mnie na bardzo długie wakacje, przerywając tym samym szarość mojej egzystencji, zamykającej się w zaklętym, nudnym kręgu szkoły i domu, lata i zimy. Jako mieszkanka tajemniczej krainy, gdzie mieszkają śliczne misie koala, miała wprowadzić mnie na dwory rojące się od księżniczek w różowych sukniach i bale dla Kopciuszków, zrobić ze mnie dziedziczkę wielkiej zamorskiej fortuny, no i oczywiście kupić mi wielkiego pluszowego misia albo dom dla lalek. Umieblowany.

Wróżka, owszem, zjawiła się, ale w postaci otyłej kobiety z małymi oczkami, z dwójką moich grubych kuzynów, którzy w kilka godzin potrafili zrobić z naszego domu coś w rodzaju Strefy Gazy. Ciotka w jej własnym mniemaniu była wielką damą, choć nie potrafiła się poprawnie wysławiać, a jej akcent był jak szczekanie psa. Poza tym żyli z wujem ponad stan, co szybko wpędziło ich w długi, ale i tak nie mogło jej to skłonić do ograniczeń - jej spasiono dzieci musiały mieć wszystko, czego tylko zapragnęły, ona i jej córka chodziły do fryzjera raz w tygodniu, a wujek zmieniał samochody jak rękawiczki, niestety jak coraz starsze rękawiczki.

Ciotka uwielbiała obgadywać wszystkich i ukradkiem grzebać w naszych szafkach i szafach, a potem krytykować mamę pod pozorem dawania jej rad. „Żyj i pozwól żyć” -

mawiała do niej mama z grymasem, który miał udawać uśmiech. Sama ciotka była niechlujna i nigdy nie potrafiła utrzymać porządku w swoim wielkim wynajętym domu, o czym doniosła mi z satysfakcją mama po wizycie u nich.

Zamieszkali w Hull, które niestety nie jest dość daleko. Kiedy mieli zjawiać się u nas na święta z masą tobołów, swoimi nieznośnymi dziećmi, rozgardiaszem graniczącym z totalnym chaosem, czułam, jak w moim domu narasta napięcie niczym przed zbliżającą się zagładą.

Ich dzieci poza tym, że były nieznośne, były też bezczelne do granic możliwości. „Głupi Kotlet”, jak z niechęcią nazywałam moją grubą, podobną do świnki kuzynkę (którą babcia, *madre di tutti capi* kazała mi kochać, bo jest z Rodziny), potrafiła wdrapać się mojej mamie na kolana i przymilnie zaglądać jej w oczy, szczebiocząc słodko i oglądając swoje tłuste paluszki. Myślałam wtedy, że mama będzie teraz kochać ją, i szłam obrażona do siebie. Ja nie potrafiłam tak się umizgiwać. Wychowano mnie na twardziela, który nie będzie się do nikogo łąsił za czekoladkę ani zebrał o względy albo o litość, a już na pewno nie pokaże, że mu zależy. Ale bolało, że ktoś odbiera mi moje przywileje, z których wprawdzie i tak nie korzystałam, ale należały mi się z urzędu. Kiedy nieudolnie chciałam tę rodzinną zgagę naśladować, próbując ułożyć moje kościste ciało na kolanach mamy, ta śmiała się, nazywając mnie „starą kozą”. Choć mnie przytulała, to obydwie byłyśmy zażenowane.

Na szczęście wizyty wujostwa ustały zupełnie po śmierci

mojego ojca, jakby się bali, że mama zażąda od nich pomocy. Ich wizyty w Montrealu ograniczały się do odwiedzania babci i wyciągania od niej kasy za pomocą płaczu ciotki i narzekań wujka na ich straszliwą biedę. Babcia nigdy by nie dopuściła, żeby jej ukochany syn cierpiał niedostatek wraz z rodziną, sypała więc groszem obficie. Nie starczało tego na długo, bo ciotka miała szeroki gest w wydawaniu babcinych pieniędzy i wkrótce przedstawienie zaczynało się od nowa.

Tak więc ciotka była moim pierwszym prawdziwym rozczarowaniem, większym nawet od odkrycia, że nie ma Świętego Mikołaja. Nie miałam ochoty opowiadać o tym wszystkim Alicji, więc powiedziałam tylko:

- To taka ciotka, co raz w życiu coś ci da, a potem do końca twoich dni chce dowodów wdzięczności.

Powiedziałam tak, żeby powiedzieć cokolwiek, ale nagle zdałam sobie sprawę, że to może być prawda. Trochę mnie to przeraziło, bo wyobraziłam sobie, że być może wprowadzi się do mnie razem ze swoimi dorosłymi już dziećmi po zlicytowaniu ich dobytku za długi albo kiedy się zestarzeje, będę musiała ją wozić na wózku inwalidzkim. Tę ostatnią myśl odrzuciłam, bo ciotka nie jest masochistką i zdaje sobie sprawę z tego, że potrafiłabym jej zatruć życie. O przenosinach do mnie postanowiłam jeszcze pomyśleć i zabezpieczyć się przed nimi wszelkimi możliwymi sposobami.

Ale nagle przypomniałam sobie, że kanapa była sfinansowana przez moją babcię. Mama, zakopana na farmie Iana, nie zamierzała przyjeżdżać z okazji zakupu mebla, więc

babcia, bojąc się, że przeznaczę pieniądze na coś zupełnie niepotrzebnego, jak nowy bojler, wymianę rynien albo nie daj Boże na bieliznę, jedzenie i nieprzemakające zimowe buty dla mnie\*, nie wiedzieć czemu powierzyła misję dokonania wyboru wstrętnej ciotce, która po długich poszukiwaniach wybrała najbrzydszą rzecz jaką udało jej się znaleźć. Kocham babcię bardzo, bo jestem jej pierworodną i ulubioną wnuczką, ale nie mogłam nawet pozbyć się niewygodnego obrzydlistwa, bo babcia by mnie wydziedziczyła, a na to nie mogłam pozwolić - więcej dostałby wujek. Tego zaś nie darowałabym sobie do końca życia.

•

Od południa leżałyśmy jak zwłoki na zalanej słońcem plaży, pozbawionej po lecie równych szeregów leżaków i parasoli, wypełnionej natomiast niespodziewanie kilkoma rodzinami z małymi dziećmi, krzepkimi staruszkami o skórze w kolorze cynamonu, kilkoma parami, które zachowywały się tak, jakby były tuż przed nocą poślubną, oraz młodymi, szczupłymi mężczyznami, których niewiele obchodziło poza grą w piłkę w płytkiej wodzie. Zrobiło się kolorowo od ręczników, materaców i innych dmuchanych pływających zabawek, wiaderk i łopatek, piłeczek i parasoli. Od czasu do czasu plażą wędrował sprzedawca kokosów, a jego dźwięczne wołanie „*Coco bello! Coco fresco! Coco di mamma*” to się oddalało, to zbliżało.

Jill niedawno wróciła z kolejnej ze swoich codziennych długich wycieczek, jak co dzień w świetnym humorze,

opowiadając o tym, co widziała w sklepach i ilu facetów ją podrywało. Lekkie chmurki na niebie, wyglądające jak ławice piasku, nie zakrywały promieni wrześniejszego słońca, było miło, ciepło i dokładnie tak, jak wyobrażałam sobie wakacje na włoskiej Riwierze.

Prawie usypiałyśmy przy szumie fal, niedalekich odgłosach jadących bulwarem samochodów i nadlatującego od czasu do czasu samolotu, który wylatywał znad jednego ze wzgórz, zataczał koło i znów chował się za górą. Od czasu do czasu jakiś jogger przebiegał brzegiem i jak udało mi się zauważyć jednym okiem, im był przystojniejszy, tym mniejszą zwracał na nas uwagę, mimo że leżałyśmy mu prawie pod stopami. Byłyśmy jedynymi ciałami w promieniu kilkudziesięciu metrów, przy których nie siedział żaden mężczyzna. Wyróżniałyśmy się również paskudnymi kostiumami kąpielowymi. Cóż, w miejscu, w którym są tylko dwie pory roku – zima i lipiec – nie przywiązuje się wielkiej wagi do kostiumów, odmiennie niż, powiedzmy, w Brazylii.

– Co mamy ze sobą wspólnego wszystkie trzy? – spytała Jill, przerywając błogą ciszę.

Alicja leżała na brzuchu, grzebiąc leniwie palcem w piasku, a ja od pół godziny bez paniki myślałam o czekających mnie po powrocie obowiązkach, w przerwach zastanawiając się, czy właściciel pozostawionego nieopodal ręcznika z wzorem brytyjskiej flagi się utopił.

– Jesteśmy kobietami? – zaryzykowała odpowiedź Alicja.

– Nie jesteśmy blondynkami? – dorzuciłam sennie.

Jill pokręciła głową.

- Nie mamy facetów? - rozkręciła się Alicja. - Lubimy gotować?

- Ja nie lubię - zaprotestowała Jill. - Próbuj dalej.

- Wiem! - ożywiłam się. - Jesteśmy piękne, utalentowane i niezwykle inteligentne!

- Nie! - zirytowała się Jill. - Jesteśmy brzydkie, stare i głupie.

- Mów za siebie - powiedziałyśmy równocześnie z Alicją.

- Nie ćpamy i się nie puszczamy. Na razie... - twórcza inwencja Alicji była dzisiaj nie do przebiccia.

- Alex ćpa. Sama czasem kupuję jej prochy - powiedziała Jill złośliwie. - Dzwoni czasem i charczy w słuchawkę „Jill, przywieź mi coś, błagam cię, bo umieram”.

- Tak, właśnie tak charczę, kiedy mam migrenę i zabraknie mi tabletek. Na twoje nieszczęście ty masz samochód, a Alicja nie, i w dodatku najpóźniej chodzisz spać...

- Ona w ogóle nie chodzi spać. - Alicję wyraźnie bawiła nasza rozmowa. - Ogląda do rana romanse.

- Oglądam pornosy, a potem idę na dziwki! Dobra, powiem wam, bo nigdy nie wymyślicie - zrobiła przerwę dla uzyskania efektu. - Jesteśmy szczęśliwe dopiero po czterdziestce!

Usiadłam i wytarłam pot ze zmarszczki na brzuchu.



Spojrzałam na Alicję – wpatrywała się w Jill jak w wezwanie do urzędu podatkowego, po chwili spojrzała na mnie z troską.

- O co jej chodzi?

Jill uwielbia nas zaskakiwać. Wymyśla coś głupiego, a potem nas obserwuje, czekając, aż znajdziemy jakiś sens w jej wariackich pomysłach. Sensu zwykle nie ma, my tracimy czas, rozpatrując różne warianty sprawy, a Jill prowadzi nas na manowce swojej pokręconej, rozkojarzonej wyobraźni. Czasem chce zwrócić na siebie uwagę, zainteresować nas sobą, a czasem rzeczywiście coś ją gryzie. Teraz patrzyła na nas ze zmrużonymi oczami i zadowolonym uśmiechem.

- Nie chce mi się dzisiaj myśleć – powiedziałam, kładąc się na ręczniku. - Albo nam powiesz teraz, albo zamilknij na wieki.

- Właśnie – powiedziała Alicja z ulgą i wróciła do grzebania w piasku.

Jill wzięła głęboki oddech, ale nic nie powiedziała. Czekałam przez chwilę, a potem spojrzałam na nią – popatrzyła na mnie szelmowsko i wypuściła powietrze.

- Ćwiczysz oddech?

- Czekałam, żeby zobaczyć, czy cię to zainteresuje.

- Oczywiście, że mnie to interesuje. Jestem dobrze wychowana i słucham uprzejmie, co ludzie mają mi do powiedzenia.

- Och, przestań. Myślę o tym, że teraz nareszcie możemy... spełniać swoje marzenia.

- Taaak? - powiedziała Alicja z zamkniętymi oczami. - Myślisz o akcji na rzecz emerytów, żeby nie popełniali samobójstw, jak już skończą karierę i będą czuli się wyrzuceni poza nawias społeczeństwa?

- Albo dlatego, że przestają być grupą docelową w reklamach szamponu przeciwłupieżowego - zaśmiałam się z własnego dowcipu, choć właściwie nieraz było mi przykro, że nie jestem żadną grupą docelową.

- Głupia jesteś - obraziła się Jill. - Myślę o kobietach, które w końcu mogą pokierować swoim życiem bez oglądania się na innych. Popatrz, przez jakieś dwadzieścia lat życia jesteś w domu, z rodzicami, chodzisz do szkoły, starasz się spełnić ich oczekiwania...

- Powiedz to Mimi - mruknęłam.

- Wiesz, bardziej lub mniej. Potem idziesz do pracy, jesteś w miarę samodzielna, ale jeszcze nie wiesz za bardzo, co ze sobą zrobić. Więc wychodzisz za męża, bo wydaje ci się, że tak trzeba, bo wszystkie tak robią, i że to jakoś tam odmieni twoje życie. Mija następne ileś tam lat, starzejesz się i albo dochodzisz do wniosku, że to ci pasuje, albo że ci nie pasuje. Jak ci pasuje, to wszystko w porządku. A jak nie?

Alicja się podniosła i otrzepała dłonie z piasku, a Jill patrzyła wyczekująco, spodziewając się komentarza.

- Ale co ci pasuje albo ci nie pasuje? To, że się starzejesz?

- spytała ironicznie Alicja.

- Nieee, czy ci pasuje małżeństwo - sprostowała niepewnie Jill.

- A jak nie wychodzisz za mąż? - spytałam, patrząc na okręt na horyzoncie.

- A jak nie wychodzisz, to znaczy, że uniknęłaś jednej z życiowych pomyłek - roześmiała się Jill, ale natychmiast spoważniała. - Dobra, wiem, przepraszam. Czasem pewnie fajnie jest wyjść za mąż...

- Nie szkodzi - wzruszyłam ramionami. - Gdybym żyła sto lat temu, pewnie miałyby to jakieś znaczenie, że jestem panną z dzieckiem.

- Gdybyś żyła sto lat temu, pewnie byłabyś napiętnowana jako panna z dzieckiem, a tak jesteś samotną matką i nikogo to nie obchodzi, bo stanowisz większość statystyczną - wtrąciła Alicja, usypując pagórek z piasku.

- Większość statystyczną stanowią ludzie samotni - powiedziałam, zastanawiając się, skąd ona wie, co myślę. - Nawet jak są w związkach, to są samotni albo się rozwodzą w krótkim czasie, i wtedy już są samotni statystycznie. To wszystko jest bez sensu. Czemu nasi rodzice nie mieli takich problemów?

Jill wzruszyła ramionami.

- Mieli inne. Zwłaszcza moi. Zresztą nie wiem - westchnęła i usiadła. - W każdym razie na nic nie jest za późno. Możemy mieć jeszcze to, co chcemy.

- Możemy mieć najwyżej obwisły biust i samotne wpadanie w alkoholizm - mruknęła Alicja i po chwili dodała:  
- A ty nie jesteś samotna, bo masz Mimi. Przepraszam cię, Alex, ale chyba jednak chciałabym być na twoim miejscu.

- Mmm, to coś nowego. - Sięgnęłam po krem i zaczęłam smarować twarz, czując w brzuchu pierwsze oznaki zdenerwowania. - Mam nadzieję, że mi powiesz dlaczego...

Alicja przechyliła głowę i przyglądała się usypanej przez siebie górcie z piasku. Popatrzyłam szybko na Jill, żeby Alicja nie zorientowała się, jak bardzo czekam na to, co powie. Jill uniosła do góry brwi i też spojrzała na mnie. Alicja wróciła do poklepywania górci z piasku.

- No powiedz - nie wytrzymałam. - Powiedz wreszcie, niech się dowiem, jaka ze mnie szczęściara.

Alicja potrząsnęła głową wkurzona moją ironią i westchnęła ciężko, jakby miała zrobić coś bardzo męczącego i nieprzyjemnego.

- No powiedz! - podniosłam głos i zaraz tego pożałowałam. - Proszę, pociesz mnie - dodałam przymilnie.

- Słuchaj - powiedziała poirytowana - przecież tak naprawdę to ty jesteś szczęściarą, choć jeszcze o tym nie wiesz...

Popatrzyłam na Jill, która skinęła głową.

- ...począwszy od tego, że masz dziecko...

Jill pokiwała głową, jakby przyznawała rację Alicji.

- I nie protestuj, wiem, że Mimi cię męczy, że jest czasem okropna, że masz z nią masę problemów, ale... ale, kobieto, docień w końcu to, co masz! Wiesz, ilu jest ludzi, którzy mogą tylko marzyć o takim życiu jak twoje?! Nigdy ci tego nie powiem, ale ci zazdroszczę! A co do Mimi, to zobaczysz, niedługo będzie twoją najlepszą kumpelą!

Przez moment próbowałam sobie wyobrazić, jak pędzimy razem, moja córka i ja, przez jakieś centrum handlowe, roześmiane, wyluzowane, targając po kilka wyładowanych ciuchami toreb, albo pijemy cappuccino frappé, plotkując zawzięcie. Po chwili jednak dotarło do mnie, że chyba za wcześnie na taką radykalną zmianę myślenia o naszych wzajemnych stosunkach.

- I lubisz być sama - wypaliła Alicja, nie patrząc na mnie.

Zrobiło mi się przykro. Całe moje skomplikowane życie, wszystkie egzystencjalne lęki i wyrzeczenia sprowadzone zostały do stwierdzenia, że lubię być sama.

- Ale co to ma do rzeczy, że lubię być sama? - spytałam spokojnie, choć zaczynałam być rozdrażniona tym, że przez całe wieki sądziłam, że jestem wystarczająco dzielna, wystarczająco się męczę i poświęcam, jestem wystarczająco samotna i godna współczucia, dźwigając moje życie, żeby należało mi się choć odrobinę szacunku, a może nawet podziwu!

- To, że powinnaś być szczęśliwa, do diabła! I wiesz, w dodatku masz jeszcze inne rzeczy, których ja na przykład nie mam - powiedziała szybko Alicja, patrząc na mnie ze

zmarszczonymi brwiami, i nie czekając, aż zapytam, co to są te inne rzeczy, wyjaśniła: – Nie musisz się martwić, że facet cię zostawi, bo mu się wiesz, znudziło, ty wybierasz i ty decydujesz, nie jesteś zdana na czyjąś łaskę. W dodatku należysz do nielicznej grupy ludzi, którzy nie muszą się przed nikim tłumaczyć...

– Do elitarnej grupy ludzi – wtrąciła radośnie Jill.

– Mogą się czuć swobodnie w domu – dokończyła Alicja z uśmiechem, ale czułam, że nie to chciała powiedzieć.

– No i oni też uważają, że im źle – powiedziała Jill.

– Ja nie myślę, że mi źle, tylko czasem mi ciężko – stwierdziłam żałośnie i nie na temat.

– No właśnie! W każdym przypadku są jakieś dodatnie i ujemne strony – Jill z właściwą sobie znajomością każdego zagadnienia stanęła po mojej stronie. – Wszyscy myślą, że jak czegoś nie zrobią, to ich to ominie. A przecież nie jest powiedziane, że ty nie wyjdiesz jeszcze za mąż, a Alicja nie będzie miała dwójki dzieci.

– Mam grubo ponad czterdzieści lat, myślisz, że ile mam jeszcze czasu? – Alicja popukała się w czoło. – Musiałabym zajść w ciążę tu i teraz.

– To nie powinien być problem – Jill puściła do mnie oko. – Zaraz kogoś zawołam.

Spojrzałam na nią nieprzytomnie i postanowiłam kontynuować mój wątek.

- Nie chcę wychodzić za mąż, chcę faceta, który będzie ze mną wtedy, kiedy będę go potrzebować. Żeby mnie zabierał do Paryża na zakupy albo na weekend na Bahamy - miałam wszystko dokładnie przemyślane. - Albo gdzieś. Na Jamajkę... na przykład.

- I tak byś nie pojechała - powiedziała z przekonaniem Jill. - Facet przychodzi do ciebie z biletami pierwszej klasy, mówi: „Kochanie, niespodzianka, zabieram cię na Bahamy”, a ty mówisz: „Nie tym razem, kotku, bo dziś zaplanowałam sobie grabienie liści w ogrodzie” albo wymyślasz coś innego, równie... praktycznego. A gdyby cię zabrał na zakupy, jak jakąś Julię Roberts, to zaczęłabyś oszczędzać jego pieniądze, bo dla ciebie wszystko jest za drogie. No powiedz, że nie.

Zamyśliłam się nad tym, co powiedziała, i postanowiłam sobie, że nie będę oszczędzać jego pieniędzy.

- A ty? - spytała Alicja, uklepując rozsypujący się piasek. - A ty na co czekasz?

- A ja na nic nie czekam, bo teraz jest mi dobrze. Jestem jeszcze młoda, niezależna i chcę korzystać z życia. Niezależna, rozumiesz? Czyli wolna. Fakt, mam, to znaczy, miałam pieniądze między innymi dzięki temu, że wyszłam za faceta, który zrobił mi grzeczność i umarł... we właściwym czasie...

W mojej otumanionej lenistwem głowie znowu zapaliło się światełko. Przypomniałam sobie moje podejrzenia dotyczące śmierci Patryka i postanowiłam, że wreszcie muszę stanowczo zażądać od niej wyjaśnień. Nie miałam pojęcia,

jak to zrobić, skoro przez tyle lat udawało jej się omijać ten temat, głównie dzięki temu, że jestem dobrze wychowana i nie pytam uparcie o prywatne sprawy.

- Ale teraz mogę sama podejmować decyzje - mówiła dalej Jill. - Mogę trzymać nogi na stole albo tyłek, nie wiem, na lampie, jeśli tak mi się spodoba. I mam święty spokój. I dlatego mówię, że dopiero teraz możemy spełniać swoje marzenia. Możemy jechać na wakacje, możemy mieszkać same albo z kimś, możemy... no i tak dalej - Jill wyraźnie traciła koncept.

- Możemy? - spytała Alicja z nutką gniewu w głosie. - Jesteś pewna, że możemy? A jak nie możemy? - wstała i poszła w kierunku morza, stopami wierząc w piasku głębokie ślady.

- Ups - wyszeptała Jill i pobiegła za nią.

---

\* Maggie Kirshner nie jest plotkarą, ona po prostu wie o wszystkim, co się dzieje w okolicy, i informuje o tym wszystkim każdego, kto zbliży się nieopatrznie do jej zaniedbanego trawnika. Potrafi wyciągnąć z ludzi każdą informację, ale sama przedstawia tylko suche fakty bez dodatkowej otoczki, opinii i komentarz pozostawiając rozmówcy. Ten obiektywizm wynika zapewne z faktu, że jej dawno temu pochowany mąż pracował na kawałek etatu w naszej lokalnej gazecie, redagując nekrologi i ogłoszenia komunalne, które musiały być zwięzłe, suche i pozbawione osobistych odczuć, a etos pracy pana Kirshnera jest dla Marg nadal bardzo ważny. Poza tym nie lubi kotów i ma starego, czarnego, śmierdzącego i nigdy niemytego rolls-royce'a, który jadąc, nie wydaje prawie żadnych dźwięków, a którego wyciąga z garażu w każdy czwartek, żeby pojechać na zakupy do sklepu Metro przy Van Horne.

\* Teraz ten łańcuszek niestety zostanie przerwany - dzieci babci,



czyli moja mama i wuj Jeremy, przepuszczą wszystko, co wpadnie im w ręce. Nie mam szans, żeby kiedyś dostać należną mi część, a w przyszłości móc ją przekazać Mimi. Kiedy już dorosnie, czyli za jakieś trzydzieści lat.

\* Jednym z najprzydatniejszych, choć i najbardziej kontrowersyjnych wynalazków w dziejach jest plastikowa torba na zakupy. Kiedy włoży się w nią stopę, a potem oworkowaną stopę włoży się w jakikolwiek but, stary czy nowy, drogi czy tani, zielony czy w wielkie słoneczniki, to stopa będzie sucha i ciepła, choćby to był kwiecień i najgorsze kwietniowe roztopy. Tym sposobem nie trzeba wydawać stu dwudziestu dolarów na nieprzemakalne buty, które i tak będą przemakać, choćby nie wiem co. Choćby miały kosztować następne sto dwadzieścia dolarów, to będą przemakać, możecie mi wierzyć.

ROZDZIAŁ CZWARTY  
*w którym jestem dzielna*

Pewnego przedpołudnia, jakiś tydzień przed wyjazdem do Włoch, wisiałam na brzegu wanny, usiłując za pomocą dostępnych mi narzędzi, głównie pilnika do paznokci i patyczka do szaszłyków, wyciągnąć z odpływu kłęby włosów. Ponieważ miałam zajęte tylko ręce, mogłam się spokojnie zastanawiać, skąd natychmiast wytrzasnąć kostium kąpielowy w stylu lat czterdziestych, żeby zakrywał jak najwięcej i żeby koniecznie miał białe grochy na czarnym tle, i nad tym, co zrobić na obiad, no i nad tym, że Mimi zrobiła sobie następny tatuaż, tym razem na brzuchu. W przerwach klęłam jak marynarz, bo wyciąganie obrzydliwych włosów przez kobietę uznałam za dotkliwą niesprawiedliwość społeczną.

Każdy normalny człowiek wezwałby hydraulika albo innego specja od zatkanych odpływów, ale przecież wiedziałam, że facet, który przyjdzie, nasypie tylko jakiegoś świństwa do rury, co zabije wszystkie stworzenia wodne w promieniu dziesięciu kilometrów, a przecież na włosy to i tak nie pomoże. Włosy rozkładają się po jakichś pięciuset latach, a ja nie mogłam tak długo czekać. Tego dnia miała przyjechać mama, byłam tym trochę zdenerwowana, praca

mi nie szła, a poprzedniego dnia nie mogłam się zmusić do wyjścia z domu. Zawsze byłam zdenerwowana, kiedy miało się zdarzyć coś niecodziennego. Przyjazd mamy był sprawą niecodzienną, odkąd przeprowadziła się na wieś, na farmę pełną bardziej lub mniej wyrosniętych indyków. Potrafi długo o nich opowiadać, a nawet twierdzi, że indyki są bardzo inteligentne, towarzyskie i miłe, a ja jestem wtedy lekko zazdrosna, bo podświadomie czuję, że indyki są moim przeciwieństwem.

Mama z Ianem zapraszają mnie oczywiście jedenaście razy w roku, a ja jedenaście razy w roku obiecuję, że przyjadę, jedenaście razy w roku nie przyjeżdżam i jest mi przykro z tego powodu co najmniej raz w tygodniu. Poza tym mam wrażenie, że Ian, jej mąż, nie lubi, kiedy ktoś ich odwiedza. Jest małomównym, samotniczym typem, jak każdy szkocki góral, przynajmniej w moich wyobrażeniach o szkockich góralach.

Być może mogłabym się zmusić do wyjazdu, gdyby ktoś zmusił mnie do spakowania się, zejścia po schodach, zamknięcia za sobą drzwi, czyli pozostawienia całego mojego świata na pastwę losu. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie rzeczy, które robiłabym całymi dniami z dala od mojej sypialni, kuchni, fotela, książek i innych rekwizytów, bez których codzienność traciła zupełnie sens.

Mniej więcej od trzydziestego piątego roku życia myślę o przeniesieniu się na wieś, do jakiejś dziury, gdzie nikt mnie nie zna i gdzie będę mogła zacząć wszystko od nowa, a gdzie

życie toczy się wolniej niż na wyspie Montreal. Często też myślę o wyniesieniu się do Francji albo do innego kraju, w którym jest mnóstwo pysznego jedzenia, a zima nie trwa dziewięć miesięcy. Gdy Mimi kiedyś się usamodzielni, to będę mogła zostawić za sobą całą przeszłość, uwolnić się od niej i żyć szczęśliwie, cicho i spokojnie po kres swoich dni, robiąc tylko to, na co mam ochotę.

Takie marzenia nachodzą mnie zwykle, kiedy pojawia się kilka problemów naraz – kłótnia z Mimi, brak pomysłów na przyszłość i kiepska pogoda. Siedzę wtedy przy stole, patrząc ponuro na płot sąsiada, i wyobrażam sobie łąkę przed moim przyszłym domem, ścieżkę prowadzącą nad jezioro oraz poranną kawę na werandzie oplecionej winobluszczem, w którym mieszkają ptaki i motyle.

Kiedy kłopoty mijają, myślę o greckich restauracjach, czerwcowym festiwalu sztucznych ogni na Wyspie Świętej Heleny, o Chinatown i targu przy Jean Talon, wyprawach do planetarium i o tym wszystkim, co kocham w moim mieście, i wszystkim, co mam na wyciągnięcie ręki. I o tym, że tak bardzo nie lubię zmian.

Uwielbiam, kiedy codziennie jest tak samo, kiedy nic nie burzy ustalonego rytuału. Dzień jest udany, jeśli wszystko przebiega zgodnie z planem – rano wyprawiam Mimi do szkoły czy gdzie tam idzie, potem robię szybkie porządki, o dziewiątej jem śniadanie i zabieram się do pracy, w przerwach na myślenie robiąc obiad. Potem Mimi wraca, je obiad albo nie je obiadu, wychodzi albo siedzi przed

telewizorem, albo nie wraca na obiad, i wtedy jestem sama aż do wieczora. Byłoby to całkiem fajne, gdyby nie to, że się wtedy martwię i robię sobie wyrzuty. Pomijając fakt, że jestem najbardziej wredną matką na świecie, to najlepiej czuję się sama ze sobą w starej bawełnianej bluzie, siedząc w mojej maleńkiej jadalni z widokiem na ogród, przerobionej na mój pokój do pracy, pijąc kawę. Na wielkim stole leżą równo ułożone czasopisma, a wszystko jest uporządkowane, posprzątane i na swoim miejscu, krzesła dosunięte do stołu, wytarte do sucha kubki i talerzyki poustawiane, dywaniki wytrzepane, drzwi wejściowe i te od ogrodu zamknięte na wszystkie zamki. Stół staje się ośrodkiem mojego wszechświata.

W każdy piątek przed południem robię zakupy - najpierw jadę na Plaza Côte des Neiges, choć nie wiem po co, bo rzadko coś tam kupuję. Zwykle oglądam jakieś ręczniki, czajniczki i inne bzdury, niepotrzebnie tracąc czas. Stamtąd skręcam w lewo do Outremont, gdzie przy Avenue Bernard jest Les 5 Saisons - najładniejszy sklep z jedzeniem w całej prowincji. Wszystko jest tam równiutko poukładane i bardziej kolorowe, nawet marchewki leżą wszystkie ułożone w jednym kierunku. Jest dużo ślicznych ciasteczek i serów z Francji, można kupić najmniejsze pieczarki na świecie no i przychodzą tam ludzie, którzy wyglądają na artystów. Zwykle kupuję tam tylko jakiś drobiazg, który ma obniżoną cenę, ale to i tak zaspokaja mój snobizm.

Stojąc wśród kobiet w perukach w kolejce po bajgle w koszernej piekarni, mogę obserwować chasydów, którzy

prowadzą głośne dysputy przed swoją synagogą, mrużąc krótkowzroczne oczy za grubymi szklami okularów. Czasem mijam ich na ulicy, idących szybko przed siebie i starannie omijających mnie wzrokiem. Mam wtedy wrażenie, że przeniosłam się w czasie i przestrzeni o sto lat i kilka tysięcy kilometrów.

W drodze powrotnej wstępuję do greckiego sklepu z owocami, potem do największego supermarketu w okolicy. Wracam do domu i zamykam drzwi. Najprzyjemniejszą częścią piątku jest wypakowywanie toreb z kupionymi rzeczami i układanie zakupów na miejsce. Właściwie to z perspektywy czasu piątki nie są takie złe...

Czasem zdarza się, że Mimi jest chora albo ma wolne, wtedy cały dzień jest nie taki, jak trzeba. Snuję się wówczas po domu jak mgła na łące, nie mogąc się na niczym skupić, wszystko mnie denerwuje, a przygotowanie obiadu przeradza się w proces długi i żmudny jak produkcja parmezanu.

Tak więc tego dnia nie wszystko toczyło się jak codziennie i był to wystarczający powód do bólu żołądka, a poza tym zaczynało mnie mdlić, bo włosy w odpływie wanny są naprawdę obrzydliwe. Zadzwonił telefon i jak zwykle wpadłam w panikę. Nienawidzę telefonów. Kiedy dzwoni telefon, podskakuję pod sufit na jego dźwięk. Zwykle przed południem dzwonią do mnie ludzie od telemarketingu, których zbywam najszybciej, jak mogę, normalni ludzie dzwonią wczesnym wieczorem. Najchętniej wyłączyłabym

telefon, ale boję się konsekwencji, bo na przykład może zadzwonić mama z pytaniem, co u mnie, i jeśli nikt nie odbierze, to pomyśli, że stało się coś strasznego. Może zadzwonić Ian, mąż mamy z informacją, że miała wylew i chce mnie zobaczyć ostatni raz. Może zadzwonić policja z wiadomością, że Mimi została aresztowana za włóczęgostwo. Wreszcie może zadzwonić jakiś facet i powiedzieć, że widział mnie kiedyś w sklepie albo gdzieś, nie może o mnie zapomnieć i jestem prawdopodobnie kobietą jego życia. Tę ostatnią możliwość zwykle odrzucam najszybciej, bo facet i tak prędzej czy później okaże się zboczeńcem, tyranem albo naciągaczem, który będzie brał ode mnie pieniądze i wydawał je na dziwki.

Po sześciu dzwonekch wytarłam ręce i ze ściśniętym gardłem podniosłam słuchawkę.

- Cześć, mówi Mary Ann z Royal Bank. Nie wiem, czy mnie pamiętasz, spotkałyśmy się kilka razy u Alicji. Na imprezie.

„Mary Ann? Kto to, u diabła, jest?” - zastanawiałam się gorączkowo przez chwilę, gdy tymczasem po drugiej stronie kabla jakaś tajemnicza Mary Ann czekała na moją reakcję. Wreszcie zlitowała się nade mną:

- Pracuję z Alicją...

- Ach, Mary Ann, oczywiście, że cię pamiętam... - powiedziałam z szalonym entuzjazmem w głosie, mgliście przypominając sobie drobną dziewczynę, która zapytana o opinię na temat wojny w byłej Jugosławii odpowiedziała, że

nie wie, co to jest Jugosławia i że widziała śliczne tapety i myśli o zmianie wystroju swojej sypialni. Mówiła z tak wyraźnym brytyjskim akcentem, że ledwo ją rozumiałam.

- Przepraszam, że cię niepokoję, ale nie wiem, co robić...  
- Znowu zapadła cisza, a ja bałam się zapytać, o co chodzi, bo przeszło mi przez myśl, że jej dom się spalił i chce u mnie zamieszkać albo dzwoni, bo mam jej doradzić w sprawie tych nowych tapet. Wybrałam tę pierwszą możliwość i przygotowana na najgorsze, nabrałam powietrza, gdy tymczasem mój żołądek domagał się natychmiastowej pomocy.

- Otóż Alicji drugi dzień nie ma w pracy. Nie wiemy, co się stało, bo nikogo nie zawiadomiła, a telefon nie odpowiada. Znalazłam twój numer w jej terminarzu i... postanowiłam zadzwonić, bo może ty coś wiesz.

- Bardzo dobrze, że zadzwoniłaś, ale... - Alicja od dwóch dni nie dawała znaku życia! Alicja, która w pracy była zawsze, nawet kiedy rozsiewała zarazki grypy, dziesiątkując personel banku. Alicja, która nawet idąc do toalety, mówiła sekretarce, gdzie ją można znaleźć. Alicja, najsolidniejsza z solidnych, nie zawiadomiła przełożonych o przyczynach nieobecności. Czyli albo zamordował ją jakiś włamywacz, albo uderzyła się w głowę i leży z amnezją w szpitalu, albo została porwana dla okupu, albo stało się coś jeszcze gorszego, bo nawet gdyby dostała wielomilionowy spadek, to i tak poszłaby do pracy.

Nie chciałam wtajemniczać Mary Ann w swoje obawy, bo



powiększyłaby grono osób, które uważają mnie za porąbaną neurotyczkę, więc powiedziałam tylko, że zadzwonię do niej, jak się czegoś dowiem, zapisałam numer i się rozłączyłam. Stałam i klepiąc się słuchawką po policzku, myślałam co zrobić – zadzwonić do Jill, samej jechać do mieszkania Alicji czy dzwonić najpierw do szpitala i na policję. Jeśli zadzwonię na policję, to Alicja może mieć do mnie pretensje, kiedy się już znajdzie. Jill niczego nie wymyśli, a będę tracić czas na tłumaczenie jej tego, czego sama nie wiedziałam. Postanowiłam jechać, klnąc nie tylko w duchu zbiegi okoliczności i brak czasu.

Alicja mieszka w starym wieżowcu, w którym lokale kosztują majątek. W korytarzach leżą grube chodniki, winda przypomina nowoczesną lodówkę, płytki, którymi wyłożony jest hol, wyglądają jak prawdziwy marmur, a w podziemiach jest śmierdzący chlorem basen. Nie bywam tu często, bo Alicja na szczęście rzadko organizuje imprezki, a jedynie szansa na darmowe żarcie jest w stanie wyciągnąć mnie z domu.

Czatowałam przy drzwiach wejściowych chyba z dziesięć minut, nie chcąc dzwonić i płoszyć zabójcy. Zerkiałam co chwilę podejrzliwie wokół siebie, zastanawiając się, czy jednak zadzwonić, czy poczekać, aż ktoś wezwie policję, co zważywszy na mój wygląd, byłoby w pełni uzasadnione. Następną myślą było, że nie mam przy sobie żadnych dokumentów, bo zapomniałam prawa jazdy, i jeśli mnie zatrzymają, to po pierwsze mama zostanie pusty dom, a po drugie nie będzie miał kto ratować Alicji. Na szczęście zjawił

się listonosz, który obejrzał mnie dokładnie, jakby chciał zapamiętać jak najwięcej szczegółów do portretu pamięciowego.

Sapiąc jak początkujący maratończyk, weszłam na trzecie piętro po schodach, bo nawet taka wyjątkowa sytuacja nie mogła mnie zmusić, bym wsiadła do windy. Przez chwilę uspokajałam oddech, żeby nie dyszeć pod drzwiami, i zaczęłam się skradać pod ścianą najciszej, jak umiałam, błogosławiąc zboczone gusty właścicieli, którzy nie zważając na alergię, położyli te chodniki w korytarzach. Było cicho, słyszałam tylko daleki odgłos policyjnej syreny, niezidentyfikowane brzęki dobiegające gdzieś z niższych pięter i tłuczenie mojego serca. W powietrzu snuł się zapach Cerutti 1881 i kurczaka chow mein.

Wstrzymałam oddech i przyłożyłam ucho do drzwi. Nic, ani szmeru. Pomyślałam, że morderca pewnie zdążył już dawno wyjść, zostawiając zwłoki Alicji na pastwę rozkładu. Powoli sięgnęłam do klamki i nagle usłyszałam straszny dźwięk, jakby ktoś się dusił albo był duszony. Z wrażenia uderzyłam głową w drzwi i cofnęłam się gwałtownie. Nie wiedziałam, co robić, czy dzwonić na policję, czy zacząć od razu wzywać na pomoc sąsiadów, ale nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy - po prostu odruchowo przekręciłam gałkę. Drzwi były zamknięte, ale stało się coś jeszcze gorszego: zza drzwi dobiegł mnie zachrypnięty głos wrzeszczący: „Spadaj, gnoju, spaaadaj!”, i w dodatku głos ten niewątpliwie należał do Alicji. Stałam przez chwilę nieruchomo, zastanawiając się nad taktyką, w końcu zapukałam delikatnie.

- Alicja, to ja - powiedziałam cicho tonem, jakim powinno się mówić do ludzi stojących na balustradach mostów.

Najpierw było cicho, potem usłyszałam, jak ktoś wlecze coś po podłodze, w końcu coś rąbnęło w drzwi od wewnętrznej strony.

- Spadaj, co za ja? - Agresja w głosie Alicji była czymś tak niezwykłym, że odjęło mi mowę i zachciało mi się płakać. Myślałam przez chwilę nad odpowiedzią, ale nie wymyśliłam nic poza podaniem swojego imienia. Alicja pewnie też nic nie wymyśliła, bo zamilkła i zdawało mi się, że słyszę jej sapanie. Tkwiłam jak debil na korytarzu, prawie nie oddychając, z uchem przytkniętym do antywłamaniowych drzwi i sytuacja mnie przerastała.

- Alicja? Wpuść mnie... - Cisza. Wiedziałam, że muszę użyć racjonalnych argumentów, a jedyne wzorce, jakie miałam, pochodziły z filmu *Negocjator*. W negocjacjach jestem beznadziejna, o czym przekonuję sięomalże codziennie, próbując załatwić coś z Mimi. Pomyślałam, że umrę tu na niedotlenienie mózgu, bo ciągle wstrzymywałam oddech, starając się usłyszeć coś zza zamkniętych drzwi, a jedyne, co mi przychodziło do głowy, to była piosenka *Don't Worry, Be Happy*.

Zapukałam znowu cichutko.

- Alicja, wpuść mnie. Albo chociaż powiedz, co się stało.

Cisza.

- Martwię się o ciebie. W pracy też się martwię. Alicja,

wpuść mnie. Powiedz, co się stało...

Coś klapnęło w drzwi, a potem usłyszałam szelest, jakby oparta o drzwi Alicja osuwała się na podłogę. Pomyślałam, że zemdląca, i zaczęłam ruszać gałką.

- Alicja, otwórz, cholera! - wrzasnęłam spanikowana.

- Sspadaj, Alex - powiedział spokojnie głos Alicji gdzieś z poziomu moich kolan. - Martw się gdzie indziej, cholera. Jestem chora i potrzebuję... tego, no, ssspokoju.

Zamurowało mnie, a po chwili dotarła do mnie straszna prawda. Alicja była zalana. W pestkę. Jak za starych dobrych czasów.

- Proszę, otwórz - kucnęłam przy drzwiach i pukając cichutko, przywołałam resztki cierpliwości, żeby Alicji nie rozgniewać, nie rozdrażnić ani nie obrazić.

- No, o co pro-sisz? - czknęła Alicja. - Żeby stara, głupia Alicja była grze-czna? No? Tak, o to? I jeszcze brzydka do tego? I gru-ba?

Niedobrze. Alicja była nie tylko zalana, nie tylko załamana, ale jeszcze dostała czkawki, jak zawsze, kiedy się upiła. W tej sytuacji jej niska samoocena doszła do głosu w całej swojej parszywej głębi.

- Nie jesteś gruba ani nie jesteś głupia, a już na pewno nie stara - syczałam słodko pod drzwiami, czując, jak drętwieją mi nogi. - Jesteś dobra i kochana, proszę, wpuść mnie.

- Do-bra i co? Kochana? Jasne, głupia, dobra Alicja, pocieszy, posprząta, wszystko, wszystko, tylko własne popieprzone życie, jaka głupia, jaka głupia.

Nie wiedziałam, czy płacze, czy się śmieje, a już zupełnie nie wiedziałam, co dalej. Wyglądało na to, że Alicja ma jakieś załamanie nerwowe, a to było zupełnie niepojęte i nie na miejscu. Była zawsze opanowana i rozsądna, potrafiła mnie wydobyć z otchłani rozpacz, upiec ciasto, każdy problem był dla niej rozwiązywalny jak równanie matematyczne i potrafiła nawet rozmawiać z Mimi. Taka jest Alicja - wspaniała, cudowna i kochana, a my tego nie doceniamy, aż w końcu przychodzi czas, kiedy jest za późno. Skarciłam się w myśli za te mowy pogrzebowe, usiadłam na progu i oparta plecami o drzwi próbowałam zastanowić się nad tym, co się mogło stać. Po pierwsze to musiało być coś okropnego, bo byle drobiazg nie doprowadziłby Alicji do takiego stanu. Po drugie to coś okropnego musiało się zdarzyć w ciągu ostatnich kilku dni, bo rozmawiałam z nią przez telefon i poza tym, że była smutna z powodu tego swojego beznadziejnego Marka, to była normalna, i nawet próbowała się cieszyć z wyjazdu, choć ciągle się wahała.

Nie straciła majątku w wyniku krachu na giełdzie, bo nie słyszałam o żadnym krachu, a poza tym ona nie miała majątku. I nie grała na giełdzie. Próbowałam pomyśleć, co mnie doprowadziłoby do rozpacz, ale przecież mnie wszystko doprowadzało do rozpacz, wszystko, co odbiegało od ustalonej przeze mnie normy. Więc co mogło być powodem rozpacz u normalnych, zwykle zrównoważonych i

racjonalnie myślących kobiet? Alicja była okazem zdrowia, przynajmniej dwa dni temu, a w tym czasie nie robiła badań. Odkryła podejrzany guzek? Przybiegłaby z tym do mnie, a poza tym wie, że współczesna medycyna poradzi sobie z wczesnie wykrytym rakiem.

Śmierć kogoś bliskiego – sto punktów w skali stresu, tak, to powaliłoby nawet Alicję. Jej rodzice żyją, bo dzisiaj rano widziałam przez okno jej ojca, który nie wyglądał na wdowca. Mark na pewno nie zdążył jeszcze umrzeć, choć mógłby jej wyświadczyć tę przysługę. Dziecko... Dziecko! Była w ciąży i straciła dziecko! Boże, ona jeszcze sobie coś zrobi! Na czworakach rzuciłam się na drzwi jak zwierzę i łupnęłam w nie pięścią.

- Otwieraj! – wrzasnęłam.

- Auć, to boli – powiedziała spokojnie zza drzwi. - Nie rąb tak, bo mi odbijesz nerki. O, czkawka mi przeszła.

Z nadzieją wpatrywałam się w drzwi, ale zamiast odgłosu otwieranego zamka usłyszałam jakieś szumy, szelesty i sapanie, szybkie kroki i trzaśnięcie drzwiami, a potem przytłumione odgłosy duszenia, takie same, jakie słyszałam zaraz po przyjściu. Alicja rzygała – jej zwykła reakcja na nadmiar alkoholu. Wyglądało na to, że wszystko wraca do normy.

Podskoczyłam przestraszona, bo obok ktoś przekręcał klucz w zamku. Spojrzałam w tamtą stronę z pozycji siedzącego psa i uśmiechnęłam się szeroko do starszej kobiety, która patrzyła na mnie z przerażeniem.

- Zgubiłam... szkło kontaktowe - powiedziałam trochę za głośno i przesunęłam ręką po chodniku.

Kobieta mruknęła coś niewyraźnie i niemal ocierając się o przeciwległą ścianę, szybko poszła w stronę windy. Obejrzała się jeszcze, spojrzaliśmy na siebie - ona badawczo, ja z nadzieją, że nie wezwie policji.

Kiedy drzwi windy się zasunęły, wstałam wreszcie z kolan.

- Alicja, jesteś tam? - spytałam najgłośniejszym szeptem, na jaki było mnie stać. - Alicja, tak strasznie mi przykro z powodu dziecka, tak strasznie mi...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadłam na straszdyło w zielonej bluzie.

- Popieprzyło cię? Jakiego dziecka? - To była niewątpliwie Alicja, która śmierdziała jak ścieki z gorzelnii, a wyglądała jak zombi, nie całkiem jeszcze trzeźwa, ale już prawie przytomna. - Źle się dziś czuję, więc się szcieszczaj... sstrzeszczaj.

Nadal zachowywała się agresywnie, ale ponieważ byłam już po właściwej stronie drzwi, postanowiłam walczyć. Zaczęłam od próby przytulenia jej, lecz odepchnęła mnie z obrzydzeniem, jakbym to ja waliła od dwóch dni jacka danielsa, nie trzeźwiejąc nawet na tyle, żeby umyć zęby.

- Skąd wiesz, że to daniels? - spytała przebiegle, przekrzywiając głowę i opierając się policzkiem o ścianę.

Omiotłam wzrokiem najbliższe otoczenie, wypatrując oznak katastrof, tajfunów albo trzęsień ziemi, ale nie

dostrzegłam nic podejrzanego, poza kilkoma pustymi szklankami na podłodze, parą czarnych rajstop w okolicach telewizora, lekkim smrodkiem potu i dawno niewyrzucanych śmieci.

- Dziewczyno, na miłość boską, trzeba mi było powiedzieć, a nie zniknąć na dwa dni i jeszcze... no, nie dawać znaku życia... - powoli traciłam concept. - Chciałam powiedzieć, nie otwierać mi drzwi, stałam na tym korytarzu jak jakiś żebrak. Dobrze się czujesz?

- Nie może być lepiej. I tylko mi nie mów, co mam robić - pomachała mi przed nosem palcem i zatoczyła się do kuchni.

- Posłuchaj, tak mi przykro - poszłam za nią i stanęłam w drzwiach. - Jeśli jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić... Powinnaś teraz odpoczywać... Posłuchaj, na pewno wszystko będzie dobrze, to się nieraz zdarza, a potem kobiety mają jeszcze dzieci - plątałam się, nie wiedząc, jak zareaguje, i bojąc się pytać o cokolwiek.

Zmarszczyła czoło, zastanawiając się głęboko nad tym, co powiedziałam.

- Myślałaś, że jestem w ciąży? - spytała z szerokim uśmiechem, który nie wróżył nic dobrego. Jej inteligencja była zatrważająca.

Przytaknęłam niepewnie, wiedząc już, że się parszywie pomyliłam.

- Czy ty już kompletnie zwariowałaś?! Czy ciebie już całkiem popieprzyło?! Kto ci naopowiadał takich bzdur?



Myślisz, że jak sobie coś ubzdurasz w tym swoim neurotycznym mózgu, to zaraz tak jest naprawdę? Wymyślasz najgorsze nieszczęścia dla siebie i jeszcze dla innych, do diabła?! Co ty myślisz, że jesteś jakimś pieprzonym autorem horrorów?! – stała na środku kuchni, podpierając się jedną ręką o blat szafek, a drugą wymachując w moją stronę i wrzeszcząc głośniejsz niż kiedykolwiek, a ja kuliłam ramiona ze strachu. Chciałam jej powiedzieć, że zaimponowała mi „neurotycznym mózgiem”, bo ja bym tego nie wymyśliła na poczekaniu.

– Myślałaś, że jak przez jeden pieprzony dzień nie pójde do pracy, to tylko z powodu... z takiego powodu? – wzięła głęboki oddech i podrapała się w czubek głowy. – Nie jestem pieprzonym robotem, Alex, ja też mam uczucia. I jeśli chcesz wiedzieć, to żeby być w ciąży, najpierw trzeba się pieprzyć, a ja nie miałam faceta od półtora pieprzonego, kurwa, roku!

Zastygła na chwilę, patrząc z uwagą na moje stare dzinsy z rozdarciami na kolanie, i wyglądała na zadowoloną ze swojej przemowy, pewnie zbierając siły przed następną.

– Co ty masz, kurwa, na sobie? – wskazała oskarżycielsko na moje nogi. – A co to, ja nie mogę sobie zrobić wolnego? Od dwudziestu lat zapieprzam jak jakiś organista i nikt nawet nie powie: „Może byś trochę odpoczęła, może raz w życiu zrobisz sobie wolne od wszystkiego i może raz w pieprzonym życiu będziesz robić to, na co masz ochotę, bo należy ci się to, kochana”. I tak właśnie zrobiłam, i pieprzę wszystko, rozumiesz?!

Pomyślałam, że nie rozumiem, bo jak na damę użyła zbyt wielu niecenzuralnych słów, ale po pierwsze nie chciałam jej drażnić, a po drugie nareszcie zaczęła płakać, dzięki czemu wiedziałam, co robić dalej. Teraz już pozwoliła się przytulić i zaprowadzić na wygodną kanapę. Głaskałam ją po tłustych włosach, a biedactwo z twarzą wtuloną w moją szyję, kapiąc łzami i śliną, wyło i zawodziło przez dziesięć minut, w czasie których zastanawiałam się, jak wydobyć z niej zeznania. Zanim ułożyłam sobie w głowie pierwsze pytanie, Alicja wydała z siebie potężne westchnienie.

- Nie będę już płakać przez tego sukinsyna. Nie jest tego wart - oświadczyła z wielką pewnością siebie, sięgając po paczkę chusteczek. - Muszę to sobie wszystko uporządkować i dojdę do siebie, zrób mi tylko herbatę.

Począpała za mną do kuchni z zaciętą miną, skrzywiła się na widok niedojedzonej kanapki ze zwiędłą sałatą i usiadła na podłodze obok lodówki. Nie odzywałam się, udając wielkie zaangażowanie we wkładanie torebki z herbatą do czajniczka.

- Wczoraj, nie, przedwczoraj wracałam do domu i zobaczyłam go z jakąś panienką. Nie, jeszcze chwilę nie nalewaj, niech się lepiej zaparzy. Wiesz, taka potargana lalka Barbie dla ubogich, mały tyłek, chudy pysk i jeszcze do tego tleniona.

Znaczy zupełne przeciwieństwo Alicji.

- I wiesz co? Był chory jak diabli. Mało nie wyskoczył ze spodni - klepnęła się dłonią w czoło. - A ja idiotka martwiłam

się o niego, czekałam na telefon, wydzwaniałam, pytałam, jak się czuje, czy czegoś nie potrzebuje - pokręciła głową z niedowierzaniem, zapatrzona w wiszący na ścianie radosny obrazek z gąskami na wiejskiej drodze.

Podaliśmy jej filiżankę z herbatą i usiadłam obok, nie patrząc na nią.

- Nie wiem, co mi odbiło, ale wysiadłam z autobusu i dorwałam go. Powiedziałam mu tylko, żeby mi się więcej nie pokazywał, bo jak się znajdzie w moim zasięgu, to urwę mu jaja. On na to, że się wyrażam jak ulicznica! Jak ulicznica, wyobrażasz sobie? - głos Alicji wszedł na wyższy ton. - Ja! A ta mała cipa stała obok i się głupio uśmiechała. Jezu, myślałam, że mnie rozerwie! Nie, poczekaj! Powiedział, że zachowuję się jak dziwka, wyobrażasz sobie? Powiedziałam do niej, że jej pysk nie nadaje się nawet do tego, żeby w niego nasrać, on na to, że bym się uspokoiła i nie robiła skandalu, czy scen, takie tam duperele, żebyśmy porozmawiali jak dorośli ludzie, że chciał mi wyjaśnić... już sama nie wiem, co jeszcze gadał, bo powiedziałam mu, że jest najgorszym ścierwem i mam nadzieję, że zdechnie. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, Alex, naprawdę... Po prostu musiałam mówić to wszystko.

Alicja westchnęła ciężko i zaczęła obgryzać paznokcieć.

- Złamał się - powiedziała z głębokim smutkiem, patrząc na swój palec. - Żeby chociaż próbował coś załagodzić, okłamać mnie, że to jakaś kuzynka, nie wiem, jakaś ciotka, pielęgniarzka... Co ja gadam, przecież trzymał ją za tyłek!

Wróciła do obgryzania złamanego paznokcia, ale zaraz popatrzyła na mnie z wielką uwagą, jakby zobaczyła mnie pierwszy raz w życiu.

- A najgorsze jest to, że świetnie się czułam, wrzeszcząc na ulicy. To znaczy na niego, wiesz. Nawet nie wiem, czy ktoś się gapił, czy ktoś znajomy mnie widział, naprawdę miałam to gdzieś, jakbym grała w filmie...

Nie potrafiłam sobie wyobrazić tej ulicznej sceny z Alicją w roli głównej, nie z Alicją miotającą przekleństwa w miejscu publicznym; wokół przechodnie, przedwieczorny zapach rozgrzanych murów, spalin i chińskiego żarcia. Próbowałam sobie wyobrazić siebie w takiej sytuacji, ale też nie potrafiłam, więc przesunęłam się, żeby ją widzieć. Miała czerwone, podpuchnięte oczy, palcem trzymała lekko drgającą górną powiekę, ale wyglądała na pogodzoną z losem.

- Zabrał mi godność, Alex, zabrał mi godność - wyszeptała dramatycznie. - Nienawidzę go za to. I wstydzę się za siebie, że byłam taka głupia. Nie mógł się rozstać jak normalny facet, tylko musiał wymyślać jakieś historie, pomyśl, co on ma zamiast mózgu? Co chciał, żebym się ucieszyła że nie umrze, tylko zamiast tego ma jakąś dziwkę na boku? Wiesz, naprawdę mam nadzieję, że szlag go trafi.

- Alicja, to jakiś koszmar - powiedziałam współczująco.

Westchnęła ciężko z miną co-ty-wiesz-o-koszmarach i odstawiła filiżankę na podłogę.

- I do dalej? - spytałam, jak zwykle nie znajdując sposobu, by ją pocieszyć.

- Powieka mi drga - stwierdziła smutno. - Nie wiem, co dalej. Wiesz, muszę jakoś żyć...

- Jasne, ale co było potem?

- Nie wiem. Chyba poszłam do domu. Szłam i szłam, potem wsiadłam do autobusu, potem wyłączyłam telefon i postanowiłam się upić, żeby nie myśleć. Ale wiesz co, z ciebie to jednak idiotka - zaatakowała mnie niespodziewanie.

Poklepałam ją pojednawczo po kolanie, nie mając pojęcia, o czym mówi. Ale pewnie o tym, że przecież tysiące razy wspominała, że nigdy nie zajdzie w ciążę, jeśli Mark nie będzie się z nią kochał. Biedna Alicja, obejrzała tyle filmów, a nie potrafiła rozpoznać kryzysu we własnym związku.

- Takie zero, takie nic - pokręciła głową z niedowierzaniem.

Nie bardzo za nią nadażałam, ale założyłam, że mówi o blond chudzielcu u boku Marka. Przeszło mi przez myśl, że dziewczyna może być wybitną specjalistką w dziedzinie rozmnażania jamochłonów albo fizykiem molekularnym, ale Alicja lepiej ją znała, więc uznałam, że nazwanie jej zerem odpowiada prawdzie.

Zapadła cisza, Alicja z ogromnym zaangażowaniem dalej obgryzała złamany paznokiec, a ja nie wiedziałam, co mogłabym jeszcze powiedzieć.

- Chcesz jechać do mnie? - spytałam, kiedy dotarło do

mnie, że muszę pędzić do domu.

- Są gorsze nieszczęścia - stwierdziła i zaczęła się podnosić. - Dam sobie radę. Zadzwońię do pracy, tylko coś wymyślę.

- Ale jedziesz z nami, prawda? - przypomniałam sobie, że mamy w perspektywie wakacje życia.

- Oczywiście, tylko wytrzeźwieję.

•

Jill tłumaczyła coś Alicji, gestykulując i obiegając ją wkoło jak mały owad w swoim czarnym kostiumie z żółtymi lamówkami, a Alicja stała nieporuszona niczym rozebrany pomnik królowej Wiktorii. Niedaleko nich jakiś starszy mężczyzna walczył o utrzymanie równowagi na desce z żaglem. Każda większa fala sprawiała, że tracił równowagę, wpadał do wody i znów się wspinał, przez chwilę walczył z żaglem i znów lądował w wodzie. Żagiel był w czerwono-niebieskie pasy i wyglądał bardzo malowniczo na tle ciemnych wzgórz wrzynających się w morze.

„...wszystko, absolutnie... i tylko się zastanowić... bez skrupułów... zobaczysz...” - dobiegały mnie oderwane słowa Jill, tłumaczącej Alicji-z-zaciętą-miną tajemnice wszechświata. I nagle się zdecydowałam. Podniosłam się i podbiegłam do nich, nie zważając na tłuszc trzęsący się na moich udach, nie zważając na ich zdziwione spojrzenia, nie zważając nawet na kostium wrzynający mi się w tyłek.

- Jedziemy stąd, natychmiast! - wykrzyknęłam z mocą jak

Joanna d'Arc do swoich rycerzy, czując, jak wzbiera we mnie awanturnicza chęć przemierzania oceanów i pustyń, walki z nieprzyjazną naturą i szukania skarbów w zatopionych wrakach, wprawiając Alicję i Jill w osłupienie, wprawiając samą siebie w osłupienie, bo nie to chciałam im powiedzieć. Chciałam im powiedzieć, że Jill ma rację, bo możemy decydować o sobie, nie tylko teraz, ale zawsze i do diabła, nie wiemy, ile czasu nam zostało, i że w końcu trzeba coś zrobić ze swoim życiem, bo nikt tego za nas nie zrobi. Nie powiedziałam im tego wszystkiego, bo nie było na to czasu, bo w każdej chwili mogły wyleźć moje uśpione na kilka minut fobie i cały projekt zostałby odłożony na jakiś bardzo, bardzo odległy termin.

Alicja w obronnym geście złożyła ręce jak do modlitwy, a Jill złapała mnie za ramię.

- Co się stało? - spytała, rozglądając się wokół, jakby zbliżał się do nas potwór.

- Nic się nie stało, po prostu jedziemy stąd - odpowiedziałam najradośniej, jak potrafiłam.

- Dopiero przyjechałyśmy, nie mam zamiaru jeszcze wracać - zbuntowała się Jill.

- Nie wracamy, tylko jedziemy do Monaco. Byłyście kiedyś w Monte Carlo?

Alicja pokręciła głową, marszcząc brwi, a Jill popatrzyła na mnie niepewnie.

- Ja też nie! - wykrzyknęłam entuzjastycznie.

- Nie mamy na to forsy - odezwała się jak zawsze rozsądnie Alicja. - Chcesz tam grać czy zebrać pod kasynem?

- Ani jedno, ani drugie. Chcę zobaczyć, jak to wygląda, i potem wszystkim opowiedzieć, że byłam w Monte i grałam w ruletkę jak James Bond.

- Przecież przed chwilą powiedziałaś, że nie masz zamiaru tam grać - przypomniała mi Alicja tonem mamy.

- Bo nie mam - powiedziałam niefrasobliwie. - Ale zawsze będę mogła powiedzieć, że grałam...

- Jak James Bond - przerwała mi Jill ironicznie. - Nic z tego. Nie mam ciuchów na Monte Carlo.

- To jadę sama - powiedziałam zdecydowanie, myśląc o tym, że już nie chce mi się nigdzie jechać.

- Nigdzie nie pojedziesz - zdecydowała Alicja. - A już na pewno nie sama.

- A z kim mam jechać, skoro wy nie chcecie? - spytałam z resztką buntu w głosie i myśląc, jakie są wstrętne i bez wyobraźni. - Jesteście wstrętne i bez wyobraźni. Dopiero co mówiłaś o spełnianiu marzeń, a teraz „nie mam ciuchów”. Przecież to blisko! Ludzie wędrują na koniec świata, a wy nie chcecie jechać do głupiego Monte Carlo, na jeden głupi dzień.

Alicja omiotła spojrzeniem horyzont, a Jill gapiała się na mnie z uciechą jak psiak merdający ogonem. Postanowiłam, że się na nie obrażę, i wróciłam na ręcznik, czując, jak moja odwaga robi się malutka, aż wreszcie znika zupełnie. Nie



miałam pojęcia, dlaczego tak mi odbiło i skąd przyszedł mi do głowy głupi pomysł wycieczki krajoznawczej. Chciałam tylko znów być w domu, czytać Terry'ego Pratchetta i oglądać programy kulinarne w telewizji, leżąc pod kocykiem na znienawidzonej kanapie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### *w którym dostajemy sprzeczne informacje na temat orgazmu*

Rano budziłam się pierwsza. Na zewnątrz panował jeszcze półmrok, a ja nie chciałam wiedzieć, która godzina, ponieważ postanowiłam choć przez kilka dni wakacji żyć w zgodzie z naturą, cokolwiek miało to znaczyć. Wymykałam się na spacer, a zaraz po moim powrocie zrywała się Jill. Alicja leżała i udawała, że śpi, w każdym razie nie dawała nam odczuć, że przeszkadzają jej nasze chichoty w łazience. Nie chciało mi się malować, nie chciało mi się wyszukiwać w walizce koszulki, która będzie kolorystycznie pasować do szortów, nie chciało mi się nawet zakładać butów, ale byłam na wakacjach, więc choć trochę trzeba było się dostosować do konwenansów. Poza tym nienawidziłam nieładu, który pojawił się w moim bagażu, miałam nieodpartą ochotę zrobić pranie i poukładać wszystko na półkach – osobno koszulki, osobno jedyny sweter, osobno dwie pary spodni i tak dalej, ale w naszym pokoju było tylko kilka wieszaków przy drzwiach, mała szafa i trzy szafeczki przy trzech łóżkach, a to wszystko w kolorze pistacjowej zieleni.

Tymczasem staranie umalowana i uczesana Jill dmuchała

delikatnie Alicji w ucho i mierzwiła jej włosy, Alicja udawała że się budzi, a ja, klaszcząc w dłonie, radosnym głosem, jaki miałyby pewnie lalka Barbie, gdyby umiała mówić, zawiadaniałam, że czas iść na śniadanie. Jill zbiegała ze schodów, stukając obcasami, wlewała w siebie sok pomarańczowy, wciskała w usta francuskiego rogalika i znikła w drzwiach. Wtedy Alicja dostojnie schodziła ze schodów, patrząc uważnie pod nogi. Pozdrowiała kelnerkę skinieniem głowy, przy maszynie z kawą i gorącą wodą robiła sobie herbatę\*, kładła serwetkę na kolanach i przystępowała do starannego smarowania grzanki masłem, następnie umieszczała na niej plasterek wędliny, kładła to na talerzu i przez chwilę przyglądała się ponuro swojemu dziełu, potem wstawiała i brała z bufetu kilka owoców i jogurt.

Zostawiałam ją nad tymi owocami, wymuszając obietnicę, że za godzinę pójdziemy na plażę, i wychodziłam na krótki spacer, próbując spalić choć część kalorii pochłoniętych przy śniadaniu. Kiedy po kilkunastu minutach wracałam do pokoju, Alicja znów udawała głęboki sen. Brałam więc ręcznik i szłam na plażę, z której wyganiało mnie lekkie ssanie w żołądku. Alicji nie było w pokoju, więc rozpoczynałam wędrówkę po głównej ulicy, oglądając ciągle te same wystawy sklepowe i kupując kawałek ohydnej pizzy w tym samym sklepie.

Znów wracałam do hotelu, znowu brałam ręcznik i szłam na plażę, gdzie leżałam jak zwłoki w ubraniu i nie chciało mi się nawet obserwować pływających na horyzoncie statków. Znajdowała mnie tam Alicja, która jak gdyby nigdy nic

rozkładała swój ręcznik obok mojego i razem w milczeniu patrzyliśmy na przechodzących ludzi, przepływające żaglówki i coraz dłuższe cienie. Jill przybiegała kiedy słońce robiło się czerwone, sadowała się na moim ręczniku i paplała o niczym, a to wyganiało nas na kolację, którą zwykle jadliśmy w małych pizzeriach i trattoriach. Po kolacji szliśmy na spacer i śmiertelnie zmęczone dniem pełnym wakacyjnych atrakcji szliśmy spać.

Kiedy zaczęłam się przyzwyczajać do codzienności, czyli lenistwa, plażowej nudy i zabijania wyrzutów sumienia przymusem wypoczynku, i zanim zaczęłam się zastanawiać nad kupieniem tu domu i planować tu emeryturę, trzeba było przerwać rutynę, by wypełnić jeszcze jeden wakacyjny obowiązek - coś zwiedzić.

•

Do Monte Carlo pojechałyśmy wcześniej rano, trzy dni po tym, jak wpadłam na ten głupi pomysł, i po jednodniowych naradach Sztabu Generalnego, którym przewodniczyła Alicja, wspierana przez swojego dzielnego adiutanta Jill. Wcześniej wszystko zostało przemyślane, przemnożone, przeanalizowane i spisane na papierowych serwetkach w czasie jednego ze śniadań. Ja, tylko dlatego że byłam kiedyś w Europie, zostałam powołana na stanowisko eksperta do spraw geograficzno-językowych, służąc pomocą w rozwiązywaniu problemów związanych z odległością, kierunkiem, topografią terenu i czasem akcji. Mój brak zapachu nie udzielał się im zbyt, bo Jill odkryła w bagażach jakieś ciuchy, które mogły spełnić swoje zadanie w

zarezerwowanych dla elit tego świata enklawach luksusu, a Alicja stwierdziła po namyśle, że skoro jesteśmy tak blisko, to może rzeczywiście. Następnie skorygowała nasz budżet z powagą ministra finansów państwa z wielką dziurą budżetową i znalazła potrzebne fundusze, upierając się tylko przy wynajęciu najtańszego samochodu, a nie mercedesa cabrio s coś tam, model z roku 1992, na co nieśmiało nalegała Jill. Prawdę mówiąc, słodka Italia okazała się dużo droższa, niż się spodziewaliśmy.

- Nie będziemy tam jeść w restauracji, musimy kupić jedzenie w normalnym sklepie - oznajmiła stanowczo Alicja przy kolacji w małej knajpce ze ścianami ozdobionymi widokami morza w różnych pozach, sieciami rybackimi i zaplątanymi w te sieci wyschniętymi zwłokami rozgwiad. - Jasne?

- Tak jest, generale - pochyliłam głowę nad talerzem z ravioli w strasznie kwaśnym sosie pomidorowym. - I nie będziemy rozmawiać z nieznajomymi.

- Och, przestań, to przecież był twój pomysł - zdenerwowała się Alicja, patrząc na mnie, jakbym udzielała jej niezasłużonej nagany. - No i powiedz, czym się znowu martwisz?

- Niczym - mruknęłam do talerza, ale martwiłam się jak diabli.

Martwiłam się tym, co może się zdarzyć, starając się przewidzieć wszystkie możliwe nieszczęścia. Prawie widziałam, jak mały samochód prowadzony przez jedną z nas

spada w przepaść, roztrzaskując się o skały i eksplodując tuż nad powierzchnią wody. Widziałam wielką ciężarówkę, która wpada na nas i miażdży cały przód naszego auta. Widziałam młodych facetów, którzy kradną nam pieniądze i paszporty, widziałam atak terrorystów na centrum handlowe, w którym właśnie robimy zakupy, prawie czułam, jak dopada nas biegunka i spędzamy dobę na stacji benzynowej gdzieś w połowie drogi.

Z dala od mojej bezpiecznej kuchni byłam narażona na wszystko i wszystko musiałam przewidzieć, żeby się na to przygotować. A jeszcze przejmowałam się pożarem w górach, pożarem, którego łuna rozświetlała w nocy północno-zachodnią stronę nieba. Samolot, który widziałam dwa dni wcześniej, miał teraz towarzystwo drugiego samolotu i oba prawdopodobnie gasiły pożar lasu. Łuna ognia oświetlała horyzont każdej nocy, a ja nie mogłam usnąć, myśląc o zniszczonych ślicznych drzewach i tysiącach stworzeń, które nie zdążą uciec.

- Alex, kosmici nie przylecą dzisiaj ani jutro, możesz mi wierzyć - powiedziała Jill, udając znudzenie. - Nie martw się.

- Dziękuję, naprawdę mi lepiej - uśmiechnęłam się z przymusem, nie podnosząc wzroku.

Nie chciałam im psuć nastroju, bo wyglądało na to, że mój durny pomysł bardzo im się spodobał. Były podekscytowane i załatwiły za mnie całą organizacyjną robotę.

Jill jednomyślnie dostała stanowisko kierowcy, gdyż tylko ona miała samochód z manualną skrzynią biegów i tylko ona

jeździła prawie codziennie. Alicja od lat nie prowadziła, bo do pracy dojeżdżała autobusem, a na zakupy jeździła ze mną albo z Jill, a czasem pożyczła starego saaba od swoich rodziców. Mnie nawet nikt nie zapytał, czy chcę prowadzić, bo było oczywiste, że wolałabym przejechać całą drogę na mule.

•

- Ale tu pięknie - wzdychała Jill co kilka minut, kiedy jechałyśmy na zachód drogą wijącą się cienką nitką tuż nad morzem setki metrów w dole. Droga składała się z samych zakrętów, była wąska, dziurawa i stanowczo zbyt uczęszczana.

- Patrz na drogę, patrz na drogę - warczałam do niej z tylnego siedzenia i było mi niedobrze.

- Patrzę - odpowiadała pogodnie i spokojnie pozwalając się wyprzedzać na zakrętach wariatom, którzy uważali widocznie, że za wolno jedziemy. Dla mnie prędkość oślego zaprzęgu byłaby za duża. Żałowałam, że nie jedziemy autostradą. Żałowałam, że w ogóle jedziemy.

Na szczęście nie było ciężarówek, które mogłyby nas zepchnąć z drogi, a nasza połowa jezdni biegła po stronie skalnych ścian, a nie przepaści. Bałam się patrzeć na cokolwiek innego niż drogę przed nami, czasem tylko zerkałam na horyzont, przeraźliwie niebieską kreskę, położoną zdecydowanie zbyt nisko, żeby mogło mi się to podobać.

Alicja siedziała z głową opartą o zagłówek, rozglądając się

wokół, jakby była na wernisażu, czasem pokazywała coś palcem, co powodowało u mnie atak paniki, ale były to tylko kolejne cudowne widoki wyłaniające się zza zakrętów – drzewa przyczepione do skał, zwieszające się nad pustką na lazurowym tle morza albo nieba, maleńkie białe stateczki wyglądające jak zabawki, po które można sięgnąć ręką, albo małe wioski z kamiennymi domami, przycupniętymi obok wielkich głazów. W starym fiacie, który chyba specjalnie dla nas został tu przywieziony z Afganistanu, śmierdziało benzyną i jedyne, czego pragnęłam, to wysiąść.

- Super, co?! - krzyknęła Jill. - Nie czujecie się jak Thelma i Louise?

- Dokładnie tak samo, Jill! - odkrzyknęłam. - W ostatniej scenie filmu!

Jill zignorowała mnie i zaczęła śpiewać *Take me Home, Country Road*, myląc słowa i fałszując, a Alicja wtórowała jej cicho, zamyślona i spokojna, ale nie smutna, przynajmniej taką miałam nadzieję. Potem przeszły do *Born to Be Wild* i czegoś jeszcze w tym stylu, jakbyśmy jechały na festiwal do Woodstock, a nie do Księstwa Monako. Nie chciałam im przerywać, chociaż śpiewały w kółko to samo, ale wystarczyło, że ja miałam zepsutą zabawę. Nie mogłam powiedzieć, żeby włączyły radio, bo radia nie było. Siedziałam skulona na tylnym siedzeniu z brudną tapicerką i miałam wyrzuty sumienia, bo zostawiłam dom, dziecko i obowiązki.

Mama ucieszyła się, że jadę. Już dawno mi proponowała,



żebym odpoczęła, zajęła się sobą, zaczęła wychodzić z domu i przestała się wszystkim przejmować. „Ty nie rozumiesz” – powtarzałam jej to samo, co zawsze wykrzykiwała do mnie Mimi, kiedy próbowałam rozmawiać o tym, że musi chodzić do szkoły i wykonywać chociaż minimum obowiązków. Kiedy nie znajdowała żadnych argumentów, żeby mnie przekonać, padało właśnie „ty nie rozumiesz”. „Może nie rozumiem, ale może to by ci dobrze zrobiło” – odpowiadała zwykle mama.

Kiedy byłam nastolatką, obiecywałam sobie, że nigdy nie będę taka jak mama, nie będę marudzić, truć i zapracowywać się dla innych, mieć zniszczonych rąk ani podkrążonych oczu i spędzać zbyt wiele czasu w kuchni. Myślałam, że będę wolna, moje życie będzie pasmem ciekawych zdarzeń, a może i bohaterskich czynów, kiedy zostanę korespondentem wojennym. Oczywiście będę znać wielkich ludzi, artystów, pisarzy, dyktatorów mody, nie wspominając o aktorach.

Zamiennie miałam też być modelką i muzą malarzy. Miałam mieszkać w Paryżu i bywać na przyjęciach, podrywać niezliczone ilości facetów, być tajemnicza, nieprzenikniona, piękna i awangardowa. Miałam sama decydować o sobie, wracać do domu nad ranem, a co jakiś czas wyjeżdżać w jakieś piękne miejsce, aby spacerować po plaży i dawać wysokie napiwki kelnerom i bagażowym. Albo być szpiegiem, niebezpiecznym i sprytnym, wiodącym życie pod obstrzałem pistoletów z tłumikami i nosić spluwę za czarną podwiązką.

Nie wiem, dlaczego żadne z tych młodzieńczych

wyobrażeń przyszłości nigdy się nie spełniło. Pewnie dlatego, że skończyła się zimna wojna, Paryż to jedno z paskudniejszych miast, w jakich byłam, a konflikty zbrojne toczą się zwykle w takich miejscach na świecie, w których trudno znaleźć przytulny domek z czystą łazienką. Jedno tylko się ziściło: nie jestem taka jak mama, niestety. Nie mam jej zadowolenia z życia i pogodnego godzenia się z tym, co przynosi los. Mama nie ustaje w próbach zrozumienia coraz bardziej niezrozumiałego świata, radzenia sobie z codziennymi kłopotami, zmianą żarówki, obsługą telefonu komórkowego, a przede wszystkim nie buntuje się tak jak ja, niepotrzebnie tracąc przy tym siły.

Zaczęłam się zastanawiać, jakie ona miała marzenia. Obiecałam sobie, że zapytam ją zaraz po powrocie do domu. Ona przynajmniej maluje paznokcie i od czasu do czasu chodzi do fryzjera, a przecież to ja miałam ciągle przesiadywać w salonach piękności. Ja nie potrafię się cieszyć z niczego, jakbym się bała, że to nie wypada albo że spotka mnie za to zasłużona kara. Brakuje mi genu przeżywania szczęścia, jak niektórym brakuje genu odpowiedzialnego za odkładanie tkanki tłuszczowej. Teraz jestem dobrowolnym więźniem w domu, i oboje wymagamy generalnego remontu. Nawet nie chce mi się marzyć o podróżach, nie mówiąc już o dawaniu napiwków, nikt mnie nie podrywa, na nikogo nie patrzę, kiedy raz na tydzień wychodzę z domu nieumalowana i ubrana jak doker. Moim największym marzeniem jest mieszkać samotnie na pustkowiu, jak siostry Brönte, i malować wzorki na

doniczkach. Jill stwierdziła, że przemykam pod ścianami jak dziki kot, a nad głową mam wielki, świecący transparent z napisem „Odpierdolcie się wszyscy”.

- San Remo! - krzyknęła Jill, kiedy mijałyśmy tablicę z napisem „San Remo”.

Poczułam się bezpieczniej, skończyły się skały, przepaście i urwiska, a my sunęłyśmy szerokim nadmorskim bulwarem ze szpalerem palm. Po prawej stronie ciągnęły się rezydencje, pałace i wielkie wille schowane w cienistych ogrodach, zachwycające z oddali i nużące przepychem fasad z kolumnami we wszystkich możliwych stylach.

- Wstąpimy na lody?! - przekrzykiwała warkot silnika Jill.  
- Zobaczcie, jakie śliczne kawiarnie z parasolami!

- Zobaczcie, jak nie ma gdzie zaparkować! - wrzeszczała do niej Alicja. - Daj spokój, zatrzymamy się gdzie indziej. A poza tym szkoda czasu!

- Dobra, ale niedługo, bo ścierpła mi prawa dupa! - darła się Jill, odprowadzając wzrokiem wysokiego faceta w białym golfie, który suszył zęby w słońcu południa. - Fajny, co? Wygląda jak z reklamy zegarków!

- Założę się, że on jest dla starych i bogatych! Nigdy tego nie zrozumiesz. - Alicja obserwowała wielki pałac ze schodami prowadzącymi niemal na plażę.

- Ale że co? - nie rozumiałam.

- Że wygląda jak żigolak.

- Ale to, że wygląda, to wcale nie znaczy, że jest...?

- Ale widać, że jest. - Argument Alicji był nie do pobicia. - Normalni faceci tak nie wyglądają.

- A skąd możesz wiedzieć, jak wyglądają normalni faceci?  
- dopytywała Jill, a z zapasu mojej cierpliwości pozostało może dziesięć procent.

- Założysz się?

- OK! - odkrzyknęła Jill i zanim któraś z nas zdążyła zareagować, skręciła kierownicę, przecinając ciągłą linię, zawróciła na drugą stronę drogi i wolno zaczęła jechać w przeciwnym kierunku.

Alicja zakryła twarz rękami, potem chwyciła się za lewą pierś, ale nic nie powiedziała. Pewnie była w szoku tak jak ja. Jill z uśmiechem jechała wolno tuż przy chodniku, wypatrując białego swetra, jak się domyślałam. Szedł szybko pewnym krokiem, a z tylnej kieszeni jasnych spodni wystawał mu czarny grzebień.

- Odkręć okno! - krzyknęła Jill do Alicji. - Szybciej, odkręć okno!

Alicja wyglądała na pogodzoną z losem, ale kręcąc korbką, patrzyła przed siebie, dając do zrozumienia, że została zmuszona do współpracy z przestępcą i nie bierze w tym udziału z własnej woli.

- Przepraszam! - darła się Jill w stronę otwartego okna. - Przepraszam!

Biały golf zareagował dopiero po chwili. Odskoczył gwałtownie, potem rozejrzał się nieprzytomnie i dopiero po kilkunastu sekundach zauważył samochód, który zatrzymał się przy krawężniku. Niepewnie pochylił się do okna, jakby jeszcze nie dowierzał, że zawartość samochodu woła do niego.

- Przepraszam, którędy do Monte Carlo?! - krzyczała Jill, prawie leżąc na kolanach Alicji.

- Monte Carlo? - zapytał z fajnym włoskim akcentem, pochylając się i opierając rękę na dachu samochodu.

Z bliska był dużo starszy, miał podkrążone oczy, siwiejące skronie i wyglądał na zagubionego, za co od razu go polubiłam i zaczęłam się martwić, czy w ogóle zrozumiał pytanie. Popatrzył na przeciwną stronę ulicy, jakby szukał tam ratunku, pochylił się znowu do okna samochodu, zlustrował jego wnętrze i zmarszczył brwi.

- Przeciwna strona - powiedział, wskazując palcem właściwy kierunek.

- Jedziemy do Monte Carlo - powiedziała Jill z poważną miną, a Alicja wydała z siebie cichy jęk. - Mamy wolne miejsce, gdyby miał pan wolny czas... - patrzyła na niego przez chwilę, czekając na reakcję, a on popatrzył na nią, a potem na jakiś punkt oddalony być może o tysiące kilometrów, i wcale nie wyglądało to na zastanawianie się.

Trwało to długo, na tyle długo, że bym poczuła się zażenowana, a Alicji znudziło się trzymać tułów Jill na swoim

udzie. W końcu przeniósł wzrok z powrotem na wnętrze samochodu i uśmiechnął się ponuro.

- Bardzo dobrze, ale ja nie jestem wakacje - powiedział powoli, starannie wymawiając słowa i patrząc z uwagą na Alicję, jakby czekał, że go zacznie poprawiać. - Idę do pracy.

- Do pracy! - wykrzyknęła nagle Alicja triumfalnie, nadal patrząc przed siebie. - Jest pan kelnerem?

Jill podniosła się gwałtownie, uderzając ramieniem w kierownicę.

- Jestem lekarzem. - Mężczyzna znów obnażył białe zęby.  
- Monte Carlo przeciwna strona.

Siedziałyśmy nieruchomo, patrząc, jak odchodzi. Odwrócił się po kilku krokach, pokręcił głową i pomachał nam.

- No jedź - warknęła Alicja.

Jill bez słowa wrzuciła bieg i oglądając się przez ramię, włączyła kierunkowskaz, po czym nawróciła, mrużąc coś pod nosem.

- Co tam mrużysz? - spytała Alicja z rozbawieniem w głosie.

- Kelnerem, jak mogłaś tak powiedzieć? - odkrzyknęła Jill.  
- Kelnerem!

- A jak miałam go spytać, czym się zajmuje? Przepraszam, jest pan męską dziwką? I tak awansował - zaśmiewała się Alicja. - Nie udało ci się, ale wiesz co? Byłaś super. Jedziemy do Monte Carlo, co za inteligentna odzywka!

- To tobie się nie udało, ty chciałaś się zakładać! A co, miałam go zapytać, gdzie koleżanka może sobie zrobić operację plastyczną? - odwrzasnęła Jill ze zmarszczonym czołem.

- Nie, trzeba było spytać, gdzie możesz sobie zrobić dobrze! - Alicja ryczała ze śmiechu. - A może jest seksuologiem i coś poradzi na twoje problemy. Zawracamy?

- Sama masz problemy, powiedz, że nie! - odkrzyknęła Jill. - Jesteś masochistką!

- Masochistką? O co ci chodzi?

- Bo dajesz się wykorzystywać i gnoić i masz syndrom żony alkoholika! Albo seksoholika!

- Bo kogoś kocham? - Alicja od razu wiedziała, o co chodzi, a w jej głosie usłyszałam histeryczne tony. Jeszcze mocniej wbiłam się w tylne siedzenie, czując, że sytuacja wymyka się spod kontroli.

W myślach prosiłam, żeby się uspokoiły, ale z drugiej strony czułam się jak widz ciekawego spektaklu. Obydwie siedziały spokojnie, patrzyły przed siebie i gdyby wyłączyć głos, wyglądałoby, jakby nic się nie działo.

- Ty to nazywasz „kochaniem”? Jesteś jak stara kwoka i tyle. - We wstecznym lusterku widziałam Wielki Kanion na czole Jill. - Dajesz się poniżać, byleby cię nie zostawił. Robi z tobą, co chce! A nawet ci do pięt nie do-ras-ta!

- Wiesz, nie masz pojęcia, co to znaczy kochać, więc nie zabieraj głosu! - Alicja nie dosłyszała albo nie chciała słyszeć

komplementu i atakowała dalej.

- Nieprawda, bo kocham siebie, nareszcie. A według ciebie gdzie miałam się nauczyć kochać? Może od mojej popieprzonej matki albo od jeszcze bardziej popieprzonego ojca? W czasie wieczornego oglądania telewizji, której nie wolno mi było oglądać, czy może w szkole, gdzie wszyscy wyglądali, jakby następnego dnia mieli wpaść z karabinem maszynowym i zrobić sobie trochę miejsca? A może z filmów?

W czasie tej przemowy Alicja kilka razy nabierała powietrza, jakby chciała coś powiedzieć, ale Jill mówiła za szybko.

- Przez czterdzieści lat uczyłam się mówić „nie”! Czterdzieści lat! I wreszcie czuję się świetnie! Więc mogę się w ogóle nie odzywać, ale to nie zmienia faktu, że litujesz się nad sobą, a w tym przypadku to zupełny idiotyzm. - W głosie Jill słychać było satysfakcję, więc pewnie zdawało jej się, że zdobywa przewagę.

- Co jest idiotyzmem? To, że spędziłam z kimś prawie dziesięć lat i nagle się okazało, że to była pomyłka, czy to, że nie masz wyższych uczuć? - Alicja starała się opanować, ale potrząsała zaciśniętą pięścią.

- Jedno i drugie! - Jill mocno zaciskała ręce na kierownicy. - Nie wystarczy ci tłumaczyć sto razy, że możesz teraz wreszcie poświęcić się dla siebie?

- A może nie chcę? Może nie jestem taką egoistką jak ty?



- atakowała Alicja.

- To nie jest, do diabła, kwestia egoizmu, tylko instynktu samozachowawczego. - Jill imponowała mi coraz bardziej.

- Akurat, instynktu! Gdyby tak było, to może zadbałabyś o przedłużenie gatunku. A poza tym, kiedy ty dbałaś o kogoś? - Ciężkie działa Alicji nie zrobiły żadnego wrażenia na Jill. Zbyt była pewna swoich racji.

- Dla ciebie to tylko rozmnażanie i ognisko domowe. I co ci z tego wyszło? - Dałam Jill złotą kartkę za nieładny argument, ale to jej w duchu przyznałam rację. - Ja dopiero teraz się rozwijam, dopiero teraz mam na to czas i ochotę. Może nawet pójdę na uniwersytet! Ale poświęcić się dla jakiegoś małego albo dużego samoluba? Po co? A poza tym jest nas za dużo.

- Kogo, do cholery, jest za dużo? - Alicja po raz pierwszy od początku rozmowy spojrzała na Jill. Była zupełnie zbita z tropu.

- Ludzi. Ludzi jest za dużo - wieściła moje poglądy Jill. - Na planecie. Niszczymy wszystko, bo jedyne, co potrafimy, to mnożyć się jak gryzonie. Lepiej żeby rozmnażały się pandy albo jakiś inny zagrożony gatunek, a nie my.

Alicja patrzyła na nią, jakby Jill właśnie zaproponowała jej seks grupowy.

- To co, mam w ogóle nie mieć dzieci, bo Jill zarządziła zakaz rozmnażania? A wiesz, że kobiety, które nie mają dzieci, często zapadają na choroby psychiczne?

- Te, które mają dzieci, to dopiero zapadają na choroby psychiczne! Jak w ogóle, no jak w ogóle można się na coś takiego decydować? Ocean odpowiedzialności, o-ce-an. Każdego dnia, w każdej sekundzie musisz się martwić, musisz się przejmować i nic, po prostu nic z tego nie masz! I musisz zrezygnować ze wszystkiego, co dotąd było dla ciebie ważne. A jak wyrośnie na mordercę? Albo na terrorystę? To jak się będziesz czuła? Albo umrze wcześniej niż ty? A zresztą miej sobie dzieci, tylko nie rób z tego afery. Będziesz miała dzieci, to dobrze. Nie będziesz miała? Uznaj to za wolę natury czy coś tam. Możesz zaadoptować. Zresztą rób, co chcesz!

„Tylko nie depcz po moich niebieskich zamszowych butach” - pomyślałam niechętnie i wprawiło mnie to w wyborny nastrój. Nie chciało mi się odzywać, choć chętnie podzieliłabym się z nimi moim świetnym dowcipem.

Alicja znów patrzyła przed siebie, jakby zastanawiała się głęboko nad słowami Jill, ale prawdopodobnie była obrażona. Ja starałam się nie ruszać, żeby nie przypomniały sobie o mnie i nie chciały przeciągnąć mnie każda na swoją stronę. Ale Jill kontynuowała głoszenie swojej nieujawnionej dotąd filozofii, która była moją filozofią.

- Nie potrafimy się szanować, bo jest nas za dużo. Gdybyś miała najbliższego sąsiada o godzinę drogi od swojego domu, byłby ci bliższy niż własny pies - przemawiała jak na mityngu wyborczym, a Alicja kręciła głową z niedowierzaniem. - Więc podaj choć jeden dobry argument, oprócz tego o

przedłużeniu gatunku.

Alicja chyba nie miała argumentu.

- Lepsze to niż twoja ciągła pogoń za następnym orgazmem - powiedziała.

Jill się wyprostowała, spojrzała w lewo na wyprzedzający nas samochód, położyła sobie lewą rękę na karku i popatrzyła we wsteczne lusterko, prosto na mnie.

- Nigdy nie miałam orgazmu.

•

Vanessa miała jakieś dwadzieścia osiem lat, cienkie, krótkie blond włosy, duży tyłek i trójkę dzieci, o których mówiła bez przerwy, kiedy tylko dopuszczano ją do głosu. Nosila moherowy sweterek w kilku odmianach fioletu i zielone spodnie marszczone w pasie, co od razu wywołało we mnie niechęć, bo takie spodnie krzyczały bezgłośnie: „jestem mamuszką i niczym więcej!”. Jej duży tyłek trochę mnie udobruchał, ponieważ od pewnego czasu cieszył mnie każdy tyłek większy od mojego.

- Przepraszam cię, naprawdę, miała przyjść wczoraj, ale przyszła akurat w chwili, kiedy wybierałam się do ciebie, i nie miałam co z nią zrobić, zresztą sama się wprosiła - szeptała konspiracyjnie Alicja w kuchni, kiedy trzaskałam szklankami na martini, nie mogąc ukryć złości z powodu dodatkowego gościa w piątkowy wieczór.

- Kto to jest właściwie? - spytałam, siląc się na spokojny ton.

- Żona mojego kuzyna. Rodzina w każdym razie. - Alicja uderzyła pięścią w pojemnik na lód. - Ma dziś wychodne, pierwszy raz od czasu urodzenia najmłodszego dziecka i nie miała co ze sobą zrobić...

- Pewnie sama mi o tym opowie ze szczegółami - powiedziałam złośliwie.

Alicja wzruszyła ramionami i zabrała się do przeszukiwania lodówki. Potrząsnęła butelką z sosem Tysiąc Wysp, powąchała z obawą serek i spojrzała pytająco, wskazując na prawie pusty słoik z dżemem brzoskwiniowym.

- Wyrzucić, jeśli trzeba - powiedziałam po chwili do jej pleców schylonych nad zlewem. - Czemu jeszcze nie ma Jill?

- Miała wstąpić po drodze do sklepu. - Alicja dała mi do zrozumienia, że moje zapasy są zwykle niewystarczające na nasze piątkowe apetyty. - Co u twojej mamy?

- Chyba dobrze, byli ostatnio z wizytą u syna Iana. Słuchaj, starczy nam półtorej butelki?

- Musi. On dalej mieszka w tej jakiejś dziurze w Vermont?

- Tak, tak, a do tego ma jakieś wielkie stado mlecznych krów i zamierza otworzyć ekologiczny hotel na swojej farmie. Fajnie, co?

- Fajnie? Fantastycznie! Pomyśl, będzie gdzie jechać na weekend! - Alicja ucieszyła się jak dziecko.

- Czy ja wiem? Zastanawiam się, czy nie poprosić go o posadę - powiedziałam poważnie. - Rzucić wszystko i dość

krowy na spokojnej wsi...

- Cholera, zapomniałam o niej, siedzi tam sama... - Alicja rzuciła się w stronę drzwi, zawróciła, wypłukała ręce, popatrzyła na mnie uważnie i wyszła z kuchni.

Słyszałam, jak mówi coś wesoło do Vanessy, potem trzasnęły drzwi wejściowe, a po kilku sekundach do kuchni wpadła Jill z torbą z zakupami i w nowym kostiumie z wełny w moim ulubionym kolorze zgniłej zieleni, który w dodatku nadzwyczajnie pasował do jej ciemnorudych włosów. Zlustrowałam ją z góry na dół, kiedy okręcała się zadowolona.

- Super, co?

- Nie wypycha się na tyłku? - spytałam bez złych intencji.

- Jeszcze nie wiem, założyłam go pierwszy raz. Spotkałam w sklepie Mimi z chłopakiem. Ładniutki.

- I grzeczniutki, przynajmniej jak dotąd - odpowiedziałam, wyjmując miskę na winogrona. - Ale pewnie udaje, chociaż... chyba ma na nią dobry wpływ, bo trochę grzeczniej do mnie mówi, kiedy on jest. Słyszałam nawet kilka razy słowo „dziękuję”.

Nie byłam pewna, czy ma na imię Tom czy Tim, ale był w porządku. Nie miał kolczyków w brwiach ani tatuażu na twarzy, mówił mi „dzień dobry” i nie unikał mojego wzroku, więc mogłam go wstępnie zaakceptować. Wprawdzie nie miał włosów i nosił spodnie z rozporkiem w okolicy kolan, ale widziałam go kilka razy w garniturze, co oznaczało, że jest w

stanie zaakceptować normy społeczne stworzone przez establishment.

- Powiedziałaś jej wszystko o antykoncepcji?

Popatrzyłam nieprzytomnie na Jill, próbując sobie przypomnieć, czy rozmawiałam z moją córką o konsekwencjach uprawiania seksu. Biorąc pod uwagę, że jedną z moich najgorszych życiowych obaw, większych niż strach przed zawałem czy rakiem jelita, było to, że Mimi może zajść w ciążę i zmarnować swoje i moje życie.

- No wiesz, o pigułkach, kondomach... ptaszkach, pszczołkach...? - Jill uznała, że musi mi szczegółowo wytłumaczyć, o co jej chodzi.

- Żartujesz. W ogóle nie chce o tym rozmawiać - wzruszyłam ramionami i dodałam szeptem: - Krzyczy na mnie i ucieka. Ale przecież dopiero co skończyła szesnaście lat, więc mam nadzieję, że sama uzna, że jest jeszcze za młoda...

Jill spojrzała na mnie jak na obłąkaną.

- Chyba żartujesz. Może z tobą nie chce o tym rozmawiać. Poczytaj sobie czasopisma dla nastolatek. Wiesz, o czym piszą te gówniary w listach? Tylko o ciuchach i o pieprzeniu. Teoretycznie znają się na tym lepiej ode mnie... praktycznie może też. Trzynastolatki rozpaczają, że są jeszcze dziewicami, wyobrażasz sobie? Albo takie chude wykałaczkii narzekają, że mają za grube nogi albo że muszą sobie zrobić lifting. Wiesz, w wieku piętnastu lat zamartwiają się, bo nie

wyglądają jak ktoś tam... Co się dzieje z tym światem?

- A ty skąd wiesz, o czym tam piszą? - spytałam ze śmiechem.

- Jak to skąd? Chcę się czegoś nauczyć o seksie - roześmiała się. - My też byłyśmy takie pokopane? - spytała, pukając się palcem w skroń.

Zignorowałam jej pytanie, bo odpowiedź zawsze brzmiała jednakowo - nie, nie byłyśmy takie pokopane, byłyśmy uprzejme dla naszych matek, nie kazałyśmy sobie kupować setek ciuchów, kłamałyśmy tylko w ostateczności i sprzątałyśmy nasze pokoje, a powrót do domu po północy był dla nas hańbą nie do zmycia.

- Ciągle mi powtarza, że nie chce mieć dzieci - powiedziałam zgodnie z prawdą.

- Ty też nie chciałaś - Jill parsknęła śmiechem.

- Tak, wiem - przyznałam zrezygnowana. - I wcale się nie dziwię, bo jakby miała mieć taką córkę jak ona, to raczej by się załamała...

- A zresztą, ty byłaś taka święta w tym wieku? Akurat. Chodzą do tej samej szkoły?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo drzwi się uchyliły i w szparze pokazała się blond głowa Vanessy, a zaraz potem cała Vanessa, popchnięta z tyłu przez Alicję.

- Cześć Jill, to jest Vanessa, Van, to jest Jill - Alicja pogładziła rękaw kostiumu Jill. - Gdzie ty wynajdujesz takie

rzeczy?

Spojrzałam czujnie na Alicję, nie wiedząc, czy ma na myśli „takie ładne”, czy „takie paskudne”, ale nowy ciuch Jill wyraźnie jej się podobał. Jill umiała się ubrać, a w dodatku jakoś szła u niej w parze z ilością. I w przeciwieństwie do mnie nigdy nie wyszłaby z domu ubrana jak pomoc kuchenna, ale ja od lat nie wydawałam pieniędzy na ubrania, bo Mimi pożerała wszystko, co stanowiło nadwyżkę budżetową.

Jill spojrzała czujnie na jedyną blondynkę w naszym gronie i się wyprostowała. Zawsze tak robi, kiedy znajdzie się na obcym gruncie albo poznaje kogoś nowego, jakby chciała po pierwsze rozpoznać teren, a po drugie pokazać, jaka jest odważna i gotowa na wszystko. Zastanawiałam się nieraz, czy bierze się to z jej niepewności, czy z chęci pokazania jaki ma ładny biust.

- Cześć - powiedziała Vanessa, trzymając z tyłu ręce i uśmiechając się szeroko.

- Cześć - odpowiedziała Jill, uśmiechając się równie szeroko.

Alicja przez chwilę oceniała, czy sytuacja jest pod kontrolą. Widocznie doszła do wniosku, że nikt nikogo nie ugryzie, bo zaczęła wyjmować zakupy. Zapadła cisza. Vanessa nerwowo gniotła sobie palce za plecami, Alicja odczytywała datę ważności na opakowaniu jajek, a Jill wpakowała sobie do ust kilka winogron i przedelfilowała przez kuchnię w stronę okna.



- Jaki mamy dziś film? - spytałam, żeby powiedzieć cokolwiek, i podsunęłam miskę z winogronami w kierunku Vanessy. - Poczęstuj się. I siadaj gdzieś... - machnęłam ręką, wskazując bardziej na sufit niż na krzesło.

Jill stanęła przy parapecie w pozie znudzonej modelki i rozczesała sobie palcami włosy.

- Z naszej wypożyczalni obejrzałyśmy już chyba wszystko.

- To z innych pewnie też - powiedziałam odkrywczo, zaglądając do lodówki, a Vanessa zaśmiała się piskliwie. Alicja spojrzała na nią spod oka.

Jill złapała następny kosmyk i się zamyśliła. Kompletnie to do niej nie pasowało, więc popatrzyłam na nią uważnie.

- Zamknij drzwi do lodówki. - Alicja mieszała energicznie sałatkę z ananasek, którą doprawiała po swojemu\*. - To co w końcu mamy?

Jill patrzyła w październikowy wieczór za oknem. Doszłam do wniosku, że odgrywa przed Vanessą jakąś rolę, prawdopodobnie rolę damy, więc przestałam zwracać na nią uwagę.

- Jiiiill! Co wypożyczyłaś?

- *Shreka* - Jill oderwała się od kontemplowania ciemności za oknem, ale nie przestała rozczesywać włosów.

- Przecież to dla dzieci - Alicja oblizwała łyżkę po majonezie.

- No i co z tego?

- Mojemu Nickowi bardzo się podobał - wtrąciła Vanessa i podparła brodę z mądrą miną.

- Kto to jest Nick? - spytała Jill, oderwała się od parapetu, usiadła przy stole i też podparła brodę, czekając na niesamowicie ciekawą historię.

- To mój najstarszy syn - Vanessa z ożywieniem pochyliła się w stronę Jill. - Ma dopiero sześć lat, ale jest taki mądry jak na swój wiek, wygrywa ze mną w warcaby. I potrafi wymyślać takie historie, że nie masz pojęcia. Gdyby to spisać, to... no nie masz pojęcia, jaki jest czasem śmieszny.

Jill uśmiechnęła się uprzejmie i zmrużyła oczy.

- Myślałam, że Nick to twój facet, który lubi filmy dla dzieci.

- Coś ty, mój mąż ogląda głównie hokej. Razem z młodszym synem. Peter będzie sportowcem, tak się pasjonuje...

- Ty masz już dwoje dzieci? - przerwała jej Jill.

- Troje. Trzech synów - powiedziała zachwycona nie wiedzieć czym Vanessa.

- No coś ty, nie wyglądasz - stwierdziła Jill, przeciągając słowa. - Prawda, że nie wyglądasz?

Obydwie z Alicją zaprzeczyłyśmy entuzjastycznie, więc Vanessa postanowiła też być miłą dla Jill.

- A ty masz dzieci?

Spojrzałam na Alicję, ale ona z nieobecną miną darła

liście sałaty lodowej.

- Ja? Kochana, ja na widok dzieci uciekam - Jill uśmiechnęła się jak najedzony wampir. - Wolę... Wiesz, najlepsze, co mogłam zrobić dla moich dzieci, to ich nie mieć. Nie, dzieci to nie dla mnie.

Vanessa otworzyła szeroko oczy, jakby po raz pierwszy w życiu usłyszała taką herezję, i poruszyła się niespokojnie na skrzypiącym krześle.

- Nie wszystkie kobiety się do tego nadają... - powiedziałam, żeby załagodzić wstrząs, jakiemu uległa Vanessa.

- I dobrze, że zdają sobie z tego sprawę - dokończyła pojednawczo Alicja, ale czułam, że była to złośliwa uwaga.

- Ja tam nie wyobrażam sobie życia bez moich dzieci - Vanessa chyba jednak czuła się dotknięta. - Przecież kobiety po to są stworzone, prawda? No i zawsze to lepiej starzeć się w otoczeniu bliskich osób i w ogóle...

- Myślisz, że dzieci cię nie oleją, kiedy będą już chciały mieć własne życie? - spytała Jill lekko podniesionym głosem.

- Może się napijemy? - spytałam głośno, bo bałam się, że Jill powie to, co mówiła zawsze w takich przypadkach, powtarzając wiernie moje argumenty: jeśli dzieci mają być tego rodzaju inwestycją, to lepiej odkładać co miesiąc trochę forsy na luksusowy dom spokojnej starości. I o dziwo, popierała nas w tym nawet Alicja, fanatyczna matka in spe.

Nie cierpiałam, kiedy ktoś udowadniał, że dzieci są

również po to, żeby zajęły się nim, jak już będzie stary. Mama zawsze mówiła, że kiedy zaczniesz sprawiać za dużo kłopotów, to mam ją bez żadnych wyrzutów sumienia umieścić w zakładzie opiekuńczym. Mama wiedziała, co mówi, bo przez półtora roku opiekowała się dziadziusem, który miał totalną demencję i sprawiał jej masę problemów. Kiedy opowiadała o tym w czasie moich krótkich wizyt w domu, trudno mi było uwierzyć, że mój pogodny, mądry i cudowny dziadzius przemienił się w krótkim czasie w niedorozwinięte stare dziecko, które nie poznaje najbliższych.

A co do mamy, to mam nadzieję, że nie będę musiała jej nigdzie oddawać.

Pociągnęłam zdrowo ze szklanki, obserwując, jak Vanessa sący swoje martini przez słomkę i nie wiedzieć czemu ucieszyła się złośliwie, że upije się szybciej od nas. Jill podsunęła sobie gazetę i stukając palcem w jakiś tytuł, mruzczała pod nosem coś na temat roztkliwiania się nad bogaczami, którzy nie mają nawet kontaktu z rzeczywistością.

- No dobra, rzucił ją, ale, do diabła, nie zostawił jej bez grosza w jakiejś przyczepie kempingowej - poinformowała mnie ze złością. - Ma kasę, ma więcej służby niż ja butów, nawet nie musi zmieniać pieluch.

Stałam za nią i spojrzałam jej przez ramię na gazetę.

- Nie musi pracować. Ani gotować - stwierdziłam smutno.  
- To rzeczywiście wkurzające.

- Właśnie! Może robić, co chce, kupować najlepsze ciuchy, bawić się w akcje charytatywne i robić te swoje smutne minki. I wszyscy się nad nią rozczulają. A ile normalnych kobiet jest porzucanych bez grosza? I to jest sprawiedliwe, tak? Nawet nie powinni o tym pisać, żeby nie wkurzać ludzi. Wiesz, jak się czyta coś takiego, to czasem się myśli z sympatią o cholernej rewolucji w cholernym Związku Radzieckim.

- Albo francuskiej - dodałam, myśląc o tym, że Jill ma cholerną rację.

- Co francuskiej?

- Rewolucji. Chlapij sobie - stuknęłam swoją szklanką w jej szklankę i wypiałam wielki łyk, myśląc, że tak pewnie rodził się socjalizm - w kuchni przy drinku. Poczułam, jak ziołowe ciepło rozchodzi mi się po dekolcie i jak zaczyna drętwieć mi noga - sygnał, że alkohol działa.

Postałam chwilę, patrząc bezmyślnie, jak Alicja z czerwonymi plamami na szyi kończy rozrywać sałatę na strzępy, słuchając cierpliwie Vanessy, która opowiadała o wysypce na pupie swojego najmłodszego królewicza.

Podskoczyłam nerwowo, kiedy rozległ się huk zamykanych gwałtownie drzwi wejściowych. Potem usłyszałam szybkie wbieganie po schodach i trzaśnięcie drzwi na górze.

- Mimi - stwierdziłam, pociągając kolejny łyk.

Jill kiwnęła głową i wróciła do czytania gazety, Vanessa

spojrzała pytająco na Alicję.

- Córka. - Alicja skierowała brodę w moją stronę.

- A, masz córeczkę - zaszcebiotała Vanessa. - Jak ma na imię?

- Mimi - powiedziałam tym samym tonem.

- Och, jak ślicznie - ucieszyła się i prawie zaklaskała.

- Tak naprawdę ma na imię Manitoba - pochwaliłam się swoją inwencją twórczą, która objawiła się, zanim ludzie zaczęli nadawać swoim córkom imiona Dakota czy America.

Otóż więc tak naprawdę Mimi ma na imię Manitoba Arvena, co stanowiło wyraz moich patriotyczno-romantycznych ciągot z czasów, kiedy w panice myślałam o moim dalszym życiu samotnej matki w postwiktoriańskim społeczeństwie. Nie pamiętam, przy jakiej okazji to wymyśliłam i w jak wielkim byłam dołku psychicznym, ale moja córka i tak zamierzała zmienić imię po osiągnięciu pełnoletniości. Była to kolejna krytyka wszystkiego, co robię.

- Manitoba... - Vanessa się zamyśliła. - Manitoba...

- Jak ta prowincja... wiesz, w Kanadzie... - poinformowała ją ironicznie Jill.

- Och, wiem, wiem, lepiej byłoby Moet albo Chardonnay - powiedziałam, upijając łyk martini. - Albo Medoc.

- Nie, Medoc to dla chłopaka, ale Ikea byłoby cudnie - zaśmiała się Jill. - Słyszałam, jak ktoś wołał na dziecko Bambi... A najlepiej byłoby „Dżin z Tonikiem”!

- Daisy Boo... Skywalker albo Rocky Mountains - wymyśliła Alicja. - A jak ktoś lubi muzykę, to mógłby nazwać chłopca Chopin albo...

- Tango, tak, byłoby świetnie nazywać się Tango... - rozmarzyła się Jill. - Ej, a jak ktoś lubi technikę, to Motorola byłoby cudnie...

- Jasne, a dla chłopaka IBM. A jak ktoś lubi kawę... - Jill się rozkręcała - to może Lavazza?

- A jak ktoś lubi samochody - wtrąciłam się z właściwym sobie polotem - to może nazwać dzieci Thunderbird i na przykład...

- Ile ma lat? - Vanessa przerwała nam świetną zabawę.

- Siedemnaście za dziesięć miesięcy - odpowiedziałam, patrząc porozumiewawczo na Alicję. - Znowu się pokłócili.

Alicja kiwnęła głową ze zrozumieniem. Doświadczyła na własnej skórze złych humorów Mimi po niepowodzeniach w szkole, po kłótniach z jakimś jej kolejnym chłopakiem czy po moich napomnieniach, żeby wreszcie wzięła się do nauki i przestała wagarować, bo jest najgorszą uczennicą w klasie i jak tak dalej pójdzie, to zostanie na drugi rok albo wyrzucą ją ze szkoły. Oczywiście nie działały na nią żadne moje błagania, groźby, tłumaczenia ani inne argumenty, łącznie z odebraniem kieszonkowego. Wiedziała, że jestem miękka jak wosk i kiedy już przestanę się pieklić, to zacznę mieć wyrzuty sumienia, że powiedziałam coś, czego mówić nie powinnam.

Mimi nie potrafiła zrozumieć, że najlepszą metodą na mój gniew jest wysłuchać wszystkiego, co mam jej do powiedzenia. A miałam dużo do powiedzenia na temat późnych powrotów do domu, kłamstw, skarg nauczycieli, kar za jazdę bez biletu, bałaganu w pokoju, wagarów, wiecznie rozczochranych włosów, gubienia telefonów komórkowych i wydawania gór pieniędzy na markowe ciuchy. Jej metodą obrony było pyskowanie i oskarżanie mnie o wszystkie jej klęski życiowe, a w końcu stwierdzanie, że się wyprowadza, upychanie w torbie przypadkowych rzeczy i wychodzenie z domu bez względu na pogodę. Zwykle wtedy wybiegałam za nią i płacząc, błagałam, żeby wróciła. Mimi siadała wówczas na krawężniku i atakowała mnie, a ja, coraz bardziej pokorna, próbowałam ją przytulać, w końcu płakałyśmy obie i wracałyśmy do domu. Przez kilka dni był spokój, a potem dowiadywałam się o następnym numerze, jaki wykręciła, i wszystko zaczynało się od początku. Cyrk był w każdym razie niezły, a sąsiedzi zamiast przed telewizorami spędzali zapewne wieczory przy oknach z drinkami w dłoniach, oczekując darmowego przedstawienia.

Przełom nastąpił, kiedy zabrała mi pokaźną kwotę, przeznaczoną sama już nie wiem na co, ale na pewno na jakiś ważny cel. Wściekłam się wtedy bardziej niż w opisach przebiegu morderstw popełnianych w afekcie. Po moich wrzaskach Mimi spakowała torbę i darła się w przedpokoju, że już więcej jej nie zobaczę, że dla mnie tylko pieniądze są ważne. „To wynoś się!” – ryczałam do niej, krążąc po pokoju jak mały samochodzik na baterię, żeby zdążyć się wyładować



i jej nie zabić. Wróciła po godzinie, akurat w momencie, kiedy minęła mi najgorsza złość i zaczęłam się o nią martwić. Obiecała, że wszystko mi odda, co było oczywistą bzdurą. Gdybym chciała policzyć wszystkie pieniądze, które mi zabrała, wszystkie moje rzeczy, które zgubiła lub zniszczyła, to musiałaby pracować przez kilka lat na stanowisku prezesa koncernu Coca-Cola, żeby mi to oddać. Ale cóż, Mimi jest ponad prawem.

Od tamtej pory nadal się wyprowadza, ale już nie natychmiast, tylko zaraz po skończeniu szkoły. Przestała też wyrzaskiwać, że mnie nienawidzi, ale dalej nie potrafi się zamknąć, kiedy mam o coś do niej pretensje. Ja też się trochę zresocjalizowałam, bo Alicja po lekturze kilku książek o wychowaniu dzieci tłumaczyła mi coś o konflikcie pokoleń, poszukiwaniu własnej tożsamości i pozostawaniu w niezgodzie z samym sobą w wieku dojrzewania. Ja też wtedy miałam kryzys tożsamości związany z brakiem faceta, co pozwoliło mi na zasadzie empatii odrobinę lepiej zrozumieć problemy mojej córki. Wiedziałam, że Alicja bardziej nadaje się na matkę niż ja, i czasem słuchałam jej rad, bo zwyciężała we mnie litość nad moim biednym dzieckiem, które przez mój egoizm, jakiś inny izm albo po prostu głupotę zostało pozbawione... Nie, do tego nie chciałam się przyznawać, bo bolało jak cholera i wzbudzało gorsze od kaca wyrzuty sumienia.

Stłumiłam więc te wyrzuty sumienia kolejnym łykiem alkoholu i spojrzałam pytająco na Alicję, która wróciła z góry. Pokazała, że Mimi rozmawia przez telefon. Dla mnie

oznaczało to kolejny wielki rachunek za telefon, ale ponieważ zaczynałam już czuć przyjemne mrowienie w nogach, więc nie chciało mi się o tym myśleć.

- Tak bardzo chcemy je uchronić przed błędami w życiu, że sami zaczynamy je popełniać - stwierdziłam filozoficznie.

Alicja pokiwała głową, a Jill oderwała się od gazety.

- Chyba przed tym, żeby nie ponosić konsekwencji ich błędów - powiedziała, uśmiechając się do mnie.

- Kilkoro dzieci łatwiej wychowywać niż jedno - stwierdziła autorytatywnie Vanessa i głośno wysączyła resztki ze swojej szklanki, a do mnie dotarło, że naprawdę mam jej dosyć. - Na przykład mój Nick był okropny, kiedy był sam, no wiecie, rozpieszczony i w ogóle, ale kiedy urodziłam Petera, po dwunastu godzinach, wyobrażacie sobie, był okropnie wielki i w ogóle, musieli mnie zszywać, potem nie mogłam chodzić przez trzy dni, wyobrażacie sobie, dobrze że mój mąż się wszystkim zajął i w ogóle...

Na usta Jill wrócił wampirzy uśmiech, Vanessa z zaczerwienionymi policzkami opowiadała o szczegółach swojego połogu, a ja dolałam jej kolejną porcję i poszłam na górę.

Rozczochrana Mimi z czerwonymi oczami szeptała coś w telefon. Zmarszczyła czoło, kiedy mnie zobaczyła i machnęła niecierpliwie ręką. Wycofałam się cicho, opanowując chęć pozbierania z podłogi pizamy, brudnego talerzyka, kilku bluzek i niezliczonych skarpetek nie do pary, kilku

papierków po batonikach oraz szklanek z resztkami soku pomarańczowego. Chwilę podsłuchiwałam pod drzwiami, ale nie udało mi się nic usłyszeć. Miałam nadzieję, że już się pogodzili, i Mimi będzie w dobrym humorze.

- Czy ona nie potrafi mówić o niczym innym, tylko o swoich dzieciach? - spytała mnie Jill dramatycznym szeptem, kiedy tylko weszłam do kuchni.

- A o czym ma mówić? O filozofii Kanta? - odpowiedziałam po chwili, kiedy już dotarło do mnie, że Jill mówi o Vanessie.

Alicja z ustami pełnymi winogron przytaknęła.

- Jej świat to dom i nic więcej, pewnie jak się z kimś spotyka, to są to jakieś inne mamy w parku i rozmawiają tylko o dzieciach. I pewnie każda o swoim, i nigdy się wzajemnie nie słuchają - zachichotała złośliwie.

- I pewnie nawet się nie słyszą - powiedziałam, czując, że po kilku łykach alkoholu mówienie sprawia mi małą trudność. - Gdzie ona jest?

- Poszła siusiu. Jezu, czy ona naprawdę nie ma nic innego do opowiedzenia? - powiedziała z podziwem Jill.

- Przecież ona prawie cały czas jest w domu. - Alicja niemal położyła się na blacie stołu, przełykając w pośpiechu, chcąc jak najszybciej i jak najlepiej przedstawić sytuację. - Wiesz, sprząta, pierze, gotuje i tak dalej, pewnie nawet nie ma czasu nic poczytać...

- To po jaką cholere dała sobie zrobić tyle bachorów? -

spytała pogodnie Jill, wycierając palcem ostatnią kroplę alkoholu ze swojej szklaneczki. – Co to za kobieta, która albo chodzi z brzuchem, albo pierze gacie? Wiecie co, kocham was za to, że można z wami pogadać nie tylko o kupach... albo macicy... albo...

Alicja, wyraźnie rozanielona, pokiwała głową.

– A gdzie ona jest? – spytałam, nalewając sobie i Jill.

– Poszła siusiu, przecież ci mówiłam – powiedziała Jill z lekkim wyrzutem. – Ale zobacz, Alex, pewnego dnia facet ją oleje, bo znajdzie się ktoś, kto nie zachodzi w ciążę trzy razy w roku i nie jest taki nudny...

– Och, przestań, może właśnie to jest taki facet, co lubi mieć dużo dzieci i prawdziwą żonę, która pierze gacie, może ona wcale nie jest nudna, może jest świetna w łóżku... – dokończyłam teatralnym szeptem.

– Taki szowinistyczny konserwatysta? – upewniła się Jill, zaglądając do lodówki. Jej kostium jednak wypychał się na tyłku.

– Właśnie. Według ciebie szowinistyczny coś tam, a według mnie facet, który lubi taki model rodziny. Tacy się zdarzają, chcesz czy nie, i to coraz częściej się zdarzają. To kobiety coraz częściej nie chcą tak żyć – wymądrzałam się z przekonaniem.

– Pewnego dnia skończy czterdzieści lat i stwierdzi, że całe życie chciał czegoś innego – nie dawała za wygraną Jill.  
– Albo że właśnie odkrył, że jest gejem, albo że chciał

samotnie opłynąć świat, albo że musi koniecznie ożenić się ze swoją sekretarką, bo właśnie ją zapłodnił... albo coś w tym rodzaju. A ona będzie do końca życia myślała, że układ okresowy pierwiastków ułożono według ich popularności!

- Wszystko się może zdarzyć - powiedziałam filozoficznie, wsypując popcorn do miski, podczas gdy Jill mijał atak szalonego śmiechu z dowcipu o pierwiastkach, który wyczytała w jakimś czasopiśmie. - Ale każdy ma wybór...

- Właśnie! - Jill była wniebowzięta. - Wybór!

- ...bo los prawie zawsze daje nam co najmniej dwie możliwości - wymądrzałam się dalej. - Zawsze zastanawiamy się, co by było, gdybyśmy poszli inną drogą, bo nigdy nie jesteśmy zupełnie szczęśliwi.

- Więc niektórzy wybierają pranie gaci - powiedziała Alicja, lekko przeciągając słowa. - A niektórzy nie, i to jest piękne.

Dla Alicji wszystko stawało się piękne między drugą a czwartą szklaneczką. Przed drugą wszystko było bardzo serio, a po czwartej stawało się zupełnie nieistotne, bo zasypiała. Zastanawiałam się nieraz, jak sobie radzi na przedświątecznych imprezkach w swojej pracy.

- Nie wiem, czemu niektórzy skazują się na coś takiego. - Jill nigdy nie miała dosyć rozmowy na ten temat. - A poza tym nie ma takich facetów.

- Jill, to już jest nudne. - Alicja przełknęła głośno martini.  
- Nikt ci nie każe mieć ani męża, ani dzieci, więc wiesz,

trochę tolerancji proszę.

- Tolerancji! - Jill była oburzona. - Ja tylko nie potrafię zrozumieć, jak można wybrać zakopanie się w pieluchach i poświęcać się bez nadziei, że to się kiedyś...

No tak. Vanessa stała w drzwiach i uszy jej płonęły. Alicja uśmiechnęła się szeroko, jakby nie widziała jej od dziesięciu lat i zamaszystym ruchem wskazała butelkę.

- Chodź, kochana, rozmawiamy właśnie o związkach partnerskich.

Jill roześmiała się głośno i poklepała krzesło obok siebie.

- Chodź, kochana, siadaj. Powiedz mi, jak często uprawiasz seks?

Zakrztusiłam się i z załzawionymi oczami pokazałam Alicji, żeby stuknęła mnie w plecy. Machnęła ręką, nie zamierzając mnie ratować, i popatrzyła na Vanesę z zaciekawieniem. Wyszłam do łazienki, żeby krztusić się w spokoju.

- Matko? - W przerwie między kasznięciami usłyszałam, jak Mimi otwiera drzwi i pyta z pretensją w głosie: - Co ci się stało?

- Zakrztusiłam się - wydusiłam z siebie, przemywając twarz wodą.

- Musisz uważać - stwierdziła z naganą.

- Dzięki za współczucie - mruknęłam. - Zjedz kolację.

- A co jest? - spytała bez zainteresowania, patrząc

ponuro, jak wycieram się ręcznikiem.

Czasem odnosiłam wrażenie, że czeka jak sęp na każde moje potknięcie, z zakrztuszeniem ze skutkiem śmiertelnym włącznie, i obserwuje mnie, jakby ciągle badała moje słabe strony. Wychowałam potwora.

- Sałatka, ser, bagietka i co tylko znajdziesz w lodówce i na stole. Aha, i popcorn, ale dopiero po kolacji.

Skrzywiła się i dalej mnie obserwowała. Wiedziałam już, że chce czegoś ode mnie, ale postanowiłam niczego jej nie ułatwiać.

Mimi miała dwa sposoby osiągnięcia tego, co chciała na mnie wymóc. Pierwszym były rozpaczliwe prośby, z błazeńskim klękaniem na podłodze włącznie. Często przyprowadzała ze sobą adwokata w postaci jakiejś koleżanki, która prosiła mnie w jej imieniu na przykład o zgodę na zostanie na imprezie do późna w nocy. Jej adwokatki często dzwoniły do mnie, kiedy zapominała poprosić o coś wcześniej, ale pewnie robiła to specjalnie, wiedząc, jak bardzo nie lubię rozmawiać przez telefon, i sprytnie kombinując, że pod wpływem stresu będę bardziej uległa. Często w piątek albo sobotę po prostu zostawała gdzieś do rana bez informowania mnie o tym, że nie wróci, w myśl zasady, że łatwiej uzyskać przebaczenie niż pozwolenie. Po takich nieprzespanych nocach miałam objawy stresu pourazowego, ale powiedziałam sobie, że skoro nikt się tym nie przejmuje, to ja też nie powinnam.

Drugim sposobem Mimi była prośba lub żądanie czegoś,

co nie mogło być jej dane od razu, jak na przykład kupienie drogich ciuchów albo wyjazd na wakacje w jakieś egzotyczne miejsce, albo jakiś inny cudowny pomysł. Wtedy wywoływała kłótnię, a nawet grubszą awanturę, która kończyła się zwykle tym, że wrzeszczała do mnie, że na nic jej nie pozwalałam, że jest więźniem w domu albo że już nie może wytrzymać i się dusi i że nic jej nie kupuję, bo dla mnie pieniądze są ważniejsze od niej. Często było wszystko razem, z wyprawką włącznie.

Mimi w przeciwieństwie do mnie umie walczyć o swoje. Wykorzystuje moje słabe punkty po mistrzowsku, lecz ja coraz rzadziej daję się na to nabierać, co wywołuje u niej zrozumiałą frustrację. Wywalczyła sobie prawa, o których ja w jej wieku mogłam tylko marzyć. Ale nie marzyłam, bo nawet nie przyszło mi do głowy, że dzieciom może się należeć coś więcej niż tylko dach nad głową, buty na zimę, opieka rodziców, prezenty od Świętego Mikołaja i chodzenie do szkoły.

Wywalczyła sobie prawa, o których ja nie marzę nawet teraz, kiedy jestem bardzo dorosła i bardzo samodzielna.

Tym razem postanowiłam, że nie ulegnę, cokolwiek by wymyśliła.

- Co, kotku? - spytałam, odgarniając jej rozczochrane włosy z czoła. - Stało się coś?

- Nic... - uśmiechnęła się do mnie, objęła mnie i poklepała dłonią po plecach. - Kupisz mi spodnie?



Roześmiałam się i przytuliłam ją mocno.

- Jasne. W następnym życiu - stwierdziłam radośnie i też ją poklepałam. - Chodź, pójdziemy obejrzeć film.

Wyszłyśmy z łazienki jak dwie kumpelki, obydwie zadowolone. Mimi sądziła, że będzie miała spodnie, a ja cieszyłam się z chwili porozumienia. Dopiero jutro zapytam ją, ile ma już par spodni i ile kosztują te następne, i wtedy się zacznie.

Alicja z miską prażonej kukurydzy siedziała pod kocykiem i z wilgotnymi oczami słuchała wykładu osiołka na temat przyjaźni.

- Chodźcie, świetna bajka - powiedziała, wskazując palcem ekran. - Jill deprawuje moją rodzinę - stwierdziła po chwili radośnie, wskazując w stronę kuchni, a potem zapraszająco odchyliła róg kocyka.

Mimi usiadła obok niej, podciągając kolana pod brodę. Zostawiłam je wpatrzone w film i poszłam do kuchni, myśląc, jakie życie jest chwilami piękne.

Vanessa miała uszy i policzki koloru dojrzałych wiśni, włosy pozlepiane nad czołem, a głowa lekko się jej chwiała, podparta dłonią. Przed nią stała pusta szklanka, pogryziona słomka leżała obok. Nawet nie spojrzała na mnie, kiedy weszłam. Była zajęta skupianiem wzroku na twarzy Jill.

- Francuzi, mmmm, ale tylko do pierwszej randki. O, Alex. Prawda? - Jill robiła sobie z włosów koczek na czubku głowy.

- Ale co? - spytałam, próbując zrozumieć, o co jej chodzi.

- Alex jest ekspertką - wyszeptała głośno Jill do Vanessy. - Miała męża Francuza... - powiedziała to tak, jakby informowała, że co niedzielę odprawiałam czarne msze na cmentarzu.

Vanessa spojrzała na mnie z popłochem w oczach, ale zaraz zapatrzyła się w Jill.

- Prawda, że są egoistami w łóżku? - Jill odchyliła się na krześle i zaczęła dawać mi oczami jakieś znaki.

- Oczywiście! - domyśliłam się, że mam potwierdzić to, co powiedziała, i zrobiłam to z szalonym entuzjazmem. - Ale nie tylko Francuzi...

- Widzisz! - wykrzyknęła triumfalnie Jill. - Ale technicznie są bardzo hm... sprawni.

- Technicznie? - Vanessa otworzyła szeroko oczy, ale nagle dotarła do niej wielka prawda. - Aaa, technicznie.

- Jill... - próbowałam się wtrącić.

- Rozumiesz, potrafią wyprawiać różne rzeczy, nawet potem nie wiesz, co się z tobą działo. Wiesz tylko, że byłaś w niebie... - Jill podkreślała sens swoich słów wężowym ruchem ręki, a ja byłam równie zafascynowana jej słowami jak Vanessa, tylko że z zupełnie innych powodów.

- Wiesz, żadnych tabu, żadnych zahamowań...

- Ale czemu do pierwszej randki?

- Bo chcą się tylko z tobą przespać - stwierdziła Jill autorytatywnie, a Vanessa pokiwała głową, jakby od dawna

znała ten problem. - A po wszystkim wiesz, co ci powiedzą? Powiedzą ci, że masz źle ogolone nogi!

Zapadło milczenie.

- No i oczywiście ważne, żeby facet był młody, ale nie za młody...

Vanessa popatrzyła na mnie wyczekująco.

- No nie może być dużo młodszy, bo będziesz się kiepsko czuła - instruowała ją Jill. - Będzie ci się zdawać, że widzi każdą twoją zmarszczkę albo rozstępy.

- Można się... no... kochać po ciemku? - zachichotała Vanessa.

- No coś ty! W ciemnościach, jak jaskiniowcy, nie, nie dość że przy świetle, to jeszcze najlepiej... - Jill stopniowała napięcie i dokończyła szeptem: - najlepiej przed lustrem.

Vanessa potrzebowała chwili, żeby przetrwać te rewelacje i zapewne postawić sobie siebie nagą przed lustrem z jakimś umięśnionym, niezbyt młodym młodzieńcem.

- A Hiszpanie? - spytała, spuszczać oczy jak wiktoriańska pensjonarka.

- O, oni są... mmm - powiedziała Jill, przymykając oczy, jakby jadła sernik mojej mamy. - Zawsze mają siłę, żeby się kochać. Ale są trochę konserwatywni. Wiesz, żadnych eksperymentów, ale zależy im na tym, żeby ci było dobrze. Wiesz, mówię o tych młodych, bo ci ze starszego pokolenia...

choć... może też są niezli.

Vanessa poruszyła się niespokojnie na krześle, a ja popatrzyłam na sufit, co Jill skwitowała znaczącym spojrzeniem w moją stronę. Zapanowała cisza, bo pewnie obydwie kontemplowały w wyobraźni Antonia Banderasa w rozpiętej do pasa koszuli. Nalałam więc resztę z butelki do trzech szklaneczek i zaczęło do mnie docierać, że Jill opowiada o rzeczach, o których mogła tylko czytać w jakimś babskim czasopiśmie, bo nie byłam w stanie uwierzyć, że mogłaby opowiadać o własnych doświadczeniach.

- Jill?

Uniosła pytająco brwi i wypła łyk ze szklanki. Chciałam ją zapytać, z iloma Hiszpanami i Francuzami spała i odkąd jest takim seksualnym gigantem, ale zmieniłam zdanie. Postanowiłam zapytać o to, kiedy będziemy same. Niejasno przypominałam sobie, że w jakiejś babskiej gazecie był ranking najlepszych kochanków świata i być może to z niego Jill czerpała swoje rewelacje.

- A co powiesz o Niemcach? - spytałam ją, przystępując do gry. - Znałam kilku Niemców, jeszcze na studiach...

- Niemcy to Niemcy. - Jill myślała intensywnie, wygrzebując z pamięci wszystkie znane sobie stereotypy. - Są czyści. A...\* mają małe fiuty.

Vanessa zachichotała nerwowo, spojrzała na mnie niepewna, czy nie robimy jej w konia, a gdy przytaknęłam, popatrzyła na Jill z uwielbieniem.

- Poważnie! Pewnie dlatego ich kobiety mają taki los. Żeby nie miały wymagań...? - zastanawiała się Jill.

- To kogo... z kim... najlepiej? - Czerwonoucha Vanessa potrzebowała więcej informacji.

- Hm, najlepiej... - Jill udawała, że się zastanawia. - Hm, najlepiej... Najlepiej, jak ktoś ci zapewni wielokrotny orgazm - powiedziała z wielkim przekonaniem, omijając mnie starannie wzrokiem.

- Oczywiście! - Vanessa była tak uszczęśliwiona odkryciem, że aż przewróciła szklaneczkę. Postanowiła iść na całość: - Powiedz mi, dużo czasu trzeba, żeby mieć te... no wiesz.

- Orgazmy. Wielokrotne. - Jill właśnie zdobywała prawo otrzymania doktoratu honoris causa w dziedzinie seksuologii. - Ważne, żeby się wyluzować, iść na całość, nie przejmować się, że masz obwisły biust albo grube uda. Zawsze możesz założyć jakąś superbieliznę. I zgarniasz wszystko - zakończyła triumfalnie.

- A ty? - wyszeptała Vanessa, robiwszy w myślach przegląd swojej bielizny. - Ile razy miałaś... takie coś?

Jill wzniosła oczy do sufitu, zastanawiając się intensywnie nad odpowiedzią, a ja bardzo chciałam się napić.

- Chyba ze sto - powiedziała wreszcie głosem nawiedzanej wróżki. - Chyba ze sto.

Vanessa odetchnęła głęboko, jakby właśnie przeszła wielkie duchowe oświecenie, a Jill była guru, który objawił

jej sens życia.

- Albo i więcej - dodała Jill.

---

\* Alicja jest jedyną znaną mi fundamentalistyczną miłośniczką herbaty i jestem w stanie to zaakceptować, pod warunkiem, że nie jestem zmuszana do picia yin zhen czy wędzonej souchong. To u niej odkryłam rooibos, a także pierwszy i ostatni raz plułam yerba mate.

\* Przepis na sałatkę: puszka kukurydzy, ugotowany ryż w ilości dowolnej, choć ja daję zwykle trochę więcej ryżu niż kukurydzy, bo jak ma być dużo sałatki, to ryż jest świetnym wypełniaczem. Dodać dużo ananasa z puszki pokrojonego w kostkę, około 150 gramów dowolnej szynki też pokroić w kostkę, ale mniejszą, do tego majonez, dużo natki pietruszki, można dodać szczypiorek, sól i pieprz. Aha, ryż można ugotować z kurkumą, wtedy wszystko ma ładny kolor i egzotyczny smaczek. Można dodać ugotowane na twardo jajko. Wszystko wymieszać z majonezem. Naprawdę jest świetna.

\* Ocenzurowano.

ROZDZIAŁ SZÓSTY  
*cóż, Monte Carlo, kotku*

Monte Carlo powitało nas spowite mgłą i lekką mżawką. Zostawiłyśmy samochód na podziemnym parkingu przy pozbawionej sklepów uliczce, kilka przecznic od kasyna. Powlokłyśmy się w milczeniu w kierunku książęcego pałacu, czekając ciągle na Jill, która przyklejała nos do wystaw kilku eleganckich sklepów jak pluszowy Garfield na szybie samochodu. Wiedziałam, że najchętniej spędziłaby w każdym z nich co najmniej półtorej godziny i przymierzałaby każdy kosztujący małą fortunę ciuch. Dla mnie to męka wchodzić do prawie pustego sklepu, w którym dwie chude sprzedawczynie pilnują kilku wieszaków z nieciekawymi sukienkami, oceniają ludzi po butach i z uśmiechem zależnym od tej oceny zadają najbardziej wkurzające pytanie na świecie: „Czy mogę w czymś pomóc?”.

Myślę wtedy zawsze, że owszem, mogą pomóc, mogą czytać książki staruszkom albo pracować z trudną młodzieżą, a jeśli tak naprawdę chcą mi pomóc, to mogłyby posprzątać moją piwnicę, bo nie robiłam tam porządków od co najmniej sześciu lat i bardzo mnie to męczy. Niestety jeszcze nie dojrzałam do powiedzenia im tego. Dla mnie takie sklepy są stratą czasu. Ja chcę sklepów, w których mogę buszować w

stosach ubrań, niepowtarzalnych i często najlepszej jakości, i kupować ich prawie tyle, ile chcę. Sklepów, w których mogę kupować jedwabne szorty, nie mając wyrzutów sumienia, że tysiące, a może miliony małych stworzonek straciło życie w okrutny sposób, aby ktoś wyprodukował metr materiału, bo to obciąża sumienie tego, kto kupił je pierwszy raz. Sklepów, w których obsługa nie ma czasu patrzeć podejrzliwie, czy czegoś nie kradnę, a już na pewno nie ma czasu oceniać mnie na podstawie moich butów.

Tymczasem Alicja kroczyła z godnością, trzymając torebkę pod pachą i udając, że nie zwraca uwagi na książęce ogrody. Jill przeciwnie – okręcała się wokół siebie, lustrując z udawanym entuzjazmem nawet korony drzew, starając się nie patrzeć na nas, ale uśmiechnęła się szeroko do rozgadanej grupy chudych Japończyków. Ja, garbiąc się jak zwykle, szłam kilka kroków za nimi, pobrzękując zawartością małego plecaka z paskudnymi srebrnymi literami CK. Plecaczek wyciągnęłam z kosza na śmieci, po tym jak znudził się Mimi.

Chciało mi się siusiu, jeść i pić, i to dokładnie w tej kolejności. Od wilgoci oklapły nam włosy, nie odzywałyśmy się do siebie od dłuższego czasu i było tak ponuro, jak tylko może być ponuro w Księżstwie Monako.

Postaliśmy przed pałacem wraz z kilkoma innymi turystami, kontemplując bramę i gwardzistów, wyglądających, jakby nie dostawali pensji od kilku miesięcy.

- Księcia nie ma w pałacu - powiedziałam w przestrzeń



przed sobą.

- Skąd wiesz? - zainteresowała się Alicja z wyraźną ulgą, pewnie ciesząc się, że ktoś przerywa milczenie.

- Flaga jest opuszczona, znaczy, nie ma go.

- A gdzie jest? - spytała radośnie Jill.

Wzniosłam oczy do szarego nieba i nie chciało mi się wymyślać odpowiedzi.

- Popłynął na zakupy. Jachtem - powiedziała Alicja z przekonaniem.

- To on ma jacht? - Jill zrozumiała, że Alicja wyciąga rękę do zgody.

- Tutaj wszyscy mają jachty albo chociaż motorówki.

- Sprzątaczkę i kelnerzy też?

Alicja spojrzała na nią, ale Jill miała niewinną minę.

- Jasne. Przede wszystkim oni. Ci bogatsi mają większe jachty albo samoloty.

- A limuzynę z kierowcą dostajesz z urzędu przy urodzeniu - dodałam niewesoło.

- Tak, to twoje konstytucyjne prawo. - Jill bawiła się świetnie. - Kurczę, gdzie tu jest biuro pośrednictwa pracy?

- I nie płacą podatków - podsumowała Alicja, przekładając torebkę pod drugą pachę. - Może lepiej do biura matrymonialnego? Ponoć jest tu najwięcej milionerów na kilometr kwadratowy.

- I znanych ludzi. Aktorów, byłych kierowców Formuły 1, gości od mody - wymieniałam z entuzjazmem. - Mieszkasz sobie tutaj, odrywa ci się guzik od sukienki, a obok mieszka na przykład Tom Ford, więc po prostu pukasz...

- Normalnych ludzi nie stać na wynajmowanie tutaj mieszkania, więc mieszkają we Francji, bo tam jest taniej, a tutaj dojeżdżają do pracy. - Alicja jak zwykle sprowadziła mnie na ziemię. - Gdzie teraz? Bo jestem już zmęczona.

Popatrzyły obydwie na mnie, tak jakbym miała koncesję na prowadzenie wycieczek po kocich łbach jakiegoś państewka, gdzie nawet nie płacą podatków. Wkurzyło mnie to, bo ja muszę płacić podatki, nie mam nawet starej łódki, w kuchni kapie z kranu, a najdroższa sukienka, jaką mam, pochodzi z wyprzedaży i w dodatku jeszcze nigdy nie miałam jej na sobie, nie licząc przymierzania, a było to dwadzieścia lat temu, więc pewnie i tak w nią już nie wchodzę. Przez dwadzieścia lat ani razu nie miałam okazji włożyć mojej supersukienki, a nawet jeśli miałam, to zapewne się bałam, że ktoś mi ją przypali papierosem, że się powypycha, że pochłapię ją sosem albo że odpadną diamentyki przy paseczkach, które krzyżują się seksownie w okolicy mostka. Zrobiło mi się przykro, że zmarnowałam taką piękną czarną sukienkę na cieniutkich ramiączkach, dwadzieścia lat temu dopasowaną jak rękawiczka.

- Cholera, mogłam ją zabrać tutaj! - krzyknęłam z rozpaczą.

Ze dwadzieścia osób spojrzało na mnie spłoszonych, ale

miałam gdzieś to, że w Monte Carlo nie jest ogólnie przyjęte, aby ktoś wyrażał swoje emocje na ulicy. Straciłam tyle lat życia, nie wychodząc z domu, nie bywając na balach i rautach i nigdy już nikt nie zachwyci się mną w mojej cudownej sukience, bo teraz jestem stara i pomarszczona, mam grube uda i nikt już nie ogląda się a mną na ulicy, chyba że zacznę wrzeszczeć. A mam jeszcze tyle ciuchów, których prawie nigdy nie wkładałam, bo bałam się, że się zniszczą i nigdy już nie będę mogła kupić takich samych. Leżą w różnych pudełkach i torbach, ukryte w szafach, pewnie nawet nie pamiętam, że je mam. Przypomniałam sobie białą suknię przetykaną złotem, w której wyglądałam jak gwiazda z niemych filmów, z dekoltem na plecach do samej pupy. Albo małą czarną z delikatnego aksamitu, z brylancikami, które iskrzyły się jak prawdziwe. I czarny kostium w białe groszki, w którym wyglądałam lepiej niż modelki na pokazie Givenchy.

A bielizna? Mam najpiękniejszą bieliznę na świecie, a nigdy nie miałam jej na sobie, bo jak zwykle nie chciałam jej zniszczyć. Nawet na rozbierane randki wkładałam coś pospolitego, wiedząc, że i tak to zdejmę. Mój codzienny stanik jest w kolorze, który jeszcze nie został nazwany, a zwiewny czarny szlafrok jakby zdjęty z Lauren Bacall leży w jakimś zakamarku, a ja donaszam stary, szary mamy, licząc na to, że kiedyś się wykończy i wtedy nie będzie mi żal zacząć nosić ten piękny.

Popatrzyłam ze łzami w oczach na Jill, która z uniesionymi brwiami obserwowała mnie wyczekująco.

- Czy sądzisz, że ktoś będzie oglądał metki na moich majtkach i krzyknie: „Skarbie, jakie śliczne są twoje majtki od Diora”? A ja na to: „Kotku, to coś tutaj to chyba prawdziwa perła”. Więc po co miałam je zakładać? - z płaczem tłumaczyłam wszystko Jill, która nic nie rozumiejąc, kiwała głową i głaskała mnie po ramieniu.

Alicja stała nieopodal i lekko zirytowana udawała, że nie słucha. Zrobiło mi się jeszcze smutniej i chlipiąc, oparłam czoło na ramieniu Jill.

- A te pantofelki, pamiętasz? Mam takie z delikatnej skóry, takie czarne, nikt takich nie ma, nikt! Nawet w Paryżu nie widziałam takich u nikogo... I nigdy ich nie miałam na nogach, ani razu! Nawet nie wiem dokładnie, co tam leży w tych... pakunkach. A ja jak jakiś Kopciuszek w starych majtkach...

Jill zaczęła się dziwnie trząść, objęła mnie mocniej i zrozumiałam, że się dusi ze śmiechu. Oderwałam się od jej ramienia i chciałam uciec, ale trzymała mnie mocno, teraz już śmiejąc się głośno z głową odrzuconą do tyłu. Stałam bezradnie, nie mogąc się wyrwać z żelaznego uścisku Jill, i tylko mamrotałam „ty małpo, ty małpo”, a ona śmiała się przez pięć minut. W końcu puściła mnie i otarła oczy.

- Przez ciebie rozmazałam sobie makijaż.

- Jesteś małpa - wyszeptałam do niej najtragiczniej, jak potrafiłam. - I to wredna.

- Skarbie, bardzo ci współczuję, ale nie mam pojęcia, o

czym mówisz. Chodź, opowiedz wszystko mamusi. - Objęła mnie ramieniem. - No chodź, głupi uparciuchu.

Spojrzałam na Alicję, ale ona raczej mi nie współczuła, zajęta oglądaniem plakatów na okrągłym słupie.

- Co tu jest napisane? - spytała.

Nie chciało mi się nic czytać, chciałam rozmawiać o moich smutkach.

- Od kiedy nie znasz francuskiego? - powiedziała Jill, patrząc gdzieś ponad naszymi głowami.

- Tu jest napisane, że teatr wystawia sztukę O'Hary W *czerni ci do twarzy*. To jakaś cholerna wróżba czy co? - powiedziałam do plakatu. - Mnie też jest w czerni do twarzy. Albo było... sto lat temu - użalałam się nad sobą, chlipiąc dalej, czekając, aż ktoś podejmie temat.

- Jasne, wróżba. To może jednak gdzieś pójdziemy? - Wstrętna Alicja zignorowała uwagę Jill i była dziś wzorem dla ludzi bez serca.

- Kasyno, kasyno... - zaśpiewała Jill na melodię *Chicago*. - Tam idziemy.

- Tam nas jeszcze nie widzieli - powiedziałam obrażona do Jill, ale ona już ruszyła pod górę, stąpając po kocich łbach jak kozica, a ja przez chwilę myślałam, co by było, gdyby się wywalila na tych swoich obcasikach.

Podreptałam za nimi, układając w myślach plan działania po powrocie do domu. Powyciągam wszystko i

poprzymierzam, i będę bardzo elegancka, zacznę wychodzić ubrana w najlepsze rzeczy, nawet robiąc zwykłe zakupy, nawet grabiąc trawnik. A po domu będę paradować do południa w ślicznej koszuli nocnej od Laury Ashley, którą trzymam w pudełku (koszulę, nie Laurę) nigdy nieużywaną. Kwiecista i falbaniasta koszula miała mieć swój debiut, kiedy zamieszkałam na wiejskiej farmie, którą kupię zaraz po tym, jak wydam Mimi bogato za męża i sprzedam mój dom w Mont Royal za grube miliony.

Może nawet powyrzucam stare ciuchy i poznam kogoś, kto doceni mój styl i elegancję, bo sam będzie elegancki, a może nawet wytworny i przy nim będę mogła paradować w moich desusach. Zmienię kompletnie moje życie, przestanę się wszystkim przejmować, będę robić codziennie rano makijaż, a może nawet pierwszy raz od piętnastu lat pójdę do fryzjera i zrobię sobie pasemka, choć na moje długie włosy pewnie będzie to sporo kosztować...

- Alicja, ile kosztują pasemka? - Dogoniłam ją po kilku krokach.

- Nie mam pojęcia - spojrzała na mnie podejrzliwie. - Ile kolorów?

- Czy ja wiem? A ile można?

- Trzy, cztery, nie wiem. Nie robiłam ostatnio.

- I tak masz świetne włosy - popatrzyłam przymilnie na jej krótką fryzurę. - Mnie się tak nie układają, za dużo siwych. Najgorsza ta grzywka, ciągle jest po lewej stronie, a z prawej

jakbym była...

- Skąd ona ma tyle energii? - przerwała mi Alicja, wskazując na plecy Jill i sapiąc lekko. - Jest niesamowita. W złym znaczeniu...

Skrzywiłam się, bo powinna powiedzieć, że mam świetne włosy i że mi ich zazdrości, ponieważ są długie, i zrewanżować się pytaniem o moją farbę do włosów albo fryzjera.

- Hej, paniusiu, skąd masz tyle energii?! - krzyknęłam za oddalającą się Jill, nie doczekawszy się wnikliwych pytań Alicji.

Jill, nie odwracając się, rozłożyła ręce i przyśpieszyła kroku.

- Goni ją miłość do hazardu - zażartowałam pojednawczo, bo przecież nie mogłam obrazić się na Alicję za to, że nie pyta mnie o głupią farbę do włosów.

- Chyba miłość do pieniędzy - Alicja sapła coraz bardziej.

- Nie, ona nie jest taka - zniżyłam głos i też zaczęłam posapywać.

- Ciekawe. Nigdy się nie zastanawiałaś, skąd ona ma pieniądze?

- Z ubezpieczenia? - spytałam bez sensu, bo ja też nieraz się zastanawiałam, skąd Jill ma tyle kasy, że nie musi pracować.

- Tyle czasu i ciągle je ma? Myślisz, że facet był jakimś

fanatykiem ubezpieczania się na wypadek śmierci? Podejrzewam, że miał to gdzieś. A gdyby nawet miał jakieś ubezpieczenie, to pomyśl, przecież to nie mogły być miliony – szeptała Alicja między jednym sapaniem a drugim. – Każdemu by się już dawno skończyły, a przecież ona nie oszczędza... za bardzo.

- E, oszczędza, nie mów.

- Ale jak myślisz, skąd ma kasę? - Pytanie zabrzmiało prowokacyjnie, ale postanowiłam nie zastanawiać się nad tym zbyt długo.

Nie bardzo wiedziałam, czy chcę podtrzymywać tę rozmowę, bo nie mogłam zrozumieć, co w tej chwili przemawia przez Alicję - zazdrość, złość, czy jeszcze coś innego. Cokolwiek to było, niepokoił mnie rozłam w naszej małej gromadce. A z drugiej strony od jakiegoś czasu coraz bardziej lubiłam plotkować, a nawet obgadywać ludzi, temat zaś dochodów Jill był bardzo interesujący. Ona nawet nie rozmawiała o pieniądzach, jakby ten temat nie istniał. A z trzeciej strony - pieniądze pieniędzmi, ale Jill rzeczywiście miała w sobie tyle energii do wszystkiego i tak bardzo potrafiła niczym się nie przejmować, że w moim mniemaniu graniczyło to z głupotą i skrajnym nierozsądkiem.

Moim głównym zajęciem od jakichś osiemnastu lat było przewidywanie możliwych zagrożeń i zabezpieczanie się przed nimi. W domu miałam zawsze zapas świec, wody mineralnej, mąki, cukru, ryżu basmati i worków do odkurzacza. Martwiło mnie przez jakiś czas, że nie mam



opału na ogólnoświatowy kryzys energetyczny, ale w rogu ogródka rosła dziczała jabłoń i to było jakieś rozwiązanie, przynajmniej na krótką metę.

- Może ćpa i dlatego zawsze jest taka podjarana? - zaryzykowałam.

- Zwariowałaś, jakby ćpała, to już dawno nie miałyby co jeść. - Alicja była widocznie świetnie zorientowana w cenach prochów.

- No tak... Może ma bogatego kochanka? - brnęłam dalej w nielojalność.

- Zwariowałaś! Bogatego? - Alicja pokręciła głową. - Kochanka może, ale bogatego? A skąd by go wzięła? A zresztą może i ma. Może rabuje banki. Kogo to obchodzi. Do diabła, ale mam kondycję. - Alicja sapała już jak prototyp maszyny parowej. - Jill, zwolnij trochę!

Jill podniosła prawą rękę i wyciągnęła w górę środkowy palec.

- To ty zwolnij, przecież nie musimy jej gonić - powiedziałam, zdejmując plecaczek i szukając butelki z wodą. - Zazdroszczę jej tego, że się niczym nie przejmuje. Wiesz, mówi co myśli, dba o siebie...

- Tak, mhm, tylko o siebie.

- Nie martwi się. Albo udaje, że się nie martwi... - machnęłam ręką, nie wiedząc, czy Jill się martwi, czy nie. - I cieszy się wszystkim. Też bym tak chciała.

- Dopiero by się działo, gdyby były dwie takie wariatki. Muszę odpocząć.

- Nie siadaj na mokrym - powiedziałam, kiedy przysiadła na kamiennej ławeczce.

- Tylko na chwilę. Muszę schudnąć. Jakies dwadzieścia kilogramów.

- Dwadzieścia? Będziesz wyglądać jak szkielet - pocieszyłam ją. - Pięć wystarczy.

Alicja zawsze była duża, ale nigdy nie walczyła z nadwagą, jakoś wszystko rozkładało się u niej foremnie w miejscach, gdzie według antropologów kobieta powinna mieć trochę... więcej. No i w przeciwieństwie do mnie prawie nie miała zmarszczek na twarzy. To znaczy miała, ale były jakby mniej widoczne. Jestem szczuplejsza od Alicji, a ponieważ mam chudą twarz, więc wyglądam jeszcze szczuplej, ale moje zmarszczki nie są wypełnione. Może gdybym zaraz po jedzeniu stawiała na głowie, to wszystko by mi się wyrównało?

Alicja, w przeciwieństwie do mnie, potrafiła panować nad sobą, nie obżerać się ponad miarę, prawie nie jeść słodczy i czasem zrezygnować z kolacji. Chodziła też na basen, do czego ja oczywiście nie mogłam się zmusić, bo to wymagało wyjścia z domu. Zresztą dla mnie wszystko wymagało wyjścia z domu, a Alicja miała basen w podziemiach swojego wieżowca.

Tak więc Alicja nie była szczupła, ale nie tyła. A ja kiedyś

w chińskiej restauracji potrafiłam zezreć kilogram żeberek na słodko z dodatkami w postaci ryżu, brokułów z sezamem, sześciu springrolls i poprawić torcikiem czekoladowym, co gwarantowało przytycie dwóch kilogramów w dziesięć minut. Koszerny sklep, w którym kupuję bajgle, ma też na moją zgubę cudowne bułki ze słodkim serem. A jakiś czas temu odkryłam grecką cukiernię, w której robią fantastyczną baklawę... Świat jest pełen pułapek.

Na szczęście istnieje stres, który odbiera mi apetyt i odchudza. Bez stresu prawdopodobnie miałabym wagę samicy orki, i to ciężarnej, a tak mimo ekscesów żywieniowych mogłam jeszcze chodzić w starych dżinsach, tych z okresu największego zamartwiania się. Oczywiście obcisłe dżinsy najlepiej wyglądały z długim zakietem, który coraz mniej skutecznie zakrywał buły tłuszczu na biodrach. Większe buły oznaczały, że jest mi za dobrze i że mam za mało zmartwień, i powinny być sygnałem dla facetów, że jestem pogodną, zadowoloną z życia kobietą, która nie lubi się kłócić, a dogadzanie sobie i innym jest jej życiową misją. Niestety, chuda broda ujawniała całą kunsztowną mistyfikację i sprawiała, że moja twarz wyglądała jędzowato i nic nie można było z tym zrobić.

- Chodź, muszę znaleźć toaletę - uznałam, że Alicja już odpoczęła. - I to szybko.

Alicja westchnęła, podniosła się, otrzepała spódnicę i znowu westchnęła. Pewnie coś było nie tak, ale nie mogłam jej teraz o to pytać, znalezienie toalety stało się priorytetem,

nie miałam czasu do stracenia.

- Muszę biec, naprawdę - zaczęłam tańczyć przed Alicją, unosząc wysoko kolana, przytupując, wstrzymując oddech, przykucając, okręcając się wokół, czerwieniejąc i poklepując się po udach. Był to zapewne bardzo dobry taniec, bo kiedy wreszcie pobiegłam, usłyszałam, jak kilka osób bije brawo.

Biegłam jak łania, jak bardzo stara łania, dysząc coraz bardziej i rozglądając się wokół w coraz większej panice. Korzystanie z toalety poza domem to coś, co zawsze stanowiło dla mnie problem. Najgorsze było to, że nigdzie nie został on wystarczająco dobrze opisany i udokumentowany, choć zapewne dotyczył wielu ludzi. Właściwie nie był nigdzie opisany ani udokumentowany, a mnie wydawało się, że jestem jedyną istotą na planecie, która raz na jakiś czas pędzi przez jakieś miasto i wypatruje miejsca, w którym w cywilizowany sposób można się wysiusiać. Nie wszędzie są centra handlowe, gdzie nie trzeba nic kupować, żeby iść do toalety, czy stacje benzynowe, na których się właśnie tankuje. Nie potrafię wejść do pierwszej lepszej restauracji albo pubu, przedrzeć się niezauważona przez tłum gości lub przemknąć wzdłuż pustych stolików, a później wyjść ot tak sobie. Boję się, że ktoś mnie zwymyśla, wezwie policję albo każe przez tydzień obierać ziemniaki, względnie chociaż spojrzy na mnie oczami pełnymi pretensji albo pogardy, kiedy czerwona ze wstydu będę wychodzić, nie spojrzawszy nawet w menu. Myślałam nawet o tym, żeby napisać przewodnik po świecie pod kątem dostępności cywilizowanych miejsc do siusiania, szczególnie dla kobiet.

Strzałeczka i napis „Toilette” uratowały mi życie. Kiedy już odetchnęłam, umyłam w zimnej wodzie czerwoną twarz, wytarłam rozmazaną kredkę na dolnej powiece i wyszłam na zewnątrz, świat był o wiele ładniejszy. Przestało mżyć, przestało wiać, ludzie byli uśmiechnięci i na luzie, a u szczytu schodów zobaczyłam ciemnoniebieską spódnicę Alicji. Ruszyłam żwawo w stronę tej spódnicy, wspinając się po kamiennych stopniach, zostawiając z tyłu widok na przystań pełną wspaniałych jachtów albo innych dalekomorskich, pływających lokat niebotycznych majątków. Minęłam kasyno i poszłam w stronę Café de Paris, rozglądając się w poszukiwaniu Alicji. Zobaczyłam ją, jak przepycha się w stronę uśmiechniętej Jill, rozpartej luzacko przy małym stoliku i wyglądającej jak dziedziczka wielkiej fortuny.

Odetchnęłam głęboko i stanęłam. Rozejrzałam się wokół, chcąc utrwalić wspaniałą chwilę bycia w sercu Monte Carlo. Po prawej stronie miałam kasyno, wyglądające jak tort urodzinowy dla olbrzyma, po lewej wielki plac z latarniami obwieszonymi różnokolorowymi flagami, jakby na przyjęcie wszystkich prezydentów świata, a z tyłu Hôtel de Paris. Ruszyłam powoli w stronę kawiarni, obiecując sobie zacząć nowe życie od tej właśnie chwili, nie czekając na Nowy Rok. I dotarło do mnie zupełnie nagle, że jestem tutaj, z dala od mojej kuchni, i się nie boję! Mogę oddychać swobodnie, nie pocę się ze strachu, nie wkurzają mnie ludzie, nie chcę być sama i to nie tylko tu i teraz, ale odkąd wyjechałam z domu. To odkrycie tak mnie ucieszyło, że roześmiałam się głośno.

Nadal uśmiechałam się szeroko, idąc powolutku i rozkoszując się uczuciem odzyskanej swobody. Plany na przyszłość kłębiły mi się w głowie, stukałam odważnie obcasami, wyprostowałam się, prezentując mój o numer za duży biust, czułam się świetnie. Będę wychodzić z domu codziennie, jak dawno temu, zanim dopadła mnie depresja, będę jeździć na rowerze, może nawet biegać rano, przecież miliony ludzi na świecie biegają, będę robić codziennie makijaż, muszę tylko ustalić, czy przed joggingiem, czy po...

Zaczęłam kluczyć między stolikami i wtedy zauważyłam mężczyznę, który gapił się na mnie znad gazety. Przemknęło mi przez głowę, że wyglądam jak debil z pomyłonym uśmiechem. To nie był przecież ładny, kontrolowany uśmiech, jaki ćwiczyłam czasem przed lustrem, taki bez pokazywania zębów. Wtedy moja broda nie wydaje się szpiczasta i nie widać zmarszczek wokół oczu. Ale chyba było za późno, żeby skorygować minę, więc czując pulsowanie żył na szyi, zdobyłam się na odwagę i spojrzałam na niego jeszcze raz, a on skinął lekko głową, jakby kłaniał się komuś, kogo spotkał kilka razy w sklepie na stoisku z serami.

Oto początek wspaniałej nowej ery w moim życiu - zamiast obdarzyć go powłóczystym spojrzeniem albo mrugnąć, albo klepnąć go w plecy jak starego kumpla, otworzyłam szeroko oczy, jakby wypadła mu sztuczna szczeka, i przemknęłam szybko obok, zastanawiając się, czy urodziłam się taką idiotką, czy zaocznie skończyłam jakiś kurs. Oczywiście pomyliłam kierunek i musiałam przystanąć, żeby na nowo zlokalizować stolik z Jill i Alicją.

Siedziały w milczeniu, Jill rozglądając się wokół, Alicja kontemplując obrus na stoliku. Popatrzyły na mnie, kiedy odsuwałam krzesło, i nie przestały się gapić, kiedy już usiadłam po krótkiej walce z głupim plecaczkiem.

- Co? - spytałam zdziwiona.

- Nic - odpowiedziała Jill, a Alicja wzruszyła ramionami. - Coś taka zadowolona?

- A co, to widać? - spytałam znowu, nie chcąc ujawniać im moich planów na przyszłość i zamierzając objawić moje nowe ja, dopiero kiedy nadejdzie właściwa pora. - Chcę sok pomarańczowy.

- Zamówiłam mrożoną herbatę - powiedziała Jill.

- Niech będzie - zgodziłam się, chociaż nie przepadam za mrożoną herbatą. - Hej, Alicja, co z tobą?

Alicja, ciągle wpatrzona w obrus, zamruwała powiekami, szybko założyła okulary i podparła brodę dłonią. Schyliłam głowę, żeby popatrzeć jej w oczy, ale nie było ich widać zza ciemnych szkieł. Schyliłam głowę jeszcze niżej, myśląc, że ją to rozbawi, ale odwróciła głowę w drugą stronę, jak dziecko, które nie chce wziąć do buzi łyżeczki z jedzeniem. Spojrzałam na Jill, ale ona wzruszyła ramionami, co miało znaczyć: „daj spokój, przejdzie jej”.

Szczerze mówiąc, chciałam dać Alicji spokój, bo nie miałam ochoty zajmować się jej nastrojem na progu mojego nowego życia, ale przypomniałam sobie z jaką cierpliwością ona przez wiele miesięcy znosiła moje płacze i uzalanie się

nad sobą, moje wyrzekania na zły los i okresy apatii, kiedy przez cały dzień nie miałam siły wstać z łóżka.

- Alicja - powiedziałam łagodnie, kładąc jej rękę na ramieniu. - Chociaż powiedz, o co chodzi.

Spuściła głowę i zaczęła rysować palcem niewidoczne wzorki na blacie stolika. Jill zmarszczyła brwi i wyciągnęła rękę w jej stronę.

- Zaraz - powiedziała Alicja drżącym głosem i potrząsnęła głową. - Zaraz mi przejdzie.

- Źle się czujesz? - spytałam zatroskana, bo Alicja czasem skarżyła się na różne drobne dolegliwości.

- ...innam ...ać - wymamrotała w dłoń przytkniętą do ust.

Spojrzałam bezradnie na Jill, ale z jej miny wywnioskowałam, że też nie zrozumiała. Przez chwilę siedzieliśmy cicho, wpatrzone oczekująco w Alicję.

- Nie powinnam była wyjeżdżać - oderwała wreszcie dłoń od ust.

- Dlaczego? - spytałyśmy z Jill jednocześnie.

- Dlaczego? - spytała Alicja, jakbyśmy były niedorozwinięte.

Jill wydeła usta i odchyliła się gwałtownie, dając do zrozumienia, że kompletnie nie rozumie zachowania Alicji.

- Zrobiłaś najlepszą rzecz na świecie - powiedziałam zdecydowanie, posyłając Jill ostrzegawcze spojrzenie. - Zostawiłaś cały ten... bałagan, zamiast siedzieć tam i się



martwić. To było najlepsze, co mogłaś zrobić w tej sytuacji – tłumaczyłam z przekonaniem.

- Oczywiście – poparła mnie Jill.

- Po pierwsze dałaś mu do zrozumienia, że nie jest taki znów ważny, jak mu się zdaje. I że masz własne życie – perswadowałam.

Alicja pokręciła głową.

- Wiesz, że nie jesteś w beznadziejnej sytuacji – stwierdziła Jill. – Znałam dziewczynę, którą mąż zostawił z wielkimi długami, a ona do dzisiaj go szuka. On zaś zwiął za granicę i nikt nawet nie wie, w którym kierunku. Mało tego, nawet nie może się z nim rozwieść, bo musi minąć jakiś tam czas... A pamiętasz Nan, taką wysoką, z piegami? – Alicja mruknęła coś pod nosem, co miało znaczyć, że pamięta. – Facet zostawił ją z jednym dzieckiem i do tego w ciąży, i jeszcze podał ją do sądu, żeby mu płaciła alimenty, bo Nan miała własną firmę i świetnie sobie radziła finansowo, a on był bez pracy, ale nie dlatego, że nie mógł znaleźć, tylko dlatego, że mu się nie chciało!

- A ja znałam dziewczynę, której mąż znęcał się psychicznie nad dziećmi, odkąd postanowiła się z nim rozwieść i nie chciał się wynieść z domu, mimo że miał swoje mieszkanie. A ona chciała tylko, żeby się odczepił i dał jej święty spokój – przyłączyłam się do argumentów Jill, ale spojrzały na mnie podejrzliwie, jakbym zmyśliła tę opowiastkę na poczekaniu.

Chociaż była to historia mojej wirtualnej przyjaciółki A., nie zamierzałam ich przekonywać, że to wszystko prawda.

- Pokazałaś mu, że świetnie sobie radzisz bez niego - ciągnęłam swój wywód, lecz Alicja wciąż kręciła głową. - Że masz swoje życie, rozumiesz, i może to nim wstrząśnie - dodałam z mniejszą pewnością siebie, bo znając Marka, nie miałam złudzeń. Jediną rzeczą, jaką się przejmował, było to, czy kolejna dziewczyna, którą zamierza przelecieć, wyskoczy wystarczająco szybko z majtek, a z biegiem czasu jego stan się pogarszał. - Chociaż trochę nim wstrząśnie...

- Może wstrząsnęłoby nim, gdyby znalazł swojego fiuta w butelce piwa - powiedziała mściwie Jill, która kiedyś znalazła w zamkniętej butelce szczoteczkę do zębów, więc miała nieliczne doświadczenie w znajdowaniu różnych przedmiotów w butelkach piwa.

Alicja wydała z siebie miauknięcie i zakryła usta dłonią.

- Co? - spytała Jill ze złością. - Przecież wiesz, jaki jest. Nawet do mnie się kiedyś przystawiał...

Alicja znowu pokręciła głową. Mogło to znaczyć, że nie wie, jaki jest Mark, ale mogło też znaczyć, że wcale nie próbował podrywać Jill.

- Poważnie! - Jill przyjęła drugą opcję. - Pamiętasz, kiedyś byliśmy razem u takiej, nie pamiętam, jakiejś tam z agencji nieruchomości, poszłaś z nią do kuchni, a ten... kretyn złapał mnie za tyłek. Przepraszam cię bardzo, ale... - podniosła rękę, jakby mówiła: „zostań tam, gdzie jesteś”, i robiła

wrażenie zbyt obrażonej, żeby dokończyć zdanie.

Miałam ochotę poznać więcej szczegółów, a zwłaszcza reakcję Jill, ale Alicja zamachała rękami i dla odmiany zakryła sobie uszy.

- Nie chcę tego słuchać - powiedziała. - Wiem dobrze, jaki jest. Nie wiem, dlaczego mi to mówisz, nie musisz mnie jeszcze bardziej dobijać.

- Nie chcemy cię dobijać, chcemy, żebyś przestała się zamartwiać. - Głupio to zabrzmiało, ale Jill chyba tego nie dostrzegła. - Dobrze zrobiłaś, że go zostawiłaś.

- Może czegoś nie zauważyłam, ale to chyba on mnie zostawił - powiedziała Alicja ironicznie. - Może czegoś nie zauważyłam. A poza tym nie obchodzi mnie, z kim sypiał ani ile razy. Już nie, mam to gdzieś, koniec. Koniec. Naprawdę mam to gdzieś i dziwię się wam, że nie widzicie, o co tu chodzi - oświadczyła podniesionym głosem i chyba była wkurzona. Chyba należało się już zacząć przyzwyczajając do wkurzonej Alicji.

- To powiedz wreszcie, o co chodzi! - zniecierpliwiła się Jill. - O to wczoraj?

Alicja przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby już nigdy nie miała nam nic wyjaśnić, wróciła do kreślenia wzorków na obrusie, łypiąc na nas od czasu do czasu, jakby czekała na to, co powiemy. Wreszcie wzięła głęboki oddech.

- Nie powinnam była wyjeżdżać i zostawiać wszystkiego... bez opieki - powiedziała szybko.

Jill zmrużyła oczy i popatrzyła na mnie.

- Co znaczy... bez opieki? - spytałam niepewnie.

Jill machnęła ręką w moim kierunku, dając mi delikatnie do zrozumienia, żebym się zamknęła. Ze zmarszczonymi brwiami pochyliła się w stronę Alicji.

- A właśnie, zmieniłaś zamki? - Zabrzmiało to tak, jakby pytała, czy Alicja dobrze ukryła zwłoki.

Alicja w milczeniu pokręciła głową i tym razem zakryła oczy. Patrzyłam raz na jedną, raz na drugą, aż wreszcie dotarło do mnie, o czym rozmawiają.

- Nie zmieniłaś zamków? - Jill kręciła głową z niedowierzaniem. - Jezu, Alicja, no to masz problem.

Alicja pokiwała głową, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami. Zrozumiałam, że Jill wie więcej ode mnie, ale nie byłam pewna, czy lepiej zapytać, o co chodzi, czy czekać aż mi powiedzą. Przy okazji poczułam, że mają przede mną sekrety i zaczęłam się zastanawiać, czy nie obrazić się troszeczkę o to, że informują się wzajemnie, mnie zostawiając na marginesie swoich wspólnych spraw. Na razie siedziałam cicho, ze zdenerwowania ciągnąc się za ucho.

- No powiedzcie, o co chodzi - nie wytrzymałam presji.

Jill chrząknęła, a Alicja oparła łokcie na stole.

- Powiedz jej - mruknęła zrezygnowana.

- OK - Jill poprawiła się na krześle. - Kilka dni przed

naszym wyjazdem szanowny małżonek Alicji wyczyścił ich konto – powiedziała, jakby obwieszczała występ iluzjonisty na przyjęciu dla dzieci.

Alicja pokręciła głową. Pobiła dzisiaj rekord w kręceniu głową, a mnie zdumiała moja własna naiwność, przecież kto jak kto, ale ja, etatowa fatalistka, powinnam była przewidzieć, jakie niespodzianki mogą spotkać Alicję na wojennej ścieżce.

- Dużo? – spytałam cicho, bojąc się wywołać u Alicji gwałtowną reakcję, choć powinnam pewnie wydać z siebie jakiś okrzyk zgrozy. Niewiele wiedziałam o wspólnych kontaktach, moje konto było prawie zawsze wyczyszczone, należało tylko do mnie i nigdy nie uważałam, że mogłoby być inaczej.

Jill tak się paliła do wyjaśniania, że prawie wstała z krzesła.

- Kilka setek – powiedziała tonem bukmachera. – Niedużo. Alicja zrobiła zakupy na wyjazd, spłaciła kartę kredytową, jeszcze kilka tygodni wcześniej zainwestowała w jakieś obligacje i zapomniała mu o tym powiedzieć, a później już nie miała do tego głowy.

- Nie miałam do tego głowy – potwierdziła Alicja.

- Ale wczoraj chciała podjąć gotówkę na wypożyczenie samochodu – kontynuowała Jill radośnie – i okazało się, że na koncie... nie ma... ani grosza!

- Ta-dam! – przypieczętowała jej słowa Alicja.

- To świnia! - stwierdziłam z mocą i chyba zareagowałam właściwie, bo Jill uśmiechnęła się szeroko, a Alicja pokiwała głową.

Zastanawiałam się, z czego Jill się tak cieszy, ale zaczęło mi coś świtać w związku z wymianą zamków.

- Boisz się, że wyczyści ci mieszkanie? Jak jakiś pospolity złodziejasek?

- Właśnie. Chociaż to nie byłoby najgorsze, bo poza moimi książkami i telewizorem niewiele tam cennych rzeczy. A telewizor on kupił, więc mam to gdzieś. Najgorsze byłoby, gdyby przyprowadzał do mnie tę... Żle zrobiłam, że wyjechałam. Powinnam być tam i pilnować wszystkiego. I tak będę musiała spalić pościel i wezwać egzorcystę - Alicja ze zrezygnowanym uśmiechem spojrzała gdzieś ponad dachami.

- Myślisz, że jest takim kretynem, żeby przyprowadzać nową laskę do domu swojej żony?

- Wiesz, nigdy nie wiadomo, co temu... przyjdzie do głowy. Wytrzymam jeszcze te kilka dni, a potem się zobaczy.

- Mądra dziewczynka - pochwaliła ją Jill.

- To się okaże, czy mądra - Alicja nie dała się przekonać. - Nie dość, że zrobił mi jedno świństwo, to jeszcze będę musiała się z nim użerać przez prawników. I do tego zepsuł mi wakacje - pokręciła głową z niedowierzaniem. - Boję się, że rzeczywiście wprowadzi się z powrotem i dopiero będę miała problem.

- Ma do tego prawo? - spytałam, zastanawiając się

równocześnie, od kiedy Alicja nie chce, żeby Mark wprowadził się z powrotem, ale pomyślałam sobie, że może wreszcie zmądrzała.

- Gównu, nie prawo! - zawyrokowała Jill. - To mieszkanie Alicji! Kupiła je przed ślubem! A poza tym naraziłby się na niezłe lanie. Sprawybyśmy i jego, i tę małpę! Prawda?

Alicja, wpatrzona gdzieś w przestrzeń, pokiwała wolno głową, ale nie wyglądała na zbyt pewną siebie. Może żałowała, że nie ćwiczyła w młodości kung-fu, żeby mieć w rękach wszystkie atuty, począwszy od wyborowych prawników, a skończywszy na dobrze wycelowanym kopie.

Po chwili westchnęła i popatrzyła na mnie, jakbym to ja miała jej udzielić porady prawnej. Zaczęłam szukać w pamięci jakichkolwiek informacji na ten temat, ale znalazłam tylko strzępki prawa spadkowego, którym zainteresowałam się kiedyś na prośbę mamy.

Położyłam rękę na ramieniu Alicji, co miało podzielać na nią kojąco i uświadomić jej, że zawsze może na nas liczyć w sprawie obicia ryja Markowi, ale porady prawne nie są naszą najmocniejszą stroną.

- Co jest z tą herbatą? - Alicja chyba nie czuła się ukojona. - Gdzie ten kelner?

- Olał nas - stwierdziłam. - A właściwie to co ty zamówiłaś?

- Mówiłam przecież, herbatę mrożoną.

- Wiesz, nie mam pojęcia, jak można zamówić herbatę

mrożoną na migi – powiedziałam nie bez złośliwości. Jill znała tylko kilka francuskich słów i nie przypuszczałam, żeby w jej repertuarze znalazło się słowo „mrożona”, ale być może byłam niesprawiedliwa.

- Hm, może kelner zna angielski? – spytała Jill jadownicie.

- Zaraz to załatwię – zaczęłam podnosić się z krzesła, gotowa dochodzić naszych praw konsumenckich nawet siłą. Emocje nagromadzone od rana domagały się rozładowania.

- Poczekaj... – Jill złapała mnie za rękę.

Usiadłam dość gwałtownie, bo straciłam równowagę.

- Chodźmy stąd – zaproponowała niespodziewanie. – I tak niedługo musimy wracać, zaliczmy jeszcze to kasyno i miejmy z głowy Monte Carlo.

Alicja wpatrywała się w jakiś punkt w kosmosie, stłumiła nerwowe ziewnięcie i przeniosła wzrok na Jill.

- No co? – zdziwiła się Jill. – Nie ma sensu tu siedzieć kolejne pół dnia. Właściwie już mi się znudziło tu być.

Alicja wzniosła oczy do nieba i sapnęła niecierpliwie. Naprawdę zachowywała się coraz bardziej niepoprawnie.

- A herbata? – spytałam. – Przecież zamówiłaś, co jeśli będzie nas gonił z tacą?

Wyobraziłam sobie goniącego nas kelnera i od razu przypomniałam sobie faceta, który się na mnie gapił. Poczulałam na plecach jego wzrok, zrobiłam odpowiednią minę, poprawiłam włosy, wyprostowałam się i potknęłam o



krzesło. Klnąc w duchu moją niezdarność i pecha, spod oka zlustrowałam okolicę, ale stolik przy którym siedział, był pusty. Ty debilu, powiedziałam do siebie, i byłam szczęśliwa, że ludzie nie widzą cudzych myśli. Czterdziestoletnia baba wyobraża sobie coś w związku z kimś, kto ledwo zahaczył o nią wzrokiem. Tak, każde spojrzenie nieznanego stawało się dla mnie obiecującym początkiem wspaniałego związku. Byłam zboczona.

Tysiące razy wymyślałam kogoś, kto będzie przy mnie. Jasne, że chciałam się budzić przy kimś, kto zdejmie ze mnie odpowiedzialność za następny dzień, kto sprawi, że nie będę musiała być dzielna i samofinansująca się, kto przyniesie mi herbatę i rogaliki do łóżka z pościelą ozdobioną koronką. Zdecydowanie najściślej miałam określone wymagania co do pościeli, jej koloru, fasonu i liczby poduszek. Ustalony był również wystrój sypialni na poddaszu z niskim stropem i drewnianą, koniecznie ciemną podłogą, nie zapominając o białych muślinowych firankach poruszanych ciepłym wietrzykiem wiejącym z otwartego okna.

Co do mężczyzny mojego życia, to nie byłam fanatyczką jakiegoś określonego typu. Ważne, żeby był dobry, mądry, bogaty i podobny do Gregory'ego Pecka, niekoniecznie w tej kolejności. Żeby nie handlował prochami ani bronią i nie był zbyt związany uczuciowo z byłą żoną.

Jeden ze scenariuszy przewidywał, że rogaliki i kawę będzie mi przynosił podobny do Gregory'ego Pecka wykładowca uniwersytetu, najlepiej archeolog, bo dla

archeologa im będę starsza, tym cenniejsza, jak egipska mumia z okresu Starego Państwa. Zaimponuje mi wiedzą, bo przeczytał mnóstwo książek, oczywiście ja jemu też będę imponować wiedzą, bo też przeczytałam mnóstwo książek, i tym sposobem wzajemna fascynacja nigdy się nie skończy, choć pojawi się problem porzrzucanych w nieładzie papirusów, gruzu z wykopalisk i szukania zagubionych w fotelach krawatów. Wprawdzie mogło się zdarzyć, że po kilku miesiącach będzie wolał patrzeć w oczy jakiegoś nagiego posągu, ale i tak było warto spróbować.

Inny scenariusz obsadzał w roli głównej podobnego do Gregory'ego Pecka lekarza psychiatrę, który jak nikt inny zrozumie moje lęki i obsesje, będzie wyrozumiały dla fobii i kaprysów, otoczy mnie czułą opieką, a w wolnych chwilach będzie kosił trawę, zabierał mnie na kongresy i głaskał godzinami po głowie.

Byłam na niego zła, bo powinien był pojawić się już dawno, kiedy jeszcze czułam się atrakcyjna, a nie w jesieni mojego życia, bez nadziei na włożenie sukienki z dużym dekoltem albo seksownej bielizny bez narażania się na zniesmaczone spojrzenia innych kobiet, w kwestii sukienki, a nie bielizny oczywiście. W każdym razie powinien był się pojawić, zanim zacznę wyglądać jak Imperator z *Gwiezdnych wojen*, czyli naprawdę miał niewiele czasu.

Ale z drugiej strony nieważne kim miał być, moje związki i tak kończyły się bardzo szybko. Na ogół nie trwały dłużej niż kilka wieczorów, bo zwykle facet miał jakąś ukrytą wadę,

której oczywiście na pierwszy rzut oka nie mogłam dostrzec, ale po jakimś bardzo krótkim czasie wychodziła na jaw. Był albo zbyt rozrzutny, albo codziennie pił piwo, albo nie umiał mnie rozśmieszać, albo szczyił się nieumiejętnością ugotowania makaronu i włączenia pralki, albo opowiadał zbyt rozwlekle, albo zmuszał mnie do wyjść z domu, albo nie umiał pływać, albo nie zadzwonił następnego dnia. Każdy pretekst był dobry, żeby go wywalić z mojego życia i znowu z ulgą oddać się moim samotniczym nawykom.

Nie zamieniłabym wieczornego przysypiania pod kocykiem przed telewizorem, z ciasteczkami pod ręką na pytania z pretensją w głosie: „Ty nie masz zamiaru iść spać?”. Czasem buszowanie po lodówce o pierwszej w nocy albo generalne porządki w szafach w niedzielne przedpołudnie ratowały mi życie i jestem pewna, że niewielu facetów byłoby to w stanie zrozumieć, zaakceptować i wybaczyć. Nieraz depilowanie nóg w środku nocy albo wieczorne odgrywanie na powietrznej gitarze wszystkich solówek Marka Knopflera to było coś, dla czego warto poświęcić rozmowy przy kolacji albo nawet seks.

Zawsze zostawały mi jeszcze smutno powiewające muślinowe firanki i okropne myśli o błędnym wyborze drogi życiowej, i zależna od nastroju nadzieja, że gdzieś jest jednak ktoś, kto będzie mnie znosił taką, jaką jestem.

Czułam już na karku oddech starości w melancholii jesiennych i zimowych wieczorów, w tęsknocie za niespełnionymi marzeniami, w przeświadczeniu, że dni są

coraz krótsze i że mam coraz mniej czasu na to, żeby choć przez chwilę żyć tak, jak sobie wymarzyłam. I te fizyczne zmiany, które pojawiły się zniemacka, podpełzały w nocy, w ciemnościach, kiedy spałam i nie mogłam się przed nimi bronić. Skóra na moich ramionach jest coraz bardziej dziwna, potrzebuję stanika z miseczką D, a nie C jak dotąd, i wiem, że niedługo trzeba będzie zacząć brać estrogen. Całe życie marzyłam o tym, żeby mieć długie, naprawdę długie włosy i kiedy wreszcie mi się to udało, to zrobiły się o wiele cieńsze, tak że właściwie powinnam je ściąć, zrobić sobie trwałą i ufarbować na lekki fiolet. Za to kolana mam grubsze i pokryte jakąś obcą skórą, której jeszcze pięć lat temu tam nie było. Już prawie niczego nie mogę przeczytać bez okularów i mam wrażenie, że nos zrobił mi się odrobinę dłuższy, a to już naprawdę przesada.

Nie miałam zbyt dużo czasu na obserwowanie zachodzących we mnie zmian, ale te, które zauważałam, mogły dotkliwie zdołować. Generalnie zgodziłam się na starość, pod warunkiem, że nie będzie bolało, ale nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że wszystko minęło tak szybko i nikt oprócz babci mnie przed tym nie ostrzegał\*. Kiedy przeleciało te dwa tysiące trzysta czterdzieści tygodni, gdzie się podziało szesnaście tysięcy trzysta osiemdziesiąt dni, z których pamiętam może z pięćdziesiąt? Jak spędziłam wszystkie niedziele, z których każda powinna być super, a setki z nich przepłakałam, przekłóciłam się, przespałam albo zmarnowałam w inny sposób.

Obiecowałam sobie, że muszę napisać listę rzeczy, które

chcę jeszcze w życiu zrobić. Jeśli kiedyś powstanie, nie będzie to krótka lista. Nie robiłam setek rzeczy, które koniecznie trzeba zrobić, ale miałam straszliwe odczucie, że kończy mi się czas na ich zrobienie i jeśli się nie pośpieszę, to umrę bardzo niezadowolona.

Ale najgorsza była świadomość, że marnuję czas, ścierając kurze, gotując obiady, ścieląc łóżka czy robiąc raz w tygodniu porządek w szafach i inne codzienne, niezbędne rzeczy. Miałam wrażenie, że powinnam być zupełnie gdzie indziej i robić zupełnie co innego – zdobywać szczyty choćby w Appalachach, skoro nie stać mnie na Himalaje, zakładać fundacje, projektować ogrody lub brać udział w demonstracjach przeciwko jakiejś bezsensownej wojnie, homofobii, wycinaniu lasów deszczowych, nowej ustawie podatkowej czy w obronie wielorybów, wolnego Tybetu, wcześniejszych emerytur albo prawa do aborcji dla mieszkanki Salwadoru. Wiedziałam też, że mam coraz mniej czasu na życie, cokolwiek się kryło pod tą nazwą. Ale wyobrażałam sobie, że życie to budzić się rano i przez cały dzień robić tylko to, co chcę robić. I następnego dnia budzić się rano i przez cały dzień robić tylko to, na co mam ochotę. A następnego dnia obudzić się rano i przez cały dzień robić tylko to, na co mam ochotę, choćby nie miało to najmniejszego sensu, bo przecież jak dotąd ciągle musiałam robić tylko rzeczy, które miały sens.

No i jest jeszcze Mimi...

•

- Nie wiem, po jaką cholere ja tam ide - warczałam do siebie. - Po jaką cholere się zgodziłam.

Miotałam się po pokoju, przymierzając dziesiątą spódnice i próbując wciągnąć na nogi grube rajstopy bez zrobienia w nich dziury. Nie mogłam się ubrać w jakiś czarny garnitur jak kobieta interesu, bo nią nie byłam i wszyscy od razu by poznali, że stroję się w cudze piórka, a poza tym nie miałam kostiumu w typie panienek z biur z Downtown. Szłam na spotkanie z jedynym facetem, który zaproponował mi w tym półwieczu kolejną randkę, więc nie mogłam włożyć dzinsów, bo mógłby zapytać, gdzie jest mój koń i lasso, gdyby chciał rzucić mnie na kolana swoim poczuciem humoru. Hippisowska kiecka też odpadała, choć może zrobiłaby na nim wrażenie, gdybym miała ze dwadzieścia pięć lat mniej, a on lubiłby lolitki. Mogłam włożyć koszulkę z napisem „Rozwiodłam się z mężem z powodów religijnych. On myślał, że jest Bogiem, ja nie”, ale facet mógł nie zrozumieć przesłania, a poza tym nie byłam w aż tak luzackim nastroju. Byłam w nastroju panicznej ucieczki.

Zdecydowałam się na niedbałą elegancję - biała bluzka z klasyczną szarą spódnicą, znalezioną po dziesięciu minutach na przedostatnim wieszaku.

- Nie mam butów, Jezu, nie mam butów - jęczałam w przedpokoju, wywalając z szafki czarne czółenka, brązowe zamszaki, mokasyny, trampki, zimowe trapery. - Gdzie są moje szpilki, Mimi, nie wiesz, gdzie są moje szpilki?! - wrzasnęłam w kierunku kuchni.

- Przecież ci ich nie wzięłam - dobiegł z kuchni obrażony głos mojej córki.

- Kto cię tam wie - mruknęłam.

Mimi ma niesamowitą wybiórczość słuchową. Kiedy przez pół dnia proszę, żeby coś zrobiła, odbiera na zupełnie innej częstotliwości. Ale rzeczy, które nie powinny do niej trafiać, słyszy z mocą koncertu AC/DC. Usłyszałam zbyt głośne stuknięcie łyżeczki o blat stołu i po chwili stanęła przede mną ze zmarszczonymi, źle wyskubanymi brwiami.

- Czy ty zawsze musisz mnie o wszystko oskarżać? - spytała obrażonym tonem.

Tę scenę kręciliśmy już ze dwieście razy, więc byłam uodporniona.

- Nie oskarżam cię, tylko grzecznie pytam, czy nie widziałaś moich szpilek - odpowiedziałam spokojnie. - Po prostu pytam.

- Zawsze mnie o wszystko oskarżasz! - rzuciła zaczepnie.

- Jeszcze raz ci mówię, że cię nie oskarżam, tylko pytam. A poza tym dziwnym trafem znajduję moje rzeczy w twoim pokoju...

- Grzebiesz mi w rzeczach! Ciągłe mnie szpiegujesz!

- Jak mam szukać moich rzeczy, które są w twoim pokoju, nie zaglądając do twojego pokoju? Może mi powiesz? - Wrzucałam ze złością buty z powrotem do szafki.

- Nie mogę mieć prywatności w tym domu, bo wszędzie

mi grzebiesz! – Jej kodeks moralny wywodził się w prostej linii od ludożerców.

– Więc uważasz, że tobie wolno brać moje rzeczy, a mnie nie wolno ich szukać w twoich? – Tak brzmiała uwertura do grubszej kłótni.

– Ja ci nie grzebię w rzeczach! – wrzasnęła, czerwona na twarzy.

Stała przede mną podparta pod boki, a ja zastanawiałam się, dlaczego jest taka głupia i czy ja w wieku piętnastu lat też miałam mózg jak jajko gołębia.

– Mimi, skoro nie grzebiesz mi w rzeczach, to jakim cudem moje rzeczy są w twoim pokoju, a nawet w twoich szufladach w twojej szafie? – spytałam najspokojniej, jak umiałam, powstrzymując wściekłość. – Wędrują sobie same korytarzem? Czy może przychodzą pocztą i na maleńkich nóżkach przemieszczają się do twoich szuflad?

Zawsze miałam nadzieję, że tym razem dam radę wytrzymać jej prowokacje. I zawsze w końcu wybuchałam gniewem, i wrzeszczałyśmy na siebie z różnych pomieszczeń w domu, z kuchni, ze schodów, z mojej sypialni na górze, z jej pokoju na górze, a każda z nas była oczywiście w innym miejscu, nakręcając się coraz bardziej, aż do wyczerpania energii.

Zrobiła minę typu „ale śmieszne” i czekała na dalszy ciąg. Skończyłam wrzucać buty i zastanawiałam się, czy kłócić się dalej. Postanowiłam, że tego dnia chcę za wszelką cenę



zachować szacunek do siebie. Ale Mimi miała inne plany.

- A gdzie ty właściwie idziesz? - spytała.

- Mówiłam ci, że dzisiaj wychodzę.

- Z tym pedałem? - Pewnie była to najgorsza obelga, na jaką było ją stać.

- Nie mówi się pedał, tylko gej - pouczyłam ją spokojnie, podnosząc się z kolan. - Ale on nie jest gejem, a nawet gdyby był, to mam prawo czasem wyjść z domu z kim mi się podoba.

Fuknęła i zbierała siły do następnego ataku.

- A ja mam zostać sama? - spytała obrażona.

- Nie, wiesz, zaraz przyjdzie Mary Poppins - powiedziałam prowokująco, ale natychmiast się zmitygowałam. - Och kotku, zjesz kolację, pooglądasz telewizję i już będę z powrotem - powiedziałam pojednawczo, wyciągając rękę, żeby ją pogłaskać, ale cofnęła się gwałtownie.

- To ja nie chcę kolacji - odwróciła się i weszła do kuchni.

Postałam chwilę, nasłuchując, co robi, i poszłam za nią.

- Czemu nie chcesz kolacji? - stanęłam kilka kroków od niej, żeby nie mogła mi zarzucić, że naruszam jej przestrzeń życiową. - Dlatego że wychodzę, to ty już nie chcesz kolacji? To ma być zemsta na mnie, prawda? Za to, że chcę raz na jakiś czas zmienić otoczenie?

- Nie jestem głodna - oznajmiła, demonstracyjnie

wrzucając paczuszkę z szynką do lodówki.

Wyszła z kuchni, nie patrząc na mnie, za to z ustami wygiętymi w grymasie, który odziedziczyła po mnie.

Szczerze mówiąc, wiedziałam, że tak będzie. Zaczynałam być wściekła, tylko nie wiedziałam, na kogo bardziej, czy na Mimi, która uzurpowała sobie do mnie wszelkie prawa i korzystała z nich bezwzględnie, czy na siebie, że pozwalałam dojść do głosu nieokreślonym wyrzutom sumienia. Musiałam to natychmiast ustalić, więc poszłam na górę.

Drzwi do jej pokoju oczywiście były zamknięte. Miałam następny dylemat: zapukać czy nie. Z jednej strony dobre wychowanie, które starałam się jej bezskutecznie wpoić, nakazywało zapukać. A z drugiej strony byłam u siebie i nie mogłam pozwolić, aby kiedykolwiek zaczęła ode mnie wymagać, żebym we własnym domu nie mogła wszędzie wejść. Dyplomatycznie uchyliłam drzwi i nie wchodząc do pokoju, oparłam się o futrynę.

Nie wiem, kiedy nadszedł moment, w którym stojące równiutko na półeczkach słodkie koniki pony i różowe mebelki Barbie zostały zavalone przez setki sweterków, płaszczków, kurtek, bluzeczek, różnej wielkości toreb, dziesiątek butów, podkoszulków i spodni rzuconych na puste opakowania po pizzy. Jej ciuchy zwykle były tylko przymierzane – zdjęte z wieszaków lub z półek były wkładane tylko na chwilę i nie trafiały równo złożone z powrotem na półki, tylko odbywały pokutę na podłodze, skąd po jakimś czasie były wynoszone do pojemnika na pranie, bo Mimi nie

chciało się ich składać. Długo dawałam się na to nabierać, wściekając się, że mam tyle prania. Potem wpadłam na pomysł wążania jej rzeczy, żeby ocenić, czy wymagają już wyprania. Teraz nie robię już awantur o to, że mogłaby niektóre rzeczy wkładać jeszcze raz, zanim wrzuci je do prania. Mam jakąś mściwą satysfakcję, zanosząc z powrotem do szafy jej rzeczy, nietknięte wodą, płynem do prania ani żelazkiem - mała zemsta służącej, która pluje swojej okrutnej pracodawczyni do zupy.

Pokój mojej córki niezmiennie przypominał krajobraz po przejściu wrogiej armii. Namierzyłam kilka niedojedzonych jabłek na biurku, utyłanych w rozsypujących się cieniach do powiek, porozrzucone kartki, płyty CD i skarpetki, trochę niezidentyfikowanych śmieci na środku, zwinięty w harmonijkę dywanik i kilka brudnych talerzyków porozstawianych strategicznie w różnych miejscach. Mimi leżała na łóżku, z wielką uwagą wpatrując się w ścianę i kołysząc rytmicznie nogą.

- Wyjdź - zażądała, nie patrząc na mnie.

- Posłuchaj...

- Wyjdź! - krzyknęła z wykrzywioną twarzą.

- Przestań do mnie mówić tym tonem...

- Bo co?

Odpowiedzi na to pytanie było wiele i istniały od początku świata - bo jestem starsza, a starszym należy się szacunek, bo jestem twoją matką, bo w ogóle nie należy tak się

odzywać do ludzi, bo jesteś wredna, bo mnie wkurzasz...

- Bo wiadro - ta odpowiedź wydała mi się w tej chwili najlepsza, bo byłam zdenerwowana i nie chciało mi się zaczynać z góry skazanej na niepowodzenie dyskusji.

- Tak, to są właśnie twoje argumenty - powiedziała, jakby to ona była mną. - Tak właśnie zawsze się do mnie odzywasz!

- No właśnie, jak to ja się do ciebie zawsze odzywam? - spytałam zirytowana. - Lepiej zwróć uwagę, jak ty się do mnie odnosisz, i to nie tylko dzisiaj, ale cały czas. Traktujesz mnie gorzej niż służącą, mam dla ciebie sprzątać, gotować, prać i niczego w zamian nie żądać...

- Nikt cię nie prosi! - usiadła na łóżku. - Czy ja ci mówię: sprzątaj? Ciągle mi tylko wypominasz...

- Ja ci wypominam?! - starałam się mówić spokojnie, ale coraz bardziej podnosiłam głos. - Co ci wypominam, że ciągle masz bałagan i wszędzie gdzie się ruszysz, zostawiasz po sobie nieład, że cię proszę codziennie, codziennie, żebyś posprzątała po sobie? Po sobie, Mimi, nie po mnie...

- Mogę nigdzie nie chodzić, mogę nie jeść, jeśli ci się nie podoba! Tobie nic się nie podoba, wszystko robię źle, mogę się w ogóle wyprowadzić!

I w tym momencie zwykle kończyła mi się cierpliwość. To była ta granica, której w czasie dyskusji z Mimi przekraczać nie powinnam pod żadnym pozorem, choćby po to, żeby nie wywalić jej z domu albo nie musieć jechać na ostry dyżur do szpitala psychiatrycznego. Wzięłam głęboki oddech.

- Posłuchaj, nie robisz wszystkiego źle, chcę tylko, żebyś przestrzegała pewnych zasad, a należy do nich podporządkowanie się ogólnym społecznym zasadom i utrzymywanie minimum porządku w tym domu. To naprawdę nie wymaga nie wiadomo jakich wyrzeczeń, nie każę ci codziennie wstawać rano i pracować ponad siły, doić krów ani czyścić mi butów, chcę tylko...

- A może ja chcę mieć bałagan?! To mój pokój i nie masz prawa tu wchodzić!

- Mieszkasz tutaj i powinnaś przestrzegać zasad! - Próbowałam się opanować, ale mój głos był coraz bardziej płaczliwy. - A pierwszą zasadą jest sprzątać po sobie, bo dobrze wiesz, że nie potrafię funkcjonować w bałaganie!

- Liczy się tylko to, czego ty chcesz! - wrzasnęła.

- Tak, bo ja chcę baaardzo dużo! - odwrzasnęłam. - Naprawdę moje wymagania są tak wielkie, że nikt by tego nie zniósł, a cóż dopiero biedna, mała Mimi!

Wstała z łóżka, podniosła z podłogi jakieś czasopismo i cisnęła nim o ścianę. Farba drukarska zostawiła ciemny ślad na ścianie, którą dwa lata temu z wielkim poświęceniem malowałam. Miałam teraz dwa wyjścia: udusić moją córkę w afekcie albo wycofać się tyłem i zamknąć za sobą drzwi. Obydwa były do niczego, obydwie skazywały mnie na klęskę.

- Cóż, chyba za mało się staram - powiedziałam cicho, mając nadzieję, że zabrzmiało to wystarczająco tragicznie. - Pewnie za mało dla ciebie robię.

Odwróciłam się i poszłam do mojego pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Położyłam się na łóżku i skuliłam pod kołdrą. Powinnam zacząć ssać kciuk, żeby było bardziej widowiskowo, ale postanowiłam koniecznie zacząć płakać i wywalić z siebie nieskończone poczucie krzywdy, jaka spotyka mnie codziennie pod moim własnym dachem.

- Jak może taka być? Jak może? - szeptałam z niedowierzaniem w poduszkę. - Co ja jej zrobiłam, że jest dla mnie taka wredna? Niszczy mi rzeczy, zgubiła mi bransoletkę, jest niegrzeczna, w niczym mi nie pomaga, w niczym... - wyliczałam płacząc, przypominając sobie ocean szkód.

Przypomniałam sobie stłuczoną szybę w drzwiach, kiedy trzasnęła nimi ze złością i nigdy za to nawet nie przeprosiła. Moje nieprzespane, przestane przy oknie nocne, kiedy nie wracała do domu, a ja nie wiedziałam, co robić, do kogo dzwonić ani jak reagować, gotowa wybaczyć wszystko, byleby tylko znów była z powrotem. Przypomniałam sobie stuknięty zderzak w samochodzie, który wzięła na przejażdżkę z równie głupią jak ona koleżanką, która przezornie nie pokazała mi się więcej na oczy, czego bardzo żałowałam, bo wtedy mogłabym wykrzyknąć należne jej pięćdziesiąt procent mojej wściekłości.

- Szkoda, że cię wtedy nie zamknęli! - krzyknęłam ze złością w stronę drzwi. - Czegokolwiek dotkniesz swoimi łapami, zamienia się w ruinę!

Pomyślałam, że faceci mają dobrze, bo mogą wszystko

zostawić, zwiać, pozbyć się niewygodnych rzeczy ze swojego życia i bez skrępowań iść gdzie indziej zbawiać świat albo gdzie indziej spaprać komuś życie, udając, że zrobili wszystko co w ich mocy, żeby wszystkim było z tym dobrze. Z uśmiechem potrafią pozbyć się odpowiedzialności i żyć po swojemu, bez łez, sentymentów i wiszących im u spodni dzieci.

Ja też spakuję rzeczy i pojedę przed siebie, jak najdalej od kłopotów i zmartwień, zostawię wszystko swojemu losowi, zostawię Mimi, może wtedy dotrze do niej, że jej stara matka nie zasłużyła sobie na takie traktowanie.

- Wszystko dla niej robię, jestem jak niewolnik w tym domu, staram się, jak umiem - zwierzałam się poduszce. - I wszystko dla niej, cholera, wszystko dla niej, a dla mnie sprzątanie, pranie i trzymanie w kupie tego wszystkiego. Wszystkiego sobie odmawiam, wszystkiego. A chciałam tylko wyjść z domu, raz w sobotę chciałam się wyrwać z codzienności. Czemu ja muszę zawsze za wszystko płacić, czemu jestem taka głupia...?

Odwróciłam się na drugi bok, bo zaczęły mnie uwierać druty w staniku. Zobaczyłam stojące na stoliku zdjęcie chyba pięcioletniej Mimi z jasnymi loczkami i smutnym uśmiechem. Miała podkrążone oczy, była bledziutka i miała na sobie śliczny zielony sweterek, który kupiłam za dwa dolary w sklepie z używaną odzieżą, podczas gdy jej koleżanki nosiły ciuchy z Macy's albo Gap po osiemdziesiąt dolarów za sztukę. Nawet nie wiem, czy wtedy czuła się gorsza od innych dzieci,

czy wtedy to jeszcze nie miało znaczenia. Przypomniałam sobie, jak próbowała mnie pocieszać, kiedy płakałam całe dnie, bo depresja zabiła we mnie wszystko prócz smutku. Jak bawiła się grzecznie nielicznymi zabawkami, na pewno samotna bez towarzystwa innych dzieci, bo nie miałam siły wyjść z nią do parku. Pamiętam kojący uścisk jej małych łapek, kiedy nie mogłam przeboleć pięćdziesięciodolarowego mandatu za parkowanie, bo pięćdziesiąt dolarów prawie pokrywało nasze tygodniowe wydatki na jedzenie. Pamiętam, jak chętnie pomagała mi w drobnych pracach domowych i jak wrzeszczałam na nią, kiedy nie sprzątała swoich zabawek, jak dostawała klapsy za drobne przewinienia i jak mało ode mnie dostała czułości i poczucia bezpieczeństwa.

Oczywiście nie poszłam tamtego wieczoru na randkę, co być może uchroniło mnie przed atakiem psychopaty, a na pewno przed zjedzeniem zbyt obfitej kolacji. Szpilki znalazłam jakiś czas później w szafie Mimi, ale nie nadawały się już do noszenia.

•

Do kasyna szłyśmy bardzo powoli, w milczeniu, nie patrząc na siebie, jakbyśmy wracały z pogrzebu. Kelner ani nikt inny nie pobiegł za nami, nawet nie zauważył nas wśród dziesiątek stolików i setek gości, którzy zamawiali coś więcej niż dwie mrożone herbaty. Było mi smutno i jakoś niepewnie, bo czułam, że nie powinno być między nami żadnych napięć, że to miały być wakacje naszego życia i miałyśmy się świetnie bawić, zostawić za sobą całą nudę codzienności, chłonąć śródziemnomorską pogodę ducha, zapachy pinii,



smażonej oliwy z czosnkiem i rozmarynu, pławić się w morzu, zapomnieć o gotowaniu i codzienności. Podróż to coś, co ma być z założenia odkrywczym i znaczącym, co pozwala nam spojrzeć z dystansem na nasze życie, klęski i cele poprzez poznawanie nowych ludzi i ich zwyczajów, to uczenie się od nich nowych rzeczy, wreszcie porównywanie ich otoczenia z naszym. I jeszcze te wyobrażenia miejsc, które mamy zobaczyć...

Toskania ma być serią pagórków porośniętych kwitnącymi słonecznikami, z rzędem smukłych cyprysów i piękną willą na horyzoncie. Jeśli Australia, to surfing i kangury, jeśli Egipt, to piramidy, a jeśli Kalifornia, to tylko Hollywood i może jeszcze Golden Gate. Po przyjeździe w wymarzone miejsce szukamy naszych wyobrażeń o nim, zamiast odkrywać nowe, ekscytujące rzeczy. Dajemy się zwieść schematom, jakie narzuca nam owczy pęd, a jeśli ktoś czasem znajdzie jakieś miejsce na ziemi, które nie jest jeszcze zalane betonem, natychmiast ogłasza to w Internecie, co w następnym sezonie powoduje zrównanie raju z ziemią.

Tak więc tutaj większość rzeczy wydawała mi się bez sensu - zwiedzanie miejsc bez znaczenia, beczynne leżenie na plaży, kolacje w restauracjach z kiepskim jedzeniem, lot cztery tysiące mil od domu tylko po to, żeby tęsknić za własnym łóżkiem i ścieraniem kurzu. Lekko wściekła pomyślałam, że zapachy śródziemnomorskiej kuchni chłonełam najpełniej w greckiej restauracji przy Avenue du Parc, gdzie na przystawkę podawano chleb z ciepłą oliwą, a

w każdej kabinie toalety stały ogromne bukiety świeżych kwiatów.

Jedynymi ludźmi, których tutaj poznałam, byli panienka od śniadań w hotelu i lodziarz, a nasz kontakt ograniczał się do kilku uśmiechów i gestów. Nie znałam ich imion, nie poznałam ich nawet powierzchownie, nie wiedziałam, jak sobie radzą z problemami ani czy ich kłopoty są podobne do moich. Chciałam wiedzieć, czy mają może jakieś magiczne włoskie sposoby na spędzanie życia w zdrowiu i szczęściu, a nawet nie spytałam, jak się robi prawdziwe spaghetti carbonara. Dziwne jest to, że podróżując w nowe, obce miejsca, zwykle szukamy podobieństw, jemy w globalnych sieciach fast food, zamiast próbować lokalnych, egzotycznych dla nas potraw, wolimy kupić w prezencie czapkę ze znaczkiem znanej na całym świecie firmy produkującej buty sportowe niż mieszankę miejscowych przypraw, a sklep Yves Rocher w jakimś mieście na drugim końcu świata daje nam poczucie bezpieczeństwa i stałego związku z naszą własną, komercyjną cywilizacją.

Właściwie nie wiem, czego się spodziewałam po tej wyprawie. Kiedy Jill przekonywała nas do wyjazdu, roztaczając wspaniałe mirażę jak arabski kupiec sprzedający dywany, wszystko wydawało się inne, wszystko miało być egzotyczne, łatwe, przyjemne i wstrząsająco wspaniałe, i oczywiście miało być początkiem nowego życia, na które zawsze czekam, zamiast żyć tu i teraz, bez potrzeby ciągłego zaczynania wszystkiego na nowo, bez szukania ziemi obiecanej i czekania na ten moment, kiedy już będę na

pewno wiedziała, że właśnie zaczęłam to nowe życie.

Rozczarowanie - to słowo najlepiej oddawało mój stan. Rozczarowanie i złość z powodu wydanych pieniędzy, za które mogłam kupić sobie wymarzony sweter za czterdzieści dziewięć, dziewięćdziesiąt dziewięć i jeszcze zostałyby na kilka innych rzeczy, bardziej mi potrzebnych niż zdychanie w upale i beznadziejna bezczynność. Ile rzeczy mogłabym zrobić w tym przeleżanym bezproduktywnie czasie. Nawet nie będę miała się komu pochwalić podróżą do Europy, bo wszyscy, których mogłabym tym zainteresować, są ze mną, oprócz mamy, ale mama nie lubi się odrywać myślami od bieżących indyczych spraw. Mimi ma gdzieś nie tylko moje podróże, ale i mnie w ogóle, może zainteresowałby ją jakiś drogi prezent z odpowiednim logo, ale na pewno nie mój zachwyt nad architekturą czy krajobrazami miejsc moich wakacyjnych wędrówek. Jeśli już jedzie się w miejsce, w którym zabijamy czas robieniem sobie manicure, to przynajmniej trzeba tam być z kimś, kto zapewni nam rozrywkę, a nie z dwiema ciotkami, które się zna lepiej niż siebie i które niczym nie mogą zaskoczyć.

Tymczasem szłyśmy jak skazańcy, zatopione we własnych myślach, zamiast cieszyć się z bycia w miejscu, o którym wielu marzy przez całe życie i sama nazwa jest dla nich kwintesencją egzotyki i przygody, jak dla mnie nazwy wysp na południowych krańcach Pacyfiku. Nie doceniamy podróży, dopóki nie wrócimy bezpiecznie do domu i nie odpoczniemy, a kilka miesięcy później, słuchając listopadowego deszczu, myślimy o plażach, palmach i słońcu, ciepłym piasku,

koktajlach o odjazdowych nazwach, których nie spróbowaliśmy, i gorących kochankach, którzy nie spróbowali nas.

Zaczęłam myśleć nad jakimś jednym dowcipnym zdaniem, które mogłoby wywołać choć uśmieszek na twarzach moich jedynych koleżanek. Właściwie myślałam nad jakimkolwiek zdaniem, ale jak zwykle w chwilach napięcia kompletnie nic nie przychodziło mi do głowy. Chciałam, żeby było normalnie, żebyśmy rozmawiały jak zawsze i żeby nie było tej męczącej ciszy. Wiedziałam, że wcześniej czy później i tak będziemy musiały zacząć rozmawiać, ale od napięcia zeszywniał mi kark. Stanowczo za bardzo się przejmowałam, ale wyluzowanie się absolutnie nie leżało w mojej naturze.

Hazard przywrócił względną normalność. Alicja była zbyt rozsądna, ja zbyt skąpa, a Jill poddana zbyt wielkiej presji, żeby przegrywać jakieś rodzinne majątki. Nie było mowy o ruletce, zbyt wiele trzeba było zainwestować już przy wejściu na salony, i to bez gwarancji, że cokolwiek nam się zwróci. Tak przynajmniej tłumaczyłam to Jill, która prawie wwiercała się z podniecenia w granatowy dywan u podnóża schodów prowadzących gdzieś do nieba hazardzystów.

- Nie ma po co wydawać takiej kasy za nic - klarowałam Jill i rozbawionym pracownikom kasyna, którzy udawali, że nie rozumieją po angielsku. - Zresztą mnie nie wpuszczą w takich ciuchach. Jeszcze kiedyś tu przyjedziemy... - łągałam jak zawodowiec, bazując na najniższych instynktach Jill.

Jill marudziła przez kilka minut, patrząc na schody

wzrokiem skrzywdzonego dziecka, ale w końcu dała się przekonać, choć twierdziła, że na pewno wygrałybyśmy fortunę i że będziemy żałować do końca życia. Alicji było wszystko jedno, stała z boku, zerkając od czasu do czasu na zegarek, jakby czekała na autobus, bojąc się spóźnić do pracy. W końcu wymieniliśmy po pięć euro na żetony i rozpełzliśmy się po mrocznej sali z jednorękkimi bandytami.

Przegranie takiej kasy zajęło mi dokładnie siedem minut i tylko dlatego tak dużo, że odmawiałam krótką politeistyczną modlitwę przed każdym pociągnięciem za ramię maszyny. Jill biegła jak dziecko od automatu do automatu, nie mogąc się zdecydować, gdzie przepuścić swoją wielką forszę. Alicję dostrzegłam w ciemnym kąciku, wpatrzoną w migające światełka, z dłonią na ustach, jakby zastanawiała się nad systemem pozwalającym oszukać maszynę. Nie chciało mi się z nią rozmawiać, pocieszać jej i nie miałam pojęcia co jej powiedzieć. Bałam się, że powiem coś, co spowoduje lawinę żalu albo złości. Alicja nie była skłonna do wyplakiwania się, wylewania swoich uczuć na zewnątrz. Starła się rozwiązywać swoje sprawy bez dyskusowania o nich na jakimkolwiek forum, co czasem było dla mnie niezrozumiałe, bo ja nawet najmniejsze problemy wystawiałam na widok publiczny, jak warzywa na stragan. Ona w takich przypadkach zaszywała się na pewien czas w jakimś spokojnym kąciku, przetrawiała problem, znajdowała jakieś rozwiązanie, wprowadzała je w życie i wracała do codzienności.

Ale tym razem było inaczej, tym razem to było coś, czego

jej analityczny umysł nie mógł ogarnąć, a tym bardziej znaleźć rozwiązania, bo teraz niewiele zależało od niej. Wiedziałam, że jest bezradna, bezbronna i że narasta w niej złość, że najchętniej robiłaby cokolwiek, żeby nie myśleć, nie zastanawiać się i nie tworzyć coraz bardziej zakręconych scenariuszy tego, co jeszcze może się zdarzyć.

Tak więc umknęłam cicho do wyjścia, starając się na użytek pracowników wyglądać na wielką szczęściarę w grach hazardowych. Powietrze było rozgrzane, pełne kurzu i spalin, ludzie przystawali, rozglądali się, pokazywali sobie coś palcami, pozowali do zdjęć i wyglądali, jakby wspaniale się bawili, bo nie zostawili w domach pomarańczowej, odłóżającej z sufitu farby w łazience, starego gruchota, który jeździł chyba tylko dzięki moim błaganiom i groźbom pod jego adresem, i wrednej nastolatki, która robiła wszystko, żeby moje życie uczynić bardzo skomplikowanym.

Westchnęłam ciężko i poszłam w lewo, w stronę Hôtel de Paris, kolejnego lukrowanego na biało torciku w kolekcji Grimaldich. Spodziewałam się agresywnej reakcji portiera przy wejściu, ale mnie nie zatrzymał, zapewne dlatego, że akurat patrzył w drugą stronę. Wślizgnęłam się przez wielkie drzwi jak przez bramę do zakazanego królestwa, równie zaciekawiona jak naćpana literacka Alicja zaglądająca do króliczej nory. Powiew wielkiego świata owionął mnie lekkim smrodkiem cygar, zapachem mieszaniny perfum i płynów czyszczących do drewna. Było niesamowicie cicho, jak na hotel w mieście pełnym ludzi. Szłam, nieomal ocierając się o ścianę, jakbym wdarła się tu podstępem i teraz próbowała

być niewidzialna. Po lewej stronie miałam wielką, wysoką i cichą salę, na którą bałam się spojrzeć, więc ruszyłam w stronę jasnego światła wydobywającego się z akwariów wbudowanych w ściany obłożone boazerią w ciemnym kolorze. I akwaria-gabloty mnie uratowały, bo ich zawartość była świetnym pretekstem, by się zatrzymać, ochłoniąć i zastanowić, jak wyjść niezauważenie. Stałam tyłem do cichej, wielkiej sali, czując spojrzenia setek oczu taksujących mój tyłek w ślicznych szortach, moje stare, najwygodniejsze na świecie buty, których używam codziennie, no i durny plecaczek, przybrudzony nieco po wizytach na lotniskach i w brudnych fiatach z wypożyczalni.

Za szybami w gablotach błyszcząły brylanty, opale, rubiny i jakieś inne cuda natury oprawione w złoto, wykute w kształty kolczyków, bransoletek, kolii i diademów, a to wszystko okraszone nazwiskami najbardziej znanych projektantów, bo nie sądzę, żeby były to nazwiska kowali naprawiających resory ciężarówek, którzy w przerwach robią sobie trochę biżuterii. Nie lubię złota nie tylko z ideologicznych powodów, nie uważam kamieni szlachetnych w stopniu wystarczającym do ich kupowania, nie noszę diademów ani bransolet, bo są niewygodne, najbardziej podoba mi się srebro i mam nawet dwa zerwane łańcuszki. Ale taka ilość biżuterii w jednym miejscu nawet na mnie zrobiła wrażenie. Zbliżyłam nos do szyby, bo zainteresowały mnie miniaturowe cyferki obok każdego z tych skarbów, ale choć wpatrywałam się w nie z różnych odległości, nie mogłam policzyć zer. Wydaje mi się, że cena jednej z

bransoletek miała na początku trzydzieści pięć, a później trzy zera. Nie miałam okularów, więc nie mogłam stwierdzić, czy tak jest naprawdę, ale nieźle mnie to wkurzyło. Jak to się stało, że bransoletka kosztuje tyle, ile mój trzyletni byt? W czym kobieta, która włoży ten kawałek złota z kamyczkami, jest lepsza ode mnie? Czy jest bardziej inteligentna, potrafi lepiej pracować, czy wymyśliła świetny płyn przeciwko wypadaniu włosów, napisała bestsellerową książkę albo bardziej niż ja zasługuje na miłość faceta, który da jej taki prezent? A może w poprzednim wcieleniu przynosiła raz w tygodniu świeże kwiaty do świątyni właściwego boga? Czy może po prostu przyszła na świat w rodzinie, której przodkowie więcej niż inni nakradli, nagraibili albo łatwiej przychodziło im włożenie w tyłek jakiemuś władcy czy otrucie rywala do intratnego stanowiska i świetnie potrafili wmawiać prostym ludziom, że to Bóg powołał ich na takie stanowiska?

Nigdy nie twierdziłam, że każdy powinien mieć po równo i że powinno się zabierać bogatym, a dawać biednym. Nie uważam też, że wszystko mi się należy, bo jestem wykształconą, niebrzydką, dobrze wychowaną, w miarę inteligentną, mało ambitną, lekko zagubioną nieudacznicą bez perspektyw oraz szans na lifting i dostatnie życie. Ale dlaczego wciska mi się ściemę, że wszyscy są równi i że podlegają tym samym prawom, i w dodatku mamy się dzielić tym, co mamy, i nie pożądać żadnej rzeczy bliźniego swego? Taka postawa skutecznie hamowałaby postęp, bo nikt nie miałby motywacji do bogacenia się choćby po to, żeby



kupować świecidełka w różnych postaciach. Rozumiem to doskonale, rozumiem, że muszą być biedni i bogaci, że tak to wszystko zostało urządzone, żeby biedni mieli do czego dążyć i o czym marzyć, wstając do pracy o piątej rano. Ale to, co świeciło przede mną, to było przegięcie. Przy wejściu do takich miejsc powinno się sprawdzać stan konta i perspektywy życiowe, żeby nie wkurzać ludzi takich jak ja. Jeśli do takich miejsc będą mieli dostęp wszyscy, to naprawdę mogą mieć problem z rozbitymi szybami, zamaskowanymi napastnikami lub tłumem rozwrzeszczanych kobiet w wieku, w którym już zdają sobie sprawę z własnej wartości i coraz mniej się czymkolwiek przejmują.

Kiedy jestem wściekła, to jestem gotowa na konfrontację, tylko jakoś wtedy nikt nie staje mi na drodze, żebym mogła się na nim wyżyć, obniżając napięcie i frustrację. Kiedy jestem wściekła, przynajmniej przestaję się panicznie wszystkiego bać i dopóki działa hormon złości, mogłabym nawet iść do fryzjera.

To był właśnie ten moment, kiedy wpadłam w złość i mogłam pewnym krokiem wracać do normalnego świata.

- Kurwa, a właśnie że jestem tego warta - wyszeptałam mściwie do mojego niewyraźnego odbicia w szybie.

Odwróciłam się powoli, uniosłam dumnie głowę i ruszyłam w drogę powrotną. Hall rzeczywiście był wielki, na malowanie samego sufitu zużywano zapewne więcej farby niż na cały mój dom. Po obu stronach gigantycznego dywanu, w świetle kryształowych żyrandoli i wielkiego

światlika w kopule, na długich sofach siedziało kilkoro ludzi. Nie chciałam się na nich gapić, żeby nie zwracać na siebie uwagi i nie poczuć się głupio, porównując ciuchy od jakiegoś Yves'a Saint Laurenta z moimi z second-handu. Ale ich spojrzenia prawie mnie łaskotały, musiałam jakoś zareagować, choćby w samoobronie.

Zobaczyłam kobietę w wieku mojej babci, ale mogła być nawet o trzydzieści lat starsza. Miała perfekcyjną fryzurę z rzadkich tlenionych włosów, obwisła, pomarszczona skóra na jej kościach policzkowych pokryta była różem, oczy podmalowane czarną kreską grubości gąsienicy czołgu. Długą złotą lufkę z papierosem trzymała opartą na odwróconej dłoni, na wysokości niezliczonej ilości złotych łańcuszków różnej grubości, a jej dekolt był głęboki jak jezioro Bajkał. Choć nie miała tak wielkich oczu, to przypominała Glorię Swanson w ostatnich latach jej życia i była przeraźliwie chuda.

Uśmiechnęłam się do niej połową ust, na co ona odwróciła się w stronę swojego towarzysza i powiedziała coś cicho, dotykając szponiastą dłonią jego policzka. On się uśmiechnął, ale nie do niej, tylko do mnie. Był młody i przystojny, ciemne włosy miał gładko zaczesane do tyłu, oczy ciemne, długie rzęsy i nie sądziłam, że można mieć aż tak białe zęby. Pomyślałam, że właśnie zszedł z jednego z portretów Tamary Łempickiej. Był równie piękny jak jasnowłosy germański bóg z wielką klatą i idealnie pasującą do klaty szczęką, którego widziałam kiedyś uprawiającego jogging w małym miasteczku w Szwarzwaldzie. Ten był po prostu jego boskim

kuzynem znad Morza Śródziemnego.

Miałam na sobie ciuchy o łącznej wartości piętnastu, może dwudziestu dolarów, wliczając w to i buty, i bieliznę, i kolczyki. Włosy w nieładzie, zaniedbane paznokcie i zapewne błyszczący nos. Nie byłam u fryzjera od co najmniej dziesięciu lat, a u kosmetyczki od piętnastu, mój tyłek wymagał diety i intensywne ćwiczeń, ale przysięgłabym, że ten piękny chłopak patrzył na mnie wzrokiem, w którym była tęsknota. Nie dotarło to do mnie od razu, dopiero kiedy zbliżyłam się do wyjścia, to odczucie prawie ścięło mnie z nóg. Stałam i odwróciłam się, chcąc potwierdzić moje wrażenie. Szponiasta dłoń spoczywała teraz na ramieniu młodego boga, który wpatrywał się w marmurową posadzkę. Nie mogłam tam stać i czekać, aż raczy znowu na mnie spojrzeć, dowartościowując mnie tym na długi czas. Mogłabym się tym napawać w długie zimowe wieczory i dorabiać do tego różne historie ze szczęśliwym zakończeniem, i dołożyć to kiedyś do całego zbioru opowieści fantasy z cyklu „bajki babci Alexandry”, i raczyć nimi zde gustowane wnuki.

Nie spojrzał na mnie, a ja musiałam opuścić raj domniemany, który nawet przez chwilę mnie nie skusił. Kiedy wyszłam na rozgrzaną, pachnącą kurzem i ściętą trawą ulicę, odetchnęłam głęboko, jakbym wyszła z szafy pełnej okropnego zapachu kulek przeciwmolowych.

Czy gdybym była bogata, bardzo bogata, kupiłabym sobie taką zabawkę? Czy byłaby to kwestia próżności, czy jakiejś

straszliwej potrzeby, bardziej lub mniej wyuzdanej? Ile jest na świecie kobiet, które właśnie w taki sposób zapewniają sobie hedonistyczną starość? I ile z nich wierzy, że ich zabawki są z nimi również dla piękna ich dusz lub niezrównanej lotności umysłu? Pewnie niewiele, choć z drugiej strony świat roi się od facetów, którzy mają dokładnie takie samo podejście do rozrywkowego spędzania ostatnich lat życia z osobami młodszymi od siebie o siedemdziesiąt lat, a ich nikt nie ocenia zbyt surowo.

Postanowiłam, że nie będę się zajmować moralnymi aspektami dzierzawienia ślicznego mężczyzny, ponieważ nigdy w życiu nie wydałabym kasy na zapewnienie sobie czyjegokolwiek towarzystwa, bo najwyżej ceniłam moje własne. Wolałabym za mniejszą kasę wynająć dla Mimi mieszkanie i zapraszać ją w niedzielę na obiady, w pozostałe dni robiąc z mojego życia orgię harmonii, radosnej pracy i kreatywnego tworzenia. Wtedy nasze relacje byłyby co najmniej poprawne, a ja napawałabym się spokojem, czystą atmosferą i absolutnym porządkiem. Albo jeździłabym na wakacje do ślicznych, cywilizowanych krajów, gdzie nie ma śmieci na ulicach, opieka zdrowotna jest na najwyższym poziomie, żywoploty są równo przystrzyżone, ludzie mówią sobie na ulicach „dzień dobry”, mimo że widzą się pierwszy i pewnie ostatni raz w życiu, i nie muszą zamykać drzwi na klucz w obawie przed kradzieżą czy napadem. Te wakacje mogłyby się przeciągnąć na wiele miesięcy, może tylko co jakiś czas przenosiłabym się do następnego domku nad następnym czystym, zimnym jeziorem, w którym ryby

dożywają późnej starości, gdzie poranne mgły otulają ciszą całą okolicę, łącznie z lasami pełnymi łosi. Słyszałam, że kobiety w takich krajach są za bardzo wyemancypowane, mają zbyt wiele praw, więc mężczyźni się ich boją. Z tego strachu trochę za dużo piją, ale jeśli chce im się ruszyć tyłki od szklanek z procentami, to szukają cichych, pogodnych, ciepłych i przytulnych zwierzczków - właśnie takich, jaka będę zaraz po kuracji u Anonimowych Wiecznie Niezadowolonych z Życia.

Oczywiście mój kraj spełniał większość tych warunków, z łosiami włącznie\*, choć nie byłam pewna zamykania drzwi. Ale poziom emancypacji kobiet widocznie nie był wystarczająco wysoki. I naprawdę potrzebowałam wakacji od wszystkiego, a w moim kraju, choćbym mieszkała nad najdalszym jeziorem, i tak byłabym prawie w domu, a bycie w domu to przecież nie są wakacje.

Szłam zamyślona i o mały włos nie minęłam Alicji i Jill, które stały niedaleko wejścia do kasyna. Właściwie trudno byłoby je przegapić, bo stały tam, nie tylko drąc się na siebie, ale jeszcze wymachując rękami. Alicji upadła torebka i wprawdzie podniosła ją z szybkością grzechotnika, ale na chwilę straciła wątek i wtedy zobaczyła mnie. Ucichły równocześnie i spojrzały na mnie jak dwie harpie, gotowe rozerwać mnie na strzępy.

- Co? - Stałam przed nimi w pozie grzecznej dziewczynki.

- Jajco - odpowiedziała Alicja z głęboką pogardą,

odwróciła się i poszła sobie.

- Co? - spytałam płaczliwie.

- Słyszałaś - odpowiedziała Jill, nie patrząc ani na mnie, ani na oddalającą się Alicję.

- Ej, poszłam tylko na chwilę, nie powiedziałam wam że idę, bo wiedziałam...

Jill sapnęła, odwróciła się w moją stronę, podniosła okulary na czoło i patrząc na mnie zmrużonymi oczami, zasyczała:

- Myślisz, że zawsze chodzi tylko o ciebie, tak? Trzeba naprawdę być idiotką, żeby tak myśleć, jesteś największą egoistką, jaką znam, i świat nie kręci się wokół ciebie i twoich problemów, i wreszcie powinnaś zacząć zdawać sobie z tego sprawę, do diabła, i niech ci się nie wydaje, a zresztą wiesz co? - musiała przerwać, żeby nabrać powietrza. - Mam to w dupie.

Odwróciła się i poszła szybko przed siebie, po chwili zrobiła zwrot o dziewięćdziesiąt stopni w prawo, bo chyba się zorientowała, że idzie w tę samą stronę co Alicja, i odmaszerowała jeszcze szybszym krokiem, a jej zwiewna zielono-żółta spódnica powiewała jak bandera okrętu flagowego.

Moja twarz z wyrazem totalnego ośpienia mogłaby być najlepszą ilustracją rozdziału pod tytułem *Stupor dysocjacyjny* w podręczniku psychiatrii. Po chwili zaczęłam rozumieć znaczenie poszczególnych słów wypowiedzianych

przez Jill, głównie zaś słowa „idiotka”. Choć nie wydaje mi się, żeby odnosiło się ono do mnie personalnie, raczej oddawało stan emocjonalny Jill, to jednak poczułam się dotknięta i poniżona werbalnie. Kiedy słowa już ułożyły się w zdanie, którego do dziś nie zrozumieję, wtedy dotarło do mnie, że zupełnie nie wiem, co mam robić – rozpłakać się, roześmiać, zostać, uciec, pójść za Alicją, pobiec za Jill... Alicja zniknęła mi z oczu, mogła być w każdej uliczce, mogła wejść do każdego sklepu, usiąść na ławce za każdym żywopłotem, palmą czy krzakiem rododendrona. Jill oddaliła się z prędkością strusia nandu, więc teraz mogła być już w okolicach Nicei i raczej nie było sensu jej gonić. Natomiast miało wielki sens skupić się przez chwilę i pomyśleć, co dalej. Byłam w obcym kraju, cholernie daleko od domu, nie miałam dokąd pójść, nie miałam pieniędzy i byłam głodna, a wszyscy znajomi ludzie zniknęli za horyzontem jak sen złoty.

---

\* „Dziecko, ty się niczym nie przejmuj, życie jest takie krótkie”.

\* Niestety jest to chyba jak dotąd jedyny kraj na świecie, który oficjalnie popiera mordowanie milionów ślicznych, malutkich i bezbronnych zwierząt, nie przejmując się protestami tysięcy ludzi z całego świata. Wiem, że jest wiele krajów, których rządy zezwalają na masowe mordy innych stworzeń, na przykład dwunożnych, ale któż jest bez winy...

ROZDZIAŁ SIÓDMY  
*w którym... ach, do diabła!*

Byłam w obcym kraju, cholernie daleko od domu, nie miałam pieniędzy i byłam głodna, a wszyscy znajomi ludzie zniknęli za horyzontem jak sen złoty.

W dodatku okazało się, że jestem w owym kraju nielegalnie, bo moja wiza studencka wygasła sześć miesięcy wcześniej, więc tylko z uwagi na to, że mój kraj jest bogaty i duży i jest sąsiadem innego, jeszcze większego i jeszcze bogatszego kraju, może nawet największego i najbogatszego kraju na świecie, nie będę deportowana, o czym zawiadomił mnie z poważną miną urzędnik ważnego urzędu. Pamiętam, że miał szeroką, różową twarz, zielony krawat w białe i pomarańczowe prążki, niestarannie ogolony, rudy zarost i całkiem miło się uśmiechał, kiedy z wyższością opowiadał mi o mojej fatalnej sytuacji.

Nie pamiętam, jak się nazywał ten urząd, natomiast na zawsze zapamiętałam, że gdyby mój kraj był mały i biedny, a jego bogactwa naturalne byłyby od kilkuset lat wywożone masowo do bogatego i dużego kraju, i gdyby jeszcze w moim małym i słabym kraju toczyła się wojna domowa, to może miałabym szansę dostać zgodę na dalszy pobyt. Wprawdzie



wtedy i tak musiałabym czekać na wizę poza granicami kraju rudego urzędnika, najlepiej w obozie dla uchodźców w jakimś innym biednym kraju, i mieć biegunkę, natomiast nie mieć jedzenia, paszportu ani nawet wody do picia.

Miałam parę groszy, a wody do picia było pod dostatkiem choćby w kiblu, więc z góry przewidywałam, że moje szanse na legalne przedłużenie pobytu są równe zeru. Urzędnik był nieprzekupny, zresztą nie miałam go czym skorumpować. W dodatku nie rozumiał, że kiedy wrócę na mój kontynent, to obejmą mnie prześladowania religijne ze strony purytańskiego społeczeństwa. Nie wiedzieć czemu nie dał temu wiary, a nawet odrobinę go to rozbawiło. Był rozbawiony do tego stopnia, że poradził mi ślub „z jakimś mężczyzną”, jakby śluby kobiet z kobietami były rekordy liczebności i dla odmiany ktoś mógłby wreszcie zawrzeć porządny, heteroseksualny związek małżeński.

Mnie nie wiedzieć czemu nie było do śmiechu, bo musiałam w ciągu dwóch tygodni opuścić kraj, w którym mieszkałam od prawie czterech lat, w którym miałam fajną pracę na czarno i świetne mieszkanie, nie wspominając o posiadaniu wspaniałej wycieraczki pod drzwiami, która musiała być taka sama, jak wycieraczki wszystkich innych lokatorów. Był to przyjemny, czysty kraj, w którym starszy pan z pierwszego piętra uchylał kapelusza i mówił mi po niemiecku „dzień dobry” i gdzie pod koniec dnia, kiedy wracałam z pracy, dostawałam za darmo trochę przywędłe warzywa od sprzedawców na bazarze, co powinno być ostatecznym dowodem na moją totalną integrację i zadomowienie.

Kilka dni po otrzymaniu tego - jakkolwiek by patrzeć - rządowego ultimatum, zrobiłam wykwintną kolację złożoną z bagietki, zupy szparagowej z proszku (w wersji *gourmet*), kawałka sera gruyère i butelki najtańszego côte du rhone.

W zapasie miałam jeszcze kilka jajek, cebulę i paprykę, z których można było zrobić fritattę. Światło świeczki odbijało się w szklankach po musztardzie dijon, bawełniane maty w kolorach piasku, cegły i słońca pięknie komponowały się z białymi, kwadratowymi talerzami, które w liczbie dwóch kupiłam okazyjnie na wyprzedaży\*. Nie pamiętam, co robiłam przez cały dzień, pewnie snułam się po moim małym stryszku, pochylając głowę w przejściu między łazienką a pokojem. Z pokoju wydzieliłam za pomocą regału na książki małą jadalnię i kawałeczek kuchni, z miejscem do gotowania z dwupalnikową kuchenką, dwiema szafkami i elektrycznym czajnikiem, który nie mógł być włączony równocześnie z lampą przy łóżku. Pokój miał cztery moje kroki od ściany do szafki oddzielającej jadalnię, w drugą stronę sześć kroków od ściany do lukarny, przez którą miałam jeden z najwspanialszych widoków, jakie można mieć przez okienko na strychu - zakręt rzeki, czerwone dachy kamienic i ośnieżone przez dziewięć miesięcy w roku szczyty gór.

Odległość między oknem a ścianą pokonałam tego dnia chyba z dwieście razy, zastanawiając się nad strategią wieczornej rozmowy, która musiała się odbyć, i to jak najszybciej, bo dla mnie wszystkie sprawy musiały być załatwione natychmiast, niezależnie od ich wpływu na mój

dalszy los; najważniejsza dla mnie była pewność jutra, a nie zastanawianie się, obliczanie szans, spekulacje, ryzykowne intrygi i męczące podchody. Gdybym żyła jakiś czas temu, pewnie wiele problemów załatwiałabym za pomocą rewolweru wynalezionej przez Samuela Colta i udeptanej ziemi. Ale teraz musiałam się nastawić na czekanie, opanowywanie drżenia rąk i obsesyjne myślenie o najbliższej i trochę dalszej przyszłości.

Gdy jeszcze czasem o tym wszystkim myślę\*, zastanawiam się, jak mógł mi się przydarzyć taki banał, taki kicz, który zdarza się w powieściach dla kucharek, w łzawych filmach dla samotnych romantyków, w czasopismach dla nastolatków, między rubryką porad z pytaniami typu: „Mój chłopak nie pozwala mi iść do ginekologa, bo nie chce, żeby ktoś inny mnie dotykał, kocham go, co mam robić?” a półstronicową reklamą z hasłem „Moja cera jest rozświetlona, ponieważ jesteś tego warta”. Wszystko było kiczem, od samego początku, od pierwszej żalostnej minuty, od pierwszego słowa kiczowatej wymiany zdań w kiczowatej stołówce dla studentów, gdzie jadłam przesolone i wysuszone od długiego podgrzewania raclette w towarzystwie grubodupej Haitanki, która od godziny opowiadała mi o tym, jak jej matka, kapłanka wudu, próbowała ją wielokrotnie zamordować za pomocą czarów i robiła to nadal, tylko rzadziej. Prawdopodobnie na jej czarną magię źle działały wody Atlantyku, a może wiatr wiejący od Sahary, ale jak dotąd ta brzydka dziewczyna miała się nieźle, może poza problemami z mózgiem. W każdym razie miałam dość jej gładzenia, jej

dziwnego, haitańskiego akcentu i pomlaskiwania w krótkich przerwach między zdaniami.

Nie słuchałam jej już od kilkunastu minut, wodząc wzrokiem po pełnej ludzi stołówce i zastanawiając się, co włożyłabym do straszliwie kolorowej spódnicy w palmy, tukany, tukany i inne tukany.

Zobaczyłam go, kiedy usiadł obok, hałaśliwie przysuwając sobie krzesło. Ułożył tułów w stylu wczesnego Magnum na poplamionym stoliku i wbił we mnie spojrzenie.

- Jesteś podobna do takiej amerykańskiej aktorki, kurde, nie pamiętam, jak się nazywa, ale tak, te same włosy i oczy, zwłaszcza jak tak patrzysz... (Tak, pewnie, wciśnij mi teraz, że jestem podobna do Barbary Streisand, dupku, a wtedy kopnę cię w jaja i będzie przezabawnie).

- Och wiem, wszyscy mi to mówią, naprawdę... (Odruchowo dotykam włosów i przechylam głowę, ale nie myśl sobie, że mnie obchodzą te twoje głupie teksty i w ogóle skąd ci się wziął taki okropny akcent?).

- Słuchaj, już dawno zwróciłem na ciebie uwagę, wyróżniasz się tutaj niesamowicie... (Jasne. Takie teksty powinieneś wciskać jakiejś blondynce, mhm, czy ja wyglądam na jakąś naiwną dupeczkę, którą ruszy twój prostacki podryw?).

- Ach tak? Pewnie zauważyłeś mnie już z pięć lat temu, ale nie miałeś odwagi podejść... (Próbuję żartować i to jest żalosne, nie wiem, czemu tracę czas na głupie gadki, facet,

ty nawet nie jesteś przystojny).

- Masz cudowny uśmiech... (A ty oczy, czemu ten zapach żarcia jest taki intensywny, włosy mi będą śmierdzieć, wyglądasz jak wokalista INXS z tymi ciemnymi, kręconymi włosami i szerokimi ramionami, naprawdę mam ochotę dotknąć twoich loków).

- ... (Śmieję się głośno i jak ostatni debil próbuję zarzucić włosami, ale są upięte wysoko w roztrzepany kok i tylko czuję, że wyskoczył mi krąg szyjny).

- ...

W łóżku, moim zresztą, znaleźliśmy się już wieczorem, osiem godzin później, po skromnej kolacji w eleganckiej, kiczowatej restauracji z jedną głupią, przereklamowaną gwiazdką Michelin. Mam wrażenie, że nie wychodziliśmy z pościeli przez następne trzy miesiące, a przynajmniej nie mogę sobie przypomnieć ani jednego dnia poza łóżkiem, choć przecież musiałam w tym czasie chodzić do pracy i na uczelnię, musiałam coś jeść i robić pranie, rozmawiać z ludźmi, czytać jakieś książki, kupować papier toaletowy i płacić rachunki. Szczerze mówiąc, niewiele pamiętam z tego okresu. Wiem, że była jesień, że było coraz zimniej, już nie tylko szczyty Alp, ale całe góry w oddali były białe, ja byłam coraz bardziej ogłupiała, bo wszystkie moje pragnienia, plany, marzenia, cały wszechświat sprowadził się do wąskiego łóżka i naszej w nim obecności. Byłam jak jo-jo, które jest tak wolne, jak pozwala mu długość sznurka, i w takim samym stopniu mogłam o sobie decydować.

Potem zaczęliśmy czasem wylazić i spotykać się z jego znajomymi, bywać na imprezkach w modnych miejscach, gdzie po kilku minutach zaczynaliśmy szukać miejsca na numerek. I tak biegł tydzień za tygodniem, a nam powoli zaczynało brakować nowych miejsc do pieprzenia się, w których nie groziło nam natychmiastowe aresztowanie za występki przeciwko obyczajności.

Zima minęła, co odkryłam przez przypadek i z niejaką niechęcią, bo musiałam zdawać ostatnie egzaminy i pożegnać uczelnię. Przyszła wiosna, która trwała tyle co przelot komety, a potem zgodnie z odwiecznym porządkiem rzeczy nadeszło lato. Po raz pierwszy nie pojechałam do mamy do Montrealu, bo wyjechaliśmy razem na wakacje, by wraz z milionami Ziemiaków wylegiwać się na plażach, niszczyć wystarczająco już zniszczone ruiny imperiów, łązić po portach i muzeach, rozdeptywać parki narodowe, stać w korkach, jeść kolacje w małych knajpkach, oglądać gwiazdy na molo i nieświadomie tworzyć mnóstwo stanowisk pracy sezonowej.

•

Po dwóch tygodniach jeżdżenia od kempingu do kempingu, zmieniających się krajobrazów i języków, hitów w radiu\*, różnorodności potraw i wysokości nad poziomem morza miałam dość. Byłam zmęczona, chciałam pobycć choć kilka dni w jednym miejscu, nie wstawać codziennie o szóstej rano i choć raz zdążyć wysuszyć wyprane majtki. Nie taka była moja idea wakacji z ukochanym, ale musiałam udawać, że jestem przeszczęśliwa jako kobieta koczownika. Zaczynały

mi się mieszać nazwy ślicznych niemieckich miasteczek, których odwiedziliśmy chyba z sześćdziesiąt, i myliło mi się, w którym z nich będę kiedyś koniecznie mieszkać, albo chociaż odwiedzę je ponownie. Przestałam rozumieć, dlaczego w Austrii domy, kuchnia i cała reszta są inne niż w Niemczech, choć w obu krajach mówią, do diabła, po niemiecku. Stanie w korkach było coraz bardziej dotkliwą torturą, bo już nie całowaliśmy się nieprzytomnie przy okazji każdego postoju i nie rozmawialiśmy jak dawniej o wszystkim, jakby wszystko było już powiedziane i omówione i jakbyśmy wyczerpali limit słownego komunikowania się. Staliśmy się starym małżeństwem, znudzonym i zmanierowanym, próbującym przetrwać w niecodziennych warunkach.

Mimo tylu pięknych widoków, niepowtarzalnych krajobrazów i zachwyty nad architekturą, lokalnymi klimatami, bawarskimi kluseczkami, świetnym piwem i tysiącem innych smaków - rzadko rozmawialiśmy. Nie dzieliliśmy się ze sobą wrażeniami, choć chętnie wyrażaliśmy swoje opinie, kiedy rozmawialiśmy z obcymi ludźmi w wąskich uliczkach średniowiecznych miast czy kontemplując w ich towarzystwie portale gotyckich kościołów.

Mimo znużenia różnorodnością każdego dnia nie chciałam wracać do domu, do codzienności. Czułam, że po wakacjach nic dobrego się już nie wydarzy, że coś właśnie przemija bezpowrotnie. Najgorsze było to, że nie wiedziałam, dlaczego tak się stanie ani jak to powstrzymać. Chciałam, żebyśmy wyjechali do Indii, zamieszkali w trzciniowym domku na plaży

i robili bransoletki z koralików. Chciałam uwić gniazdko, choćby na drzewie albo w ziemiance, a domek na palach nadawał się do tego równie dobrze, a może i lepiej niż jaskinia.

- Będziemy zbierać muszelki, ja będę malować zachody słońca i robić malutkie słoniki z modeliny, dobrze? - pytałam rano przytulona do jego pleców i strasznie chciało mi się płakać.

- Dobrze - mamrotał do poduszki.

- I będziemy się rano kąpać w morzu, zbierać muszelki... - kusiałam go wizją rajy, kiedy jechaliśmy wśród pól słoneczników wąskimi lokalnymi drogami, i szybko odwracałam głowę, bo broda mi drżała zupełnie niekontrolowanie i musiałam kilkanaście razy powtarzać w myśli „przestań ryczeć, przestań, przestań” i wbijać sobie paznokcie w łydkę, żeby nie wybuchnąć nieopanowanym płaczem.

- Mhm - zapewnił mnie z uczuciem, gapiąc się na mijające nas porsche.

- A gdybyśmy tak pojechali do mnie, kupili mały dom... - wpadłam na genialny pomysł przy kolacji. - Domy są tam o wiele tańsze, nie to co tutaj. I nawet mamy góry niedaleko... Wprawdzie nie takie góry jak Alpy, ale spokojnie można jeździć na nartach i chyba nawet sezon trwa dłużej... jakieś dziesięć miesięcy - próbowałam żartować resztką sił.

- Jak sobie to wyobrażasz? - ułamał wielki kawałek



bagietki i zamoczył go w sosie z majonezu i czosnku. – Jechać do ciebie można na wakacje, żeby zobaczyć to i owo, ale nie wiem, jak mógłbym się tam rozwijać, bo cywilizacja jest tutaj, całe moje życie jest tutaj – machnął ręką, żeby dokładnie pokazać, gdzie konkretnie skupia się cywilizacja. – Sama mówiłaś, jak bardzo jesteście zacofani, jeśli chodzi o kulturę, o sztukę... nie wiem, o całą tradycję, wiesz, dziedzictwo narodowe. Coś takiego, rozumiesz... Wiesz, jakie to dla mnie ważne, Alexis, mam tu pracę i rodzinę, a domek w górach kiedyś i tak będę miał. Zresztą, ty i tak nie jeździsz na nartach.

Wzruszył ramionami, wepchnął sobie do ust kęs bułki i rozejrzał się wokół zadowolony, a ja, pochylona nisko nad miską z sałatką nicejską, ryczałam bezgłośnie. Tak strasznie mnie zranił tym, że kiedyś będzie miał dom w górach beze mnie i jednym zdaniem zupełnie przekreślił mój udział w jego życiu, przekreślił wszystko, całą moją przyszłość, i w dodatku powiedział do mnie „Alexis”, mimo że wiedział dobrze, jak nienawidzę, kiedy tak do mnie mówi. Ale on musiał pokazać, jaki jest dowcipny, bo ogląda kiczowaty amerykański serial, który pewnie do tej pory płacze się po ich zacofanej telewizji.

A ja dla niego miałam się nauczyć gotować i codziennie, oprócz niedziel, przynosić mu kawę do łóżka, prasować mu koszule i czyścić jego grzebień, póki śmierć nas nie rozdzieli. Narazałam swoją reputację porządnej kanadyjskiej dziewczyny, gotowa iść, jechać, a nawet pełznąć za nim wszędzie, być przy nim wszędzie i oddawać mu się wszędzie.

Nigdy nie nalegałam, żeby mnie przedstawił swoim rodzicom, choć bardzo tego chciałam, i ani razu nie poprosiłam, żeby się ze mną ożenił, choć tego chciałam jeszcze bardziej. Z wrodzonym sobie taktem pytałam go o ślub nieśmiało lub żartobliwie zaledwie kilka razy w miesiącu. Byłam gotowa dla niego kraść i zabijać, odganiać muchy znad jego głowy i pilnować wejścia do jego namiotu, a on mówi do mnie „Alexis” i odmawia mi prawa do posiadania wspólnego domu w górach?

- Słuchaj, powiem ci coś, czego zapewne nie wiesz. Po pierwsze to, co mówiłam, było po to, żeby zrobić ci przyjemność i nie musisz tego tak wykorzystywać - łyżę jeszcze mi nie obeschły, ale dzielnie podniosłam głowę i głośno wysmarkałam się w serwetkę. - Po drugie nasza, jak mówisz, „cywilizacja” czy też brak cywilizacji jest lepsza od waszego wiecznego zadowolenia z siebie. Nawet dużo lepsza. Jesteśmy silni i zorganizowani, bo musieliśmy walczyć z przyrodą, z zimnem, z... z zimą, z dziką przyrodą, której nawet nie potrafisz sobie wyobrazić...

Widziałam w świetle żółtego lampionu, że uśmiecha się ironicznie i wcale nie chce dostrzec moich zapłakanych oczu. Powinien mnie teraz utulić i uspokoić, zapytać, co się stało, i zapewnić, że pozwoli mi urządzić nasz wspólny domek w górach. Ale we mnie odzywa się krew moich angielskich, irlandzkich, szkockich, francuskich i zapewne indiańskich przodków i nie pozwala mi się poddać bez walki.

- Jesteśmy jednym z największych państw na świecie i

pracujemy ciężko, żeby... - głos mi drży, więc zaczynam mówić głośniejszym głosem. - Żeby tak było. Tobie się wydaje, że jesteśmy jakąś dziką bandą, która mieszka w igloo i używa psich zaprzęgów, żeby jechać do miasta pooglądać telewizję.

Przerywam, żeby nabrać powietrza, a przy okazji wkładam sobie dłonie pod tyłek, żeby nie pokazać, że drżą, i próbuję sobie przypomnieć wszystkie bzdury, które od niego słyszałam, kiedy jeszcze się mną chwalił swoim znajomym.

- I wbrew temu, co ci się zdaje, nie mówimy po kanadyjsku, bo nie ma takiego języka. Ale to chyba wiedzą wszyscy na świecie... no może oprócz ciebie. - Odkrywam w sobie niewyczerpane pokłady złośliwości i sarkazmu i jestem z siebie bardzo dumna. Dumna do tego stopnia, że uwalniam prawą dłoń i zaczynam grzebać widelcem w miseczce. - I są setki znanych i wybitnych, tak, wybitnych ludzi z Kanady, znanych na całym świecie i wiesz co? Tylko ty jeden o tym nie wiesz.

- Tak? A kto na przykład? - pyta jak mały chłopiec, który nie odrobił lekcji i nie chce się do tego przyznać mimo lania linijką.

- Mnóstwo ludzi, aktorów, naukowców, pisarzy...

- Dobra, ale kto konkretnie? Może Pamela Anderson? - pyta z zaczepką w głosie, pewien zwycięstwa.

- Tak, wyobraź sobie, pochodzi z zachodniej Kanady - mówię z pogardliwym grymasem. - A może słyszałeś o kimś takim jak Donald Sutherland czy Dan Aykroyd, jeśli już

mówimy o aktorach? - Nie wiem, jak zapamiętałam te wszystkie nazwiska, ale ponieważ natchnienie mnie nie opuszcza, więc wymieniam dalej: - Leonard Cohen i Brian Adams, może słyszałeś? A może przypadkiem wiesz, co to jest insulina? Odkrył ją Kanadyjczyk, facet o nazwisku Banting, ale pewnie nie dotarło to do ośrodków twojej wielkiej cywilizacji... A tak na marginesie, to od kiedy kobiety mają u was prawa wyborcze? Od siedemdziesiątego pierwszego czy jakoś tak, prawda? Tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego... Hm, to czterdzieści lat później niż w zacofanej Turcji i jakieś pięćdziesiąt lat później niż w Kanadzie. Wiedziałaś o tym?

Siedzi przede mną i widzę, jak ironia spełza z jego twarzy, a uśmiech staje się sztuczny, widzę jak mruży oczy, rozgląda się niepewnie dookoła i bardzo chciałby, żeby mój monolog się skończył. Biorę więc głęboki oddech i z chwilowym poczuciem triumfu mówię dalej:

- Mamy wszystko to, o czym wam się nawet nie śniło. Nie wiem nawet, czy znalazłbyś pracę w Montrealu, bo u nas szukają ludzi, którzy mają otwarte umysły, są wszechstronni i potrafią sobie radzić z wieloma problemami naraz... I wiesz co, tak, mówiłam, że nie mamy takiej długiej i pokręconej historii jak wasza, i mówiłam, że ludzie są bardziej nastawieni na życie dniem bieżącym, a nie na przesiadywanie w teatrze i karmienie się tą waszą... kulturą, dzięki której macie takie wysokie mniemanie o sobie, ale wiesz co...? U nas nie było obozów koncentracyjnych i nie czekaliśmy beczynn timer, aż wybiją wszystkich Żydów, żeby

zgarnąć ich pieniądze!

Uśmiecha się dalej, ale marszczy czoło, bo nie ma pojęcia, dlaczego powiedziałam coś takiego. Wygląda jak głupek ze zmarszczonymi brwiami i ciemnymi oczami, które kiedy się złości, robią się malutkie jak u makaka. Patrząc na niego z poważną miną, zabijając w sobie wrażenie, że odrobinę przesadziłam, za to podsycając uczucie triumfu i niechęci. Po chwili zaczynam się uśmiechać ironicznie, czekając na jego pocisk, który zwali mnie z nóg, pozbawi życia i wtedy odechce mi się głupich, nacjonalistycznych gadek, za które jednak powinnam zostać nominowana do nagrody Departamentu Dumy Narodowej. Ale po chwili już rozumiem - on nie ma pojęcia, o czym ja mówię, jest po prostu zdumiony tym, że został zaatakowany. Jest przekonany, że zaraz spróbuję obrócić wszystko w żart albo rzucę się na niego z przeprosinami, a w tej chwili zupełnie nie wie, jak zareagować. Kombinuje przez chwilę, jak wybrnąć, i w końcu rzuca we mnie okruszkami bagietki.

- Europejska cywilizacja - mówię cicho, otrzepując się, i wracam do jedzenia sałatki nicejskiej, która wszędzie nazywa się tak samo, ale wszędzie inaczej smakuje.

Kilka dni potem ostatecznie skończyła nam się kasa, wszystkie franki, marki, liry, a właściwie zostało tylko trochę na benzynę, więc nie dotarliśmy nawet do Wenecji. Na szczęście z północnych Włoch nie było już daleko, więc z Udine, zamiast jechać na południe, ruszyliśmy na północny zachód. Po dwóch dniach, ostatnich dwóch dniach wielkiej

wyprawy, ostatnich dwóch dniach wakacji, pierwszych dniach mojej dorosłości, dotarliśmy na miejsce. Prawie nie rozmawiając ze sobą i nie patrząc na siebie, rozstaliśmy się przed moim domem, umówiliśmy się na następny dzień i wszystko pozornie wróciło na stare tory.

W następnych tygodniach spędzaliśmy ze sobą coraz mniej czasu. Zamiast tarzać się w rozpuście, wychodziliśmy wieczorami do barów i toczyliśmy nic nieznaczące dyskusje przy piwie z ludźmi, którzy wymyślali sobie problemy, żeby nie umrzeć z nudów. W przerwach powinniśmy byli rozmawiać, zaczynając każde zdanie od „a pamiętasz”, wspominać rozdeptane meduzy na plaży i fajnych sąsiadów na kempingu. Powinniśmy być dla siebie czuli, bogatsi o nowe wspólne doświadczenia, jeszcze bardziej do siebie przywiązani.

Kiedyś spytałam, dlaczego nie jest już tak jak dawniej, dlaczego mam wrażenie, że się ze mną nudzi, i dlaczego nie mówi już o tym, co będziemy robić, kiedy się razem zestarzejemy. Okazało się, że właśnie weszliśmy na wyższe piętro znajomości, na bardziej zaawansowany etap, w którym już nie musimy wszystkiego omawiać, bo wszystko właściwie zostało już ustalone. Zostałam uświadomiona, że ludzie bardziej sobie ufają i zaczynają powiększać przestrzeń wokół siebie, szukając nowych możliwości rozwoju.

Wprawdzie nie ja wymyśliłam to wszystko i nie czułam się dobrze z tym, że narzucono mi taką interpretację, ale czułam, że jeśli dotknął mnie jakikolwiek rozwój, to jest to

rozwój niedowładu umysłowego, który mnie opanował wraz z nieprzezwyciężoną sennością. Mogłam spać bez przerwy, na siedząco i stojąco, na krześle, na podłodze, w tramwaju, nawet idąc po kocich łbach Starego Miasta. Mogłam zamienić wszystko na możliwość spania całymi dniami. Najgorsze było to, że wiedziałam, dlaczego śpię jak siedmiu braci śpiących, jak pacjent w komie, jak śpiąca królewna.

Kiedy straciłam resztki głupiej nadziei, że sytuacja jakoś sama się rozwiąże, postanowiłam wziąć byka za rogi i zaskoczyć go nowiną. I rzeczywiście, udało mi się to znakomicie. Było zaskoczenie, była udawana radość (jego), były łzy rozczarowania (moje), było mówienie o przyszłości (moje), było wymowne milczenie (jego) i powtórzony kilkakrotnie: „tak, przemyślałam wszystko, nie mogę usunąć, boję się, że coś pójdzie nie tak” też było.

Za to nie było pierścionka zaręczynowego, ani nawet deklaracji pomocy. Nie było: „Och, kochanie, to cudownie, tak się cieszę!”, długich, namiętnych pocałunków, złotej kolii z rubinami, ani żadnej innej też. Nie było obietnic dozgonnej miłości, planowania zakupu domu z ogródkiem, telefonu do rodziców z radosną wiadomością, nie było tylu rzeczy wymyślanych przez scenarzystów romantycznych komedii, które mają niewiele wspólnego z życiem, a już na pewno nie mają nic wspólnego z moim życiem.

I w końcu – po kilku wreszcie nieprzespanych dniach i prawie nieprzespanych nocach, po setnym odczytaniu pisma z nakazem opuszczenia kraju, po prawie nieustającym płaczu

i zużyciu dwóch wielkich opakowań chusteczek oraz dwóch mniejszych opakowań ziółek na uspokojenie, po wmawianiu sobie, że on na pewno kupi pierścioneł i wreszcie wielu godzinach czekania na niego owego wieczoru - zapaliłam świeczkę na stole, otworzyłam wino, nalałam sobie pełną szklankę i wypilałm do ostatniej kropli. Odrobinę zmniejszyło to ucisk w gardle i trochę oczyściło mój spanikowany umysł.

Wtedy zaczęłam rozumieć kilka spraw, które już wcześniej w moim otumanionym mózgu powinny były wywołać niepokój, albo chociaż małe, malutkie podejrzenia. Po pierwsze władza ucieleśniona przez urzędnika wiedziała o mnie wszystko. Znała mój adres, wiedziała, że byłam na wakacjach i że powinnam była zostać zgarnięta już na granicy w drodze powrotnej, że nie mam pozwolenia na pracę, ale dobrze, że jednak pracuję, bo dzięki temu nie kradnę, muszę jednak pamiętać, że nie mam już ubezpieczenia zdrowotnego i że powinnam umyć brudne okna w moim mieszkaniu na strychu, bo w jego kraju zwraca się uwagę na takie rzeczy.

Kiedy sobie powtórzyłam w myślach całą rozmowę, synapsy mojego mózgu przekazały impuls do zakamarka, w którym mieszka słowo „donos”. W tym momencie musiałam wypić kilka następnych łyków wina, bo przypomniałam sobie opowieści moich kolegów z innych krajów o tym, jak wspaniale opiekuje się nimi tutejsza władza, o informacjach, jakie posiada na ich temat, i jak bardzo już chcą wracać do swoich wiosek, które są ostoją wolności słów i czynów. Teraz okazało się, że i ja stałam się ziarenkiem piasku do



przemienienia w jakimś trybiku biurokratycznej maszyny policyjnego państwa. Mogłam więc usiąść i spokojnie czuć się jak Józef K.

Kiedy wreszcie zaczęło do mnie docierać, że nie będzie pierścionka, nie będzie uszczęśliwionych teściów, że kolacja przy świecach się nie odbędzie i chyba nie mam szans na „żyli długo i szczęśliwie razem”, musiałam opracować nowy plan jak najszybciej, zanim opadnę z sił, zanim położę się na łóżku i umrę ze smutku.

Mama mówi, że cokolwiek strasznego się dzieje, trzeba najpierw zapewnić sobie przetrwanie, a na rozpacz będziemy mogli pozwolić sobie później i wtedy rozpaczać nawet całą wieczność. Ta wieczność miała się zacząć już niedługo, więc musiałam się śpieszyć, zanim przestanę być wściekła, upokorzona, zła, wkurzona, zanim opadnie ze mnie szaleństwo i stracę energię do działania, a przede wszystkim zanim zacznę go usprawiedliwiać.

Mógł przyjść, powiedzieć że przecież niczego mi nie obiecywał, ale kochał mnie bardzo i nigdy mnie nie zapomni. Że jego mieszczańska matka zabroniła mu się ze mną widywać, bo jak każda cudzoziemka jestem z nizin społecznych, ale będzie mnie wspierał psychicznie z oddali. Że jest jeszcze za młody na zakładanie rodziny, że wprawdzie nie jestem jego pierwszą dziewczyną, ale też ma nadzieję, że nie ostatnią, bo musi się wyszumieć, lecz jest małe miejsce w jego sercu, które jest przeznaczone tylko dla mnie. Że jest parszywym egoistą i oportunistą, który nie umie się

poświęcać dla żadnej sprawy, ale postara się z tym uporać w ciągu następnych kilkunastu lat.

Potem padlibyśmy sobie w objęcia, ja błagałam go, żeby został ze mną choć jeszcze tę noc, a rano on zabrałby swoje rzeczy i zniknął we mgle na zawsze, jak w filmie *Pożegnany walc*. Pozostawiłby po sobie smutek, parę zdjęć i cudowne wspomnienia, którymi mogłabym wykarmić i siebie, i tłum spragnionych opowieści koleżanek.

Ale on musiał zachować się jak tchórz, który boi się stanąć twarzą w twarz ze swoją ofiarą, którą niewątpliwie byłam. Nie miał odwagi powiedzieć mi tego, co myśli, wołał zwać, ukryć się jak szczur, zamiast stanąć i walczyć albo chociaż przyjmować ciosy, które mu się słusznie należą.

Pozostało mi jeszcze sprawdzenie, czy rzeczywiście byłby w stanie stanąć i walczyć, czy może usprawiedliwiają go nadzwyczajne okoliczności, takie jak złamanie kręgosłupa, ratowanie ludzi z płonącego wieżowca czy śmierć w zamachu bombowym. Zeszłam do budki telefonicznej i zadzwoniłam do niego. Po szesnastu sygnałach nikt nie odebrał, ale wiedziałam, że po prostu nie miał nawet odwagi przyjść i powiedzieć mi, że nie przyjdzie.

Wypiłam więc następny łyk wina i zaczęłam się pakować.

Na łóżku ułożyłam kilka niewielkich stosów codziennych ubrań i bielizny, paczuszkę z piękną czarną sukienką kupioną we Francji, której nie miałam jeszcze na sobie (oprócz przymierzania, ale to się nie liczy), dwie pary włoskich szpilek ze skóry, mój uniwersytecki dyplom z wzornictwa

oraz kilka książek - mój dorobek z prawie czterech lat, równie żałosny jak ja. Wrzuciłam to wszystko do czerwonej torby, tej samej, z którą przyjechałam, postawiłam torbę przy drzwiach i znowu poszłam zadzwonić, tym razem do mamy, żeby przysłała mi bilet i że oddam jej za to pieniądze, jak tylko znajdę pracę, i żeby się nie martwiła, bo wracam, i że wszystko będzie dobrze. Pewnie by uwierzyła, gdyby nie to, że nie mogłam tego wszystkiego poprawnie wyartykułować, bo zawodziłam w słuchawkę jak grecka płaczka.

Następny dzień przesiedziałam na krześle przy moim ślicznym stole, czekając na godzinę wyjścia na samolot i na pukanie do drzwi, na jakiegokolwiek wyjaśnienie, czekając na cokolwiek, co pozwoli mi wyjechać i nie myśleć o tym wszystkim jak o największej porażce życia. Na coś, co kiedyś wreszcie, po kilkunastu czy kilkudziesięciu latach, pozwoli zapomnieć o wszystkim, bez rozpamiętywania wszystkich błędów, które popełniłam, i bez zastanawiania się, czy to, co robię teraz, ma sens. Albo cokolwiek, co pozwoli mi zostać i nie czuć się jak zwiędła sałata. Mogłam iść do niego, siedzieć przy drzwiach jak pies czekający na pana, ale bałam się, że będę czekać bardzo długo, i chciałam zachować resztki dobrego mniemania o sobie.

Gdybym kiedyś została zaproszona do programu Oprah, pewnie powiedziałabym, że to właśnie był zwrotny punkt w moim życiu, w którym zrozumiałam, że mogę decydować o sobie, wziąć sprawy w swoje ręce, zbudować moją przyszłość na własnych zasadach i być dumną z siebie, dziękuję mamie, dziękuję tacie, dziękuję sponsorze i tak mi dopomóż Bóg. Ale

tak nie było i pewnie dlatego nigdy nie wystąpię w tym programie. W tamtych dniach decydowanie o sobie było najcięższą karą, przyszłość była skłębioną masą pełną demonów, równie ożywczą jak czarna dziura w odległej galaktyce, a o obowiązujących zasadach nikt mnie nie poinformował.

Na lotnisku do ostatniej chwili wypatrywałam znajomej sylwetki, a potem jeszcze przez kilka lat wierzyłam, że mnie odnajdzie, że stanie na progu mojego domu i wtedy będę mogła go zabić, torturując uprzednio przez długie tygodnie. I to byłoby piękne zakończenie tej historii.

•

Są chyba specjalne kursy dla ludzi, którzy chcą sobie poradzić w ekstremalnych sytuacjach, kiedy się w nich znajdują. Na kursie dla tych, których samolot może się rozbić w meksykańskiej dżungli, uczy się, jakie jeść korzonki, skąd wygrzebywać larwy pełne białka, jak się huścić na lianach oraz jak po powrocie rozpoznać i wyleczyć chorobę weneryczną. W wersji zimowej, czyli dla tych, którzy w śnieżycy zgubiliby się na drodze z Montrealu do Świętej Agaty, można się nauczyć rozpalania ognia za pomocą dwóch kamyczków, robienia igloo w miniaturze i spisywania testamentu na kawałku mokrego drewna.

Na kursie dla tych, którzy chcą przetrwać zderzenie statku pasażerskiego z płonącym tankowcem, są zajęcia z unoszenia się w zimnej wodzie basenu, z zapewnieniami, że w północnym Atlantyku nie ma rekinów ludojadów i z

uspokajającym głosem instruktora w półmroku: „Jeśli ktoś poczuje, że nie wytrzyma, wystarczy zagwizdać, wyłowimy natychmiast!”.

Są zajęcia z przetrwania w wielkich korporacjach, takie jak kurs „Jak dostać awans, nie zabijając szefa”, choć pewnie odbywają się pod szyldem Anonimowych Pracoholików, Anonimowych Kofeinistów czy Uzależnionych od Błyszczyka do Ust<sup>\*</sup>.

I być może są kursy niewpadania w panikę w sytuacji, w której znajdujesz się w zupełnie obcym mieście, na innym kontynencie, bez karty kredytowej i pieniędzy, a twoje przyjaciółki rozbiegły się jak ptactwo domowe w różnych kierunkach, wściekłe i obrażone, nie zostawiając ci żadnych wskazówek dotyczących powrotu do punktu zbiorczego, i w dodatku znowu chce ci się siusiu. Ja nie kończyłam takiego kursu, a musiałam podjąć niezwykle trudną decyzję dotyczącą przetrwania.

Mogłam zostać tam, gdzie stałam, i zdechnąć jak wędrowiec na pustyni w gorącym słońcu, bez wody do picia i bez jedzenia, zanim doczekam się na którąś z moich być może byłych najlepszych koleżanek.

Mogłam iść do garażu, gdzie jak miniaturowy symbol bezpiecznego azylu stał mały, czerwony, śmierdzący samochód, który być może zawiezie mnie do odległego hotelu, o ile kiedyś odzyskam kluczyki. Przypomniałam sobie rady podróżników, że nie należy oddalać się od samochodu, bo trudniej znaleźć człowieka niż samochód, bo auto jest

lepiej widoczne z powietrza. Dotyczyło to wprawdzie Australii, ale rada wydawała mi się rozsądna.

Mogłam też – co najbardziej odpowiadało potrzebie chwili – pobiec do jedynej znanej mi w okolicy toalety, ale pojawiała się możliwość, że wtedy już nigdy się nie odnajdziemy, bo będziemy szukać się wzajemnie aż do zmroku, a w nocy spadniemy w przepaść albo przejedzie nas właściciel jakiegoś bezszelestnego rolls-royce'a z przyciemnionymi szybami i nawet tego nie zauważy.

Postanowiłam wsłuchać się w siebie i odszukać w pierwotnej części mojego mózgu instynkt, który zwie się intuicją, która podpowie mi, co dalej robić. Po chwili biegłam do toalety, bijąc rekord prędkości i rozglądając się na boki w nadziei, że zobaczę gdzieś Jill albo Alicję i wreszcie się dowiem, o co chodzi, wszystko się wyjaśni, padniemy sobie w objęcia i wrócimy na kolację do bezpiecznego hotelu. Rano będzie tak, jakby nic się nie stało, a za pół roku zrobimy z tego przyjemną anegdotkę.

Wracałam pod górę już trochę wolniej, starannie stawiając stopy na kamiennych schodach, których stopnie wydawały mi się nachylone w dół. Miałam butelkę napełnioną wodą z kranu i opróżniony pęcherz, a to pozwoliło mi trochę spokojniej spojrzeć na sytuację. Pocieszałam się, że po pierwsze znam język, więc będę mogła spokojnie zgłosić na policję zaginięcie dwóch kobiet. Wprawdzie mój akcent z prowincji Quebec przyprawiał o mdłości albo ataki śmiechu wszystkich ludzi znających

europijską wersję francuskiego, ale nie likwidowało to szansy na porozumienie, choćby dlatego, że język pisany nie ma lokalnego akcentu. Po drugie nie umrę z pragnienia, choć picie wody z kranu może spowodować pewne konsekwencje. Po trzecie byłam w cywilizowanym kraju, w którym nie wsadzą mnie do więzienia za chodzenie z gołymi nogami i odkrytą głową albo za włóczęgostwo, dopóki nie zacznę żebrać na ulicy. I w dodatku jest to kraj, w którym nie potrzebuję wizy na dłuższy pobyt. Po czwarte... nie wiedziałam, co po czwarte, bo doszłam do miejsca, w którym moje towarzyszki się rozpięchły. Mimo uporczywego wypatrywania w różnych kierunkach nie dostrzegałam nigdzie żadnej z nich.

Ruszyłam powoli w stronę podziemnego garażu. Przypomniałam sobie, że jestem jedyną znaną mi osobą, która nigdy się nie gubi i która zawsze potrafi określić strony świata i kierunek, w jakim należy iść, żeby znaleźć się w domu. Odpowiada za to pewnie część mojego mózgu, odziedziczona po jakimś męskim przodku z plemienia Abenaki, ale nie to było problemem dla feministycznej strony mojej świadomości. Problemem było to, że Alicja gubiła się zawsze, nawet kiedy robiła zakupy w jakimś nowym dla niej centrum handlowym. Gdyby nie świecące tabliczki z napisem „wyjście” i „parking”, pewnie spędzałaby centrach handlowych całe godziny po zamknięciu, chodząc jak duch po pustych korytarzach, aż nocna zmiana strażników odprowadziłaby ją do taksówki.

Natomiast Jill, która teraz miała kluczyki do samochodu,

potrafiła utonąć w stertach ciuchów w przymierzalni sklepu i kompletnie zapomnieć o upływie czasu. Nie było to pocieszające, ale postanowiłam ten jeden jedyny raz nie przesadzać z obawami, pokazać, jak świetnie sobie radzę w kryzysie, i być przykładem zdrowego rozsądku, kiedy innym tego rozsądku zabrakło i okazały się nieodpowiedzialnymi egoistkami.

Dotarłam do chłodnych podziemi, gdzie w mroku i piwnicznym zapachu, stojąc dumnie między alfą romeo a czymś dużym o nazwie „Wolseley”, czekał cierpliwie czerwony śmierdziel. Niezłe komponował na tle poobdzieranych czerwonych lamperii i ciemnoszarej podłogi z wielkimi plamami oleju. Postąpiłam chwilę, kopnęłam fiata w oponę, zajrzałam do środka i obeszałam go dookoła. Musiałam czymś wypełnić czas, tym bardziej że w schłodzonym powietrzu mój umysł zaczął pracować nieco lepiej. Niestety zaraz poczułam obecność zombi i dusicieli czających się w mrocznych zakamarkach, więc czym prędzej uciekłam na gorącą ulicę. Z przeciwnej strony podpełzały coraz dłuższe cienie kamienic, a ja nawet nie miałam zegarka, który wskazałby mi, kiedy mam już zacząć naprawę, ale tak naprawę się martwić.

Przeszłam na cienistą stronę ulicy, nie mając pojęcia, czym się zająć. Nie działo się nic, co byłoby godne uwagi, ulica była pusta, pozbawiona roślin i czegokolwiek, na co można by patrzeć dłużej niż dwanaście sekund.

Wiedziałam na pewno, że do samochodu prowadzą



wszystkie drogi, więc wystarczyło znaleźć dogodny punkt obserwacyjny i czekać cierpliwie, obgryzając paznokcie, plotąc sobie warkoczyki albo licząc przejeżdżające samochody, a w wersji bardziej rozrywkowej śledzić życie owadów w betonowym kwietniku. Przycupnęłam na krawężniku w niewygodnej pozycji, ale wolałam siedzieć jak nomada u wejścia do swojego namiotu, niż przechadzać się tam i z powrotem, stając się obiektem zainteresowania tutejszej obyczajówki.

Mijał czas, chciało mi się jeść i spać, zrobiło się chłodniej, a ja siedziałam i nie mogłam wymyślić żadnego powodu, dla którego ten dzień stał się taki denerwujący. Zwykle kiedy zaczynamy się zastanawiać nad czymś głęboko, dochodzimy do różnych wniosków, z których jedno odrzucamy jako błędne albo nieprawdopodobne, a inne jesteśmy w stanie przyjąć jako racjonalne. Te, które zostają, możemy dalej kojarzyć, aż uda nam się znaleźć przyczynę, która spowodowała niefortunny zbieg okoliczności. A potem możemy spokojnie wymyślić plan, który pozwoli nam wszystko naprawić albo chociaż zawczasu przygotować się na odparcie ataku, wybierając odpowiednią broń. A ja, mimo sprzyjających warunków – względnej ciszy, spokoju małej uliczki i samotności – nie mogłam wpaść na nic, co byłoby logicznym wytłumaczeniem kłótni między Jill i Alicją, mimo że analizowałam zapamiętane rozmowy i wydarzenia z ostatnich kilku dni. Jedynym wnioskiem, do którego doszłam, było przeświadczenie, że gdybym zjawiała się trochę później, to wszystko skończyłoby się bez mojego udziału, co miałoby i

dobrze, i złe strony – Jill i Alicja być może nie uciekłyby gdzieś przed siebie, ale wtedy nie dowiedziałabym się, że się kłóca.

Zdałam sobie sprawę, że Jill i Alicja właściwie nie rozmawiają ze sobą, nie licząc krótkich zdań, które wypowiadają do siebie, kiedy muszą coś powiedzieć. Nie zwracałam na to uwagi, zajęta moimi prywatnymi wakacjami, do których rozmowy często były niepotrzebnym dodatkiem. Poza tym spędzałyśmy ostatnio ze sobą za mało czasu, żeby śledzić ich wzajemne relacje. Cieszyłam się świętym spokojem, uznając, że nie musimy ciągle gadać, żeby wypełnić sobie błogi czas.

Poczułam się strasznie głodna. Wyjęłam wszystko z plecaczka, mając nadzieję, że znajdę wśród wszystkich drobiazgów coś do jedzenia. Głód zaczął zagłuszać wszystkie inne odczucia, nawet ból kości ogonowej. W plecaczku znalazłam kilka papierowych chusteczek, dawno zapomnianą pomadkę o zapachu truskawkowym, długopis, szary kalendarzyk z 1999 roku, w którym było jeszcze trochę miejsca do pisania, prawie pusty portfel z kartą Canadian Tire, banknotami pięć dolarów i pięć euro, kilkoma karteczkami ze starymi listami zakupów, numerem telefonu nie wiadomo czyim, przypomnieniem „zabrać patelnię do wymiany”, kawałkiem granatowej serwetki, włoską kartą telefoniczną, wizytówką mojego dentysty, na widok której poczułam niemiłe swędzenie zębów. W kieszonce, w której powinno się nosić komórkę, odkryłam amerykańską dziesięciocentówkę i zwinięty w rulonik bilet z metra. Nic z tego nie nadawało się do jedzenia, może z wyjątkiem biletu.

Nie znalazłam też niczego, co wskazałoby mi, ile czasu upłynęło, odkąd tu siedzę i niszczę sobie kręgosłup. Postanowiłam, że zawsze będę nosić awaryjne ciasteczko, choćby takie, jakie dodają do kawy na stacjach benzynowych, i chociaż jeden z trzech zegarków, które od lat leżały pozbawione baterii w tekturowym pudełeczku w mojej szafie.

Ostrożnie wypięłam łyk wody, czując, jak miliardy chorobotwórczych, biegunkowych mikrobów opanowują błyskawicznie mój przełyk. Zanim wpadłam w panikę, zza rogu wyłoniła się Jill z posklejanymi od potu włosami i czerwonymi plamami na policzkach. Wyglądała żałośnie, ale maszerowała jak żołnierz szkockiego regimentu, ściskając pod pachą swoją zieloną podróbkę torby Jane Birkin.

Nie zauważyła mnie, bo szła słoneczną stroną ulicy, a ja siedziałam poniżej linii jej wzroku, w głębokim cieniu, i do tego nieruchomo. Powinnam była zerwać się z miejsca, podbiec do niej i cieszyć się głośno z jej odnalezienia, ale poczułam złość i pragnienie zemsty za moje upodlenie. Postanowiłam się dogłębnie obrazić przynajmniej do czasu, kiedy otrzymam zadowalające wyjaśnienie powodów, dla których musiałam przesiedzieć pół dnia w pozycji żebraczki, cierpiąc głód, narażając się na odwodnienie i przeżywając niekończący się stres z powodu niepewności, braku informacji i obaw przed dyzenterią i pylicą, że nie wspomnę o nazwaniu mnie idiotką.

Tymczasem Jill zwolniła, wierzchem dłoni otarła pot z czoła, rozejrzała się dookoła jak spiskowiec i zniknęła w

garażu. Postanowiłam nie iść za nią i czekać choćby następne kilka godzin, ale już po kilku minutach zobaczyłam ją - stała nieruchomo ze skrzyżowanymi ramionami na granicy światła i cienia i wyraźnie gapiła się na mnie. Miałam wrażenie, że gdybym zobaczyła ją przez zalaną deszczem szybę w listopadową noc, to już nigdy, nigdy nie mogłabym zasnąć, nawet w dzień.

Podeszła do mnie po długiej chwili, kiedy już doszła do wniosku, że ja nie ruszę się z miejsca. Ja w ciągu tych kilku chwil zdążyłam ochłonąć z przerażenia i wyrównać oddech. Jill ciężko usiadła obok mnie i rzuciła torbę na asfalt.

- Cokolwiek ona ci powie, zapytaj najpierw mnie - powiedziała enigmatycznie, wierzchem dłoni ocierając pot z czoła.

- Jasne - zgodziłam się ironicznie.

Siedziałyśmy przez chwilę bez słowa, patrząc na szary mur po drugiej stronie ulicy. Jill zaczęła grzebać w torbie i po chwili wyjęła prawie pustą butelkę wody mineralnej oraz do połowy zjedzony rogalik, wyłazący z zatłuszczonej serwetki. Obejrzała pakunek ze wszystkich stron, potrząsnęła nim przy uchu, jakby to była paczuszka z prezentem, i nie patrząc na mnie, podsunęła mi go pod nos.

- Co mi powie? - spytałam, sięgając równocześnie po jedzenie.

- Kto?

- No właśnie, kto? - zirytowałam się lekko. - Powiedziałaś,

że ona coś mi powie, więc teraz pytam, co mi powie...

- Skąd mam wiedzieć, co ci powie - Jill, prawdopodobnie ze zmęczenia, mówiła niewyraźnie i powoli. - Pewnie coś ci powie... o mnie.

- Taaak? Więc ty mi powiedz pierwsza, skoro już tu jesteś, i będzie z głowy - zaproponowałam z przekąsem i postanowiłam drążyć dalej. - Czy powie mi coś, czego nie wiem? Odkryła, że jesteś kosmitką albo nosisz perukę? A może zaczęłaś pracować dla komunistów albo jesteś w ciąży? Hej, już wiem! Jesteś facetem!

Milczała, więc popatrzyłam na nią. Siedziała z zaciśniętymi ustami, patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem i nie wyglądała jak ktoś, kto zastanawia się, od czego zacząć. Westchnęłam głośno, chcąc zwrócić jej uwagę na fakt, że nie mam całego dnia na siedzenie tutaj i czekanie na to, co ma mi do powiedzenia.

- Czy to długa historia? - spytałam zachęcająco, starając się tym razem nie okazać zniecierpliwienia.

- Powiedz, dlaczego ty zawsze tak wszystko komplikujesz - raczej stwierdziła niż zapytała, odwracając się gwałtownie w moją stronę. - Wiecznie zadajesz jakieś pytania i wiecznie masz z tym problem...

- O czym ty, do diabła, mówisz, Jill? Jaki mam problem?

Potrząsnęła głową i wróciła do kontemplacji przestrzeni przed nami. Czekałam jeszcze chwilę, ale nic nie powiedziała. Postanowiłam się obrazić i w tym celu zaczęłam

się podnosić z krawężnika, ale byłam tak zdrętwiała, że szło mi to bardzo wolno, a jeszcze utrudniał mi to siejący okruchy rogalik, który trzymałam w garści. Wreszcie wstałam, otrzepałam tyłek z drobnych kamyczków i ruszyłam przed siebie, czyli w stronę wejścia do garażu. Nie mogłam zostać z Jill, bo bałam się, że ją trzasnę albo zacznę wrzeszczeć. Musiałam jakoś wyładować frustrację, ale oprócz tupania i wydawania z siebie odgłosów warczenia nic nie przychodziło mi do głowy.

Na filmach wygląda to bardzo prosto: skrajnie sfrustrowany facet wali drugiego w pysk albo odchodzi w stronę zachodzącego słońca, albo wychodzi z domu z zaciśniętymi pięściami, zgarniając w drodze do drzwi sweter *marynarkę płaszcz kurtkę kapelusz* i odchodzi w miejsce, w którym jest mu lepiej. I tu możliwości ma niewyczerpane, bo gość może zacząć wielkie odstresowywanie w ramionach kobiety, która go rozumie, nie tak jak ta wiedźma, od której właśnie uciekł, a skończyć jako uczestnik pierwszego załogowego lotu na Marsa<sup>\*</sup>, odwiedzając po drodze setkę barów lub zakładając firmę budowlaną. Dziewczyny mają gorzej, bo ich repertuar w zasadzie kończy się na tłuczeniu zastawy stołowej lub walnięciu kilka razy pięściami w owłosiony tors, co zwykle kończy się wspaniałym seksem. Poza tym mogą zadzwonić do przyjaciółki albo zostać alkoholiczką, a w najlepszym przypadku w jakiejś zapomnianej dziurze założyć antykwariat, który nie przynosi dochodów, ale do którego kiedyś być może trafi Ten Jedyiny.

Ja nie miałam nawet takiego wyboru, choćby z braku

talerzy, więc odwróciłam się i stanęłam przed Jill.

- No, powiedz mi, dlaczego musiałam tu siedzieć tyle czasu i martwić się o was...? Martwić się o ciebie, Jill...? Wiesz, jakie to okropne siedzieć tu i nie wiedzieć, co się dzieje...? Zastanawiać się, o co chodzi, i nie wiedzieć, co zrobić...?

Jill nie odpowiedziała, gapiąc się na ścianę po drugiej stronie ulicy.

- Co tam widzisz na tej ścianie, mane, tekel, fares?

Moje przemowy mające zmiękczyć Mimi były świetnym treningiem, więc wygłaszanie takich mówek drżącym z emocji głosem nie było dla mnie żadnym problemem. Sprawiałam, że Jill podniosła głowę i popatrzyła na mnie z uśmiechem. Czerwone plamy zaczęły znikać z jej policzków, tak jak i makijaż, starannie nałożony wczesnym rankiem. Sądziłam, że znów powie coś, co wytrąci mnie z równowagi, ale ona rozwichrzyła sobie palcami grzywkę i spytała:

- Alex, znasz kogoś sławnego?

- Nie wiem - powiedziałam po dłuższej chwili. - Czy to podchwytliwe pytanie?

- Raczej nie - Jill wzruszyła ramionami i znów zagapiła się na ścianę, po której coraz wyżej podpełzał cień.

Zaczęłam z przejęcia obgryzać paznokiec. Nie znam nikogo sławnego i jak sięgam pamięcią, nawet nie widziałam nikogo sławnego na żywo, choć inni ciągle spotykają znanych ludzi na lotniskach, w hotelach albo w jakichś restauracjach.

Nie znam nikogo, kto choć raz wystąpiłby w telewizji albo w radiu, nikogo, kto przynajmniej raz przyciągnąłby uwagę chociaż dwudziestu osób równocześnie, no może oprócz jednego gościa w Ottawie, który miał dredy wysmarowane końskim łajnem i śmierdział jak nieszczęście.

Nie sądzę, żebym przegapiła sąsiedztwo jakiegoś pisarza albo laureata Nobla, nikt ze znajomych nie był zamieszany w zbrodnię, żaden dzieciak nie posłużył jako tło do teledysku. Nie chodziłam do szkoły z nikim, kto później został piosenkarzem albo chociaż merem. I nawet, o Boże, nie znałam żadnego geja, co już było lekką przesadą, bo każdy zna jakiegoś geja, który pomaga mu wybrać suknię ślubną albo chociaż obicia foteli!

- Nie znam nikogo - przyznałam się do życiowej klęski. - Nie znam nawet listonosza ani żadnego strażaka. Ledwo znam kilku sprzedawców i może ze dwóch sąsiadów, ale ich stosunek do mnie zawiera się w zdaniu „burn bitch, burn” - roześmiałam się głośno. - A, i czasem przychodzi jedna babka od jehowów, chyba ma na imię Mary, no bo jak miałyby mieć na imię, ale już jej nie wpuszczam...

Jill pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Właściwie to znam tylko was - wzruszyłam się i znowu usiadłam obok niej na krawężniku. - A dlaczego o to pytasz?

- Bo chyba widziałam Jacka Lemmona.

- Lemmona? Tego aktora? Tego od *Garsoniery*?  
Uwielbiam go!



- Tego właśnie.

- Ale on chyba już umarł - powiedziałam niepewnie. - Jakiś rok czy dwa lata temu...

- Naprawdę? - Jill wyglądała na szczerze zmartwioną. - Nie wiedziałam.

- No... - stwierdziłam inteligentnie. - Uwielbiałam go.

- To musiał być ktoś do niego podobny.

- No...

- Zjedz to wreszcie - Jill wskazała brodą tłustą serwetkę z kruszącą się zawartością, którą bezwiednie nadal ściskałam.

Wolno przejechał samochód, kobieta za kierownicą obserwowała nas przez chwilę uważnie. Potem zrobiło się cicho. Odgryzłam kawałek suchego rogalika. Smakował cudownie.

- O, znałam kiedyś kogoś, kto znał kogoś, kto chodził do szkoły ze Stingiem - przypomniałam sobie. - Ale to się chyba nie liczy?

- Akurat znał. Najlepiej znać kogoś, kto już nie żyje, żeby nikt nie mógł stwierdzić, że to nieprawda.

- Ale Sting żyje... - powiedziałam niepewnie.

- To kto nie żyje?

- Nie wiem, kto nie żyje, mój dziadek i parę innych osób! Ponoć osiemdziesiąt miliardów zdążyło już umrzeć od czasów starożytnych! Nie wkurzaj mnie, Jill, powiedz wreszcie, co

się stało, do cholery, i chciałabym wreszcie stąd jechać!

- Wyluzuj, kobieto. - Jeśli Jill była wyluzowana, to nie było tego po niej widać. - Gdzie właściwie jest ta... nasza koleżanka?

- Ty mi powiedz! - podniosłam głos. - Niedługo będzie ciemno, gdzie ją wtedy znajdziemy? A jeśli coś jej się stało?!

- Panna Alexandra panikara - prychnęła Jill. - Nic jej się nie stało, pewnie jak zwykle nie może nigdzie trafić. Nie jest przecież dzieckiem. Czemu nigdy nie umiesz wyluzować? Wiesz, o ile mniej problemów byś miała, gdybyś nie traktowała wszystkiego tak serio? Życie nie jest po to, żeby się martwić o wszystko i jeszcze truć o tym bez przerwy.

Zaczęłam się szybko podnosić, co nie było wcale łatwiejsze niż poprzednio. Zawsze kiedy zaczynałam się czuć pokrzywdzona albo potraktowana niesprawiedliwie, budził się we mnie instynkt ucieczki.

- Poczekaj... - Jill złapała mnie za koszulkę, drapiąc mnie przy okazji w bok.

- Auu! - klapnęłam boleśnie na beton.

- Siadaj!

„Przecież siedzę” - chciałam wrzasnąć, ale Jill niespodziewanie zaczęła mówić, oglądając uważnie swoje kolano.

- Pamiętasz, jak kiedyś wyjechałam, wiesz, jak mnie nie było przez jakiś czas? - tłumaczyła, jakbym mogła nie

wiedzieć, o co chodzi. - Pewnie chciałaś wiedzieć, gdzie wtedy byłam, prawda?

Wzruszyłam ramionami, bo zaskoczyła mnie nagłą chęcią zwierzeń, choć przez tyle lat nie powiedziała o tym więcej niż kilka zdań. A teraz nagle była gotowa, żeby zdradzić sekret swojej tajnej misji? I jeszcze to pytanie, czy chcę wiedzieć. Nie było to spełnienie moich najskrytszych marzeń, ale bardzo chciałam wiedzieć.

- Jak chcesz, to powiedz, nie, to nie - znowu wzruszyłam ramionami, nie patrząc na nią. - A co cię tak nagle naszło...?

- Nie wiem... - udała, że się zamyśla, i wstrzymała oddech, patrząc gdzieś przed siebie.

- Przestań! - powiedziałam, dając jej kuksańca łokciem. - I tak nie mamy nic lepszego do roboty.

Jill poruszyła się, jakby chciała wygodniej usiąść.

- Kiedy Patryk umarł, wiedziałam, poczułam, że to jest ten moment, kiedy...

- Jiiiiill - powiedziałam ostrzegawczo. - Bez propagandy. Wiem dobrze, kiedy wyjechałaś.

- Dobra, wyjechałam wtedy, bo czułam, że się uduszę, i czułam też, że zaczynam nowe życie, że teraz już wszystko będzie super i że wreszcie zaczynam nowe życie... Jezu, powtarzam się...

- I nie mogłaś nic powiedzieć albo chociaż się pożegnać?

- Nie masz pojęcia, co wtedy czułam, jak się bałam, że coś

mnie zatrzyma, że nie zdążę uciec, a ty będziesz mnie namawiała, żebym to wszystko sobie przemyślała... wiesz sama, jaka jesteś.

Spojrzała na mnie niepewna, czy się z niej nie śmieję, pochyliła się i zdmuchnęła niewidzialne pyłki z kolana. Nie wiedziałam, jak zareagować, więc włożyłam sobie do ust resztę rogalika. Widziałam, jak dłoń Jill gładząca kolano drży lekko.

- Mogłaś chociaż zadzwonić i oznajmić, że wyjeżdżasz - powiedziałam, przełykając. - Przecież nie zatrzymałabym cię siłą.

- Ale odradzałybyś mi, prawda?

- Jasne. Ja i moje asekuranctwo - stwierdziłam ze złością.  
- Teraz już bym ci nie odradzała.

- Teraz bym nie ruszyła tyłka - roześmiała się. - Ale wtedy po prostu musiałam.

Pokiwałam głową, obserwując siwego gołębia, który sfrunął z dachu i dreptał nerwowo, obserwując z przechyloną główką zatłuszczoną serwetkę po rogaliku.

- To są cholerne ogólniki, ale moje życie, wiesz, moje tamto życie z nim, było zupełnie do niczego, do tego mój dom tak zwany rodzinny to też była niezła jazda, zresztą chyba wiesz. To nie był najlepszy krok, ale kiedy brałam ślub, myślałam, że ucieknę z domu, wiesz, od moich rodziców - westchnęła głęboko - że się uwolnię, a wpadłam jeszcze gorzej... Dlatego nienawidzę, kiedy tak narzekasz i

marudzisz, bo nie masz pojęcia, jak to jest, kiedy wiecznie boli brzuch z nerwów... Zresztą, było, minęło.

- Dlaczego nic wcześniej nie mówiłaś? - Miałam ochotę ją przytulić, mimo że kwestionowała moje prawo do marudzenia. - Może by się coś poradziło...

- A ty byś powiedziała? Chciałam powiedzieć, ale wstydziłam się jak diabli i bałam się, że wtedy się rozkleję i nie dam rady. Sama byłam sobie winna. Poza tym miałam wtedy takie mniemanie o sobie, że powinnam raczej ciągle się upijać albo siedzieć z głową w kiblu. Tam, gdzie moje miejsce - wytłumaczyła mi, kiedy spojrzałam na nią pytająco. - Albo coś w tym rodzaju. Tak wtedy sądziłam, że moje miejsce to siedzieć z głową w kiblu i nikomu się nie pokazywać.

Popatrzyła na mnie z uwagą, jakby sprawdzała, czy dociera do mnie to, co mówi. Potem rozejrzała się dookoła i zajęła się drugim kolanem.

- Coś tam wspominałam, ale chyba niezbyt wyraźnie... Dobra, to teraz nieistotne, ważne, że przetrwałam i udało mi się, i teraz już nie dam się nikomu. Ale jestem patetyczna! - zaśmiała się nieszczерze.

Pogłaskałam ją po ramieniu, myśląc, jaka jestem głupia, że nie potrafię znaleźć odpowiednich słów, choć doskonale rozumiałam, co Jill chciała powiedzieć.

- W każdym razie spakowałam kilka ciuchów, nie od razu, tylko jak pozałatwiałam różne sprawy, trwało to z dwa

tygodnie, wiesz, paszport, jakaś tam sprawa spadkowa, parę rzeczy oddałam do przechowalni – odetchnęła głęboko, jakby właśnie własnoręcznie zatargała do magazynu te kilka marnych rzeczy, które do niej należały. – Wsiadłam w autobus i pojechałam na lotnisko! Nie masz pojęcia, jak się bałam. – Tym razem jej śmiech brzmiał radośnie, jakby zrobiła komuś psikusa.

– Ale super – zawtórowałam jej nie wiedzieć czemu. – A co na to matka... no wiesz, jego – z wrażenia zapomniałam, jak miał na imię jej mąż.

– Ta kurwa podła? – Jill pokręciła głową i zmrużyła oczy. – Nie miała nic do gadania, nic! Przez cały czas wiedziała, jak jej łysy synuś mnie traktuje, zawsze wiedziała. Mieszkała pod nami, plątała mi się po kuchni, on łaził do niej codziennie, żeby się wypowiadać i ponarzekać na mnie, musiała wiedzieć, jak mnie traktuje, ale to, co on robił, zawsze było w porządku. Uwielbiała, kiedy jej opowiadał, jaka jestem beznadziejna, jaki to jest ze mną nieszczęśliwy. Uwielbiała. I to ciągle gładzenie o dzieciach. Założę się, że zapalała te swoje świece na ołtarzyku, żeby ten jej katolicki Bóg mi dokopał. Jej dom, jej synuś i jego własność, czyli ja.

– Jill, czy on cię bił? – spytałam, nie patrząc na nią, wystraszona włożeniem z butami w cudze życie.

– Nie, o co to, to nie – potrząsnęła gwałtownie głową. – Coś ty, tego bym nie zniosła. A musiałam wytrzymać, bo gdzie miałam iść? Wracać do domu? Nie chciałam ich więcej widzieć, nigdy więcej. Co miałam robić bez pieniędzy, bez

pracy, znaczy, wiesz, wtedy tak myślałam, bo teraz to mógłby mi skoczyć.

Znów się zaśmiała. Pomyślałam, że pewnie tak według starych wierzeń śmieje się puszczyc, kiedy przepowiada czyjąś śmierć.

- Alex, ja nie jestem beznadziejna, starałam się, ale ciągle było coraz gorzej. Zresztą właściwie to byłam beznadziejna, bo chciałam... bo myślałam, że znajdę... że ucieknę z domu i uwolnię się od całego tego gówna, które tam miałam. Że im udowodnię, jaka jestem świetna i że mogę sobie radzić bez nich. Znów się powtarzam. Ale przez całe życie wydawało mi się, że żadna kobieta nie poradzi sobie bez faceta, że musi mieć kogoś, kto będzie ją utrzymywał, ubierał, kupi jej cholerną mikrofalówkę i może nawet zabierze na wakacje, że bez faceta jestem nic niewarta. Że nigdy nie znajdę pracy, bo nic nie umiem i niczego się nigdy nie nauczę. Jak można być takim debilem? - Jill potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

Przyznałam jej rację, nie w kwestii bycia debilem, tylko w tym, że ja też tak myślałam przez wiele lat i wraz ze mną myśli tak ogromna część ludzkości. Zdałam sobie sprawę, że czasami chyba nadal tak myślę i nie miałabym nic przeciwko ubieraniu mnie i zabieraniu na wakacje. Mam tylko nadzieję, że Mimi się o tym nie dowie, bo to zniszczyłoby mój wizerunek niezależnej i wspaniałej kobiety.

Jill tymczasem podniosła się i zaczęła rytmicznie podskakiwać jak Masaj w programie National Geographic.

- Muszę rozprostować nogi. Wiesz, gdyby mnie bił, to

przynajmniej nie miałabym wymówki i musiałabym coś zrobić, i wtedy jakoś tak byłoby mi może łatwiej, wiesz, byłabym bardziej zdeterminowana - mówiła coraz bardziej zasapana.

- To co, może szkoda, że cię nie bił? - spytałam złośliwie, bo jej argumentacja nie przemawiała do mnie. - A poza tym co wtedy musiałabyś zrobić?

Chciałam, żeby się zatrzymała, bo zaczynała mnie boleć szyja od patrzenia na jej twarz na różnych wysokościach.

- Nieraz nad tym myślałam i zastanawiałam się, czy gdyby mnie pobił, a ja wezwałam policję i on poszedłby siedzieć, i w ten sposób zniknąłby z mojego życia, to czy moje życie byłoby lepsze. Ta stara wiedźma zgniłaby pewnie sama, a ja... Nie wiem, co by było. Mogłabym go jeszcze zabić w obronie własnej, może odsiedziałabym parę lat, a potem... życie! - przestała wreszcie skakać i usiadła z powrotem, sapiąc lekko. - Ale to wszystko były głupoty. Wymyślałam takie rzeczy, żeby się pocieszać. Sama sobie robiłam pranie mózgu - uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Ale go nie zabiłaś? Czy zabiłaś? - spytałam niespodziewanie dla samej siebie, czując, że jeśli teraz nie zadam tego pytania, to jedna z zagadek dwudziestego wieku nigdy nie zostanie wyjaśniona.

Jill spojrzała na mnie z szeroko otwartymi oczami i nagle zaczęła się głośno śmiać, odchylając głowę do tyłu. Jej śmiech nie pasował do nastroju rozmowy ani do cichej uliczki, więc rozejrzałam się spłoszona, ale wszystkie rolety



w oknach pozostały opuszczone i nikt nie wyjrzał z za rogu. Przystała się śmiać równie nagle, jak zaczęła, i pokręciła głową.

- Myślisz, że go zabiłam?

- No coś ty - powiedziała z przekonaniem i zaraz dodałam podejrzliwie: - A zabiłaś?

Czekałam na kolejny wybuch śmiechu, ale Jill zmrużyła przebiegle oczy.

- Hm, oto jest pytanie. Teoretycznie mogłam. Myślałam o tym czasem. Właściwie często. Ale sam umarł. Możesz mi wierzyć albo nie. No, może trochę przeze mnie. Troszeczkę - pokazała dwoma palcami, jak niewiele przyczyniła się do jego śmierci, i uśmiechnęła się. - Po prostu tego dnia specjalnie zaczęłam go strasznie wkurzać. Zwykle niewiele było trzeba, żeby zaczął wrzeszczeć, więc wszystko, co musiałam zrobić, to parę razy odpowiedzieć na jego głędzenie. To był dzień, kiedy było mi wszystko jedno, co się stanie. Po prostu tego dnia chciałam mieć spokój, bo było mi zimno, chciałam się przytulić do kocyka i trochę sobie pomarzyć... - objęła się ramionami z zamyślonym uśmiechem. - Och, każdy ma takie dni! - wykrzyknęła wesoło i zaraz się skrzywiła. - Chciałam go maksymalnie wkurzyć, żeby się na mnie obraził jak zawsze i poszedł się poskarżyć tej świętej inkwizycji na dole. Więc pierwsza część planu się powiodła...

- Pierwsza część planu?

- Tak. Pierwsza część planu. Alex... - popatrzyła na mnie jak na debila. - Że się wkurzył, nie rozumiesz?

Pokiwałam głową, że rozumiem, ale chyba jej nie przekonałam, bo wzniosła oczy do nieba i pokręciła głową, ubolewając nad moją głupotą.

- Więc planowo się wkurzył, jak zwykle zrobił się czerwony, a kiedy robił się czerwony, to był dla mnie znak, że cichutko muszę zniknąć mu z oczu - mówiła, uśmiechając się łobuzersko, jakby opowiadała o szkolnych kawałach robionych w szatni. - Potem, wiesz, on sobie tam wywrzaskiwał te swoje pretensje do całego świata, a ja mogłam w tym czasie siedzieć spokojnie w kuchni. Czasem nawet piłowałam paznokcie!

- Ty mój mały geniuszu - powiedziałam bez entuzjazmu. - I co, jak to przez ciebie...?

- No może trochę za późno zadzwoniłam na pogotowie. Teraz to już nieistotne.

Popatrzyłam na nią zdziwiona i dotarło do mnie, co powiedziała wcześniej.

- Jak to myślałaś o tym, Jill? Nie mogłaś po prostu sobie iść? Rozwieść się? Zostawić go, nawet wyjechać do innego miasta, zacząć od nowa?

- Jasne, wszyscy tak robią, prawda? - spytała ironicznie. - Myślisz, że to takie proste? Najpierw myślisz, że się ułoży, że jak jeszcze się trochę postarasz, jak dasz do szafy potpourri, jak ugotujesz lepszy obiad albo zrobisz pyszną galaretkę ze

świeżych owoców... ale potem jest listopad i jest zimno, i nie chce ci się nigdzie iść, a zresztą i tak wiesz coraz lepiej, że jesteś głównie warta i sama sobie nigdy nie dasz rady, więc po co w ogóle o tym myśleć?!

To nie była Jill, do której przyzwyczaiłam się przez ostatnie lata. Miała zaciętą twarz, zaciśnięte usta i zmrużone oczy bez cienia zwykłej, pogodnej ironii. Widziałam, jak ruszają jej się mięśnie zaciśniętych mocno szczęk i bieleją kostki dłoni.

- Zresztą tłumaczysz sobie, że nie jest tak źle, że inni mają gorzej, że nie musisz się zrywać do pracy o piątej rano, że jakoś przeżyjesz następne niedzielne wyjście do kościoła, kiedy trzeba udawać przed wszystkimi, jakie to twoje życie jest fajne i jaki kościół jest fajny, i z jakimi fajnymi hipokrytami musisz mieć do czynienia. Potem jest wiosna, świeci słońce, a ty nie masz nawet siły, żeby się uczesać, i czekasz tylko, żeby minął kolejny dzień i żeby zdarzyło się coś, co zmusi cię do działania albo samo za ciebie coś zrobi z twoim życiem... cokolwiek to ma być: wojna, rewolucja, UFO, albo że będziesz miała wypadek, albo dostaniesz raka... wszystko jedno, byleby coś się wydarzyło...

Pogłaskałam ją po ramieniu, bo jak zwykle nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Niedaleko uciekłam od mojego domu, co? - popatrzyła na mnie i przygryzła górną wargę.

- Daleko, skarbie, teraz już daleko - powiedziałam ciepło i zachciało mi się płakać.

Siedziałyśmy w milczeniu ze spuszczoneymi głowami, ja walczyłam z chęcią rozplakania się głośno nad losem biednej Jill i przy okazji moim, a Jill skubała rąbek spódnicy i nie mam pojęcia, o czym myślała. Nagle podniosła głowę i położyła mi rękę na kolanie.

- Przecież nie o tym miałam mówić!

- Jill, jak to za późno zadzwoniłaś na pogotowie? - jak zwykle bardzo powoli docierał do mnie sens niektórych słów.

Popatrzyła na mnie zdziwiona, jakbym spytała, jak to się stało, że przypaliła szarlotkę.

- Normalnie.

- Żartujesz, prawda? Bo jeśli nie żartujesz, to to nie jest normalnie.

- Może nie jest - odpowiedziała ze złością, zaciskając dłonie w pięści. - Ale tak się stało i koniec. I czuję z tego powodu wieceelką satysfakcję, i tak miało być. Kropka. Mogło mnie wtedy nie być w domu i byłoby to samo. To była moja zemsta i nikt mi tego nie odbierze.

- Jesteś nienormalna - powiedziałam cicho.

- Każdy jest nienormalny. Zresztą to nie było takie dramatyczne, jak sobie wyobrażasz. Nie stałam nad nim z poduszką ani z siekierą, żeby go dokończyć. I nie robiłam na drutach, siedząc przez kilka godzin przed telewizorem, kiedy on się wykrwawiał, bo się, cholera, nie wykrwawiał! Leżał sobie na łóżku w sypialni, a ja siedziałam cichutko w kuchni i byłam szczęśliwa, że choć przez chwilę mam spokój. Zresztą

- wzruszyła ramionami - i tak był nieprzytomny, a lekarka powiedziała, że gdyby przeżył ten udar, to i tak byłby jeśli nie warzywem, to na pewno niedorozwiniętym bachorem w pieluchach.

Przez chwilę wysapywała swoją złość i kiedy znów się odezwała, jej głos jeszcze drżał, ale był już kilka tonów cichszy.

- Dobra, nie powiedziała „bachorem”, ale coś w tym stylu. Chciała mnie pewnie pocieszyć. Zresztą sam się o to prosił - machnęła ręką, żebym siedziała cicho. - Miał cukrzycę i nie chciał się leczyć. Prawdziwy macho. Ciśnienie mu skakało jak kangur, ale nic z tym nie robił, a jeszcze do tego był gruby, bo jadał dwa obiady dziennie, jeden u mamusi, drugi mój, potrafił jeść kolację o północy, a wcześniej wypijał co najmniej dwa piwa, i to był chyba jedyny sport, jaki uprawiał, no może poza obrażaniem się na mnie i robieniem mi awantur o wszystko.

- To o czym miałaś mówić? - postanowiłam zakończyć temat, bo przypominałam sobie, że ja w chwilach złości życzę moim wrogom nagłej i niespodziewanej śmierci, a pojęcie chrześcijańskiego miłosierdzia jest mi raczej obce.

- O czym miałam... - Jill otrząsnęła się ze wspomnień. - A właśnie. Więc pojechałam na lotnisko, miałam jedną torbę, tak, jedną torbę i plecak, nie, chyba taką dużą torbę na ramię...

- Pojechałaś i co dalej? - spytałam niecierpliwie.

- Jechałam i jechałam na to lotnisko i chciałam wracać, bo zaczęłam się strasznie bać, myślałam: głupia kobieto, co ty robisz...? Było zimno, wiesz, ten zapach jesieni, kiedy już wiadomo, że zaraz spadnie śnieg; pomyślałam, że fajnie byłoby jechać gdzieś, gdzie jest ciepłutko.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem. Październik to czas, kiedy wiadomo już, że ciepły wiatr wróci dopiero w kwietniu albo w maju, czas, kiedy trzeba wyjmować futra, anoraki i rakiety śnieżne, a listopadowe marznące deszcze mogą skuć lodem wszystko w ciągu jednej nocy, od jezior w parkach po samochodowe rozruszniki.

- Pamiętam, raz w Halloween było plus dwadzieścia stopni, a potem wieczorem zrobiło się minus dwadzieścia. To było chyba w osiemdziesiątym ósmym... - przypomniało mi się nie wiadomo czemu. - Dobra, i co dalej?

Jill westchnęła ciężko i wyjęła z torby butelkę z wodą.

- Postanowiłam zrobić tak jak w filmach. Poszłam do informacji i spytałam o najbliższy lot. Pani powiedziała, że najbliższy jest do Toronto, ale nie ma już biletów.

- Toronto? Można tam dojechać w sześć godzin samochodem! - wykrzyknęłam z oburzeniem, choć ja jechałabym dwanaście.

- Po pierwsze nie miałam samochodu, po drugie przecież wiesz, że nie chodziło mi o Toronto, chociaż nigdy tam nie byłam - Jill pociągnęła łyk wody. - Napiłabym się czegoś.

- Przecież właśnie pijesz.

- Nie tego, czegoś z zawartością alkoholu. Niemałą najlepiej. W każdym razie powiedziałam, o co mi chodzi, i dostałam do wyboru Orlando i Paryż.

- Niezły wybór - mruknęłam. - Dobrze, że nie miałaś do wyboru Pakistanu i Rwandy...

- Wybrałam Paryż, bo przecież każdy chce polecieć do Paryża, prawda? Najważniejsze, że było mnie stać na bilet, bo kupowałam go w ostatniej chwili, a zresztą Paryż... - Jill rozmarzyła się na wspomnienie. - I nie trzeba było wizy, a już o wizach to zupełnie nie miałam pojęcia. No i poleciałam do Paryża, pierwszy raz leciałam samolotem i okropnie się bałam!

Jill objęła dłońmi twarz i wzniosła oczy do nieba, które kiedyś stało się jej drogą do nowego życia. Jeśli mówiła prawdę, to powinnam zgłosić jej kandydaturę do nagrody Najbardziej Spontanicznej Podróżniczki w kategorii Debiut Roku.

- Paryż mi się nie spodobał. - Popatrzyła na mnie z obawą, jakbym miała ją zbesztać za to, że nie podobała jej się stolica francuskiego świata. - Właściwie już lotnisko mi się nie spodobało, za dużo ludzi, samo lotnisko takie wielkie i jakoś brudno... miałam dość po pięciu minutach.

Biedna, mała Jill z prowincji zagubiona na wielkim, niedomytym lotnisku w obcym kraju, wyrwana z domu jak roślinka - prawie ją widziałam, jak stoi pod ścianą ze swoją starą torbą, rozglądając się wokół niepewnie, gapiąc się na ubrania innych kobiet i zastanawiając się, jak odkręcić to, co

rozpętała.

- Chciałaś wracać?

- Coś ty, jak już byłam tak daleko? Podjęłam decyzję i koniec! Miałam ochotę połączyć po sklepach, zobaczyć trochę tego wymarzonego świata, ale byłam już trochę zmęczona i to wszystko zaczynało być... trochę za bardzo zakręcone.

Roześmiałyśmy się obie, bo wszyscy wiedzieli, że nic nie może być dla nas za bardzo zakręcone. Dla Jill niewiele jest rzeczy zbyt szalonych, żeby nie można było ich zrobić, a dla mnie wiele rzeczy stawało się dopuszczalnych, atrakcyjnych i prostych dopiero po dwóch, może trzech szklaneczkach merlot.

- I co dalej? - spytałam z ciekawością.

- Dalej... dalej zrobiło się już całkiem niesamowicie. Po pierwsze chciało mi się strasznie spać, tam był już wieczór czy coś, a po drugie miałam za duży wybór, wiesz, jak przeczytałam rozkład lotów, to nie miałam bladego pojęcia dokąd dalej lecieć, nawet nazwy miast mi się mieszały. Właściwie to wiedziałam tylko, że nie powinnam kupować biletu do Nowego Jorku, bo to jazda z powrotem! - Jill zaśmiała się z własnego dowcipu.

- Szkoda, że mnie tam nie było - zareklamowałam się nieudolnie.

- Pewnie, że szkoda. Razem byśmy na pewno nie zginęły.  
- Stuknęła mnie ramieniem. - W każdym razie zdarzyła się rzecz naprawdę niesamowita, sama bym nie uwierzyła,



gdyby to się przytrafiło nie mnie, ale komuś innemu.

Jill kręciła głową z niedowierzaniem, zapominając, że ona już zna tę historię i może sobie kręcić głową do woli, wspominać w myślach i robić dywagacje, a ja i tak nie wiem, o co chodzi. Do tego zaczynało mi być głupio, że to jej zdarzyła się niesamowita rzecz.

- Słuchaj, Szeherezado, może zaczniesz trochę szybciej opowiadać, bo nie możemy tu wiecznie siedzieć.

- Dobra, więc w pewnej chwili obok mnie usiadło dwóch facetów...

- Mmmmm, nieźle jak na początek. - Moja próba wprowadzenia bardziej frywolnych akcentów skończyła się trzepnięciem mnie w ramię.

- Przestań, nie o to chodzi! Więc usiedli i zaczęli rozmawiać, i ten młodszy mówi, że nie wie, jak sobie da radę bez tego drugiego, ale że teraz oczywiście najważniejsze jest jego zdrowie...

- Czyje? - musiałam mieć jasność.

- Tego starszego. Bo to byli ojciec i syn i ten ojciec jechał na jakąś operację do swojego kraju, znaczy ich kraju, no wiesz, o co chodzi - zamotała się Jill. - A potem ten młodszy się martwił, że w takiej dziurze nikogo nie znajdzie do pomocy, ale będzie szukał, a ten starszy, że przecież już o tym rozmawiali tysiąc razy i że wszystko będzie dobrze, i że niech się wreszcie przestanie martwić. Potem ten ojciec poszedł do toalety, a ja... a mnie coś odbiło i stanęłam przed

tym, co został, znaczy przed synem, i mówię, że przepraszam, że przez przypadek usłyszałam, o czym rozmawiają i że nazywam się Jill DeLuca, bla, bla, bla, i że jeśli potrzebuje pomocy, to ja jestem do dyspozycji, bo właśnie przyjechałam i... akurat miałam się rozglądać za pracą, więc to jest wspaniała szansa dla mnie oczywiście i być może dla nich...

- Naprawdę tak powiedziałaś?! - wykrzyknęłam z niedowierzaniem.

Jill raczej kiepsko nawiązuje kontakty z nieznajomymi. Gdyby ją wysłać z międzyplanetarną misją w celu nawiązania kontaktu z obcą cywilizacją, to pewnie nawet nie wysiadłaby ze statku kosmicznego, bo po pierwsze nie miałyby się w co ubrać, a po drugie nie chciałyby się nikomu narzucać, chyba że dla zgrywy.

- Naprawdę, naprawdę, ale nie pytaj mnie, co powiedziałam dokładnie, bo nie pamiętam! - Jill miała minę uduchowioną i szczęśliwą. - Coś tam mówiłam o moim doświadczeniu w różnych zawodach, o znajomości języków, że nie mam zobowiązań i mogę się poświęcić bez reszty, i takie tam... Musiałam chyba być bardzo zmęczona.

- Albo nakręcona. I co dalej?

- Ale za to do dziś pamiętam jego minę, był tak zaskoczony, że nie wiedział, co powiedzieć... - Jill zachichotała i stuknęła mnie w rękę.

- Nie dziwię się.

- Ale na szczęście wrócił ten starszy i stwierdził: czemu nie?! - Jill powiedziała to wszystko, prawie nie nabierając powietrza, a potem zaklaskała w ręce i się roześmiała. - Śmiesznie to wyglądało, bo ten starszy wyglądał na rozbawionego, a ten drugi się wystraszył! Świetna zabawa, mówię ci.

Zawtórowałam jej, choć nie widziałam nic śmiesznego w sytuacji, w której Jill wystawia się na sprzedaż dwóm kompletnie obcym facetom. I trudno mi było wyobrazić sobie całą tę scenkę z nieśmiałą Jill w roli głównej. Jill tymczasem wzięła głęboki wdech.

- Ale to jeszcze nic! - wykrzyknęła. - Ten starszy, Colin, powiedział mi, o co chodzi. Okazało się, że oni zbudowali domy, które teraz trzeba sprzedać, a ponieważ nie mają czasu, bo chcą robić następne domy, więc te domy będę sprzedawać ja!

- To nie było tam nikogo innego? - spytałam podejrzliwie.

- No byli mieszkańcy... - powiedziała zaskoczona.

- Nie, czy nie było nikogo innego do tej pracy!

- Większość ludzi w tej miejscowości to przyjezdni, turyści. Albo mają tam domy i przyjeżdżają na przykład na zimę, albo wynajmują komuś domy, albo mieszkają w hotelach... - tłumaczyła mi cierpliwie - a miejscowi pracują w tych hotelach albo w kilku sklepach, albo w restauracjach. I nie za bardzo mówią w obcych językach. I dlatego potrzebowali mnie! - wykrzyknęła triumfalnie.

- Nieźle! - mruknąłam z zazdrością, bo oczami mojej małej, podłej i zawistnej duszyczki widziałam już Jill w służbowym bmw ze składanym dachem, w służbowym kostiumie od Givenchy, ze służbowym kochankiem z rolexem na rasowym przegubie. Z tego powodu nie wypomniałam jej, że domy wszędzie, nawet w Europie, się buduje, a nie robi.

Jill wyglądała na przeszcześliwą z powodu tych wspomnień i pewnie nawet wsadzenie jej palca w oko nie osłabiłoby jej entuzjazmu. Nie było więc szans, żeby zauważyła moje niechętnie spojrzenie.

- Ale to jeszcze nic! - Gdyby w Sèvres istniał wzorzec zadowolenia, to byłby to portret Jill zrobiony w tej właśnie chwili. - Okazało się...

Zrobiłam minę pełną wyczekiwania, ale Jill odstawiła swój stały numer - wstrzymała oddech i czekała na reakcję. Tylko raz udało mi się ją przetrzymać, bo zawsze wydawało mi się, że ona się udusi. Tym razem też nie wytrzymałam.

- No mów!

- ...że cały ten interes jest w Hiszpanii! - Jill aż poczerwieniała, mówiąc to w trakcie wypuszczania resztek powietrza.

- No co ty! - wykrzyknęłam i dodałam szeptem: - W Hiszpanii?

Pokiwała głową z miną zadowolonego jubilera, który mówi klientowi, że brylant w pierścionku nie ma pół karata, ale aż zero, siedemdziesiąt pięć. A ja potrzebowałam kilka minut,

żeby przetrwać te rewelacje oraz stłumić w sobie niedowierzenie i zazdrość. Wstałam i przeszłam kilka kroków, masując sobie tyłek. Jill z uśmiechem wodziła za mną wzrokiem i czułam, że się niecierpliwi, żeby opowiedzieć dalszy ciąg.

- Kupiłam bilet do Walencji - mówiła Jill, nie czekając aż się zbliżę. - Colin chciał mi go kupić, żartował, że teraz jestem ich pracownicą i mam ich słuchać, ale powiedziałam, że nie ma mowy. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałam, gdzie jest ta Walencja, ale chyba było mi wszystko jedno, bo czułam, że to jest szansa, a jeśli nie szansa, to chociaż świetna przygoda.

Uśmiechnęła się smutno, jej dobry nastrój nagle odleciał. Spuściła głowę i przez długą chwilę milczała. Przykucnęłam naprzeciw niej i oparłam ręce na jej kolanach.

- Chyba jesteś nienormalna - powiedziałam spokojnie. - Chyba jesteś nienormalna.

- Wiem - odpowiedziała, podnosząc głowę. - Wiem.

- Mogli cię porwać, mogli cię zabić, mogli cię, nie wiem, sprzedać do burdelu...

- Mhm. Mogli.

- Mogli ci wyciąć nerki albo więzić cię przez lata, i nikt by o tym nie wiedział.

Jill opuściła głowę i potrząsnęła nią, roztrzepując sobie włosy. Zauważyłam, że ma centymetrowe siwe odrosty i pomyślałam, że muszę ją zapytać, jak często farbuje włosy,

bo dotąd nigdy nie zauważyłam, że w ogóle siwieje.

- Myślałam już o tym - podniosła głowę znowu uśmiechnięta. - Ale na szczęście nerki mam na miejscu i nawet wątrobę.

- Gorzej z mózgiem - powiedziałam zgryźliwie.

- Ha, ha, bardzo śmieszne - wydeła usta. - Chcesz wiedzieć, co dalej?

- No jasne - usiadłam znowu na krawężniku.

- To siedź cicho wreszcie. Z Walencji pojechaliśmy samochodem na południe...

- Skąd wiesz, że na południe?

Jill westchnęła ciężko, podniosła się i stanęła przede mną na ugiętych kolanach, jak zapaśnik sumo, który zaraz zacznie się klepać po tyłku.

- Bo wiem. Bo morze było po lewej. Zresztą jak chcesz, to sama sobie opowiedz resztę i sama sobie przerywaj co chwilę swoimi dociekliwymi pytaniami - przy słowie „dociekliwymi” zrobiła palcami cudzysłów - i jeśli chcesz wiedzieć coś o południu, to sobie zobacz na mapie, bo nie mam zamiaru ci powiedzieć, dokąd pojechałam.

- Nie, przepraszam, już się zamknę - błagałam, zastanawiając się, jak to się właściwie mogło stać, że dwójka osób, które nie znały się jeszcze kilka godzin wcześniej, mknę autostradą pod słońcem Hiszpanii, złączonych jednym celem, jakikolwiek by on był.

Jill mruzczała coś przez chwilę niezadowolona, ale w końcu usiadła obok i wygładziła fałdy spódnicy. Zza rogu wyszła starsza kobieta z grubym maltańczykiem w czerwonej sukience. Pies dyszał ciężko, kobieta szła powoli, nie patrząc na nas. Odprowadzałyśmy ją wzrokiem, aż weszła w pomalowane na brązowo, wysokie drzwi.

- Jechaliśmy na południe - powiedziała Jill powoli, jakby czekała na to, czy dam się sprowokować. - Kilka godzin. Bardzo długo. To nie była za dobra droga, może jechalibyśmy krócej, ale wtedy nie było tam jeszcze autostrady. Teraz już jest, tak słyszałam. Prawie cały czas widać było morze, to było niesamowite. Raz zjechaliśmy z drogi do jakiegoś miasteczka, żeby coś zjeść, a poza tym tylko jechaliśmy. W końcu zrobiło się ciemno i okazało się, że jesteśmy na miejscu. Rano...

- Jak to rano? - nie wytrzymałam. - Ale gdzie, jak tam było, jak to wyglądało? Opuściłaś cały rozdział!

- Poczekaj, spokojnie. Psujesz mi fabułę. Wtedy w nocy pokazał mi pokój, łazienkę, przyniósł owoce i poszłam spać, a rano...

Pokiwałam głową na znak, że nie dam się sprowokować i poczekam na szczegóły.

- ...a rano wstałam i zobaczyłam morze przez okno, z trzech stron morze, w dole morze, wszędzie, a trochę dalej góry, i to był najpiękniejszy widok, jaki w życiu widziałam, więc jeśli miałabym stracić nerkę za możliwość zobaczenia tego i mieszkania tam choć przez tydzień, to chyba byłoby

warto.

Jill znowu wyrzucała z siebie ten długi tekst na wydechu, więc potrzebowała dłuższej chwili, żeby dojść do siebie. Przez moment oddychała ciężko z wysiłku i z emocji, a ja w tym czasie próbowałam sobie stworzyć obraz widoku z okna i gór na horyzoncie, a jeśli moje wyobrażenie było choć trochę zbliżone do prawdziwego widoku, to byłoby to spełnienie moich marzeń. Potrzebowałam wprawdzie mnóstwa dodatkowych danych, ale byłam pewna, że je dostanę, choćbym miała więzić Jill przez dwa tygodnie.

- Pamiętasz taki film z Nicholsonem, w którym Diane Keaton miała taki cudny dom na plaży? - Jill odzyskała oddech.

- Mhm - przytaknęłam ochoczo.

Dom w tym filmie był kolejną projekcją moich marzeń o domu, był domem idealnym, archetypem, do którego porównywałam każdy dom, który gdziekolwiek później widziałam. Wyobrażałam sobie, że gdybym mieszkała w takim domu przy plaży, to nie miałabym wyjścia, po prostu musiałabym być szczęśliwa.

- Więc ten ich dom był lepszy.

- Jasne - stwierdziłam ironicznie.

- Miał basen. - Jill oceniała wrażenie, jakie zrobiła na mnie ta informacja, ale nie była usatysfakcjonowana. - Drewniane podłogi i takie grube belki pod sufitem, wspaniały zapach drewna, łóżko, nie, łożo z baldachimem, rzeźbione



szafy, wiewielki kominek, tak wielki, że można było do niego wejść...

- Pewnie jeszcze z koniem - mruknęłam.

Jill szturchnęła mnie w ramię, ale obyło się bez słownej nagany, bo była w transie, a obrazy, które widziała we wspomnieniach, można było prawie oglądać na jej twarzy.

- ...i cudowny ogród, palmy, drzewka cytrusowe, mnóstwo czerwonych kwiatów, pnącza, wysokie trawy w paski, z takimi białymi miotłami na czubkach. Raj na ziemi, i w dodatku z kamiennymi schodami na plażę... Z taką małą furteczką, której prawie nie było widać...

- Bo była taka mała? - przerwałam brutalnie rajską wizję, śmiejąc się ze wspaniałego dowcipu.

- Bo była zarośnięta roślinami i pnączami, debilu! - Jill wyraźnie się obraziła, co było niezwykle, bo raczej nie przywiązywała wagi do głupich komentarzy, w których się specjalizowałam.

Często na imprezach, na które już od dawna nie chodzę, a na które wyciągała nas litościwa Alicja, ja i Jill, jako dziewczyny bez pary, kończyłyśmy w babskim gronie, gdzieś między kuchnią a miejscem, w którym stał telewizor. Trwały tam niekończące się rozmowy o metodach wywabiania plam, poważne dyskusje o obowiązujących krojach i kolorach kostiumów biurowych, najmodniejszych miejscach weekendowych wypadów i kształcie kołnierzyków przy sukieneczkach dla małych dziewczynek. Zwykle starałyśmy

się trzymać z boku, ponieważ żaden z tematów nas nie interesował, ale stojąc bardzo z boku, mogliśmy podsłuchiwać męskie dyskusje o polityce międzynarodowej i korporacyjnej, intrygach w pracy i wędkarstwie, co wprawdzie nas nie dotyczyło, ale było odrobinę zabawniejsze i ciekawsze, a w dodatku nie byliśmy podejrzewane o podrywanie cudzych mężów.

Zwykle po kilkunastu minutach znaczącego spoglądania na Jill, która robiła miny i wywracała oczami, zaczynałam wtrącać do rozmów szalenie zabawne uwagi, tym zabawniejsze, im więcej wina udało mi się pochłonąć\*. I zaraz potem odchodziłam w inny kąt, odprowadzana zdumionymi i zde gustowanymi spojrzeniami.

Ale tym razem chyba przegięłam, widocznie wspomnienia Jill musiały pozostać nieskalane i czyste. Domyśliłam się, że to jest najwspanialsza rzecz, jaką ta dziewczyna może wspominać, i nie mam prawa czegokolwiek negować, czegokolwiek wykpiwać, a zerwanie w wyobraźni choć jednego czerwonego kwiatuszka w jej cholernym Ogrodzie na Południu może zakończyć się Wielką Obrazą i co gorsza pozostawieniem tej historii bez zakończenia.

- Przepraszam, skarbie, już nie będę - przyznałam się do zarzucanych mi czynów i nawet ułożyłam usta w dzióbek.

- Akurat! - Jill fuknęła kilka razy. - Jak ty godzinami opowiadasz o swoich głupich fobiach i wspominasz jakieś prehistoryczne czasy, to ja nic nie mówię. Ale jak ja chcę o czymś powiedzieć, o czymś, czego nigdy nie przeżyłaś, o

czymś fantastycznym, czego pewnie nigdy nie zobaczysz, to ty zaraz musisz się wymądrzać!

Dokopała mi.

- Dobra, dokopałaś mi - powiedziałam lekko poirytowana, bo przecież przeprosiłam najładniej, jak umiałam, i nie powinna mi wypominać chwil, kiedy wspominam moją szaloną i wraz z upływem czasu zyskującą wiele nowych walorów młodość.

Jill patrzyła na mnie, kręcąc głową z dezaprobatą, a ja czułam się prawie tak głupio jak wtedy, gdy w drugiej klasie podstawówki, chcąc zaimponować koleżankom, powiedziałam im, że mam w domu jaszczurkę. Nie przewidziałam, że będą chciały ją zobaczyć. Kiedy przyszły, przez długi czas udawałam, że szukam jej pod łóżkiem. Stałam się wtedy pośmiewiskiem na kilka dni, które zostały do soboty.

- Gdzie to właściwie było? - spytałam nieśmiało.

- Nie powiem ci. W Andaluzji. Ale nie powiem ci dokładnie. Chciałabym tam jeszcze kiedyś pojechać i nie byłoby fajnie wpaść tam na ciebie - powiedziała zagniewana i nie wyczułam kpiny w jej głosie. Robiło się poważnie.

- Ha, ha, ha, bardzo śmieszne - skrzywiłam się. - A serio?

- A serio... a serio, nie powiem ci. Za karę. A zresztą i tak nie znasz. To mała miejscowość, mieszka tam tylko sto siedemdziesiąt osób... Wokół jest pustynia i pola kaktusów. Jest też rezerwat dzikich ptaków, dlatego nie można tam już

budować, a kiedy jeszcze było można, to zbudowano małe domy i było ich mało - zmarszczyła brwi. - Tak. Mhm. Jestem mistrzynią opowiadania.

Skrzywiła się, wypila resztkę wody z butelki, potrząsnęła nią i włożyła z powrotem do torby.

- Tak. Bardzo mało turystów, ale za to plaża ciągnie się kilometrami, jest podzielona na takie małe zatoczki - znów miała ten rozmarzony wyraz twarzy. - I śmiesznie, bo piasek jest prawie szary i ma takie czarne smugi, bo wiesz, czarne skały wulkaniczne. I wszędzie kwitnące na czerwono kaktusy rosnące na skałach i te kwiaty zwisające tysiącami z czarnobiałych skał.

- Masz zdjęcia? - Czerwone kaktusy podziały na moją wyobraźnię bardziej niż plaża w paski.

- Nie, wszystko jest tu - popukała się palcem w skroń. - Chciałam to kiedyś namalować, ale nie mam talentu.

- Jeszcze namalujesz - zapewniłam ją nieszczerze, pomijając sprawę talentu.

- Oczywiście - odpowiedziała równie nieszczerze i znów patrzyła gdzieś daleko. - Sprzedałam wszystkie domy. W ciągu pięciu miesięcy sprzedałam wszystkie domy. Wszystkie. Gdyby było ich więcej, sprzedałabym jeszcze więcej. Kupili je Anglicy i Niemcy. Woziałam ich po okolicy, opowiadałam, jaki świetny robią interes, dopieszczałam ich, załatwiałam mnóstwo spraw, mówię ci, byłam świetna. Od każdego domu miałam prowizję i zarobiłam kupę kasy.

Wielką kasę.

Zamilkła, a ja nie wiedziałam, co powiedzieć. Miałam wielką ochotę zapytać, ile było tej kasy i co z nią zrobiła, ale dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach. Zresztą Jill miała wyraz twarzy, z którego mogłam wywnioskować, że były to naprawdę solidne pieniądze, których nie powstydziliby się posiadacz firmy IT.

Nienawidziłam siebie za to, że jestem cholerną materialistką. Wiele lat zabrało mi przyznanie się samej sobie, że najważniejsza dla mnie jest kasa, ponieważ nigdy nie mogłam zaspokoić swoich elementarnych potrzeb dotyczących kupowania ciuchów, kosmetyków i ładnych przedmiotów. Odkąd pamiętam, musiałam oszczędzać, rezygnować z tysięcy rzeczy niezbędnych kobiecie i zawsze mieć zapas gotówki na czarną godzinę, która mogła nadejść już za pięć minut i trwać lata. Nawet kiedy oglądałam filmy, to najbardziej się martwiłam, żeby ci, których polubię, nie stracili swoich zasobów finansowych i nie stali się biedni, a kwestia miłości, małżeństwa czy zdrady pozostaje zwykle na dalszym planie.

Nieraz serio się zastanawiałam, czy nie przenieść się do jakiegoś kraju, w którym sto dolców nadal coś znaczy, ale pewnie żał by mi było wydać oszczędności na bilet i obawiałam się bolesnych szczepień oraz konsekwencji braku czystych toalet. Wydaje mi się, że posiadanie pieniędzy dałoby mi poczucie bezpieczeństwa, którego właściwie nigdy nie miałam, a które dodatkowo zmniejszyło się potężnie,

odkąd urodziła się Mimi, a jeszcze bardziej, odkąd Chiny zaczęły się stawać potęgą gospodarczą.

- ...w Colinie.

- Co? - spytałam nieprzytomnie, wyrwana z ponurych myśli na temat światowej ekonomii.

- Zakochałam się w Colinie - powiedziała głośniej, sądząc, że nie dosłyszałam.

Nie miałam pojęcia, kto to jest Colin, ale zrobiłam minę pełną zrozumienia, mając nadzieję, że domyślę się tego z dalszego ciągu jej opowieści.

- Przyjechał po trzech tygodniach i od razu coś między nami zaiskrzyło - posłała mi kontrolne spojrzenie. - Był kompletnym, totalnym przeciwieństwem wszystkich facetów, z jakimi kiedykolwiek miałam do czynienia.

Czekałam na dalszy ciąg, zastanawiając się, dlaczego o wiele trudniej mówić nam o udanych związkach, a tak wiele mamy do powiedzenia o tych, które nas ograniczają, dołują i powodują, że wbrew swojej woli zjadamy wieczorem dziewięć batonów Mr. Big, a potem nie możemy spać na cukrowym haju.

- Zaczęło się od spacerów po plaży o zachodzie słońca. - Nie zaryzykowałam żadnego pytania, więc postanowiła mówić dalej. - Po tej operacji musiał dużo ćwiczyć, dużo się ruszać...

Aaaaaa, ten Colin.

- ...więc dotrzymywałam mu towarzystwa. Zapraszał mnie na kolacje, rano zbieraliśmy małże, zawiózł mnie do Granady, zapłacił za dentystę, kiedy bolał mnie ząb, był taki... czuły, opiekował się mną, jakbym była jego młodszą siostrą, i wiesz co...?

- Co? - spytałam odruchowo.

- On dla mnie gotował - powiedziała Jill drżącym ze wzruszenia głosem, jakiego nie słyszałam u niej od wieków.

Nagle położyła mi głowę na ramieniu i zaczęła płakać.

- Aż tak źle gotował? - spytałam cicho, obejmując ją ramieniem.

Parsknęła i zaczęła wycierać swoje smarki z mojej koszulki.

- Dzięki - powiedziałam, próbując lewą ręką znaleźć w plecaczku chusteczkę.

- Przepraszam - powiedziała, pociągając nosem - ale to były fajne czasy.

- I co się stało?

Jill wzruszyła ramionami i chlipnęła kilka razy.

- Rozstaliście się, tak?

Pokręciła przecząco głową i zamknęła oczy, a dwie wielkie łzy oderwały się od jej rzęs i spadły na zielono-żółtą batikową spódnicę.

- Nie rozstaliście się? - spytałam zaskoczona, myśląc, że

źle rozumiałam jej przekaz. – To co, umarł?

Jill wytarła nos palcem wskazującym, popukała mnie w kolano i wskazała przed siebie.

---

\* Do tej pory wspominam i te talerze, i te maty, drewnianą komodę znaną przy śmietniku, którą sama odnowiłam i której brakującą dolną szufladę zastąpiłam kawałkiem dykty, by można tam było położyć czasopisma. A – i solidny drewniany stół z rzeźbionymi nogami, przy którym mieściły się tylko dwie osoby albo tylko ja z książkami. I czerwone zasłony z wzorem z czarnych kwiatusek, pojemniki na mąkę, kawę i cukier, i mnóstwo innych drobiazgów, które zdobyłam z wielkim wysiłkiem, bo musiałam za nie zapłacić z mojej pensji na czarno, i do których się przywiązałam, i które musiałam zostawić, i z którymi nie mam pojęcia, co się stało. Kiedy jeszcze dawno temu się nad tym zastanawiałam z braku innych tematów do przemyśleń, to doszłam do wniosku, że wszystkie moje ukochane przedmioty, starannie zapakowane w pudła, wylądowały w jakimś specjalnym magazynie specjalnego urzędu do spraw rzeczy, które właściciele musieli porzucić, bo umarli albo zostali zmuszeni do opuszczenia tego kraju. Magazyn zapewne wygląda dokładnie jak ten z ostatniej sceny filmu *Indiana Jones i poszukiwacze zaginionej Arki*.

\* Kiedyś myślałam o tym obsesyjnie dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale teraz, po kilkunastu latach, mogę już przyznać rację psychiatrze i babci – czas leczy rany.

\* W Niemczech królował wtedy David Bowie z *China Girl*, a wszędzie indziej *Every Breath You Take*. Do dziś nienawidzę tych piosenek i nie mogłam ich słuchać przez wiele lat, bo poruszały lawinę bolesnych wspomnień. Lawina czasem jeszcze spada, mimo że od tamtego czasu minęło już prawie osiemnaście lat. Czy wiecie, że ta piosenka Stinga to wcale nie miłosne wyznanie, tylko ostrzeżenie psychopaty? A jeden z klipów z Davidem Bowie był puszcany w przerwach między pornosami. To pewnie nieistotne w dziejach muzyki, ale trochę pomaga w obrzydzeniu sobie tych piosenek.

\* Zainteresowanych odsyłam na [www.kevdo.com/lipbalm](http://www.kevdo.com/lipbalm).



\* Bo faceci są z Marsa.

\* Przykład - mój wspaniały klasyczny żart, że pieluszki XXX służą dzieciom od kołyski aż po grób.

ROZDZIAŁ ÓSMY  
*w którym aż się roi od wzajemnych  
oskarżeń*

Po drugiej stronie ulicy, prawie ocierając się o ścianę budynku, szła Alicja. Wyglądała na bardzo zmęczoną i bardzo wkurzoną. Zobaczyła nas pewnie już wcześniej, bo wybrała najkrótszą drogę, żeby przeciąć ulicę i stanąć przed nami w całej swej zagniewanej postaci. Musiałyśmy odchylić głowy, żeby popatrzeć w ciemne szkła jej okularów.

- Kłopoty w raju? - spytała spokojnie.

- Martwiłyśmy się o ciebie - powiedziałam trochę nieszczerze, starając się równocześnie wstać. - Nie zgubiłaś się, prawda? Ale cię długo nie było. Czy wiesz może, która godzina?

- Nie zgubiłam się. Dochodzi szósta. Myślę więc, że czas jechać i skończyć tę farsę. Prawda, Jill? - Alicja lekko podniosła głos.

- Tak, Alicjo - odpowiedziała grzecznie Jill.

- Ale nie zgubiłaś się - stwierdziłam przymilnie.

Udawałam, że nie słyszę zaczepki w głosie Alicji, i nie spytałam, o jaką farsę chodzi, bo cokolwiek to znaczyło, było

zarzewiem konfliktu, do którego nie mogłam dopuścić. Nie chciałam, żeby Jill się zdenerwowała, bo przecież miała prowadzić mały, stary samochód po krętych drózkach Ligurii po zachodzie słońca, który miał nastąpić za mniej więcej godzinę i pół. A w dodatku zdałam sobie sprawę z tego, że tym razem przepaście będą po naszej stronie drogi i przez chwilę nie mogłam oddychać.

Powoli zeszyliśmy do ponurych lochów garażu. Jill bez słowa wzięła od Alicji pieniądze i poszła zapłacić za parking, a kiedy wróciła, Alicja siedziała z tyłu, a ja nieśmiało próbowałam się dowiedzieć, co robiła i dlaczego ma taki podły nastrój. Alicja miała gdzieś moje usiłowania, rozsiadła się jak stara ciotka na środku siedzenia i czułam, że zbiera się do powiedzenia, co myśli o nas i reszcie świata.

Wróciła Jill, uśmiechnęła się do mnie nad dachem samochodu i wsiadła. Z ociąganiem usiadłam obok i guzdrałam się z zapięciem brudnego pasa, nieprzyzwyczajona do zapinania go z lewej strony. Słyszałam, jak Alicja oddycha głośno, a Jill udaje, że nie może trafić kluczykiem do stacyjki. To, że nie rozmawiałyśmy, było niezwykle i przygnębiające, a to, że wisiała nad nami chmura wrogości, sprawiło, że zeszywniały mi ramiona i kark. Miałam ochotę uciec i pojechać pociągiem.

Alicja odezwała się dopiero wtedy, kiedy Jill wyjechała z podziemi i zaczęła kluczyć wąskimi uliczkami, szukając drogowskazu na Włochy.

- Wiesz, dlaczego tutaj jesteśmy? - spytała pozornie

spokojnie w przestrzeń przed sobą, ale wyczuwałam furię w jej głosie.

- Nie teraz, Alicja - powiedziała ostro Jill.

- Oczywiście, nie teraz. Jasne, że nie teraz. Ciekawe tylko, kiedy ten czas nadejdzie, droga Jill. Więc kiedy nam powiesz, po co tu przyjechałaś i po jakie лихо ciągnęłaś nas ze sobą?

- ...

- I dlaczego nas okłamujesz, Jill.

- Trzeba będzie zatankować - mruknęła Jill, zatrzymując się na czerwonym świetle.

Odruchowo spojrzałam na wskaźnik paliwa - miałyśmy dwie trzecie baku. Spojrzałam na Jill - ze zmarszczonymi brwiami obserwowała drogę, powoli i starannie zmieniała biegi, spoglądała we wsteczne lustro i się nie odzywała. Bałam się obejrzeć i spojrzeć na Alicję, bo po pierwsze musiałam obserwować drogę przed sobą, a po drugie nie wiedziałam, po której stronie mam się opowiedzieć, jeśli w ogóle była jakaś strona.

- Cholera jasna - stwierdziła Jill spokojnie. - Chyba przegapiłam zjazd na Ventimiglia. Cholera jasna. Nie ma jak zawrócić.

Znowu jechałyśmy w ciszy, choć zdawało mi się, że z tyłu słyszę gniewne posapywanie Alicji, a już na pewno słyszałam, że silnik samochodu znalazł się w stanie przedagonalnym. Skupiłam się na obserwowaniu znaków drogowych, bo wraz z miejscem przedniego pasażera objęłam też posadę pilota.

Droga wspinała się w górę, a ruch był coraz większy, co wydawało mi się jakąś pomyłką. Sądziłam, że w tak małym państwie wszyscy mają do pracy, sklepu, lekarza i wszędzie parę minut piechotą. Nie wiedziałam zaś, że drogi są tu niezbyt szerokie, i każdy jadący obok nas autokar przypominał mi, że jednak mam klaustrofobię.

Zatęskniłam za moim przytulnym, dwumilionowym miastem, gdzie ruch na małych ulicach jest zawsze niewielki, a na tych większych (jak słyszałam) wszystko idzie nienajgorzej, nawet w godzinach szczytu. Ja zawsze starałam się jeździć z dala od zatłoczonych ulic, a godziny szczytu to dla mnie pora, kiedy za żadne skarby nie wychodzi się z domu, więc być może nie miałam najlepszych informacji o ruchu kołowym w moim mieście. Ale tutaj, w Monte Carlo, było po prostu tragicznie, zwłaszcza kiedy w samochodzie przy każdej próbie zmiany biegu coś głośno stuknęło i charczało, a przez otwarte okna wdzierają się ilości spalin przekraczająca roczny limit emisji dla Tokio.

- Jest, jest! - wrzasnęłam radośnie i pokazałam brudnym palcem wielką tablicę z nazwami miast. Większość tych nazw była znajoma dla kogoś, kto tak jak ja wychował się na filmach z Jeanem-Paulem Belmondo.

Odwróciłam się do Alicji z uśmiechem, szczęśliwa ze znalezienia właściwej drogi. Siedziała jak wielki pluszowy miś, z opadającymi kącikami ust i skrzyżowanymi na piersiach rękami, patrząc bezmyślnie na mijające nas samochody, zamiast podziwiać panoramę miasta w dole - na

zboczu wielkie kaktusy, trochę poniżej szare wierzchołki wieżowców, a wśród nich jak drobniutkie płatki kwiatów czerwone dachy willi i pałaców. Kawałeczek dalej w półokrągłej zatoce rozłożyła się marina, a właściwie duży port z wszelkich rozmiarów łodziami, jachtami i statkami, z tej wysokości zlewającymi się w biały kozuch przy brzegu prawie granatowego morza. Chciałam zapamiętać choć ten widok, bo jak dotąd najlepiej zapamiętałam ścianę w kolorze piaskowca.

Przełożyłam rękę nad oparciem fotela kierowcy i dotknęłam kolana Alicji.

- Zmęczona? - spytałam, starając się włożyć w to pytanie jak najwięcej troski.

Równocześnie pokiwała głową i wzruszyła ramionami, ale nie spojrzała na mnie. Usiadłam więc znowu prosto i wypatrywałam kolejnych znaków, bo jak zwykle, kiedy jechałam nieznaną drogą, prześladowało mnie uczucie, że trzeba było skręcić, że nie trzeba było skręcać, że tablica stoi w złym miejscu i jedziemy w przeciwnym kierunku, oddalając się coraz bardziej od kolacji, drinka i łóżeczka do spania. Przez kilkanaście minut panikowałam w myślach, ale kolejna tablica z numerem drogi A8 i napisem „Vintimille” na szczęście rozwiała moje obawy i przez chwilę poczułam błogi spokój, którego nie zburzył nawet widok autostradowych bramek. Jill zwolniła, Alicja zaś z prędkością grzechotnika pochyliła się do przodu.

- No ładnie. Świetnie.

- Co? - spytałam wystraszona, kiedy głowa Alicji pojawiła się nagle między mną a Jill.

- Jak to co? To autostrada, prawda? Autostrada, nie widzisz?

- Widzę.

Widzę też, że Jill patrzy na mnie z miną jaki-ona-ma-znowu-problem, a potem wzrusza ramionami i wyciąga przez okno rękę, żeby wyjąć bilet z automatu.

- To nie jest droga, którą przyjechaliśmy - zakomunikowała nam zdenerwowana Alicja.

- I co z tego? - Jill nie wytrzymała i podniosła głos, co było o tyle uzasadnione, że silnik zaczął wycić na wysokich obrotach, kiedy wcisnęła mocniej pedał gazu. - Zamiast jechać trzy godziny, pojedziemy półtorej, wielkie rzeczy!

Alicja wycofała się na swoje miejsce, a mnie znów ogarnęła błogość na myśl, że nie będę czuć mdłości, wiedząc, że jedziemy nad ciągnącą się setki metrów przepaścią, która tym razem wypadałaby po prawej stronie, tuż obok mojego łokcia. Słyszałam, jak Alicja mruczy coś pod nosem, i choć nie docierał do mnie sens pomruków, to czułam, że nie były to pieszczotliwe uwagi. Moja błogość postanowiła ulecieć i prawie czułam jak atmosfera w małym wnętrzu gęstnieje. Jill chyba też to czuła, bo widziałam, jak zmarszczyła brwi i zaczęła stukać palcem wskazującym o kierownicę.

Zaczęłam myśleć o tym, co opowiedziała mi Jill. Żałowałam coraz bardziej, że nie słuchałam wystarczająco

uważnie tego, co mówiła. Wszystko to było sensacyjne i nie zgadzało się z tym, co zwykłam myśleć o niej przez lata. Ciekawiło mnie, czy to wszystko prawda, i miałam setki pytań, z których jedno, najbardziej mnie nurtujące i najgłębsze, zadałam natychmiast.

- Hej, Jill, a w jakim języku rozmawialiście?

- O co ci chodzi? - Jill po dłuższej chwili spojrzała na mnie jak na kosmitę. - Aaa, o Colina. Po angielsku, przecież jest Anglikiem. Wiesz, z Anglii.

A, skoro jest Anglikiem, to raczej nie umarł. Jedno z trudnych pytań miałam z głowy. Nie chciałam sprawić jej przykrości jakimś głupim komentarzem, bo był jednym z niewielu mężczyzn, o którym mówiła bez niechęci. A to znaczyło, że go lubi, że naprawdę go lubi. Wtedy przypominałam sobie, że przecież po raz pierwszy w życiu Jill przyznała się publicznie do tego, że się w kimś zakochała i nie była z tego powodu nieszczęśliwa. Nie było pogardliwego wydymania warg, złośliwych uwag na temat gustu faceta czy jego błędów w wysławianiu się. Nie powiedziała ani jednego słowa na temat częstego picia piwa, doboru krawatów czy koszul, sposobu chodzenia, śladów po trądziku. Zwykle czepiała się wszystkiego, a pojęcie „tolerancja” według niej nie obejmowało nikogo, z kim się spotykała.

Już miałam spytać, ile miał lat, kiedy się poznali, i uzyskać w ten sposób informację na temat jego wieku, gdy poczułam łupnięcie z tyłu fotela i głowa Alicji znów pojawiła się z przodu.



- Powiedziałaś jej, tak? - spytała głowa. - Nagle zaczęłaś się zwierzać? Tak? A może tłumaczyć się ze swoich grzeszków, co?

- Dziewczyno, o co ci chodzi? - powiedziała Jill sztucznie zmęczonym głosem, nie odrywając wzroku od drogi i nogi od pedału gazu.

Alicja przez chwilę patrzyła przed siebie, a ja skuliłam się w fotelu, udając, że mnie nie ma. Wprawdzie zżerała mnie ciekawość, ale teraz najbardziej chciałam, żeby samochód choć na chwilę się zatrzymał, żebym mogła szybko wysiąść z ciasnego wnętrza, a potem uciec jak najdalej i już nigdy więcej nie jechać z nimi tym samym autem.

Kiedy trochę opanowałam chęć panicznej ucieczki, coś do mnie dotarło i musiałam to wyjaśnić natychmiast.

- Opowiadałaś o tym wszystkim wcześniej? Alicji opowiadałaś, tak? - spytałam zrezygnowana. - Wszyscy wiedzieli oprócz mnie, prawda?

- Wszyscy to przesada - powiedziała Jill, wzruszając ramionami. - A ty mówisz mi wszystko? Nie sądzę...

Miała rację. Nie mówiłam wszystkiego, choć czasem mówiłam za dużo.

•

Nie mówiłam, że czasami przed Bożym Narodzeniem i latem, w sezonie turystycznym, całkiem nieźle zarabiam, ale wszystkie nadwyżki odkładam na przyszłe życie, kiedy Mimi odejdzie z domu, a ja będę wolna. Będę mogła sobie wtedy

kupić różne rzeczy, które zawsze chciałam mieć, i nie będę musiała ich więcej nigdzie chować, bo nikt mi ich nie zabierze ani nie zniszczy i będą tylko moje\*.

Nie przyznałam się, że nie kilka, ale większość moich ubrań pochodzi ze sklepów z używaną odzieżą, ale niektóre są takie śliczne, że nikt się nawet nad tym nie zastanawia. I że przepiękny szyfonowy szal w kolorach jesieni, który podarowałam Jill na urodziny, nie kosztował fortuny, tylko dolara dziewięćdziesiąt dziewięć.

Nie powiedziałam im nigdy, że w wieku czterdziestu dwóch lat przespałam się z osiemnastolatkiem, który wcale nie był nawalony ani naćpany i zarzekał się, że nie jest gerontofilem ani nie założył się z kolegami, że mnie przeleci. Twierdził, że zawsze szukał takiej kobiety jak ja, bo dziewczyny w jego wieku go nie kręcą, bo nie słuchają rocka jak ja i nie znają się na sztuce jak ja, a różnica wieku nie gra roli i że wcale nie będę musiała go utrzymywać. Był naprawdę przystojny, ale na pewno coś z nim było nie tak, bo kto normalny chciałby mieć związek ze mną i moim pokopanym życiem? Poza tym nigdy, przenigdy nie chciałabym zobaczyć miny jego matki, więc uciekłam i przez kilka miesięcy ukrywałam się w domu, zdegustowana tym, co się wydarzyło.

Opowieść o tym, co przeżyłam przed moim Wielkim Powrotem do domu, raczej też nie zgadzała się z faktami. Nikt nie usłyszał prawdziwej wersji, ale dlaczego miałabym komuś mówić o mojej życiowej porażce? Wolałam zachować

we własnych i cudzych oczach trochę szacunku dla siebie. Miałam wielką ochotę opowiedzieć, że mój ówczesny ukochany zginął na wojnie, ratując niewinnych ludzi, i w swojej wiosce ma pomnik obok kościoła, ale znam konsekwencje płątania się w kłamstwach. Wersja oficjalna, według której rozstałam się z nim w przyjaźni i za obopólną zgodą, była wygodna i pozwalała uratować mój honor.

Nie zdradziłam też nikomu, że zaprzyjaźniłam się z kobietą, której nigdy nie widziałam, a która jest mi bardzo bliska, chociaż nie wiem dlaczego. Kilka lat temu poznałam A., kiedy w nocy w desperacji, czując się bardziej samotna niż zwykle, rzuciłam w cyberprzestrzeń pytanie: *Czy kobieta 45+ może jeszcze kiedyś mieć fajne życie?* A. odpisała prawie natychmiast, zrównała z ziemią moje wymyślone smutki, wykopała moje obawy w kosmos i rozśmieszyła mnie tak, że jeszcze przez kilka dni zaśmiewałam się z jej tekstów.

A. mieszka w hrabstwie Kent, w Anglii, co wyszło na jaw po kilku tygodniach korespondencji, choć ja byłam przekonana, że ona mieszka w hrabstwie Kent w Ontario, a ona sądziła, że ja piszę do niej gdzieś z Francji.

Klnie straszliwie i pięknie, ciągle rozwodzi się z mężem, z którym ma dwójkę dzieci oraz kilka kredytów. Jej mąż po pijanemu tłucze talerze i schował jej ukochaną srebrną biżuterię. Oprócz tego ma dwa śliniace się psy, dwóch kochanków, którzy nie mają o sobie pojęcia, i neurotycznego kota. Pracuje w pomocy społecznej, chodzi na siłownię, uprawia seks w przerwach na lunch i nie mam pojęcia, jak

znajduje na wszystko czas i siłę. A. zwykle ma inne niż ja priorytety i inną perspektywę, i nie poddaje się łatwo, bo jak twierdzi, żyjąc w ciągłym biegu, nie ma czasu na zastanawianie się nad czymkolwiek. Przysyła mi śmieszne zdjęcia i teksty pełne życiowych mądrości:

CZEGO POTRZEBUJĘ W MĘŻCZYŹNIE, LISTA  
ORYGINALNA

1. Przystojny
2. Czarujący
3. Osiągnął sukces finansowy
4. Uważny słuchacz

# 1. Dowcipny

1. W dobrej formie
2. Dobrze się ubiera
3. Docenia piękne rzeczy
4. Pełen intelektualnych niespodzianek
5. Obdarzony wyobraźnią, romantyczny kochanek

CZEGO POTRZEBUJĘ W MĘŻCZYŹNIE, LISTA  
POPRAWIONA (WIEK: 32 LATA)

1. Ładnie wygląda
2. Otwiera drzwi samochodu, przytrzymuje krzesło
3. Ma wystarczająco dużo pieniędzy na miłą kolację
4. Słucha częściej, niż mówi
5. Śmieje się z moich dowcipów
6. Nosi bez wysiłku torby z zakupami

1. Ma przynajmniej jeden krawat
2. Docenia dobre domowe posiłki
3. Pamięta o urodzinach i rocznicach
4. Jest romantyczny przynajmniej raz w tygodniu

CZEGO POTRZEBUJĘ W MĘŻCZYŹNIE, LISTA  
POPRAWIONA (WIEK: 42 LATA)



1. Niezbyt brzydki
2. Nie odjeżdża, zanim wsiądę do samochodu
3. Ma stałą pracę - okazjonalnie zaprasza na kolację do restauracji
4. Przytakuje, kiedy mówię
5. Zwykle pamięta puenty dowcipów
6. Jest w wystarczająco dobrej formie, żeby poprzestawiać meble
7. Nosi koszulę, która zakrywa mu brzuch
8. Wie, że nie należy kupować szampana z odkręcanym zamknięciem
9. Pamięta o opuszczaniu deski w toalecie
10. Goli się w większość weekendów

#### CZEGO POTRZEBUJĘ W MĘŻCZYŹNIE, LISTA POPRAWIONA (WIEK: 52 LATA)

1. Usuwa włosy z uszu i nosa
2. Nie beka i nie drapie się publicznie
3. Nie pożycza za często pieniędzy
4. Nie zapada w drzemkę, kiedy nabieram powietrza
5. Nie powtarza tych samych dowcipów zbyt często
6. Jest w wystarczająco dobrej formie, żeby w weekend podnieść się z kanapy

7. Zwykle wkłada skarpetki do pary i świeżą bieliznę
8. Docenia dobrą kolację przed telewizorem
9. Pamięta moje imię
10. Goli się w niektóre weekendy

CZEGO POTRZEBUJĘ W MĘŻCZYŹNIE, LISTA  
POPRAWIONA (WIEK: 62 LATA)

1. Nie boją się go małe dzieci
2. Pamięta, gdzie jest łazienka
3. Nie wymaga dużo pieniędzy na utrzymanie
4. Chrapie lekko, tylko kiedy śpi
5. Pamięta, z czego się śmieje
6. Jest w wystarczająco dobrej formie, żeby samemu wstać

1. Zwykle nosi ubranie
2. Lubi miękkie jedzenie
3. Pamięta, gdzie zostawił zęby
4. Pamięta, że jest weekend

CZEGO POTRZEBUJĘ W MĘŻCZYŹNIE, LISTA  
POPRAWIONA (WIEK: 72 LATA)

# 1. Oddycha

## 1. Trafia do toalety

Mnie ta lista oczywiście nie dotyczyła, ale nie wiedzieć czemu często o niej myślałam i zdawało mi się, że jest coraz mniej śmieszna. Próbowałam wymyślić, co znalazłoby się na liście, gdyby dotyczyła kobiet. Zastanawiałam się nad tym, bo coraz bardziej przejmowałam się przemijaniem i tym, co ze sobą niesie.

A. oczywiście wyśmiała moje refleksje, za co jestem jej wdzięczna. Ona ma niesamowite poczucie humoru, które nawet najcenniejsze wartości miesza z błotem i pozbawia je splendoru, należnej im czci i świętości. Jest moim prywatnym Latającym Cyrkiem Monthy Pythona i szkoda, że tak rzadko ostatnio do siebie piszemy.

Podczas kiedy w myślach odgrzebywałam moje tajemnice, Alicja nie przestawała mówić. Na szczęście udało mi się uniknąć zaskoczenia jakimś pytaniem, ale przez chwilę czułam się, jakbym zaczęła oglądać film od połowy.

- A, i powiedz jej jeszcze, czemu właściwie zawdzięczamy nasze wakacje właśnie tutaj i właśnie teraz, ha?

- Alicja, nie wiem, o co ci chodzi, ale może zauważyłaś, że prowadzę samochód i może dobrze by było, żebym się na tym skupiła? - Jill próbowała zachować spokój, ale widziałam, jak przygryza wewnętrzną stronę policzka, co mogło być przejawem zdenerwowania albo niepewności.

- A mówiłaś jej, że dalej się z nim spotykasz? - Alicja na wypadek, gdyby to do mnie nie dotarło, wrzasnęła mi prosto w ucho: - Dalej się z nim spotyka!

- Ej, to boli! - ryknęłam na nią, zatykając sobie palcem ucho.

- Przepraszam - powiedziała odruchowo. - Zabiera ją na wakacje co najmniej raz w roku, a nam mówi, że jeździ do... gdzie to ty niby jeździsz?

Jill opowiadała czasem o śmiertelnie nudnych wizytach u jakiejś trochę lubianej części rodziny. Nie znałam żadnych szczegółów, bo skoro były takie nudne, to po co miałam pytać o cokolwiek i też się nudzić? Jill nigdy nie mówiła chętnie o rodzinie, a odkąd wiele lat temu przestała bywać w domu swojej matki przy ulicy Kingsley, omijała ten temat jeszcze staranniej. Kiedyś powiedziała, że odkąd nie widuje swojej rodziny, przestała myśleć o swojej rodzinie. A kiedy przestała o niej myśleć, to wreszcie przestały ją straszyć ponure widma przeszłości. Nie sądzę, żeby zupełnie o nich myślała, to było niemożliwie, ale wierzyłam, że jest teraz spokojniejsza i jakoś sobie radzi ze wspomnieniami ponurego dzieciństwa.

- I nie chodzi mi o to, że jeździ sobie po świecie z kochankiem, ale o to, że nas nieudolnie okłamuje. A tego to już kompletnie nie rozumiem, bo przecież nikt nie zabrania jej jeździć, gdzie chce i z kim chce - Alicja ujawniała właśnie swój talent do przemówień. Żałowałam, że nie mogę się odwrócić i na nią popatrzeć, ale musiałam pilnować drogi.

- A wiesz, czemu nie chce się tym chwalić? - spytała głośno.

Przez chwilę czekała na moje pytanie, ale nie doczekała się, bo byłam zbyt wystraszona, żeby chociaż spojrzeć na nią pytająco.

- Wiesz czemu? Bo on jest żonaty! - krzyknęła, jakby obwieszczała czyjąś wielką wygraną w teleturnieju.

Spojrzałam kontrolnie na Jill, która wprawdzie uśmiechała się ironicznie, ale co chwilę spoglądała w lewo, jakby sprawdzając, czy ktoś nas wyprzedza. Przez całą drogę wszyscy nas wyprzedzali, ale akurat w tej chwili poza czerwonym blaskiem słońca stojącego nisko nad horyzontem nie było niczego, co mogłoby nas przegonić.

- Żonaty? - powiedziałam bardzo rozczarowana, bo szykowałam się na większą sensację. Jill cudzołożnica, wielkie rzeczy.

- Tak, żonaty. Oczywiście wmawia jej, że jest w separacji, a ona oczywiście mu wierzy.

- Jakoś ci to wcześniej nie przeszkadzało - Jill patrzyła nieruchomo przed siebie. - Zmienił nam się troszkę światopogląd, co?

„O matko” - pomyślałam. Głośny oddech Alicji umilkł.

- Jill - powiedziałam głośno z naganą, ale miałam ochotę ją walnąć. Jako kierowca miała immunitet, więc tylko spojrzałam groźnie w jej stronę.

- No co? - spytała niepewnie. - Nie mam racji?

- Trochę przeginasz - stwierdziłam i wróciłam do wpatrywania się na przemian w boczne lustro i przerywaną linię po lewej stronie drogi. Poczułam się straszliwie zmęczona, tak zmęczona, że przestałam nawet marzyć o łóżku i kolacji, a chciałam tylko chwili ciszy i spokoju, wiedząc, że to zupełnie niemożliwe.

- Kilka dni temu zobaczyłam, jak nasza koleżanka wchodzi sobie do jakiegoś domu. - Aż podskoczyłam, kiedy Alicja przysunęła głowę do mojej i poczułam jej oddech na policzku.

Odruchowo spojrzałam na Jill. Popatrzyła szybko we wsteczne lustro i zmarszczyła brwi. Czerwone słońce świeciło prosto w tylną szybę i pomyślałam z nadzieją, że może zdążymy wrócić przed nocą. Zmęczenie zwyciężało obawę przed szybką jazdą, a nawet przytłumiło ciekawość dalszych wypadków. Ziewnęłam i położyłam głowę na oparciu fotela.

- Weszła tam jak do siebie. - Alicja nie zraziła się moim brakiem zainteresowania. - Nawet nie nacisnęła dzwonka.

- Rewelacja! - wykrzyknęła niespodziewanie Jill, uderzając dłońmi o kierownicę. - Nie nacisnęła dzwonka! Afera międzynarodowa!

Alicja, równie zaskoczona jak ja, cofnęła się, ale zaraz znów usłyszałam lewym uchem jej głośny oddech. Jill siedziała nieruchomo, nie odrywając wzroku od drogi, a ja



robiłam to samo. Autostrada biegła prawie prosto, wznosiła się wysoko nad dolinami ze strzępkami jesiennej mgły i ginęła w tunelach. Wiadukty i bariery wyglądały na mocne, a tunele nie były zbyt długie, więc prawdopodobnie istniała szansa, że dotrzemy do wylotu nawet w razie pożaru ciężarówki. Wszystko powinno być dobrze, bo ten dziwny dzień miał się ku końcowi, a jutro, po świetnie przespanej nocy, czekało nas śniadanko, słońce, plaża i *dolce far niente*.

- Co to był za dom? - spytałam przestrzeń przed sobą.

- Duży, z cyprysami - pośpieszyła z wyjaśnieniem Alicja. - Szary tynk, dwie kolumny przed wejściem, drewniane okna z zielonymi okiennicami...

- Nieźle, Alicja, całkiem nieźle. Powinnaś zostać... - Jill nie próbowała nawet udawać, że nie jest złośliwa - ...nie wiem kim. Jakimś cholernym detektywem. Ale najlepiej by było, gdybyś nie wsadzała nosa w nie swoje sprawy.

- Jill, ona tylko mówi, co widziała - niespodziewanie poczułam, że muszę się wtrącić.

- Jasne, ona tylko mówi. Ty też wsadzasz nos w nie swoje sprawy - ofuknęła mnie Jill. - Choć muszę przyznać, że zwykle obchodzi cię tylko twój własny tyłek.

- Ach tak?

- Ach tak, i może wreszcie to do ciebie dotrze.

- To nie w porządku - powiedziałam.

- A szpiegowanie kogoś jest w porządku?! - wykrzyknęła

Jill, wskazując oskarżycielsko przednią szybę.

- Szpiegowanie? Zwariowałaś? Idę ulicą, widzę cię i to ma być szpiegowanie? I nie myśl, że w ten sposób unikniesz pytań... A poza tym to jest nasza sprawa, bo jesteśmy tu razem i to ty nas tu ściągnęłaś!

Zapadła cisza, jeśli ciszą można nazwać hałas silnika, który przy prędkości dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę wył jak nurkujący myśliwiec. W każdym razie ja czekałam na ripostę Jill, która nie wyglądała ani na wkurzoną, ani na skruszoną, ani na chętną do dalszej rozmowy.

- Kto tam mieszka? - nie wytrzymałam.

Jill zrobiła minę, jakby nie wierzyła, że ktoś mógłby zadać jeszcze jakieś pytanie, gdy ona uznała temat za zakończony. Widziałam w myślach, jak Alicja uśmiecha się ironicznie i nadstawia uszu, ale Jill milczała, uparcie gryząc policzek od środka.

- Odkąd tu przyjechałyśmy, znikasz na całe dni i udajesz, że to normalne. Od pierwszego dnia udajesz, że zwiedzasz miasto albo że chodzisz po sklepach i co tam jeszcze wymyślasz - Alicja domagała się uparcie odpowiedzi na swoje pytania, nawet za cenę wygryzienia sobie przez Jill dziury w policzku.

- Naprawdę? - spytałam zaniepokojona tym, że znowu coś przegapiłam. - Nie zauważyłam, myślałam, że tak się spędza wakacje, że każdy robi, co chce...

- Jesteś za głupia, żeby cokolwiek zauważyć. - Poczułam, jak Alicja macha ręką koło mojego ucha i zapewne było to bardzo lekceważące machnięcie.

Usłyszałam, jak Jill wybucha śmiechem i to już zupełnie wytrąciło mnie z równowagi.

- Ach tak? - spytałam, a walenie serca nie pozwalało mi oddychać. - Nie mam pojęcia, jak takie damy jak wy spędzają wakacje. Bo dla mnie tak właśnie mają wyglądać wakacje: każdy robi, co chce i kiedy chce. Ale dobrze wiedzieć, że wy wiecie lepiej i jesteście takie mądre. Następnym razem na pewno skorzystam z waszych doświadczeń.

- Ja nic nie mówię - Jill podniosła rękę w obronnym geście.

- To lepiej nic nie mów - powiedziała Alicja ze złością.

- To mam mówić czy nie? - Jill chyba nieźle się bawiła. - Zdecyduj się.

- Och, zamknij się, Jill, po prostu się zamknij! - Alicji drżał głos. - Nie chcę tu być, rozumiesz? nie chcę tu być! Chcę leżeć w łóżku i płakać, a nie włączyć się nie wiadomo gdzie. Nie mam siły! A jeszcze wy macie mnie gdzieś, nie mam nawet z kim pogadać, zachowujecie się tak, jakby nic się nie stało! Jest mi tu źle i tragicznie!

Alicja umilkła, żeby zaczerpnąć powietrza, a później zaczęła mówić jeszcze głośniejsze.

- Powinnam być w domu, a nie na jakichś niby wakacjach. Moje życie legło w gruzach, czy do kogoś to dociera? Nie

mogę sobie darować, że zgodziłam się tu przyjechać, że dałam się wam namówić na ten idiotyczny wyjazd, który wszystko zepsuł jeszcze bardziej! Powinnam być w domu, nie musiałabym przynajmniej codziennie udawać, że wszystko jest w porządku!

I zaczęła płakać. Płakała bardzo głośno, a my siedzieliśmy nieruchomo, niepewne i zawstydzone. To znaczy ja byłam niepewna i zawstydzona, a Jill starała się wtopić w tło. W panice myślałam, jak przedostać się do tyłu albo uciec, ale nic nie wymyśliłam, więc siedziałam, słuchając cichnącego płaczu, który zamienił się w chlipanie. Wygrzebałam z plecaczka chusteczki i podałam jej kilka przez ramię. Wyrwała mi je z ręki, a potem długo wycierała nos.

- W tym domu mieszka babcia Patryka - odezwała się niespodziewanie Jill, spoglądając w lusterku na Alicję. - Mieszkała kiedyś w Kanadzie, a na starość wróciła do Loano, do swojego rodzinnego domu. Lubiłam ją, zawsze mnie wspomagała i uważała, że jej rodzina to dupki. Jest bardzo stara...

- A to niespodzianka - obojętnie stwierdziła Alicja przez chusteczkę. - Babcie starych facetów rzadko są młode.

Jill westchnęła ciężko, wzruszając ramionami. Słysząc było, jak Alicja pociąga nosem i wierci się, szukając wygodniejszej pozycji.

- I chora - powiedziała Jill ze złością. - Napisała do mnie kilka tygodni temu, żebym przyjechała. Napisała, że raczej nie będzie już długo żyć i że właściwie nie ma nikogo i chce

mnie prosić, żebym jej towarzyszyła, tak napisała, towarzyszyła. Napisała, że nie potrzebuje tu żadnych krewnych, bo chcą tylko ograbić ją z kasy. Że tu, gdzie mieszka, jest bardzo ładnie i być może będę chciała zostać dłużej. Chciała, żebym z nią mieszkała, ale...

Stary numer ze wstrzymywaniem oddechu i czekaniem na zachętę do dalszego mówienia tym razem się nie udał – Alicja odchyliła się do tyłu, podniosła nogę i z gniewnym „yy” kopnęła w fotel Jill. Do dziś nie wiem, jak udało jej się to zrobić bez zwichnięcia sobie stawu biodrowego.

– Ty wariatko! – wrzasnęła Jill znad kierownicy, oglądając się do tyłu. – Prowadzę samochód, ty debilu!

– Jak masz mówić, to mów, a nie zawieszaj się jak stary komputer! – odwrzasnęła Alicja, a w jej głosie nie został nawet najmniejszy ślad niedawnego płaczu. Była w nim tylko wściekłość wojowniczkii. – I przez to musiałam tu przyjechać, tak? Bo tobie zachciało się czekać na spadek? Nie mogłaś ruszyć dupy i przyjechać tu sama? Co, nudziłabyś się bez nas? No jasne, przecież ty zawsze musisz mieć publiczność! Trzeba było tu ściągnąć tego swojego księcia Karola!

Alicja właśnie udowadniała, że naprawdę potrafi krzyczeć.

– To są, do cholery, twoje prywatne sprawy i powinnaś je załatwiać sama, a nie przy udziale publiczności! Albo chociaż powiedzieć nam o tym, żebyśmy mogły same zdecydować, czy chcemy tu być z tobą i twoją włoską willą! Oooo nie, moja droga, zapłacisz mi za to! Zmarnowałam przez ciebie dwa tygodnie! Zmarnowałam przez ciebie urlop, na który

pracowałam cały rok! Mogłam w tym czasie...

- Taak, taak, wiem! - krzyczała Jill w moją stronę, bo nie mogła się zupełnie odwrócić do Alicji. Byłam jej wdzięczna, że postanowiła się wtrącić do rozmowy Alicji z Alicją. - Mogłaś w tym czasie leżeć i płakać, i rozpaczać! Świetna perspektywa na spędzenie reszty życia! Żałoba po skurczybyku, który nie ma jaj, za to ma wieweeelkie, nadmuchane ego!

- Jill, uważaj, jak jedziesz - próbowałam łagodnie interweniować, bo miałam wrażenie, że wszystko wymyka się spod kontroli.

- Zamknij się! - powiedziała Jill, nie patrząc na mnie.

- Zamknij się! - krzyknęła Alicja w tym samym momencie, podkreślając wagę swoich słów kopnięciem w mój fotel.

- Ciebie to już całkiem pogięło? - odwróciłam się wściekła.

Alicja miała zaciśnięte usta i czerwone plamy na policzkach. Włosy jej się zmierzwiły i posklejały w kosmyki, makijaż był odległym wspomnieniem, a jej bluzka miała plamy potu pod pachami i było to widać nawet w zapadającym zmroku. Nie wiem, czy była bardziej zmalretowana, czy wkurzona, ale nie miałam ochoty tego sprawdzać. Chwilowo przestałam jej współczuć i byłam zła, przede wszystkim za jej agresywne zachowanie, a zaraz potem za psychiczne znęcanie się nade mną.

Wykrzywiła się, obnażając górne zęby, skrzyżowała ręce

na piersiach i demonstracyjnie zaczęła gapić się w okno. Patrzyłam na nią przez chwilę z groźną miną, chcąc pokazać, kto tu jest samicą alfa, ale udawała, że tego nie widzi, a mnie zaczęła boleć szyja. W samochodzie zrobiło się prawie ciemno, słońce już zaszło, sylwetki gór poczerniały. Nie docierały do nich resztki różowego blasku, który snuł się na zachodnich krańcach nieba. W dole świeciły światła mijanych wiosek i miasteczek. Było cicho i pięknie i pomyślałam, że nie warto się kłócić.

- Co, teraz ja jestem wszystkiemu winna, tak? - niespodziewanie zaatakowała Alicja.

- Nie, no jak to, przecież to ja jestem ta najgorsza - zaoponowała ironicznie Jill. - Ja was tu ściągnęłam siłą, prawie was porwałam! Przeze mnie twój dumny facet poszedł w siną dal, i co tam jeszcze? Aha, przeze mnie nie możesz się nikomu zwierzać! A, jeszcze Alex, co ty masz mi do zarzucenia? Wal śmiało, teraz jest ten moment! - milczała chwilę, udając, że czeka na odpowiedź i zaraz zaczęła znowu mówić: - A, już wiem, przeze mnie straciłaś swoje cenne pieniądze i teraz znowu będziesz przez lata narzekać, jaka to ty jesteś biedna i niedoceniana i czego nie możesz sobie kupić!

Nabrałam powietrza i otworzyłam usta, żeby jej odpowiedzieć, lecz Alicja była szybsza.

- Nie miałaś prawa nas okłamać, nie rozumiesz tego?! Mogłaś powiedzieć prawdę, a ty nas wrobiłaś w głupi wyjazd, żeby załatwić jakieś swoje ciemne sprawy! Powiedz, ale tak

szczerze, po co nas tu ze sobą przywlokłaś? Potrzebowałaś publiczności? Współczucia? A może pomyślałaś, że we trzy szybciej wykończymy staruszkę? Powiedz, bo naprawdę tego nie rozumiem!

- A ja nie rozumiem, jak możesz robić z tego taki problem!  
- Jill zignorowała ironiczne uwagi. - Jesteśmy na wakacjach, mamy słońce i plażę, jest fajnie i ciepło, zwiedzamy sobie... Czego ty jeszcze chcesz? Nie wywiozłam was na pustynię po trzęsieniu ziemi ani do jakiegoś syfu z pchłami i malarią!

- Może nie do syfu, ale do jakiejś zapadłej dziury, w której nie ma co robić! Po prostu nie ma co robić! Może gdybym mogła się czym zająć, to nie musiałabym ciągle myśleć, co się dzieje w domu, nie rozumiesz? Przywiozłaś nas w miejsce, gdzie jest nudno! Gdzie nie ma nic! Gdzie nic się nie dzieje! Nie chcę siedzieć całymi dniami na plaży z braku innego zajęcia, jestem już stara i chcę się bawić, bo jestem wściekła! - ryczała Alicja, a jej z pozoru nielogiczne uzasadnienie przemówiło do mnie z siłą szkwału. - Chcę się bawić, chcę tańczyć do upadłego, chcę dzikiego seksu...

A, więc to takie rzeczy robi się na wakacjach.

- Chcę szaleństwa chociaż raz w życiu! Chcę, żeby jeden raz nie było tak, jak wypada! Chcę poczuć, że skoro jestem sama, to mogę robić to, na co ja mam ochotę - wrzeszczała Alicja. - Czy do ciebie w ogóle dociera, co chcę ci powiedzieć?

- Tak, dociera! Moja ukochana matka nie piła znów tak dużo, jak była w ciąży - Jill zaśmiała się z własnego dowcipu,



ale zaraz spoważniała. – Oddam wam kasę za samolot.

Alicja niespodziewanie umilkła, zapewne zaskoczona tym, jak bardzo do Jill nie dotarł sens jej zarzutów. Ze wszystkich możliwości załagodzenia gniewu Alicji i umniejszenia swoich przewinień Jill wybrała tę najgorszą – przekupstwo. Na mnie wprawdzie podziałało to pocieszająco, bo pomyślałam, że byłoby to nawet niezłe zakończenie całej historii, skoro Jill i tak jest bogata. Szybko stłumiłam w sobie niecną chęć zarobienia na grzechach przyjaciółki, ale byłam otwarta na dalsze propozycje. Natomiast Alicja... Alicja jest wrogiem przekupstwa w każdej formie i jest na przekupstwo odporna. Prawdopodobnie przeszła pranie mózgu w instytucji, w której pracuje. Przekonałam się o tym, kiedy facet w barze chciał postawić jej piwo w zamian za to, że przedstawi go swojej koleżance z pracy. Skończyło się awanturą, z której gość wyszedł znieważony, Alicja zaś nie tknęła alkoholu przez ponad miesiąc i nigdy już nie poszła do tamtego baru, mimo że po jakimś czasie zmienił się barman.

Ale w jednym Alicja miała zupełną rację. Alicji było nudno, i to Jill była za to odpowiedzialna.

Dotąd nie zastanawiałam się nad tym, czy jest nudno, bo wystarczał mi spokój i brak stresu. Wprawdzie trochę martwiłam się tym, co się dzieje w domu, ale im mniej się nad tym zastanawiałam, tym życie było piękniejsze. Polubiłam wczesne wstawanie rano, perspektywę śniadania i leżenia na plaży. Lubiłam to, że nie musiałam od momentu wyjścia z łóżka użerać się z Mimi, żeby się obudziła, włożyła

ciepłe majtki i uczesała się choć raz w tygodniu. Namawianie jej do zjedzenia śniadania lub umycia zębów kończyło się zwykle awanturą, więc raczej nie traciłam na to czasu, ale były jeszcze dziesiątki spraw, które mnie od rana denerwowały, takich jak myślenie o tym, co zrobić na obiad, czy codzienne usuwanie spod nóg przeszkód w postaci walających się w łazience wszelkich części garderoby Mimi. Tutaj to wszystko przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Mój dzień zaczynał się tuż po wschodzie słońca i kończył wkrótce po zapadnięciu zmroku. Nigdy w życiu nie byłam tak wyspana, choć wcześniej nikt mnie nie mógł zmusić do spacerów przed siódmą rano, po siódmej zresztą też nie. Dotąd wychodzenie z domu było straszliwą karą, a teraz nie miałam z tym najmniejszych problemów. Tu budziłam się bladym świtem, wkładałam ciepłą bluzę na piżamę, słuchając tymczasem posapywania Jill, która często spała na wznak, z rękami rozłożonymi koło głowy, jak duży niemowlak. Alicja we śnie marszczyła brwi i mamrotała coś niezrozumiale, kuląc się jak kot pod cienką kołdrą.

Cicho, z sandałami pod pachą wymykałam się z pokoju, zbiegałam z drugiego piętra i siadając na najniższym stopniu schodów, wkładałam buty. Na ulicach zaczynało się życie – wyładowywano skrzynki z napojami i owocami, szczerkały otwierane rolety w sklepach, ubrane na czarno staruszki szły grupkami do kościoła. Zwykle odpowiadałam na kilka „buon giorno” i kilka uśmiechów. Raz podałam młodemu przystojniakowi arbuza, który wypadł ze skrzyni i toczył się zaśmieconym chodnikiem, kilka razy zbywałam po angielsku

słowne zaczepki prawdopodobnie z seksualnym tekstem, które w zachwycający sposób nadmuchiwały moje stare, sterane, wyczerpane i blaknące ego do rozmiarów okrętu „Queen Mary”.

Wczesnym rankiem na plaży zwykle nie było nikogo, oprócz człowieka szukającego skarbów w piasku za pomocą słuchawek i metalowej obręczy na patyku. Nie zwracał uwagi na cokolwiek, a ja zaczynałam szukać stożkowatych, długich i wąskich muszelek, które trudno było wypatrzeć w tysiącach pokruszonych drobin innych muszli, w trawach, patyczkach i odnóżach martwych krabów. Brodząc w płytkiej wodzie, słuchając krzyków mew i warkotu nielicznych o tej porze samochodów, czułam, że życie im jest mniej skomplikowane, tym szczęśliwsze. I że niestety nie stać mnie na proste życie.

Mogłam tak brodzić w chłodnej wodzie godzinami albo iść przed siebie, nie myśląc o niczym, ale zwykle zaczynałam być głodna. Po powrocie do pokoju, mając jeszcze w głowie uspokajający szum morza i czując chłód wody na stopach, mogłam radośnie obserwować poranny rytuał moich przyjaciółek.

Ale na razie liczyło się, czy będzie ładna pogoda, jakiego koloru włożyć koszulkę, a jednym z największych zmartwień było to, w którym miejscu rozłożyć ręcznik na plaży – tuż nad wodą czy trochę dalej, tam gdzie piasek jest bardziej gorący. A potem można było leżeć na słońcu, niszcząc sobie włókna kolagenowe, gdy tymczasem w moim mieście zapewne były już przymrozki i może zaczynał prószyć śnieg.

Fakt, czasem było mi trochę nudno i brakowało chińskiego zarcia, ale nie był to powód do zmartwień. Traktowałam nudę jako element odpoczynku, a co najważniejsze – tysiąc razy wolałam nudę niż użeranie się z ponurą rzeczywistością. Teraz miałam inną, słoneczną i prawie beztroską codzienność. Nie brakowało mi domu, bo doszłam do wniosku, że odbiera mi swobodę i przytłacza nadmiarem trosk. Posiadanie domu stwarza przymus dbania o niego, martwienia się o niego nawet z drugiego końca świata, gromadzenia w nim niepotrzebnych rzeczy i wiecznego wrzucania w niego wszystkich nadwyżek finansowych. Tutaj, w tym małym miasteczku, moje potrzeby ograniczyły się do jedzenia, spania i znajdowania sobie zajęcia na najbliższe godziny. Nie potrzebowałam telewizora, samochodu ani odkurzacza. Tu bieliznę prałam w umywalce, a moje ciuchy zajmowały jedną półkę w szafie i kawałek walizki. Nie tęskniłam za moimi ulubionymi przedmiotami, choć zawsze myślałam, że nie będę mogła bez nich żyć. W dodatku, choć trudno było mi się do tego przyznać i jakkolwiek okrutnie by to zabrzmiało, nie tęskniłam też za Mimi. Jej chwilowa nieobecność w moim życiu oznaczała spokój, lepszy nastrój i bardziej optymistyczne spojrzenie na to, co czeka mnie po powrocie.

Tutaj całe dni były moje, nie musiałam ich nikomu poświęcać ani oddawać i ten egoizm był inspirujący i cudowny. Egoizm według Darwina jest siłą napędową ewolucji, co oznaczało, że jestem na właściwej ścieżce, a może nawet na szerokiej drodze rozwoju.

Nadmiar wolnego czasu powodował, że do głowy przychodziło mi wiele pomysłów nie tylko na pracę zawodową, ale też na zmiany wokół mnie. Myślałam nie tylko o wyrzuceniu kilku rozlatujących się mebli, pomalowaniu salonu i ugotowaniu kilku prostych włoskich potraw, ale także o pozbyciu się bałaganu w mojej głowie. Chciałam przede wszystkim skupić się na sobie i przestać przejmować się tym, na co i tak nie mam wpływu. Może dlatego powrót, który oznaczał zatopienie się w szarości jesieni i straszliwej montrealskiej zimy, nie przerażał mnie, bo nie mogłam się doczekać, kiedy zacznę przemeblowywać dom oraz moje życie. Już sobie wyobrażałam, jak będę wywalać z szaf i schowków wiekowe tkaniny i ubrania, które nie służyły nikomu i niczemu od lat, jak zedrę tapety w mojej sypialni i pomaluję ściany na biało, jak wiosną zasadzę w ogrodzie hortensje, zrobię podpórki dla pnączy i postawię w oknach skrzynki z pelargoniami. A zwłaszcza, zainspirowana tutejszym wzornictwem, byłam gotowa stworzyć kilka nowych projektów i zainteresować nimi kogoś, kto mi za nie godziwie zapłaci. Ale nade wszystko miałam silne postanowienie, żeby przestać się przejmować i być może zacząć powoli cieszyć się z... Po prostu się cieszyć.

To były bardzo poważne, dalekosiężne plany dla kobiety w wieku średnim i z wrodzonym optymizmem martwiłam się, czy dożyję ich realizacji.

A na razie to tutaj choć przez krótką chwilę mogłam powoli spacerować brzegiem morza, marzyć o podróży dookoła świata i zastanawiać się nad sensem życia, czyli

robić to, co robi się, spacerując samotnie brzegiem morza.

Tymczasem Alicja przemyślała sprawę i bardzo głośno obwieściła swój punkt widzenia:

- Mogłam zostać w domu i lepiej spędzać czas! Jestem na ciebie wściekła, mam ochotę krzyknąć i mam ochotę cię zabić!

- To zabij - Jill wzruszyła ramionami i wykrzywiła się złośliwie.

„Jesteś już trupem, Jill” - pomyślałam mściwie.

Przez chwilę żadna z nas nic nie mówiła. Samochód pokonywał kolejne metry, a ja marzyłam o słuchaniu muzyki, która choć trochę zagłuszyłaby charczące odgłosy silnika i słowa, które niewątpliwie miały jeszcze zostać powiedziane.

- I tak mam was dosyć - powiedziała Jill prawie wesoło. - Jesteście wredne, nudne i mam was dość, potąd, po mózg.

Odruchowo spojrzałam na nią. Trzymała dłoń nad głową, żeby pokazać, pokąd ma nas dosyć, uśmiechając się lekko, jakby myślała o czymś przyjemnym. Po chwili opuściła rękę i poklepała kierownicę.

- Jak to: masz nas dość? - spytałam naiwnie.

- Normalnie.

- Ale czemu tak mówisz? Żartujesz, prawda?

- Nie żartuję. Mam was dość.

- My ciebie też mamy dość - usłyszałam z tylnego

siedzenia – i to nie wiesz, jak bardzo.

– To super – powiedziała Jill, nie przestając się uśmiechać.  
– Nie chcę was więcej widzieć. Wracamy do hotelu, pakujemy się i zaraz wychodzę. I nie chcę was więcej widzieć.

Nie ma związków idealnych i nasz też do ideałów nie należał. Czasem mówiliśmy sobie przykre rzeczy, czasem kłóciłyśmy się o drobiazgi, czasem o poważniejsze sprawy. Potem nie musiałyśmy się przeproszać, bo nie było o czym mówić. Im byłyśmy starsze, tym bardziej zbieżne miałyśmy poglądy i tym rzadziej spierałyśmy się o cokolwiek, choć ewentualne różnice zdań były dyskutowane coraz bardziej zażarcie. Nasza coraz dojrzała mądrość kazała nam unikać drażliwych tematów, a do tego każda z nas miała swoje specjalizacje – Alicja zajmowała się polityką, gotowaniem, finansami i gospodarką, Jill kulturą niższą i sprawami wizerunku, a ja miałam sprawy dotyczące literatury, sztuki, wiedzy ogólnej i rzemiosła oraz całą resztę. I rzadko wkraczałyśmy na cudze terytoria.

Ale nigdy żadna z nas nie powiedziała innej, że ta jest głupia i że nie chce nas więcej widzieć, nawet po wypiciu znacznych ilości alkoholu, nawet na największym kacu, nawet po miesiącach abstynencji seksualnej. Dzisiaj oba tabu zostały złamane, a ja nie miałam pojęcia dlaczego.

– Ale dlaczego masz nas dość? Bo ktoś ci powiedział, co myśli? – spytałam, bo nie podobało mi się, że mówi nam takie rzeczy. – Nie podoba mi się, że mówisz nam takie rzeczy.

– Och, to straszne, że ci się nie podoba, zaraz się załamie.

Mówię, co myślę, i nie będę za to przepraszać – już się nie uśmiechała. – Potraficie tylko jęczeć i rozczulać się nad sobą i mam tego dość! Zamiast się cieszyć, to wy ciągle jesteście nieszczęśliwe, bo ciągle wam czegoś brakuje... I nie robicie nic, po prostu nic, żeby to zmienić, zamiast po prostu brać to, co wam się, cholera, należy. Ale wy wolicie czekać, aż wszystko samo do was przyjdzie!

Zamilkła na chwilę głównie po to, żeby kręcić z niedowierzaniem głową.

- I jeszcze coś wam powiem... – wycelowała palec w dach.  
- Nic samo nie przyjdzie! Nic!

- Wiemy to, Jill! – podniosłam głos, żeby mnie wyraźnie usłyszała.

- Zawsze uważałyście mnie za kretynkę – mówiła dalej, ignorując nas całkowicie. – Zawsze byłam gorsza, a czasem czułam się jak wiejski głupek. Wy takie mądre, a Jill taka głupia. Wy takie ważne, po studiach, a Jill, jak to Jill, nic nie wie. Zawsze trzeba mi było mówić, co i jak, poprawiać moje błędy językowe, krytykować... I co? I nagle się okazało, że nie jestem taka głupia!

- Nie przesadzaj, Jill, nie rób z siebie ofiary – powiedziała Alicja.

- Ja ofiarę? Nigdy w życiu! – skrzywiła się ironicznie i pokazała na mnie kciukiem. – Tu jest specjalistka od robienia z siebie ofiary.

Wzruszyłam ramionami i choć strasznie mnie to wkurzyło,



postanowiłam się nie odzywać. W tej sytuacji pomijanie milczeniem werbalnych zaczepek wydało mi się najlepszym sposobem na przetrwanie. Usłyszałam, jak z tyłu Alicja parska śmiechem, i zmieniłam zdanie.

- Hej, i co cię tak śmieszy? - zaczęłam, nie wiedząc, co właściwie chcę powiedzieć, ale chciałam, żeby ją to zraniło. - W każdym związku musi być ofiara. W naszym związku ja jestem ofiarą, a w twoim?

- Mojego związku nie ma - powiedziała Alicja po długiej chwili. - Właśnie od jakiegoś czasu próbuję się z tym pogodzić, ale mi nie wychodzi.

Powiedziała to bez emocji, a jej szczerość mnie rozbroiła. Znowu poczułam do niej sympatię i zaczęłam się nią przejmować. Alicja domyśliła się na szczęście, że nie chcę się przejmować, bo wsadziła mi kolano w plecy i zakomunikowała, że powoli zaczyna mieć wszystko w dupie, więc jeśli Jill sobie życzy, to nawet pomoże jej się pakować i niech spada.

- Świetnie - stwierdziła Jill i zaczęła udawać, że się cieszy z takiego obrotu sprawy.

- Człowiek dochodzi do wprawy w zrywaniu, nie? - Alicja z kolei udawała, że jest twarda jak drwal z Jukonu. - Najważniejsze to zimna krew. Wtedy można zachować szacunek do siebie.

- Mhm - powiedziałam lekceważąco, bo zaczynałam mieć dosyć bezsensownych dyskusji, siedzenia bez ruchu i

słownych bukietów, z których nic nie wynikało.

- Nie żadne „mhm”, tylko taka jest prawda. - Kolano w mojej nerce nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że Alicja wygłasza prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Z drugiej strony zaczęłam serio myśleć o pozwaniu producentów siedzeń do tego samochodu, bo ich marna konstrukcja mogła spowodować kalectwo.

Odwróciłam się tak szybko, jak tylko pozwalały mi pasy i zdrętwiałe ciało.

- Hej, lala, dosyć tego! - wrzasnęłam wściekła, zastanawiając się, jak ktoś mógł wymyślić takie cienkie fotele. - Może przestaniesz mnie wreszcie kopać i powiesz, o co ci chodzi! I w ogóle, co cię dzisiaj napadło?!

- Dobrze, że tylko dzisiaj - zaśmiała się złośliwie Jill.

- Ty już się lepiej wyłącz - wysyczała Alicja w stronę przedniej szyby. - A ciebie nie kopię specjalnie.

- Akurat - powiedziałam obrażona. - Więc już przestań, bo mnie denerwujesz!

- Ja ciebie? Ja ciebie denerwuję? - głos Alicji wszedł na wyższe rejestry. - Może tak raz pomyślisz, że to ty mnie wkurzasz od lat!

Ryczała mi prosto do ucha, a do mnie i tak nie docierało, co wrzeszczy. Zawsze byłam dla Alicji grzeczna i uprzejma. Chodziłam z nią dwa razy w roku na zakupy, żeby jej odradzić kupowanie jasnych spódnic, kwiatowych sukienek z bufiastymi rękawami i butów na ogromnych, płaskich

obcasach wystających z tyłu poza podeszwę. Dla niej trzymam w kredensie białą herbatę, która w sklepie Les 5 Saisons kosztowała majątek i jest bardziej gorzka niż sałatka z mleczów. Pilnowałam, żeby nie odchudzała się obsesyjnie, pokazując jej śliczne zdjęcia ciast i deserów w „Country Living”, jednym z dwóch czasopism, jakie kupowałam\*. Kiedy mnie potrzebowała, zawsze mogła do mnie zadzwonić albo przyjść, a ja zawsze służyłam jej radą, i tylko od niej zależało, czy z tej rady skorzysta.

- Czym cię tak znowu wkurzam? - oburzyłam się, nie mogąc przypomnieć sobie niczego, co można by uznać za wkurzające na linii Alicja-Alex.

- Bo jesteś przemądrzała, a do tego głupia jak but! - wydzieriała się Alicja. - Ciągłe masz nowe pomysły, z których żadnego nie realizujesz, bo dla ciebie najważniejsze jest myślenie o tym, co w twoim życiu jest do dupy! Jesteś gorsza niż ona - machnęła ręką w kierunku kierowicy. - Jesteś taka niedojrzała i sama nie wiesz, czego chcesz, a innym dajesz tysiące rad! A czasami zachowujesz się jak histeryczka i tego też mam dosyć, bo nigdy nie wiadomo, co ci strzeli do głowy!

Zmarszczyłam brwi, udając, że się zastanawiam nad słusznością tego, co wykrzyczała Alicja, ale właściwie chciałam opanować okropną chęć płaczu. Tak, czasem reagowałam emocjonalnie, może trochę za bardzo emocjonalnie, ale miałam do tego pełne prawo, zważywszy na dramatyczne nieraz okoliczności.

Jill w tym czasie kiwała głową z entuzjazmem i szczerzyła

radośnie zęby, szczęśliwa, że kto inny obrywa.

- Jak twoje dziecko ma dorosnąć, skoro ty sama jesteś jak dziecko?! - wrzeszczała Alicja w kierunku przedniej szyby.

- Nie wiem, o co ci chodzi, Alicja, bo nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek chociaż wspomniała o tym, że uważasz mnie za niedojrzałą, więc podejrzewam, że chcesz po prostu wyładować na mnie swoją frustrację - powiedziałam powoli, spokojnie i głośno, tak aby słycać było każde starannie wyważone słowo, choć nie mogłam ukryć drżenia w głosie. Miałam nadzieję, że odgłosy silnika skutecznie to zagłuszą.

Siedziałam wyprostowana i pełna godności, znów wpatrzona w drogę przed nami. Nie mogłam więc ocenić wrażenia, jakie wywarła moja przemowa, ale długa cisza była bardzo wymowna. Jak każda cisza przed burzą.

- Jak miałam ci o tym mówić? Albo jesteś biedna i nieszczęśliwa, albo zadowolona nie wiadomo z czego, więc nie chcę ci psuć humoru, albo wszystkich nienawidzisz, albo wszystkich kochasz, albo wszystko masz w dupie. Z tobą nie da się normalnie rozmawiać!

- Albo sprzątasz, albo nie wychodzisz z domu, albo kłócisz się z Mimi, albo będziesz się z nią kłócić - dołożyła swoje trzy grosze Jill.

- Dzięki, Jill - dotknęłam jej łokcia. - Dzięki za uświadomienie mi, jakie mam doskonale uporządkowane i przewidywalne życie. I nie mogę pojąć, dlaczego do kogoś w

twoim wieku nie dotarło jeszcze, że dla facetów tak naprawdę liczą się cycki, kablówka i adrenalina, a nie wyprasowane koszule, niedzielne obiady u mamusi i trzymanie się za rączkę.

- Ty do mnie mówisz? - spytała zaskoczona Jill, pochylając się nad kierownicą i drapiąc się w plecy.

Wzruszyłam ramionami i zaczęłam obserwować metalową barierę oraz betonowe słupki z cyframi, które zawsze stoją po bokach autostrady, nie wiadomo po co. Trzęsły mi się trochę ręce, co było naturalną konsekwencją prób zachowania pozorów zewnętrznego spokoju.

- I dziękuję za to, że tak solidarnie na mnie napadacie - nie doczekałam się riposty Alicji, więc postanowiłam trochę się odgryźć. - To oznacza, że z waszą przyjaźnią nie jest jeszcze tak źle. A, i dziękuję za trzymanie przede mną wszystkiego w tajemnicy. Pewnie dlatego, że latałabym po mieście i opowiadała wszystkim, że mąż Alicji ma kochankę, a Jill ugania się za jakimś Angolem. Zresztą na pewno wszystkich bardzo to obchodzi.

- Nie uganiam się za Angolem, do cholery.

To znaczyło, że chociaż Jill mnie słucha.

- Po co ci cokolwiek mówić, skoro jesteś tak zajęta sobą, że nic do ciebie nie dociera. - Alicja też mnie słuchała. - Za każdym razem, kiedy próbuję ci opowiedzieć coś o mnie, ty natychmiast zacznasz mówić o sobie! Za każdym razem!

- Zgadza się - potwierdziła Jill. - Twoje kłopoty zawsze są

największe, najbardziej popaprane i najtrudniej sobie z nimi poradzić. A cała reszta to tylko otoczka dla planety, na której mieszka Alex.

- Ile razy przychodzę do ciebie, to ty właściwie nie dajesz mi dojść do słowa, bo cały czas papłasz. Jesteś jak handlarz na arabskim targu, wyciągasz wszystko, co masz, żeby tylko zainteresować klienta. Nie, już mi się nie chce do ciebie przychodzić. Wystarczy.

- Już? To już wszystkie pretensje do mnie, czy jeszcze coś tam macie w zanadrzu? - spytałam bardzo głośno, żeby zagłuszyć drzenie głosu, bo strasznie chciało mi się płakać. - I przywiozłyście mnie tutaj, żeby mi to powiedzieć, tak?

- Tak, właśnie dlatego cię tu przywiozłyśmy! Bo oczywiście wszystko robimy dla ciebie i dlatego zawlokłyśmy cię do Europy.

- Do zadupia Europy - dodała Alicja całkiem poważnie, choć w innych okolicznościach zapewne by mnie to rozśmieszyło.

- Fajnie - powiedziałam głupio, bo nie wiedziałam, co powiedzieć. Bo co może powiedzieć nudna, naiwna, myśląca-tylko-o-sobie histeryczka?

- Fajnie? Powiem ci, co to jest fajnie. Dla ciebie jest fajnie, dopóki jest fajnie. Ale wystarczy, że coś się trochę, troszeczkę, odrobinę spieprzy, to ty już nie masz ochoty rozmawiać, nie masz ochoty słuchać, nie chcesz nikogo widzieć, do diabła z tobą, Alex! - Alicja była na mnie

wściekła za moimi plecami. – Koniec. Mam już dość skupiania się na twoim życiu, dosyć. Teraz liczę się tylko ja. Moje życie. Koniec.

Oddychała przez chwilę ciężko. Jill z zagryzioną dolną wargą zerknęła na nią we wstecznym lusterku. Alicja odetchnęła jeszcze kilka razy i powiedziała prawie spokojnie:

– Siedzisz sobie wygodnie w domu, nie masz pojęcia o tym, co się dzieje dokoła, słyszysz? Nie masz pojęcia, jak wygląda prawdziwe życie. To nie jest jeden z twoich seriali, które namiętnie oglądasz. Takiego świata nie ma, i nawet nikt tak nie mówi jak w twoich durnych, wymyślonych zabijaczach czasu. Nie masz pojęcia, z jakimi problemami ludzie się muszą borykać, nie masz pojęcia, kto zaludnia ten głupi świat! Nie tylko twoja córka, którą uważasz za podłą, nie tylko twoje wesolutkie przyjaciółeczki, popijające sobie wino w piątkowe wieczory... Ludzie to głupie, okrutne potwory, które obedną cię ze skóry w najbardziej bolesny sposób, a potem pójdą z kumplami na piwo!

– O rany, ale gadka... – zauważyła z podziwem Jill.

– Z tobą jeszcze nie skończyłam, Jill – powiedziała ostro Alicja, a ja prawie widziałam jej ognisty miecz unoszący się nad naszymi głowami. – Ale już mi lepiej.

Alicji było lepiej. Przyjęłam ten fakt z ulgą i postanowiłam odpuścić niesprawiedliwe oskarżenie o nałóg oglądania seriali, których nie oglądam, może z wyjątkiem *CSI Las Vegas*. Myślałam, że zapadnie wreszcie cisza, ja zaś będę mogła się zastanowić nad wszystkimi krzywdzącymi mnie

uwagami i zarzutami, a kiedy nadarzy się okazja, spokojnie na nie odpowiedzieć. Lecz Alicja miała inne plany i cały czas antenowy tylko dla siebie.

- Najgorsze jest to, że nie mam do czego wracać - powiedziała spokojnie, jakby oznajmiała, że idzie do sklepu po mleko. - Po co mam wracać? Żeby wejść na jakiś wtórny rynek dla mężatek z odzysku? Jakie mam szanse, że ktoś zechce taki towar?

Miałam powiedzieć, że na pewno ma jakieś szanse, ale po pierwsze byłam na nią obrażona, a po drugie nie chciałam wzbudzać w niej emocji, które mogłyby doprowadzić ją znowu do płaczu albo do wrzeszczenia na mnie. Alicja krzycząca, oskarżycielska i zrozpaczona była Obcym w ciele Alicji spokojnej, zrównoważonej i przewidywalnej. Do takiej łagodnej Alicji byłam przyzwyczajona, a w moim wieku niechętnie się zmienia przyzwyczajenia.

- To śmieszne i głupie - ciągnęła Alicja monotonicznie. - Jakie życie mam mieć? Wracać po głupiej pracy do pustego domu, kupić sobie kilka kotów albo kanarka, czytać nałogowo romanse? Nie wiem, może robić szaliki na drutach? Chodzić codziennie na siłownię i podrywać facetów w barach?

Przerwała na chwilę i westchnęła.

- Już widzę uśmieшки tych wrednych cip u mnie w pracy: „Wielka szefowa z wielką dupą wystawiona do wiatru przez tego przystojniaka, ale czego się można było spodziewać?” ... Mam grubo ponad czterdzieści pięć lat, obwisłe cycki, uda



jak lotniskowce i strasznie, strasznie boję się samotności.

- Wszyscy boimy się samotności - powiedziała Jill zupełnie poważnie, bez robienia min czy ironii w głosie.

- Nie wszyscy. Ja się nie boję - powiedziałam z przekonaniem, zapominając o urazach. - I z tym przystojniakiem też przesadziłaś. Jest mniej niż przeciętny...

- Och, zamknij się - Jill się skrzywiła. - Ty i ten twój udawany entuzjazm dla różnych dziwactw. Weź dorośnij.

Postanowiłam ostatecznie i stanowczo obrazić się na Jill. Sprawiała wrażenie, jakby niczym się nie przejmowała, choć ponosiła winę za agresję Alicji i całą tę awanturę, która nie powinna się zdarzyć. Miałam powyżej uszu jej dzisiejszych pogardliwych uwag i mówienia mi, jak nie powinnam się zachowywać i jak powinnam reagować. To ja byłam od oceniania ludzi, a nie Jill, kobieta bez problemów i bez ideologii.

- Mam cholerną pustkę w głowie. - Alicja zatopiona we własnych myślach nie zwróciła uwagi na naszą konstruktywną wymianę zdań. - Boję się wracać. Boję się jak diabli, bo nie mam nawet cienia pojęcia, co mam z tym wszystkim teraz zrobić.

- Będzie dobrze, zobaczysz - próbowałam ją pocieszać, tak jak pociesza się kogoś, kto zgubił portfel i jeszcze nie zadzwonił, żeby zablokować karty kredytowe.

- Co masz zrobić, nic nie zrobisz - znów wtrąciła swoje trzy grosze Jill. - Będziesz dalej żyć. Wielkie rzeczy. Ludzie

żyją z takimi problemami, że tylko skoczyć z mostu. Będzie, co ma być i tyle. – Wzruszyła ramionami i zerknęła w lusterko, a potem na mnie. – A ty nie masz się o co obrażać. Cholera, co to jest?

Jill pochyliła się do przodu tak daleko, jak pozwalała jej kierownica, i wpatrywała się w trzy wielkie łuny gorejące na wzgórzach.

– To pożar – stwierdziłam, jakbym tylko ja umiała rozpoznać pożar.

– Pożar? – powiedziała z tyłu przerażona Alicja.

– Pali się już od kilku dni, nie wiedziałyście? Las się pali w górach – powiedziałam, dumna z mojej spostrzegawczości. – Nie widziałyście samolotów, które gaszą pożar? Latają całymi dniami...

– O cholera – powiedziała znowu Jill i zaczęła gwałtownie hamować.

Spojrzałam przed siebie i przez moment, w którym siła bezwładności wypchnęła mnie do przodu, widziałam w górze tablicę z napisem „Borghetto Santo Spirito”. Nie miałam czasu myśleć o tym, że coś mi ta ładna nazwa mówi, bo patrzyłam na Jill, która szybko skręcała kierownicę w prawo, przechylając się w moją stronę, a po krótkiej chwili z zaciśniętymi mocno ustami zaczęła kręcić nią w lewo, aż do oporu. Nagle usłyszałam jakby cichy wystrzał, dźwięk, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. Poczułam, że lewe koła odrywają się od ziemi i opony przestały przeraźliwie

piszczeć, za to zaczęła piszczeć Alicja. Po chwili samochód prawie się zatrzymał i powolutku, jak w zwolnionym tempie zaczął opadać na prawy bok.

Trwało to naprawdę długo, tak długo, że zdążyłam w myślach zmówić jakąś skomplikowaną litanie do bogów, których musiałam najpierw wymyślić, i krzyknąć, również w myślach, „o kurwa, nie!” czy coś w tym rodzaju. Zdążyłam napiąć wszystkie mięśnie i popatrzeć na Jill, która w surrealistyczny sposób wisiała na pasach, trzymając kurczowo kierownicę, jakby nadal prowadziła samochód. Zdążyłam wyciągnąć przed siebie ręce w poszukiwaniu czegoś, czego mogłabym się złapać. Usłyszałam przeraźliwy zgrzyt metalu, który zapewne łamał się i wyginał, prawie zagłuszając wysokie „aaaaa!” rozlegające się z tyłu. Przez chwilę widziałam iskry sypiące się spod metalu trącego o asfalt. Samochód siłą rozpędu przesunął się jeszcze o kilka metrów i wreszcie się zatrzymał.

Teraz wydaje mi się to niemożliwe, ale wszystko to stało się prawie równocześnie, w ciągu zaledwie kilkunastu sekund. A potem zapadła cisza, w której nie było słychać nawet naszych oddechów. Samochód i ja leżeliśmy na prawym boku i żadne z nas nie mogło się ruszyć. Pomyślałam, że dobrze by było, gdyby ktoś nas uratował i sprawdził, czy ja umieram i czy się wykrwawiam. Potem doszłam do wniosku, że żyję i właściwie nic mnie nie boli, ale wiedziałam, że jestem w szoku i że ból zjawi się później. Po chwili powoli zaczęłam wpadać w panikę, myśląc o moich obrażeniach wewnętrznych i wybuchającym paliwie.

- Wyłącz silnik! - powiedziałam przerażona w półmrok przed sobą. - Słyszysz? Wyłącz silnik, bo wybuchnie!

- Wyłączony - dobiegło mnie z góry. - Żyjecie? Alicja, żyjesz?

- Przecież słyszysz, że żyję - powiedziałam zjadliwie, ale ze ściśniętym sercem czekałam na odpowiedź Alicji, obserwując przez przednią szybę owady fruujące w świetle reflektora.

- Reflektor świeci - szepnęłam i poczułam przypływ optymizmu oraz ból rosnącego guza na głowie.

- Alicja! - wrzasnęła Jill, która szamocąc się w pasach jak mucha w sieci pajaka, zwisała głową coraz bliżej mnie.

- Boli mnie. - Głos z tyłu był słaby i pozbawiony emocji.

- Alicja, nie ruszaj się, nie ruszaj się, wszystko będzie dobrze, nie ruszaj się, kochana, wyciągniemy cię zaraz - gadała Jill jak nakręcona, machając wokół siebie rękami w czasie nieudanych prób znalezienia jakiegoś oparcia dla swojego wiszącego ciała.

- Cicho! - krzyknęłam, żeby ją zagłuszyć. - Musimy się zastanowić, jak stąd...

Jill nagle wysunęła się zza kierownicy, jak banan z kreskówki dla dzieci wyslizguje się ze skórki, i opadła, uderzając mnie głową i ramieniem. Kiedyś boczna, aktualnie zaś dolna szyba zaczęła trzeszczeć pod naporem dwóch ciał.

- Przestań mnie gniesć - wysapałam uwieczona pod nią,

blągając w myślach szybko, żeby się nie stłukła. Klamka wbiła mi się boleśnie w udo, a guz na głowie pulsował jak mechanizm bomby zegarowej.

- A gdzie mam pójść? - Jill walczyła z grawitacją. - Myślisz, że mnie jest wygodnie, do diabła? Próbuję się dostać do tyłu.

- Nie do tyłu, tam jest Alicja - wydyszałam. Miałam coraz większe trudności z mówieniem i złapaniem oddechu. - Spróbuj stanąć na fotelu.

Jill znieruchomiała, usiłując zapewne wykombinować, jak powiązać to, co powiedziałam, z tym, co ma zrobić.

- Na boku fotela, stań na boku fotela - próbowałam ruszyć ręką i pokazać jej, gdzie ma stanąć, ale o mało nie złamałam sobie przygniecionego palca.

- Poczekaj - wysapała i gniotąc mnie boleśnie, próbowała zmienić pozycję.

- Nie butami po mnie! Nie obcasami! I pośpiesz się, bo jeszcze ktoś w nas walnie - dałam wyraz moim obawom i znów zaczęłam wpadać w panikę.

Jill już po sekundzie namysłu przyspieszyła ruchy, co sprawiło mi jeszcze większy ból. Trwało rok świetlny, zanim skulona w ciasnocie wnętrza przykucnęła jak małpka na boku mojego fotela, jedną nogą gniotąc mi pośladek. Alicja się nie ruszała, ale słyszałam jej cichutkie pojękiwanie i w dodatku wreszcie mogłam oddychać.

- Udało się - Jill dyszała jak koń po westernie, ale była

bardzo z siebie zadowolona.

- Spróbuj otworzyć drzwi. Alicja, jeszcze chwilę i wszystko będzie dobrze - gadałam bez sensu, próbując pocieszyć nie tyle Alicję, ile samą siebie.

Nie widziałam wyraźnie, co robi w górze Jill, dostrzegałam tylko jej wyolbrzymioną, ciemną sylwetkę. Po krótkiej chwili jej druga noga wylądowała z powrotem na moim biodrze.

- Ześlizguję się z tego cholernego fotela! - krzyknęła z rozpaczą. - Muszę stać na tobie!

Westchnęłam ciężko i napięłam mięśnie, przygotowując się na kolejne tortury. Jill próbowała utrzymać równowagę i nie dotykać drążka zmiany biegów. Bardziej wyobraziłam sobie, niż zobaczyłam, jak próbuje otworzyć górne drzwi, podrzucając je na wyciągniętej ręce. Poczułam przez moment powiew chłodnego powietrza, a potem rozległo się głośne trzaśnięcie drzwi, zamykających się za sprawą grawitacji. Po chwili powtórzyła podrzucanie, ale znów poczułam chłodne powietrze i usłyszałam trzaśnięcie zamykających się drzwi.

- Nie dam rady! - krzyknęła zrezygnowana.

- Och, spróbuj jeszcze raz! - Alicja miała bardzo silny głos, jak na ofiarę wypadku. - Chyba mam złamaną rękę i boli mnie jak cholera.

Zaczęła jęczeć trochę głośniej, choć już wiedziałyśmy, że ją boli jak cholera. Poczułam, że muszę się za wszelką cenę

wydostać z metalowej trumny z zatrzasującym się wiekiem. Leżałam oparta prawym ramieniem o szybę, z policzkiem przytulonym do uchwytu pasa, nogi miałam wyżej głowy, co nie było świetną pozycją startową do wstawania. Zaczęłam od próby odwrócenia się na plecy, choć na plecy mogło oznaczać na drugi bok, bo wszystko było pokręcone w tym odwróconym mikroświecie. Zdołałam rozplątać nogi, unieść głowę i przekręcić trochę tyłek, kiedy Jill postanowiła znowu nas ratować. Stała mi na nerce i zaczęła podskakiwać, próbując z determinacją otworzyć ciężkie drzwi.

- Taki mały samochód, a drzwi ciężkie jak do hangaru - dyszała ciężko, stojąc na koniuszkach butów. - Pieprzona grawitacja...

Mój wrzask sprawił, że straciła równowagę i zwała się na mnie, przygniatając mi biust kościstym kolaniem. Zaczęłam wrzeszczeć jeszcze głośniejsze. Jill wreszcie znalazła inny punkt oparcia, bo ból zelżał, ale leżała na mnie brzuchem, starając się trzymać oparcia fotela i zionąc mi ciężkim oddechem w podbródek. Szyba zaczęła znowu trzeszczeć, Alicja znowu jęczeć, a ja byłam bliska płaczu, ataku klaustrofobii i zawału. Perspektywy nie były jasne i zastanawiałam się, czy robienie planów na przyszłość ma jakikolwiek sens.

- I po co tak wrzeszczałaś? - W głosie Alicji słychać było złość i ból. - Może wreszcie udałoby się wyjść z tego głupiego pudła!

- Deptała po mnie obcasami - powiedziałam płaczliwie.

- Ciesz się, że to nie ja po tobie depczę. Wielkie rzeczy. Ja

nie mogę się ruszyć i naprawdę mnie boli, a nie narzekam.

- A mnie boli na niby - mruknęłam, a Jill zachichotała.

- No i co się cieszysz? Jakbyś uważała, to nie leżałybyśmy jak rozdeptane skunksy!

Jill podniosła głowę i sapnęła gniewnie. Próbowwała znaleźć jakieś miejsce, żeby oprzeć kolano i znowu się podnieść.

- Gdybyś miała zapięty pas, to nie byłabyś teraz rozdeptanym skunksem! - wysapała.

- Nie zapięłaś pasa, no jasne, trzeba naprawdę być debilem - wkurzyłam się na serio. Alicja stanowiła świetny obiekt do wyładowania mojej frustracji; była bezbronna i osłabiona, a ja byłam poza zasięgiem jej kończyn.

- Walcie się - poradziła nam Alicja.

- Musimy chyba wybić szybę - stwierdziła Jill, ignorując Alicję i ciężko oddychając.

Zapadła cisza, jakby prostota tego pomysłu odjęła nam głos.

- Ale czym? - spytała sama siebie Jill po długiej chwili.

- Wykopać - powiedziałam.

- Dobra. - Jill znów była gotowa do działania i zaczęła pełzać po mnie, starając się nie sprawiać mi bólu.

- Tylko nie depcz po mnie obcasami - poprosiłam, starając się nie jęczeć i jej nie zniechęcać.



- Dobra.

- Albo jeszcze lepiej zdejmij buty.

- Jasne, bo mam stopy zrobione z tytanu... i na pewno wywalę szybkę jednym kopem - sapała Jill. - Zabierz tylko ode mnie ten kryptonit, a już zaraz wyfrunę stąd... jak... ten gość w czerwonych majtkach...

Podniosła jedną nogę, gwałtownie ją wyprostowała... i nic się nie stało.

- Nie sięgam, cholera, poczekaj, jestem za krótka... -  
Podsunęła się trochę do przodu, łapiąc mnie za kolana. -  
Dobra, może teraz...

- Poczekaj, poczekaj! - powiedziałam tak głośno, jak mogłam z żebrami i żołądkiem uciskanym przez coraz cięższe plecy Jill.

- Może teraz...

- Cicho! - krzyknęłam, ledwo łapiąc oddech.

- Co? - odkrzyknęła Jill.

- Cicho!

Wtedy już wszystkie usłyszałyśmy bliski warkot silnika dużego samochodu, a zaraz potem przeraźliwie głośny zgrzyt tarcz hamulcowych, próbujących zatrzymać piętnaście ton, które sunęły prosto w naszym kierunku.

---

\* Zbieram sobie na starość różne rzeczy, które być może nie będą mi do niczego potrzebne, ale po prostu chcę je mieć. Czasem jest to coś z bielizny, czasem flakonik perfum kupiony na wyprzedazy, czasem

komplet pościeli czy cieni do powiek. Ukrywam te rzeczy przed Mimi, która jest w stanie znaleźć wszystko, i nawet jeśli ta rzecz nie jest jej to do niczego potrzebna, nawet jeśli jej się nie podoba, zamienia ją w coś, co staje się dla mnie bezwartościowe. A ja chcę się cieszyć posiadaniem nowej rzeczy, wiedzieć, że nikt wcześniej jej nie używał i że jest tylko moja, chyba że zdecyduję inaczej. Mimi potrafi wziąć mój całkiem nowy, pieczolowicie opakowany w ozdobny papier sweterek, nosić kilka dni, zostawiając na nim kolejne plamy, potem porzucić go gdzieś w kącie swojego pokoju, zapominając o nim. A mnie ogarnia wściekłość, bezsilność i rozpacz i wtedy tak bardzo chcę, żeby była już dorosła i się wyprowadziła, a ja żebym mogła żyć po swojemu.

\* Już nie kupuję, bo mój ulubiony miesięcznik składa się głównie z reklam. Rozumiem, że jest kryzys, ale nie stać mnie na sponsorowanie bogatych firm produkujących krakersy czy jeszcze bogatszych firm farmaceutycznych. Drugi tytuł dotyczy wzornictwa i nie ma w nim ani jednego przepisu kulinarnego, są za to reklamy luksusowych samochodów, z których żadnego nigdy nie będę miała. A, i raz w tygodniu, w sobotę kupuję „The Gazette” z programem telewizyjnym. „The Gazette” jest dziennikiem, ale dla mnie staje się tygodnikiem. Dziwne.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY  
*którego nie lubię*

Jill wróciła około drugiej w nocy, niosąc ładnie opakowane w stożkowate pudełko ciasto w jednej ręce i nóż w drugiej. Zanim się wykąpała, ubrała w ciepłą bluzę i rzuciła na łóżko, zdążyłam pożreć prawie połowę.

Wypiła pół butelki wody mineralnej i wreszcie przemówiła. Zaczęła od informacji, że wodę zaczęto butelkować dopiero w latach osiemdziesiątych, ale wszystkim się wydaje, że woda w butelkach była od zawsze. Na to ja westchnęłam ciężko i poinformowałam ją, że jeśli zaraz mi nie powie, co się działo w szpitalu, to wstanę i ją walnę. Musiałam być przekonująca, bo stwierdziła szybko, że pielęgniarki w szpitalu były bardzo ładne i miłe, ale żadna nie mówiła ani słowa po angielsku.

- Żadna, rozumiesz, żadna z nich nie mówiła po angielsku - mówiła podniesionym głosem, wymachując ręką uzbrojoną w kawał ciasta panettone i siejąc wokół siebie setki okruchów. Przez chwilę mogłam myśleć tylko o tym, że będzie spała w tych wszystkich resztkach jedzenia jak kot w śmietniku.

- Nie mają takiego obowiązku - powiedziałam, z

niepokojem obserwując rosnący bałagan. – Zresztą mówisz, że były miłe...

– A wiesz, co jest najśmieszniejsze? – spytała, wskazując na mnie oskarżycielsko ciastem. – Nie uwierzysz, lekarze też nie znali angielskiego!!! I jak miałam się dogadać?

– Nie wiem – odpowiedziałam, kładąc się i przykrywając kocem.

Byłam strasznie śpiąca. Około jedenastej wieczorem, mniej więcej dwie godziny po tym, jak kierowca ciężarówki wraz z drugim facetem postawili nasz sarkofag na czterech kołach, policja odwiozła mnie do pustego i cichego hotelu, gdzie nie miał mnie kto przytulić i gdzie stercząc w brudnym ubraniu przy oknie, czekałam wiele godzin na wiadomości ze szpitala, dokąd zostały odwiezione Alicja i Jill. Alicja wylądowała na noszach z kołnierzem ortopedycznym i wielkim opatrunkiem na czole, a jej głównym zadaniem w tym czasie zdawało się unikanie naszego wzroku. Jill natomiast tłumaczyła wszystkim, że nic jej nie jest i nie musi nigdzie jechać, i gestykulowała gwałtownie do czasu, aż powiedziałam jej, żeby przestała dyskutować z policją, bo jeszcze ją wsadzą do więzienia za spowodowanie wypadku. To ją zważyło z nóg, bo nagle przestała gadać, usiadła na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu i zaczęła rozpaczliwie płakać. Zawieziono ją do szpitala następną karetką.

Kierowca ciężarówki, który z pomocą swojego zmiennika postawił nasz samochód z powrotem na czterech kołach i

wezwał odpowiednie służby, stał oparty o maskę policyjnego wozu i rozmawiał przez telefon w jakimś miękko brzmiącym, nieznanym mi języku. Zauważył, że się na niego gapię, i zakłopotany odwrócił się do mnie plecami.

Policjanci zepchnęli auto ze środka drogi, zebrali się przy swoich niebieskich samochodach i na tym chyba skończyły się ich zajęcia. Nawet nie sprawdzili nam dokumentów, nie mówiąc już o aresztowaniu kogokolwiek. Teraz najbardziej zajęci byli rozmowami między sobą, a sądząc po wybuchach śmiechu, opowiadali sobie dowcipy. Po dziesiątej jeden z nich wsiadł do lekko pokiereszowanego fiata i po prostu nim odjechał, nie mówiąc nam, dokąd go zabiera ani czy właściciel kiedykolwiek go odzyska. Reszta wsiadła do dwóch migających światłami alf romeo z napisami „Policia stradale”, zostawiając mnie na pustej drodze pod rozgwieżdżonym włoskim niebem. Kiedy zawracali, światła ich samochodów omiotły mnie, stojącą na skraju drogi z opuszczonymi rękami i bliską płaczu. Jeden z nich się zatrzymał, uchyliły się drzwi z tyłu, a ja podbiegłam do nich, bojąc się, że to kawał i odjadą mi sprzed nosa, ja zaś będę do rana wędrować poboczem wśród zapachu ziół i ogłuszającego grania cykad.

- Jak wróciłaś? - spytałam lekko zirytowana długotrwałą ciszą.

- Piechotą - wzruszyła ramionami. - To niedaleko. Szłam najwyżej dziesięć minut. Mamy coś do picia?

- Wodę z kranu? Wypiłaś przed chwilą cały zapas. A

szpital? Jaki?

- Taki... ja wiem? Taki szaro-zielony... może być.

- Nie aresztowali cię?

- Nie - podwinęła nogi i zaczęła oglądać z uwagą róg koca. - Przyszli, coś gadali, sprawdzili moje dokumenty, zrobili ksero... Zadzwoiłam do babci i ona rozmawiała z policją, i nie wiem... Może mi się upiecze?

- Z tą babcią, co umiera? Przecież to nie jest twoja babcia. Czemu mówisz o niej „babcia”?

- Mhm. Może tylko jakiś mandat... Zobaczymy. Będę się martwić później.

- No i jeszcze samochód... - Nie chciałam jej dobić. Chciałam, żeby tak jak ja zaczęła się naprawdę martwić, tu i teraz.

- Ubezpieczenie - przełknęła kawał ciasta. - Każda firma, która wypożycza samochody, jest ubezpieczona. To akurat drobiazg. Dobrze, że my mamy ubezpieczenie, prawda?

Nie czułam, że oczekuje potwierdzenia, więc nie przytaknęłam. Potrzebowałam jeszcze kilku informacji, a potem miałam zamiar zasnąć i spać do południa.

- No to może powiesz wreszcie, co z Alicją?

Jill westchnęła ciężko i wsadziła sobie do ust ostatni kęs ciasta. Szamotała się przez chwilę z kocem, ułożyła się na poduszce i ziewnęła.

- Więc tak. Ma złamaną rękę... - wyciągnęła przed siebie

oba ramiona, próbując ustalić, która ręka Alicji jest uszkodzona. - Ale to proste złamanie, właściwie pęknięcie. Poza tym kręgosłup szyjny trochę nadwyrężony, będzie jeszcze jakiś czas czuła ból... - wskazała na swoją szyję i kilka razy poruszyła głową. - Co jeszcze, co jeszcze... A, ta rana na czole jest dość powierzchowna. To właściwie małe rozcięcie i duże otarcie, może zostanie niewielka blizna, chociaż nie powinna. No i ponoć rozumek nie ucierpiał - ziewnęła znowu i przykryła się po uszy. - Zostawili ją w łóżku na wszelki wypadek, gdyby miała jakieś wewnętrzne obrażenia. Czterdzieści osiem godzin czy dwadzieścia cztery... jakoś tak. Jak w pierdłu - zachichotała.

- Jak to czterdzieści osiem? Przecież musimy wracać do domu! - podniosłam głos. - Nie mogą jej tak długo trzymać! Ja muszę wracać! - mój głos zaczynał być słyszalny dla nietoperzy.

- Spokojnie. - Jill pokazała dłonią, jak spokojnie powinnam do tego podchodzić. - Zdążycie, przestań się martwić. Najwyżej wrócisz sama, więc wyluzuj.

- A ty? Badali cię? - postanowiłam wyluzować.

- Tak, tak, chcieli mnie tam zatrzymać i zrobić badania, ale nie mam na to czasu...

Nie miała czasu, oczywiście. Do Jill nie stosuje się powiedzenie „przejsć przez życie”. Ona przez życie przebiega, nie mając czasu się zatrzymać, nie mając czasu się zastanowić nad koniecznością ponoszenia konsekwencji. Na razie jednak zaczęła ziewać.

- Niezłe masz informacje, jak na kogoś, kto nie może się dogadać. - Teraz ja zachichotałam złośliwie. - Jak to zrobiłaś?

- Co zrobiłam?

- Jak się z nimi dogadałaś?

- ...

- Jill?

Jill spała, zwinięta w kłębek jak kot i jak to ona zostawiła wszystkie problemy innym. A ja właśnie rozpoczęłam dyżur martwienia się. I bardzo chciałam, żeby już było pojutrze, żeby już było wiadomo, czy pójdziemy do więzienia za zniszczony samochód. Czy Alicja zwlecze się z łóżka, żeby pojechać na lotnisko i czy nie spóźnimy się na samolot? Co zrobię, jeśli będzie trzeba zostać tu dłużej albo jeśli któraś z nich będzie musiała zostać dłużej? Czy powinnam wtedy wracać sama, czy zaczekać na nie i wrócić w składzie, w jakim wyjechałyśmy? Po co, u diabła, pojechałyśmy do cholernego Monaco i dlaczego los nas za to ukarał? I dlaczego tak bardzo boli mnie szyja?

Zasnęłam, kiedy obudziły się mewy.

•

Przyszywana babcia Jill nie umarła. Przeciwnie - odzyskała siły, jakby obecność Jill dodawała jej energii. Sama wywoziła się z domu na eleganckim, napędzanym elektrycznie wózeczku, chodziła z laską po targu, długo rozmawiała i żartowała ze sprzedawcami na straganach.



Godzinami patrzyła na morze z leżaka stawianego dla niej na plaży, w towarzystwie dziewięćdziesięcioletniego sąsiada, dzielnie pokonywała pas plaży, żeby postać w płytkiej wodzie, plotkowała z ubranymi na czarno kobietami i piła wielkie ilości wina przed kolacją, do kolacji i po kolacji, a potem zasypiała przed telewizorem, chrapiąc jak buldog angielski.

Zaczęła ubierać się kolorowo, mimo że latami ubierała się jak wdowa, którą była prawie całe swoje życie. Do zmiany wizerunku namówiła ją oczywiście Jill, wywlekając ją z domu na popołudniowe wycieczki po sklepach. Wybierała dla niej zwiewne szyfonowe spódnice i pasujące do nich bluzki w pastelowych kolorach i namówiła do pozbycia się większości ponurych ciuchów. Nie mogła jej tylko przekonać do noszenia spodni, nie, o tym starsza pani nie chciała nawet słyszeć. Żadna kobieta w jej rodzinie nigdy wcześniej nie nosiła spodni, więc złamanie najświętszych tradycji rodziny DeLuca nie mogło być jej dziełem.

W rewanżu za swoje usługi Jill pobierała od niej lekcje gotowania. Dotąd jej numerem popisowym były colcannon i zamawianie pizzy przez telefon. Teraz rzucała nazwami włoskich potraw, które pod okiem wspaniale gotującej donny Antonii wychodziły spod jej rąk.

Jill była z siebie bardzo dumna, bo prawdopodobnie słusznie przypuszczała, że to właśnie ona przyczyniła się do poprawy zdrowia szacownej Antonii. Opowiedziała nam to wszystko w dzień naszego powrotu do domu, pakując rzeczy

Alicji do jej granatowej walizki. Alicja w tym czasie siedziała na moim łóżku, stukała palcami w gips na prawej ręce i od czasu do czasu spoglądała na Jill, obnażając górne zęby. Miałam nadzieję, że to tik nerwowy, który jej został po uderzeniu się w głowę, a nie manifestacja niechęci.

- Dlatego właśnie nie wracam teraz z wami... - Jill upuściła błękitne spodnie od piżamy, ale zaraz je podniosła i trzepała przez chwilę, zagryzając usta.

- Po prostu je spakuj - warknęła Alicja.

Jill znowu upuściła spodnie. Podniosła je, zwinęła w kłęb, stanęła na palcach i wrzuciła do walizki jak koszykarka. Popatrzyła na Alicję i rozłożyła ręce.

- To chyba wszystko, co?

- Jeszcze w łazience - warknęła Alicja, patrząc na Jill jak na terrorystkę, która zaraz pozbawi ją wszystkich kosmetyków.

- A, no tak - Jill zniknęła w łazience. - Wszystko ci wrzucić do tej kosmetyczki?!

- Nie, wiesz, kibel i prysznic raczej zostaw.

- Ha, ha - odpowiedział głos z łazienki.

- Ale właściwie dlaczego nie wracasz? - spytałam, bo nie byłam pewna, czy wszystko dobrze zrozumiałam. - Znaczy nie wracasz teraz czy nie wracasz wcale?

W drzwiach ukazała się rozczochrana głowa Jill. Dawno nie widziałam jej w nieładzie i chyba nigdy nie widziałam jej

w tak wymiętej koszuli, ale dzisiaj na pewno bardzo się śpieszyła, bo nie zrobiła nawet makijażu i wyglądała dziwnie niewyraźnie. Zapewne chciała szybciotko zakomunikować nam swoją decyzję i zaraz zniknąć nam z oczu. Nie wiem, czy dręczyły ją wyrzuty sumienia, bo zwykle miała gdzieś sumienie. Miałam tylko nadzieję, że jest jej chociaż trochę przykro, że zamierza nas zostawić, i jeszcze bardziej przykro, że nas oszukiwała i zostawia nas w takiej sytuacji. I że intensywnie myśli o tym, że niedługo zacznie za nami tęsknić?

- Raczej nie wracam teraz - powiedziała z radością i jeśli było jej choć trochę przykro, to świetnie to ukrywała.

- Bilet ci przepadnie - stwierdziła Alicja zjadliwie, próbując się podrapać pod gipsem. - Nieźle się umęcę przez te cztery tygodnie. Nawet podrapać się nie można. Może u nas mają jakieś lepsze metody i skrócą mi te tortury.

Głowa Jill zniknęła, ale po chwili cała Jill wyszła z łazienki z wielką kosmetyczką Alicji, powoli zamknęła za sobą drzwi i usiadła obok mnie. Westchnąwszy ciężko, objęła mnie ramieniem.

- Spadaj - powiedziałam.

- Posłuchaj - pogładziła mnie po głowie.

Uwielbiam być głaskana po głowie, ale nie wtedy, kiedy ktoś próbuje poskromić moją złość. Lecz tym razem nie byłam zła, tylko smutna. Zbliżała się godzina wyjazdu, miałam znowu lecieć samolotem bez gwarancji lądowania w

docelowym porcie lotniczym, zostawiałam nudne, wakacyjne, puste życie bez problemów i miałam wrócić do wszystkich problemów świata. Do tego Jill postanowiła znowu zacząć nowe życie i zupełnie się tym nie przejmowała.

- No, słucham - zakomunikowała Alicja, choć to ja powinnam to powiedzieć.

Jill przestała mnie głaskać i znowu westchnęła.

- Nie mam właściwie żadnej rodziny, wiesz o tym, prawda? Co ja mówię, po prostu nie mam rodziny i już. Antonia... z Antonią czuję, jakbym miała rodzinę. Oczywiście nie mam pojęcia, czy tak wygląda rodzina - pokazała czterema palcami umowność słowa „rodzina” - ale to jest to, co bardzo, bardzo mi pasuje.

- Masz matkę, pamiętasz? - Alicja oskarżycielsko wyciągnęła w naszą stronę zagipsowane przedramię, ale cofnęła je szybko, krzywiąc się z bólu.

- Nie widziałam jej od trzynastu lat i wiesz co? Jakoś żyję - stwierdziła ze złością Jill. - Nie chcę jej widzieć, nie chcę z nią rozmawiać, nie chcę, po prostu nie chcę... I nie chcę, żeby ona wiedziała o mnie cokolwiek. Nigdy mnie nie rozumiała, nigdy nie była po mojej stronie, zrobiła mi z życia piekło i nigdy, ale to nigdy nie czułam, że mam matkę, nigdy! Nienawidzę jej!

- To twoja matka, Jill - powiedziała zdecydowanie Alicja. - Wiesz, możesz nie chcieć się z nią widywać, możesz jej nie lubić albo coś, ale nie przesadzaj.

- Tak, tak - Jill machnęła lekceważąco ręką. - Kochana mamusia. Świętość. Nie będę o tym rozmawiać. Ten temat nie istnieje. Ona nie istnieje, moje dzieciństwo nie istnieje, jej dom nie istnieje i całe to gówno, którym się otacza, nie istnieje. Nie, przepraszam, gówno istnieje.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - spytała Alicja.

- Wiesz, o czym mówię, bo kiedyś ci opowiadałam o mojej matce! - Jill była bliska płaczu, co wprawiło mnie w osłupienie.

- Kiedy?!

- Kiedy? Pamiętasz jak kiedyś oglądałyśmy *Carrie*?

Alicja spojrzała na mnie z paniką w oczach. Rozłożyłam ręce i potrząsnęłam głową. Pamiętam, że czytałam *Carrie*, ale nie bardzo pamiętałam film. Albo było to bardzo, bardzo dawno, albo Jill coś się pomyliło. Spojrzałam na nią bezradnie, ale ona, leżąc na łóżku na plecach, wpatrywała się w nieruchomy wiatrak na suficie.

- Nie pamiętam, kiedy oglądałyśmy ten film - powiedziała płaczliwie.

- Nie z tobą! Ty spałaś zalana, a ty miałaś czkawkę. - Jill się podniosła i oskarżycielsko wskazała palcem na mnie, a potem na Alicję. - Pamiętasz? Mówiłam ci, że matka tej dziewczyny, tej *Carrie*, jest prawie jak moja matka. Oprócz tego, że nie chciała mnie zabić nożem. A może zresztą chciała. Nie pamiętasz?

Alicja z dłonią na ustach pokręciła przecząco głową. Jill

sapnęła z pogardą.

- Mam was gdzieś. To było dla mnie ważne. Myślałam, że wiecie, jaka była moja matka, i że będziecie mnie lepiej rozumieć. Że pojmiecie, dlaczego wolałam wyjść za pierwszego lepszego palanta, niż zostać w domu! Ale nie, bo jedna się wtedy zalała w trupa, a druga tak czekała, że nie słyszała, co się do niej mówi!

Jill zacisnęła zęby ze złości, wstała i podeszła do okna. Szarpała się chwilę z firanką, odwróciła się, popatrzyła na Alicję i uspokajająco wyciągnęła przed siebie ręce.

- Dobra, nie chcę się kłócić. Nie wiadomo, kiedy znowu was zobaczę, bo jak mówiłam, mam zamiar tu zostać... przez jakiś czas - dodała szybko, widząc nasze pytające spojrzenia.  
- Postarajcie się mnie zrozumieć, chociaż raz.

Westchnęła ciężko i zwała się na łóżko.

- Jak dotąd nie mam miejsca, do którego bym szczególnie tęskniła, więc jest mi wszystko jedno, czy jestem tu, czy w Chinach. Tu nie ma zimy i nie muszę się o nic martwić. I zobaczę, co będzie dalej.

- Długo chcesz tu zostać? - spytałam rzeczowo. - Ale szczerze, chociaż raz.

- Jeszcze nie wiem - spojrzała na mnie czujnie. - Co najmniej miesiąc, bo obiecałam Antonii, że tyle zostanę. Mam nadzieję, że za szybko mi się nie znudzi, albo Antonia nie... no wiesz - uśmiechnęła się smutno. - A, dam ci czek za mój czynsz, wyślesz go, prawda?

- Jasne - odpowiedziałam. - Ale dasz znać, co u ciebie, dobrze?

- Jasne - uśmiechnęła się.

- Jesteś pewna? - odezwała się niespodziewanie Alicja. - Nie myślisz o tym, co będzie za miesiąc? Przywykniesz do życia tutaj, wiesz, może przywiążesz się do Antonii... Nie boisz się, że będzie ci strasznie trudno wrócić do normalnego życia? Znowu przyzwyczajając się do czegoś nowego, znowu zaczynać coś właściwie od początku? A tak zaczynać co chwilę od nowa... Zastanów się, czy dobrze robisz...

- Alicja...

- Ja bym tak nie mogła. Jeśli przez lata gdzieś żyję, to nie zostawiam nagle tego wszystkiego, żeby zamieszkać na drugim końcu świata...

- Miliony ludzi tak robią...

- Dorobek życia, słyszałaś może o tym? Za kilka lat będziesz miała pięćdziesiątkę na karku i co? Znowu szukać czegoś, martwić się, że nie masz nic pewnego? Na pewno tego chcesz?

- Dorobek życia, mówisz? - Jill przekrzywiła głowę, jakby próbowała sobie przypomnieć. - To takie coś jak rodzina, zmarszczki, zadłużenie się po uszy, żeby kupić dom, i mąż, który cię zdradza? Nie, nie słyszałam...

- Ale ja słyszałam. - Alicja prawie zabiła mnie wzrokiem, kiedy parsknęłam śmiechem. - To, o czym nie słyszałaś, to są filary społeczeństwa. Na tym opiera się cały cywilizowany

świat. No ale ty nie słyszałaś...

- Nie mów mi, że cywilizowany świat opiera się na zmarszczkach - Jill ledwo powstrzymywała śmiech. - To są bzdury, Alicja, nie wiem, kto ci wyprał mózg, ale to są bzdury.

- Tak, oczywiście, a ty dostaniesz Nobla z ekonomii, bo wymyślisz nowy porządek rzeczy!

Jill pokręciła głową z niedowierzaniem.

- To życie jest ważne, a nie hipoteka. Wszystko, co zobaczysz, wszystko, czego dotkniesz, co zjesz, co poczujesz, co przeczytasz, powąchasz... Nikt ci tego nie odbierze, nie rozumiesz? Dom może się spalić, może być wojna, która ci wszystko zabierze, och, wszystko może się zdarzyć...

Podeszła do Alicji, ukucnęła i wzięła ją za zdrową rękę.

- Może się mylę, ale czy nie o to w życiu chodzi? Żeby ciągle szukać czegoś nowego, żeby poznać tyle, ile się da. Skąd będziesz wiedzieć, co jest dla ciebie dobre, skoro nie spróbujesz? A poza tym: jakie stare życie i nowe życie? To wszystko jest moje życie, czy to dzisiaj, czy jutro, to jest po prostu moje życie, rozumiesz? I jeśli chociaż przez pięć minut w miesiącu będę szczęśliwa, to i tak się opłaca, rozumiesz? Dla tych pięciu minut!

- Nie bardzo rozumiem, szczerze mówiąc - powiedziała Alicja ze łzami w oczach. - Ja tak nie umiem. Muszę mieć wszystko poukładane i zaplanowane, bo inaczej tracę grunt pod nogami.



- Skarbie, nigdy nie wiadomo, co się stanie. Ty też przecież będziesz musiała sobie pewne rzeczy „poukładać”, jak mówisz, od nowa. Nawet jeśli Mark wróci, czego ci absolutnie nie życzę...

- Przestań! - Alicja gwałtownie cofnęła rękę.

- To ty przestań! Jeśli wróci, to będzie tak, jakbyś cofnęła się w rozwoju, do jakichś okropnych czasów, jakiegoś średniowiecza, zamiast iść do przodu - pokręciła głowę z dezaprobatą. - Nawet jeśli wróci, to i tak nie będzie już jak dawniej. Nie wyobrażasz sobie chyba, że w jakiś sposób wykreślisz z pamięci to, co się stało. Po prostu się nie da, chyba że dostaniesz zaniku pamięci, ale wtedy i tak wszystko będzie od nowa. Każdy dzień to życie od nowa, a jak już budzisz się rano, to chyba chcesz być szczęśliwa... Przypomnijcie sobie, jakie filmy najbardziej lubimy?

- O przygodach fajnych archeologów? - podsunęłam.

Jill pokiwała głową z politowaniem.

- Nie, najbardziej lubimy filmy o nowym życiu! Najbardziej lubimy, kiedy wszystko się wali, wiesz, beznadzieja, a ty po prostu rzucasz to wszystko i wyjeżdżasz do jakiejś Toskanii czy Prowansji...

- Albo na Alaskę - wreszcie załapałam, o co chodzi.

Rzeczywiście, tak jak co najmniej milion innych ludzi lubię książki i filmy o budowaniu nowego życia na gruzach własnej mizernej przeszłości. Poza tym, że dają nadzieję, to dodatkowo w tym samym pakiecie ofiarowują elementy

wędrówki, wielkiej wyprawy na inny kontynent lub tylko na sąsiednią ulicę. Zawsze jest to kultowa pielgrzymka, którą choć raz w życiu trzeba odbyć, która nas definiuje i czyni niezłomnymi. Największym bonusem całej historii jest śliczny, stylowy dom z ogrodem, gajem oliwnym, przydomową plażą lub tym wszystkim naraz. Przedtem otrzymujemy też solidną porcję twardej walki z przeciwnościami losu, taplanie się w głębokim błocku przyszłej winnicy, ale wszystkie trudy zostają zwieńczone napisaniem książki kucharskiej.

- Może być i na Alaskę. I tam zaczynasz nowe, lepsze życie! I wszystko się świetnie układa, poznajemy nowych ludzi, którzy są fajniejsi niż ci, których wcześniej znałaś - Jill zapatrzyła się w swoje wyobrażenia o nowym życiu.

- Gdyby tak jeszcze pisali, skąd brać kasę na ten prosty żywot - westchnęłam do własnych myśli. - Zaraz zaczęłabym to nowe życie...

Alicja nareszcie uśmiechnęła się lekko, a Jill się podniosła i pomasowała sobie łydki.

- Nogi mi ścierpły.

Znowu podeszła do okna i stała przez chwilę odwrócona do nas plecami.

- Nie taki zły ten widok - powiedziała.

- Nikt nie mówił, że jest brzydki - powiedziała Alicja, wycierając oczy. - Właściwie jest całkiem... włoski.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### *i tyle*

- Wiesz, ona chyba ma rację - powiedziała Alicja w samolocie. - Może rzeczywiście czasem warto zaczynać na nowo.

Nie zwróciłam wtedy na to uwagi, bo kilka minut wcześniej skończyłam osuszać butelkę zero trzydzieści trzy litra czerwonego Casa del Diablo, rocznik zeszłoroczny. Solidnie mnie to znieczuliło i właściwie byłam gotowa, żeby przeżyć siedem godzin lotu w stanie obojętnym. Otuliłam się kocem niemiło pachnącym trudną do określenia wonią pralni chemicznej i obserwowałam ciemne niebo, czekając na sen. Zdałam sobie sprawę, że lato naprawdę się już skończyło. Wieczory zrobiły się długie, a jeszcze kilka tygodni wcześniej, zupełnie niedawno, o tej porze świeciło słońce. Noce były już chłodne, a w dzień nie trzeba się było chronić przed upałem. A ja fatalnie znoszę gorąco, więc nadejście jesieni witam z ulgą i niespożytą energią.

Lato w Montrealu jest męczące, choć trwa niedługo. Przynosi okropne upały i wilgotność tak dużą, że w powietrzu można pływać. Zapewne tylko ostre zimy nie pozwalają malarii zdziesiątkować mieszkańców. Okropności

upałów nie wynagradza mi ani festiwal jazzowy, ani komediowy *Just for Laughs*, ani trwający ponad miesiąc festiwal sztucznych ogni, na który maszerowałyśmy dzielnie z mamą i małą Mimi w każdą sobotę, żeby z nabrzeża w Starym Porcie oglądać najwspanialsze fajerwerki na świecie.

Za to jesień jest jak marzenie - setki odcieni brązu, czerwieni i żółci zapewne doprowadzają do szału pejzażystów, ale we mnie zwiększają dawkę optymizmu i radości, i nawet wiosna nie jest w stanie tego przebić. Miałam nadzieję, że zdążę jeszcze na taką jesień, zanim liście zaczną opadać i robi się szaro.

Zaczęłam się też zastanawiać, czy trzeba już było włączyć w domu ogrzewanie i czy zdążę zrobić przed zimą jesienno-zimowe porządki. Zanim zaczęłam się martwić, przypomniałam sobie zapach morza, cudowne, bezmyślne lenistwo na plaży, szeleszczące krzewy lawendy i stosy arbuźów ustawione na straganach - kwintesencję mijającego lata. Aż się bałam, że będę za tym tęsknić każdego dnia, kiedy już przyjdzie prawdziwa jesień, pełna śniegu z deszczem, lodowatego wiatru, skoków ciśnienia i wielodniowych migren.

Obudziłam się, kiedy roznoszono posiłek<sup>\*</sup>. Jedząc wegetariańską imitację lasagne, cieszyłam się, że wracam do domu, a chwilę później znowu zasnęłam, marząc o tym, żeby umyć zęby.

•

- Witamy państwa na lotnisku Pierre-Elliott-Trudeau w

Montrealu. Prosimy o zabranie swoich bagaży, dzieci i małżonków. Temperatura na zewnątrz wynosi siedem stopni Celsjusza, czterdzieści cztery stopnie Farenheita. Jest pogodnie, ale wietrznie. Tych z państwa, dla których to koniec podróży, witamy w Montrealu, pozostałym pasażerom kapitan i załoga życzą przyjemnej podróży.

- Dom, słodki dom - powiedziała Alicja, wstając i próbując rozprostować nogi. - Ciekawe, czy sweter wystarczy na ten mróz.

- Witamy w domu - powiedziała funkcjonariuszka, oddając mi z uśmiechem paszport.

- Hej dziewczynki, witajcie! - krzyczała do nas mama Alicji z odległości kilkuset metrów, machając energicznie, jakby stała w szalupie, a my miałybyśmy ją zauważyć wśród wzburzonych fal.

Alicja spojrzała na mnie zdziwiona. Odwzajemniłam spojrzenie i zaczęłam wpadać w panikę.

- A gdzie moja mama, czy coś się stało? To ona miała po nas wyjechać, coś się stało, nie, może tylko samochód się zepsuł...

- Zaraz się dowiemy, Alex, uspokój się... - Alicja wlokła za sobą walizę lewą ręką i dyscyplinowała mnie wzrokiem. - Hej, mam, stęskniłam się, zobacz, jaką mam wielką łapkę! Nie, nie boli, no może trochę, a gdzie tata?

- Musisz mi wszystko opowiedzieć ze szczegółami, bo kiedy zadzwoniłaś, nie mogłam się w tym wszystkim połąpać.

Tata został w samochodzie, trochę go kolana bołą, pewnie będzie zmiana pogody, a gdzie zgubiliście Jill?

- Wyobraź sobie, że została we Włoszech, znalazła tam jakąś swoją rodzinę, ale ma wrócić za kilka tygodni, ale co u ciebie, świetnie wyglądasz, przywiozłam ci prezencik, następnym razem musimy pojechać tam razem, albo ty i tata...

- Córeczko, ja to już się nie nadaję do podróży...

- Nie uwierzysz, gdzie byliśmy...

Stałam z boku, czekając na moją kolej i próbowałam się uśmiechać. Mama Alicji trzymała mnie za rękę, co miało być wstępem do uścisków, ale nadal paplały, jakby nie widziały się od 1962 roku.

- Alexandra, dziecko, jak się masz? - Mama Alicji wreszcie popatrzyła na mnie uważnie.

Jest bardzo miłą kobietą, dość potężną i trochę kanciastą, ale bardzo ciepłą i zawsze ma świetne, różnokolorowe fryzury. Zupełnie nie potrafi się ubrać - to, co na siebie wkłada, nadaje jej męski wygląd, a właściwie wygląda trochę jak transseksualistka. Nie pomagają ani kolczyki, ani małe, słodkie torebki zwane „carpet bags”, które wzorem królowej Elżbiety nosi powieszony na przedramieniu i które, o dziwo, idealnie pasują do szarości, brązów i czerni, w które lubi się ubierać. Lubię ją bardzo, bo jest konkretna, nie gada za dużo, nie wtrąca się w cudze życie i stara się nie oceniać ludzi na podstawie ich wyglądu. Zupełnie jak ja.

- Moja mama nie mogła przyjechać? Piecze tort powitalny? - spytałam żartobliwie, mając nadzieję, że ten przedni dowcip okaże się prawdą.

- Nie, skarbie, niestety nie. Twoja babcia jest w szpitalu...  
- poklepała mnie po plecach. - Ale nie martw się, na pewno wszystko będzie dobrze.

- Mama jest z nią? - Jedyne pytanie, które przyszło mi do głowy.

- Tak, tak właśnie. Powiedziała, żebyś odetchnęła po podróży i jak już odpoczniesz, żebyś przyjechała do szpitala. No chodźmy, chodźmy - ponaglała.

- Ale co się stało?

- Dokładnie nie wiem, ale ponoć była nieprzytomna przez jakiś czas. Ale ty się nie martw. - Mama Alicji zwolniła trochę.

- Strasznie mi przykro... - Alicja mnie przytuliła, co spowodowało, że się rozplakałam.

- W którym jest szpitalu? - łkałam z twarzą w dłoniach, nie mogąc się uspokoić.

Odreagowywałam lot, odreagowywałam Jill i jej pomysły, całe napięcie związane z powrotem do domu, złamaną rękę Alicji, zmianę ciśnienia atmosferycznego, zmianę kontynentu i to, że dawno nie płakałam.

- Jedźmy! - Mama Alicji wzięła mnie delikatnie za łokieć i lekko pociągnęła w swoją stronę. - Jest w Instytucie

Neurologii.

Dreptałam obok niej, usiłując zlokalizować w głowie Instytut Neurologii. Przynajmniej przestałam rozpaczliwie ryczeć, za to tragicznie pociągałam nosem, bo nie miałam nawet kawałka chusteczki, ponieważ wszystkie dałam Alicji. Dotarło do mnie, że właściwie dalej nie wiem, co się stało i że być może nie ma powodów do rozpacz.

- Co się właściwie stało? - spytałam, wsiadając do samochodu, którym podjechał tata Alicji. - Dzień dobry panu.

- Właściwie dobry wieczór - stwierdził tata Alicji, jak zwykle stojący twardo na ziemi, choć teraz wyglądał na zrezygnowanego.

- Dokładnie nie wiem. - Mama Alicji usiadła obok męża i zwróciła się w moją stronę. - Ponoć zemdląca w domu, twoja córka ją znalazła i wezwała pogotowie.

Mimi ją znalazła? Przecież ze mną nie chciała do niej chodzić. Kilka razy coś wspomniała o tym, że widziała się z prababcią, ale myślałam, że może spotykały się gdzieś w centrach handlowych, kiedy moja córka chciała ją naciągnąć na jakieś zakupy.

Babcia uwielbiała kupować. Była zakupoholiczką na długo przed tym, nim powstał ten termin. W jej szafach znalazły schronienie kupony tkanin wyprodukowane w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat, ale nie wiadomo, czy nie odziedziczyła też czegoś po swojej mamie, więc wiek kolekcji może spokojnie sięgać dziewiętnastego wieku. W szufladach



i pudełkach leżały kilometry różnokolorowych satynowych wstążek, bawełnianych koronek, atlasowych tasiemek, pasków do spodni, szyfonowych i wyprodukowanych chyba jeszcze przed drugą wojną jedwabnych apaszek, które czasami trafiały w moje ręce, by spocząć spokojnie na wieczność w moich pudełkach i szufladach.

Do tej pory przechowywała sukienki z lat swojej młodości, z których większość mogłaby odziewać gwiazdy filmowe. Babcia, sądząc ze starych zdjęć, była podobna do Marleny Dietrich, ale nigdy nie zrobiła z tego żadnego użytku. Kiedy zaczęły rodzić się jej wnuki, nie wiedzieć czemu z eleganckiej damy zmieniła się w... babcie. Przestała nosić szpilki i kapelusze, przestała farbować włosy i nosić czarne pończochy ze szwem. Nigdy nie mogłam tego zrozumieć ani zaakceptować. Ponoć chodziło jej o to, że kiedy kobieta zostaje babcią, to znaczy, że osiągnęła pewien wiek, a w pewnym wieku wręcz nie wypada wyglądać za dobrze. Miała wtedy pięć lat mniej niż ja teraz.

- Zawieziecie mnie do niej?

- Teraz? - spytała zaskoczona Alicja, a jej mama pokiwała głową.

- Tak, proszę, nie mogę czekać. Zabierzcie też, proszę, moją walizkę - powiedziałam stanowczo. - Odbiorę ją jutro.

- Ale kto zemdlał? - spytał głośno tata Alicji, zatrzymując się na światłach przy ulicy De la Savane. Miałam wrażenie, że zjechał z autostrady za wcześnie, że powinien był zjechać dopiero w Outremont, ale przecież nie wiedziałam dokładnie,

gdzie jest miejsce, do którego jedziemy. O tej porze ruch był niewielki, tata Alicji został wyczerpująco poinformowany o celu podróży, a ja zastanawiałam się, czy choroba babci to nie jest czasem kara za mój wyjazd. Próbowałam nie snuć domysłów na ten temat, ale przykre poczucie winy pozostało.

Zobaczyłam Mimi w poczekalni, zanim ona zobaczyła mnie. Siedziała w szarej bluzie przy stoliku z do połowy ułożonymi puzzlami i wycierała rękawem oczy, trzymając w dwóch palcach kawałek układanki.

- Cześć, kotku - powiedziałam cicho, dotykając jej ramienia i próbując ukryć sapanie.

Drgnęła przestraszona, ale nie spojrzała na mnie.

- Cześć.

Nie bardzo wiedziałam, jak mam się zachować po takim powitaniu. Było mi przykro, że mnie nie uściskała, tak jakby mój powrót nie miał dla niej żadnego znaczenia. Nie spodziewałam się balonów i podskoków, ale liczyłam chociaż na „cześć, mamó”. Zapewne miała do mnie pretensje, że pierwszy raz w życiu ją zostawiłam na całe dwa tygodnie, zamiast znosić jej humory i wieczne niezadowolenie. Gdybym wyjeżdżała kilka razy w roku, pewnie zdążyłaby się przyzwyczaić, a w tej sytuacji mój jedyny w jej życiu wyjazd na wakacje musiał być dla niej traumą.

Skinęłam głową starszej pani, którą dopiero teraz zauważyłam. Siedziała bez ruchu w fotelu pod ścianą i gapiała się w niemy telewizor. Kiedy ją pozdrowiłam, uniosła lekko

dłoń na powitanie i wróciła do oglądania.

- Powiesz mi, co się dzieje? - usiadłam obok Mimi przy stoliku.

Swoim zwyczajem wzruszyła ramionami.

- Babcia leży tam - wskazała brodą kierunek. - Twoja matka z nią jest.

Pozostawiłam „twoją matkę” bez komentarza. Moja matka musiała zająć jej mocno za skórę, próbując zapewne wprowadzić swoje dawne porządki w naszym pozbawionym elementarnych zasad domu.

- Słyszałam, że to ty ją znalazłaś i wezwałaś pogotowie.

Zamknęła oczy, a dwie wielkie łzy kapnęły na tekturowy obrazek. Pokiwała głową i wyciągnęła do mnie ręce. Wpadła w moje ramiona, a ja głaskałam ją po głowie i plecach. Jej włosy pachniały szamponem, pizzą i papierosami. Płakała cichutko, a ja razem z nią...

- Kiedy to się stało? - spytałam, kiedy Mimi odkleiła się ode mnie i wycierała nos w rękaw bluzy.

- Dzisiaj rano. Często chodzę do babci rano...

- Chodzisz do babci rano? Zamiast do szkoły? - olśniło mnie.

Pokiwała głową. Wiedziała, że nie będę jej teraz łajać ani urządzać pogadanek. Pomyślałam, że jedna z zagadek wszechświata została właśnie wyjaśniona.

- Pójdę tam, dobrze? Potem będę chciała porozmawiać z

lekarzem. - Pogłaskałam ją po policzku. - Chcesz iść ze mną?

Pokręciła przecząco głową, pociągając nosem.

- Powiedzieli, że to przez wysokie ciśnienie. Co to znaczy?

Westchnęłam. Nie byłam pewna, czy na pewno znam odpowiedź, ale ucieszyłam się, że zapytała o to mnie.

- To znaczy, że twoja krew naciska na ścianki tętnic z jakąś siłą. Jak jesteś zdrowa, prawidłowo się odżywasz, nie palisz papierosów... wtedy ciśnienie jest normalne. Ale im jest się starszym, tym więcej w tętnicach różnych śmieci, różnych tłuszczów, paprochów. Osiadają na ściankach tych wszystkich rureczek, którymi płynie krew, i wtedy one stają się coraz węższe, i wtedy krew, która nimi płynie, rozpycha się coraz bardziej, i wtedy ciśnienie rośnie i rośnie, a czasem może być już tak wysokie, że może rozerwać kawałek tętnicy. To tak, jakbyś za bardzo nadmuchała balonik - tłumaczyłam cicho, mając nadzieję, że niczego nie poplątałam. - Pójdę tam. Chcesz iść ze mną?

- Nie, idź sama. Nie mogę tego znieść - popatrzyła na mnie ze łzami w oczach. - Ona Umrze, prawda? Nie umrze, prawda?

Pocałowałam ją w czubek głowy. Pochyliła się nad stolikiem i wróciła do obracania w palcach kawałka układanki.

W pokoju szpitalnym było prawie ciemno, rozjaśniała go tylko słaba poświata zielonych i czerwonych lampek sprzętów medycznych. Tu nie było tak cicho jak w

poczekalni. Ostry sygnał urządzenia monitorującego funkcje życiowe rozbrzmiewał cyklicznie, ale za każdym razem ten dźwięk zaskakiwał. Słysząc było ciche pojękiwanie, a chwilami głośne charczenie.

Mama drzemała w fotelu obok wysokiego łóżka, z którego zwisały plastikowe rurki. Rurki były podłączone do nieruchomego ciała babci. Jej piękne siwe włosy krótko ścięto, aby podłączyć jej do głowy jeszcze jedną rurkę.

- Hej, babciu - szepnęłam do jej ucha i pogłaskałam ją po policzku.

Pachniała środkami odkażającymi i jeszcze czymś, czego nie mogłam określić. Zupełnie nie pachniała jak babcia, którą znałam całe moje życie. Najsilniejsza ze znanych mi kobiet leżała bezbronna, pozbawiona włosów i niema. A ja nie mogłam zrobić nic, żeby jeszcze raz powiedziała mi: „dziecko, nie przejmuj się, życie jest takie krótkie”.

Podeszłam do mamy i dotknęłam jej dłoni. Drgnęła i otworzyła szeroko oczy. Wstała, uściskała mnie, po czym usiadła z powrotem. Wyglądała kiepsko z podkrążonymi oczami i włosami w nieładzie. Zawsze, kiedy działo się coś złego, jej twarz zastygała, jakby nieszczęście pokrywało ją niewidoczną maską.

- Byłaś w domu? - spytała.

- Nie, przyjechałam od razu tutaj. Powiedz, co się właściwie stało?

- Lekarz mówi, że to tętniak mózgu. - Ledwo mówiła ze

zmęczenia i emocji, ale trzymała się dzielnie.

- Ale jak to się stało, tak nagle, tak po prostu? Przecież była całkiem zdrowa... - Chciałam się targować i walczyć o lepsze wiadomości, o jakąś szansę dla biednego, nieruchomego ciała. Wierzyłam, że to w tej chwili jedyna rzecz, którą mogę zrobić - wyklócać się z losem.

- Tak właśnie, nagle i po prostu - mama pokiwała głową. - Tak się dzieje w życiu.

- Ale była całkiem zdrowa! - nie dawałam za wygraną.

Mama ścisnęła moją dłoń z siłą tak wielką, że aż się skrzywiłam.

- Myślę, że powinnaś się pożegnać... - powiedziała stanowczo.

- Jak to...? - osłupiałam.

- Kochanie, lekarz powiedział, że nic nie można zrobić. Powiedział, że krwotok jest bardzo rozległy i operacja niczego nie zmieni - stwierdziła twardo, ale przestała ścisnąć moją rękę. - A przecież babcia nie jest młoda...

- Ale mają teraz takie narzędzia, leki, nie wiem... lekarzy... Przecież to szpital neurochirurgiczny, do diabła!

- Ona jest w śpiączce i już z tego nie wyjdzie - powiedziała mama przez zęby, jakby była na mnie wściekła. - Musimy się z tym pogodzić.

Zacisnęła usta i z trudnością podniosła się z fotela. Popatrzyła na mnie z bólem, ścisnęła mocno moje ramię i

wyszła.

Podeszłam do babci i wzięłam ją za rękę. Była sucha i zimna, pomarszczona, kochana dłoń, która robiła ciasto, poprawiała mi szalik, zmieniała pieluchy Mimi i kiedyś zapewne moje, prasowała koszule dziadka, sadziła kwiaty... Dziękowałam jej za to, że mnie kochała, i za to, że zawsze mogłam na nią liczyć. Za to, że kiedy wszyscy mnie potępili, ona jedna powiedziała „przecież nikogo nie zabiła”. Za to, że nie była fanatyczną katoliczką, tak jak jej matka. Za to, że kochała Mimi, którą często tak trudno było kochać, i zawsze wierzyła, że wyrośnie z niej coś dobrego. Za to, że pożyczala mi pieniądze, kiedy ich potrzebowałam, mimo że nigdy jej o to nie prosiłam.

Przeprosiłam ją za to, że nigdy nie podziękowałam jej za wszystko, co dla mnie zrobiła. Przeprosiłam ją za to, że nie mówiłam jej, jak bardzo ją kocham i jaka jest dla mnie ważna. Za to, że nigdy nie spytałam ją o jej życie, które na pewno było fascynujące. Nigdy nie spytałam o jej młodość, o jej marzenia ani o to, czego chciałaby jeszcze w życiu. Przeprosiłam ją za to, że teraz jest już za późno na wszystkie przeprosiny i na wszystkie podziękowania i że będę nad tym ubolewać do końca życia.

Poprosiłam ją, żeby mi wybaczyła, że przyjechałam jeden cholerny dzień za późno i że tak naprawdę nigdy nie przyszło mi do głupiej głowy, że kiedyś odejdzie i że będzie za późno, żeby jej to wszystko powiedzieć.

Miałam nadzieję, że mnie słyszy, bardzo chciałam, żeby

mnie słyszała, bo to pewnie była ostatnia okazja, żeby mogła mnie wysłuchać.

- Do zobaczenia - powiedziałam szeptem, pocałowałam ją w czoło i wyszłam. Wiedziałam, że będę żałować, że zostawiłam ją za wcześnie w obcym szpitalu, oplecioną plastikowymi rurkami i nie trzymałam jej dłużej za rękę.

Mama została w szpitalu. Czekala na swojego brata i na dalszy rozwój wypadków, a my z Mimi pojechałyśmy do domu taksówką. Mimi zrobiła herbatę, którą wypiliśmy na okropnej kanapie wybranej przez złośliwą ciotkę za pieniądze babci. Nie włączyłyśmy telewizora i nie rozmawiałyśmy, tylko od czasu do czasu patrzyłyśmy na siebie, jakbyśmy chciały się upewnić, czy ciągle siedzimy blisko siebie.

Obudziłam się zmarznięta i z bolącą szyją. Mimi zabrała cały koc dla siebie. Spała ciasno nim owinięta z otwartymi ustami i jedną nogą na oparciu kanapy. Chciało mi się pić i uwierał mnie stanik. Ale najbardziej pragnęłam umyć zęby i móc dalej spać.

Mama siedziała przy stole w kuchni i miała czerwone, spuchnięte powieki. Spojrzała na mnie i pokiwała głową.

Wzięłam z kuchni karton z sokiem, dwie szklanki i usiadłam naprzeciwko niej.

- Kiedy? - spytałam prawie bezgłośnie i zaczęłam płakać.

- O piątej nad ranem - odpowiedziała.

- Tak mi przykro... - wyszeptałam.



Pokiwała głową i też zaczęła cicho płakać. Podeszłam i objęłam jej plecy. Była szósta trzydzieści, wschodziło słońce.

---

\* Jak nazwać lunch wieczorem? Dinch?

## OSTATNI ROZDZIAŁ

### *który musi być, bo nie znoszę niedokończonych historii*

Był niedzielny poranek w środku listopada. W nocy przeszła mała burza śnieżna, która pozostawiła nieskalaną, iskrzącą się warstwę białego puchu, ułożonego w malownicze wydmy. Na moim progu śnieg piętrzył się na wysokość czterdziestu centymetrów. Nawet nie próbowałam otwierać drzwi, bo nie mogłabym ich zamknąć z powrotem, kiedy całe to mokre i ciężkie nieszczęście wdarłoby się do domu i zaczęłoby się topić na moim czyściutkim chodniku w perskie wzory. Śniegu nie miał kto odgarnąć, bo jedyną osobą, która mogła to zrobić, byłam ja, a mnie się nie chciało. Zresztą prognozy zapowiadały słoneczny dzień i temperatura miała się podnieść do plus pięciu stopni. Było cicho i tak jakoś przytulnie, jak w Boże Narodzenie. Czułam się jak dziecko, które chodzi po uśpionym domu, czekając, aż rodzice się obudzą i będzie można otworzyć prezenty, a potem najeść się do woli świątecznego puddingu o smaku brandy.

Czułam wielki spokój, a nawet coś w rodzaju szczęścia. Było posprzątane w stopniu wykraczającym nawet poza moje

standardy. Wszystko było na swoim miejscu, łącznie z Mimi, a ja nie miałam już zaległych prac w domu. Mogłam spokojnie pomyśleć o przyszłości, bo miałam wrażenie, że wreszcie zostawiam przeszłość poukładaną i oswojoną.

Miesiąc po powrocie do domu z wakacji kupiłam na wyprzedazy dwadzieścia litrów farby w kolorze „biała pościata”, która wkrótce pokryła brudne, brzoskwiniowe ściany salonu i jeszcze brudniejsze, błękitne ściany jadalni. Malowałam od rana do wieczora, jakby od tego zależało moje życie, a Mimi mogła wreszcie zamawiać tyle pizzy, ile zdołała zjeść.

Z moją sypialnią był większy problem, bo tapety z lat siedemdziesiątych nie chciały zejść ze ścian. Uporałam się z tym w ciągu trzech dni za pomocą wielkich ilości wody, szpachli, tasaka, złamanego noża, otwartego przez cały dzień okna i tysiący ciężkich przekleństw, a wszystko to pod ironicznym spojrzeniem mojej córki.

Potem przez następny tydzień szorowałam, prałam, układałam, prasowałam i wygładzałam. Pomalowałam na biało łazienkę i wywaliłam stare kremy do opalania, kredki do oczu o długości poniżej centymetra, zjełczałe cienie do powiek z lat osiemdziesiątych, buteleczkę „Poison” Diora z kilkoma kroplami na dnie, których za żadne skarby nie dało się wydobyć. Do kosza trafiły zakurzone waciki, nigdy nieużywane mydełka w kształcie hipopotamów, kupione dla Mimi jakieś siedemnaście lat temu, i dwa ręczniki z postrzępionymi brzegami. Wszystko to kiedyś było mi żal

wyrzucić, bo wszystko mogło się jeszcze przydać. Nigdy się nie przydało, a próba mycia rąk hipopotamimi mydełkami skończyła się lekką wysypką.

Z garderoby zniknęły: stary żakiet, który nawet po prawie dwudziestu latach był na czasie, trzy swetry, ciągle jeszcze ciepłe, choć już dawno utraciły miękkość i fason, kilka ciuchów, które kupiłam jeszcze jako nastolatka, trzy pary spodni tak już poprzecieranych, że nie nadawały się nawet do czyszczenia felg w samochodzie, i wreszcie kilka par butów, które miałam włożyć „jeszcze ten jeden raz”.

Wyrzuciłam jedną puchową kurtkę Hugo Bossa z przetartym kołnierzem, niegdyś biały wełniany płaszcz, którego pralnia nie chciała już przyjąć, wszystkie plastikowe klipsy i korale, dwie drewniane bransoletki, dwa urwane paski, trzy staniki, których nie chciałyby nosić nawet umartwiająca się mniszka. Wiele, wiele różnych papierów nagromadzonych przez lata i dwa pokolenia trafiło na makulaturę - wycinki z gazet z bardzo ważnymi informacjami, których nikt już nie przeczyta, stare rachunki, zdekompletowana talia kart, bardzo stare babskie czasopisma i te techniczne z lat siedemdziesiątych, które zbierał mój ojciec, wizytówki różnych hydraulików, siłowni oraz facetów poznanych w różnych barach, kilkaset bazgrołów Mimi z okresu wczesnej podstawówki, postrzępione banknoty do gry w monopol, kilkanaście instrukcji obsługi i kart gwarancyjnych sprzętów, które już dawno się zużyły i zostały przeniesione do nieba dla starych sokowirówek, lodówek, odkurzaczy i depilatorów.

Nie twierdzę, że było łatwo pozbyć się tego wszystkiego. Do większości tych rzeczy przywiązałam się i z wieloma zegnałam się w myślach, wiedząc, że kilku z nich nie da się w żaden sposób zastąpić. Wiele mnie kosztowało, żeby po kilku dniach nie zacząć ich szukać w pojemniku na śmieci...

Natomiast bez żalu pozbyłam się koszyczków z plastikowymi kwiatuskami\*, nadłuczonych talerzy i wazoników zrobionych z różnych tajemniczych substancji, kawałków materiału wielkości chusteczek do nosa, koszmarnych solniczek i pieprzniczek z napisami „Niagara 1988”, „Niagara 1976”, albo „Pobłogosław moją kuchnię”. Do worka trafiły wstążeczki i sznurki, wyschnięte farbki, do połowy wypalone świece, „złoty” koszyczek w rozmiarze wieży Eiffla, wieża Eiffla w miniaturze, zakurzone gałązki i zakurzone kocyki nadjedzone przez mole. Pod nieobecność Mimi wyrzuciłam trzy stare lalki Barbie, nagie, z obciętymi włosami i zupełnie pozbawione seksualności. Niezliczone ilości słoików, które miały służyć do przechowywania konfitur z wiśni, pikli z gruszek, porzeczkowej galaretki, zielonych orzechów w spirytusie i nadwyżek *ratatouille* zniknęły w pojemnikach na szkło.

Mama lekko protestowała, kiedy opowiadałam jej o moich wyczynach. Nie wiedzieć czemu najbardziej broniła słoików, a zupełnie nie obszedł jej los ceramicznych koszmarek. Musiałam jej obiecać, że nie wyrzucę najładniejszych słoiczek i przywiozę jej wszystkie, kiedy się do niej wreszcie wybiorę.

Wtedy nadszedł krótki czas napawania się porządkiem i chwilową kontrolą nad moim prywatnym wszechświatem. Nie przeszkadzało mi nawet to, że dzień wcześniej Mimi zaczęła chorować na grypę jelitową, więc na przemian rzygała i miała biegunkę, choć „na przemian” to może niezbyt precyzyjne określenie. Ponieważ nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, więc była zbyt osłabiona, żeby marudzić, i zbyt przestraszona swoim stanem, żeby protestować przeciwko mojej terapii. Cichym, słabiutkim głosem mówiła do mnie „mamusiu” i bez protestów piła litrami słabą herbatkę, a ja miałam ochotę ciągle ją przytulać, mimo że śmierdziała jak przeterminowana karma dla kotów. Teraz spała, a ja byłam szczęśliwa, że wiem, gdzie jest, co robi i czego nie robi. Cieszyłam się, że kiedy się obudzi, będę mogła dać jej na śniadanie kleik z ryżu z gotowanym jabłkiem, a do tego czasu mogę się cieszyć tym wspaniałym porankiem.

Przez chwilę stałam przy oknie, patrząc na maleńkie płatki śniegu tańczące wolno w różne strony. Wydawało się, że unoszą się, nie spadając, jakby siła grawitacji znacznie osłabła. Na dachu domu po drugiej stronie ulicy zwisał śnieg, przybrawszy kształt wielkiego, pomarszczonego jezora, i przez chwilę martwiłam się, że jeśli na moim dachu jest taki sam jezor, to może będę musiała pożegnać się z rynną. Przypomniałam sobie straszną burzę lodową z 1998 roku, kiedy dach trzeszczał pod naporem ton zamarzniętego deszczu, a na ulicy, w mieście, w całej prowincji, a nawet w całej północno-wschodniej części Ameryki waliły się drzewa i

ogromne słupy elektryczne, a my, owinięte w kołdry, siedziałyśmy pod drewnianym, solidnym stołem przy świeczce o zapachu truskawkowym.

Teraz pachniało płynem do mycia drewna i różano-magnoliowym potpourri, i jeszcze ogromnym bukietem suszonych kwiatów hortensji, ustawionym na stoliku przy kanapie w salonie, które posypałam pachnącym talkiem. I dalej było cicho, i ciągle czułam ten świąteczny nastrój, dziwnie przyjemne mrowienie na głowie i ramionach oraz niesamowity spokój. Czas wyraźnie zwolnił, jakby otuliła mnie ciepłutka galaretka, bo przecież w galaretkie czas na pewno płynie wolniej.

Nie wiem, skąd się to wzięło, ale jeśli do takiego szczęścia potrzebowałam tylko odrobiny luzu i porządnie wysprzątanego domu, to powinnam to zrobić już dawno, a nie męczyć się latami jak potępieniec.

Miałam od dziś wreszcie poświęcić się pracy, bo od powrotu z wakacji robiłam tylko tyle, ile naprawdę musiałam, spędzając czas na próbach wyluzowania się, codziennych i obowiązkowych spacerach do parku, malowaniu ścian, porządkowaniu szaf, kredensu, szuflad i pudełek, snuciu się po domu wieczorami, głaskaniu ulubionych mebli, poprawianiu firanek i kompulsywnym sprawdzaniu poczty. Tymczasem wymyślałam nazwę dla mojego jachtu\*, który kiedyś może będę mieć, szukałam w necie przepisów na potrawy, które kiedyś ugotuję. Znajdowałam przy okazji mnóstwo innych informacji, które do niczego nie były mi

potrzebne. Szukałam domów nad morzem we wszystkich krajach, w których działa globalna sieć. Oglądałam zaległe odcinki *Seksu w wielkim mieście*. Sprzedawałam odnowioną przeze mnie skrzynię na amazon.com, co skończyło się nie tylko sprzedaniem skrzyni, ale i zleceniem na odnowienie kilku innych mebli. Posiałam w małych doniczkach bazylię, która nie chciała urosnąć, i tymianek, który wyrósł jak głupi.

Życie od jakiegoś czasu toczyło się spokojnie i powoli, wprowadzając mnie w nastrój błogości. Zmiany wprowadzałam sama, nie dając się zaskoczyć losowi. Chyba był to mój sposób na pojmowanie hasła „wziąć sprawy w swoje ręce”.

Nalałam sobie kawy, dodałam wielką porcję śmietanki i włączyłam laptop na stole w jadalni. Wpisałam hasło do poczty (\*\*\*\*\*) i wykasowałam kilka spamów, podpisałam kolejną petycję w obronie wielorybów na stronie Human Society International, obejrzałam newsletter mojego ulubionego czasopisma o życiu na wsi... Żadna z tych wiadomości nie była tą, na którą czekałam od ponad miesiąca.

Jill nie dawała znaku życia, co właściwie nie wywołało we mnie niepokoju. Myślałam o niej często i nawet trochę tęskniłam, ale wyobrażałam ją sobie, jak chodzi po plaży i jak gotuje w wielkiej kuchni przyszywanej babci. Myślałam o tym, że ja byłabym szczęśliwa w takiej sytuacji, więc ona też jest szczęśliwa, i to mi wystarczało. Wiedziałam, że ona wie, że gdyby coś poszło nie tak, to ma dokąd wracać.



Usłyszałam ciche szuranie na górze, a po chwili w drzwiach jadalni ukazała się blada zjawa owinięta różowym kocykiem z jeszcze bardziej różowymi księżniczkami. Uśmiechnęłam się do niej i poszłam do kuchni zrobić herbatę. Kiedy wróciłam, Mimi, z głową opartą na przedramieniu, patrzyła na zdjęcia prac Banksiego\* na ekranie laptopa, które oglądałam, zanim przyszła.

- Podoba ci się? - spytałam, stawiając przed nią kubek z herbatą.

- Fajne - stwierdziła i położyła głowę na blacie. - To nie mój kubek.

- Proszę, nie zaczynaj... - powiedziałam zrezygnowana. - Tak było fajnie, kiedy byłaś cichutka... i słabiutka - uśmiechnęłam się, mając nadzieję, że odpuści.

- Przecież żartuję! - stwierdziła z udawaną wesołością. - Mogę z cukrem?

- A jak się czujesz?

- Dobrze. Już nie rzygam.

- A biegunka?

- Na razie nie mam.

- No to świetnie! - ucieszyłam się. - To możesz z cukrem, na śniadanko jeszcze kleik, ale później może zrobię ci coś dobrego.

- A co? - Temat wyraźnie ją zainteresował.

- A zobaczysz. Jak ci teraz powiem, to zaczniesz marudzić,

że tego nie chcesz, tamtego nie chcesz... Wiesz, jak to z tobą jest. Marudzisz i robisz inne wredne rzeczy.

- Ale teraz jestem grzeczna? - podniosła się i sięgnęła po cukierniczkę.

- Teraz jesteś grzeczna, bo jesteś głodna.

- Nie, tak ogólnie!

- Bardzo, bardzo grzeczna. - Podeszłam do niej i przytuliłam ją mocno. - Pewnie ktoś mi podmienił dziecko! Miałam taką wredną zołzę, a teraz mam słodką dziewczuszkę - przemawiałam jak do dwulatki. Czasem warto zrobić z siebie słodką idiotkę, bo Mimi poklepała mnie po plecach, co było z jej strony zadziwiającym objawem czułości.

- Wypij herbatę, póki ciepła, a ja zrobię ci śniadanko - szepnęłam jej w szyję.

- Mogę mleko?

Pokręciłam głową.

- A jajko?

- Jeszcze nie.

- A zamówimy pizzę? - spytała dzieciennym głosem.

- Oczywiście. I chińszczyznę. Tłustą - odpowiedziałam, naśladowując ją.

- Naprawdę? - spytała z tym swoim szatańskim błyskiem w oczach, który ma zawsze wtedy, kiedy myśli, że już zdołała mnie przekabacić.

- Mhm. Naprawdę. W przyszłym roku - upiłam łyk mojej zimnej kawy. - Zobacz lepiej, jak jest ślicznie na dworze, a potem idź się położyć, przyniosę ci śniadanie na górę. Powinnaś leżeć, a nie łązić. Jesteś słabiutka jak szczeniaczek.

- Muszę się wykąpać, śmierdę rzygami.

- Ale potem prosto do łóżka - nie skomentowałam jej odzywki. - Musisz wydobrzeć jak najszybciej. Szkoła czeka, moja droga.

- Oooooooooo, musisz?

- Wiesz, że muszę.

Musiałam.

Na początku października, tydzień po moim powrocie, zadzwoniła do mnie wychowawczyni Mimi, pani Boyde. Poprosiła bardzo uprzejmie i bardzo chłodno o przyście do szkoły. Nawet nie spytałam, dlaczego mam tam iść, bo wiedziałam.

Od kilku lat nie czekały na mnie w szkole Mimi żadne dobre wiadomości. Zestaw był zawsze podobny: nieobecności - złe wyniki testów - brak zaangażowania.

Choć wiedziałam, co usłyszę, to i tak panika zwała mnie z nóg. Przeszło mi przez myśl, że Mimi zrobiła coś okropnego. Mogła kogoś pobić albo ukraść coś niezwykle cennego, coś, czego nigdy nie będę w stanie spłacić. Kiedy oprzytomniałam, dotarło do mnie, że gdyby zrobiła coś takiego, to już dawno miałabym wizytę policji. Mogła jeszcze zostać wyrzucona ze szkoły... A w takim wypadku o wiele

wygodniej dla wszystkich byłoby powiedzieć mi przez telefon, że moja córka została relegowana ze szkoły za nieobecności i bardziej niż kiepskie oceny, potem przysłać oficjalny list i mieć to z głowy. Wtedy nie musiałabym się przebierać, malować i wychodzić z domu na zimną pluchę, stawać karnie jak grzeczna uczennica przed niziutką, uczesaną w staranny kok panią Boyde i patrzeć w jej pozbawioną makijażu twarz, starając się nie uciekać wzrokiem i okazywać szacunek. Mimi nie musiałaby z ponurą, wystraszoną miną śledzić wzrokiem każdego mojego ruchu - każdego zapinanego guzika, każdego milimetra zakładanej rękawiczki i każdego drgnięcia mięśni na mojej twarzy. Nie musiałaby też następnego dnia udawać, że idzie do szkoły - głośno protestować, kiedy ją budzę, zwlekać się z łóżka, jęczeć w drodze do łazienki, ubierać się w tempie wyrastania trawy, wysłuchiwać moich utyskiwań na niezjedzone śniadanie oraz nieuczesane włosy ani iść do któregoś z centrów handlowych, udając bezrobotną dwudziestolatkę.

Nie spytałam, dlaczego mam iść do szkoły, bo chciałam iść do szkoły po raz ostatni i wyjaśnić, że nigdy więcej już nie przyjdę, ponieważ nie chcę już nigdy więcej słuchać o fatalnych ocenach Mimi, o jej nieobecnościach przekraczających wszelkie normy wagarów, o nieuprzejmym zachowaniu i nieodpowiednim stroju. Chciałam im powiedzieć, że bez względu na to, co postanowią w sprawie mojej córki, ja umyvam ręce, bo od tej chwili to Mimi decyduje o swojej przyszłości. Mogą mnie albo ją wsadzić za

to do więzienia, mogą odebrać mi prawa rodzicielskie, dać jej kuratora, umieścić w rodzinie zastępczej albo skierować do pracy społecznej, ale ja już nie przyjdę do szkoły, bo nie mam na to siły.

Miałam dosyć. Już jakiś czas temu zaczęłam sobie uświadamiać, że czas, który miałam jeszcze przeżyć, kurczył się coraz szybciej, a najgorsze było to, że nie wiedziałam kiedy dokładnie się skończy. Chciałam przeżyć mój czas najlepiej, jak się dało, jakkolwiek idiotycznie i patetycznie by to zabrzmiało. Zmarnowałam już w życiu tyle cholernego czasu, że nie miałam ani chwili do stracenia.

Nie mogłam dłużej cierpieć za głupotę mojej córki, choć teoretycznie powinnam. Ale nie miałam już siły. Chciałam choć przez krótki czas, choć przez kilka dni, nie myśleć w każdej minucie o tym, co złego może się za chwilę zdarzyć. Pobyt z dala od domu uświadomił mi, jak wspaniale jest zasypiać, nie myśląc o kłopotach i nieszczęściach, jakie może przynieść kolejny dzień. Jak pięknie jest myśleć o sobie i o tych wszystkich wspaniałych rzeczach, które jeszcze można zrobić ze swoim życiem. I przede wszystkim chciałam poczucia bezpieczeństwa, choćby malutkiego, choćby na krótki czas. Wprawdzie dla mnie oznaczało to otoczenie domu wysokim murem z drutem kolczastym na wierzchu i radosną, spokojną, w zamierzeniu twórczą samotność, ale zaczynałam być też otwarta na inne propozycje.

Wizyta w szkole nie była miła, ale nie spodziewałam się, że będzie. Udało mi się zachować spokój i wysłuchać

wszystkich oskarżeń i zarzutów pod adresem Mimi bez słowa. Nawet nie chciało mi się płakać, choć starałam się robić wrażenie kogoś na skraju rozpacz, kto z trudem wytrzymuje kolejne ciosy. Poprosiłam o danie mi rad, za które dziękowałam wylewnie. Ale tak naprawdę było mi wszystko jedno. „Chcecie, to ją wywalajcie, nie, to nie, ale w obu przypadkach dajcie mi spokój” – myślałam. Chciałam tylko wrócić do domu i mieć to za sobą, aby móc spokojnie okryć się kocym i zatopić w wyobrażeniach o lepszej, spokojnej, harmonijnej przyszłości, pełnej słonecznych plaż i małych domków otoczonych kwiatami.

- Nie powiedziałam tego pani Boyde, ale mówię to tobie - oznajmiłam radośnie Mimi po powrocie, kiedy już usiadłam wygodnie w fotelu w ciepłym świetle lampy i grzałam ręce o kubek z kawą, od wejścia śledzona pełnym obaw spojrzeniem mojej córki. - Ja umywam ręce. Po prostu mam dosyć. To jest twoje życie, zrobisz z nim, co zechcesz, pod warunkiem, że ja będę miała spokój. Nie mogę się tak przez ciebie denerwować, bo mnie to niszczy. Jesteś jeszcze za młoda, żeby to zrozumieć, ale uwierz mi na słowo: mam dość. Jak chcesz, to znajdź sobie jakąś inną mamę albo inną rodzinę, która wytrzyma z twoimi... wybrykami, która cię utrzyma i w zamian nie będzie zbyt wiele wymagać. Albo najlepiej nie będzie niczego wymagać...

Odczekałam chwilę, żeby wyrównać oddech i dać jej szansę na odpowiedź, której zresztą nie oczekiwałam.

- Więc jeśli przypadkiem nie uda ci się nikogo takiego

znaleźć, to przestań wreszcie robić głupoty i pozwól mi przeżyć do czasu, kiedy zaczniesz sama się o siebie troszczyć – mówiłam spokojnie, choć kosztowało mnie to sporo wysiłku. – Jeśli chcesz, to mogę ci pomagać w granicach rozsądku, ale nie będę się już angażować za wszelką cenę. I nie pójdę już więcej do szkoły, Mimi, po prostu nie chcę tam więcej iść.

Stała z rękami w małych kieszeniach swetra, udając, że niczego się nie boi. Zagryzała dolną wargę i po raz pierwszy nie miała nic do powiedzenia. Szczerze mówiąc, nie byłam tym zszokowana, bo wiedziałam, że ją zaskoczę. Nie wrzeszczałam na nią, jak po każdej poprzedniej wizycie w szkole, nie miotałam się po domu, próbując wyładować agresję, nie rozpaczałam, żądając natychmiastowej litości dla mnie i odrobiny rozumu dla niej. Nie prosiłam ani nie groziłam – zaskoczyłam nawet samą siebie...

– Myślę, że oni nie chcą dla ciebie źle – mówiłam dalej, przerzucając kartki „Better Homes and Gardens”. – Wiem, że uważasz ich za wrogów, ale myślę, że chcą ci dać jeszcze szansę na skończenie tej szkoły. Może chodzi im o to, żeby nie psuć statystyki, może się nad tobą litują, bo mają dobre serca, nie wiem, nie obchodzi mnie to. Ale wydaje mi się, że wiedzą, że masz potencjał, tylko coś ci się w życiu trochę poplątało. Ja też myślę, że jesteś inteligentna i studia nie powinny być dla ciebie problemem, a studiując, będziesz mogła być samodzielna i sama decydować o sobie, i do tego mieć pieniądze, i wreszcie uwolnić się ode mnie. Wystarczy skończyć tę szkołę, tym bardziej że ile właściwie ci zostało?

Trochę więcej niż pół roku? Co to jest pół roku? I wreszcie wolność, nie sądzisz, że warto się przemęczyć jeszcze trochę? – Uśmiechnęłam się do wyobrażenia własnej wolności. – Muszę wreszcie pomyśleć o nowej pralce – westchnęłam głośno, z wielką uwagą przyglądając się obrazkom. Na żadnym z nich nie było pralki.

– A ty co jej powiedziałaś? – spytała cicho.

Przeszła kilka kroków i usiadła na brzegu kanapy, jakby nie była u siebie w domu, ale na herbatce u wikarego.

– Powiedziałam, że mam zdiagnozowaną agorafobię i nie będę już mogła przychodzić do szkoły. Wiesz, co to jest agorafobia? – spytałam, sięgając po katalog Searsa.

– Nie jestem debilem – oburzyła się.

– Oczywiście, że nie – powiedziałam szybko, żeby nie pomyślała, że uważam inaczej. Uważałam inaczej.

Siedzieliśmy, milcząc, Mimi ze spuszczoną głową, skubiąc rękaw swetra, ja kartkując katalog.

– I co teraz? – Ledwo ją usłyszałam.

Westchnęłam najgłośniej, jak się dało, i rzuciłam katalog na podłogę obok fotela.

– Teraz to ty musisz wiedzieć, co teraz – podparłam głowę dłońmi, starając się nie okazać, jak bardzo jestem zdenerwowana. – Według mnie masz dwa wyjścia. Możesz olać szkołę i iść do pracy jako niewykwalifikowany pracownik. Przecież jest mnóstwo osób, które nie skończyły



szkoły średniej i jakoś żyją - upiłam łyk kawy. - Zresztą, jeśli nie będziesz się uczyć, to będziesz musiała sama zarobić na swoje utrzymanie.

Pochyliłam głowę, żeby nie zobaczyła, że chce mi się płakać. Udałam, że ziewam i z uwagą oglądałam kubek z kawą. Był zielony, ozdobiony malunkiem białej gąski z niebieską wstążeczką na szyi. Przez chwilę zastanawiałam się, skąd się u nas wziął.

- Albo! Albo jakoś skończyć tę cholerną ostatnią klasę i mieć to z głowy. Z głowy, Mimi! Na całe życie! - przestałam udawać stoicki spokój. Zaczęłam płakać, myśląc o tym, że tak dobrze mi szło i znowu wszystko spieprzyłam, okazując słabość.

Zawsze wiedziałam, że dzieci są jak zwierzęta - nie znają litości. Im większą słabość się okazuje, tym mniejsze się ma szanse na zostanie przewodnikiem stada. Wiedziałam o tym dokładnie, ale nie potrafiłam się nie martwić, nie potrafiłam wyluzować, nie umiałam odpuścić i pozwolić życiu biec według jakiegoś wyższego planu. Rozczulałam się nad sobą, litowałam się nad nią, a nade wszystko byłam niecierpliwa, wściekła i rozczarowana. Gdybym potrafiła odpuścić, prawdopodobnie miałabym więcej kłopotów, ale może nie byłabym w panice dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Mimi spojrzała na mnie z ciekawością, jakby zaskoczył ją mój brak opanowania. Chyba zaczęła się przyzwyczajać do tego, że od powrotu z wakacji nieczęsto reaguję jak histeryczka. Ja też się do tego przyzwyczajałam, ale zapewne

wolniej.

- Twoja nauczycielka powiedziała, że dadzą ci jeszcze jedną szansę. Ostatnią szansę, choć mówią, że właściwie nie powinni - wysmarkałam nos i wzięłam głęboki oddech. - Zapewne robią tak, żeby nie brać odpowiedzialności za to, co się z tobą stanie, gdyby nie dali ci tej szansy. I nie wzruszaj ramionami, bo może powinno wreszcie do ciebie dotrzeć, że ktoś inny niż ty może jeszcze mieć rację!

Spuściła głowę i robiła wrażenie, jakby coś do niej docierało, choć może udawała, bo postanowiła jakoś przetrwać moje kazanie, zejść mi z oczu i dalej niszczyć nam życie. A może też chciała mieć święty spokój? Jeśli tak, to byłam w stanie ją zrozumieć.

- W każdym razie wiem, że to naprawdę ostatni raz, kiedy możesz jeszcze coś z tym zrobić. Inaczej w podaniu o pracę jako najwyższy poziom edukacji wpiszesz sobie szkołę podstawową.

Mimi nienawidzi, kiedy się wymądrzam i kiedy mam rację, zwłaszcza że zwykle ją mam. Zauważyłam oznaki zniecierpliwienia, więc powiedziałam, udając wesołość i wycierając oczy:

- Pamiętasz, jak w filmie *Kochany urwis* ten mały chłopak, którego nienawidzimy... - Popatrzyła na mnie, zdziwiona nagłą zmianą tonu i tematu. - Pamiętasz?

- Mhm.

- Kiedy zabierają go ze szkoły...

- Z domu dziecka - poprawiła mnie nieśmiało moja zawsze-trzymająca-się-faktów córka, nie wiedząc, dokąd to zmierza.

- Pamiętasz, jak wszyscy go żegnają, udają, że będzie im smutno bez niego, ale kiedy tylko znika za bramą, zaczyna się wiiiiieelkie świętowanie, balony, konfetti, wszyscy tańczą, lecą serpentyny, pamiętasz? - zaczęłam się śmiać. - Ciebie też będą tak żegnać, jak kiedyś skończysz tę szkołę!

Zrobiła obrażoną minę, ale po chwili zaśmiała się zadowolona, że prawdopodobnie zbliża się koniec jej mąk na skraju kanapy. Potem przez trzy minuty oglądała sobie kciuk, a następnie wstała gwałtownie i podeszła do mnie. Stała przede mną dłuższą chwilę. Kiedy się nie odezwała, zaczęłam powoli podnosić głowę. Miałam wzrok na wysokości jej ramion, gdy nagle objęła mnie mocno, przytulając policzek do mojej głowy. Nie bardzo wiedziałam, co mam zrobić, tym bardziej że nie mogłam się ruszyć w jej żelaznym uścisku. Mogłam tylko poklepywać ją jedną ręką po ramieniu, modląc się, żeby mi nie nadwyrężyła kręgosłupa.

- Będzie dobrze? - spytałam cicho.

- Mhm - powiedziała. Poczułam wielką kroplę wilgoci, która kapnęła mi na głowę.

- Nawet nie wiesz, jaka jesteś głupiutka, kiedy myślisz, że nie jestem po twojej stronie.

Poczułam, jak kiwa głową na zgodę. Wytarła łzy i nos o moje włosy i się wyprostowała. Mój kręgosłup odetchnął.

- Nie dam rady z matmą - wróciła na kanapę.
- Ale w jakim sensie?
- Nie rozumiem tego. To jest głupie.
- Matma nie jest głupia, tylko trochę skomplikowana dla niektórych. Ja też nie byłam orłem z nauk ścisłych...
- Ale dlaczego ja muszę się tego uczyć? - spytała z rozpaczą, najbardziej słyszalną w słowie „ja”.
- Nie tylko ty, wszyscy muszą - odpowiedziałam równie zrozpaczona. - Przecież nie chodzi o to, żebyś dostała Nobla, ale o zaliczenie tego i tyle.
- Ta...
- A poza tym chyba fajnie jest umieć liczyć. Kiedyś możesz mieć do liczenia mnóstwo swoich pieniędzy. - Próba poprawienia sobie i jej nastroju spełzła na niczym.
- Ale mnie to nie interesuje, rozumiesz?

Niby rozumiałam, ale...

Dawno temu interesowało ją rysowanie - wszystkim i na wszystkim. Jej pasji ulegały ściany, podłogi, niezliczone kartki papieru i nawet *Wielka encyklopedia*. Z największą pasją rysowała setki owalnych i prostokątnych kadłubów z patykowatymi kończynami i naprawdę nieźle jej szło. Mniej więcej wtedy, kiedy obok figurek zaczęły się pojawiać ładne domki z krzywymi, czerwonymi dachami i równie krzywymi oknami, zaczęła myśleć o zostaniu czarownicą. Przez wiele lat nie było sensu jej pytać, co chciałaby robić w życiu, bo

odpowiedź była zawsze taka sama - chciała zostać czarownicą. Trwało to ładnych kilka lat i zaczynałam trochę tracić nadzieję, że moja córka kiedyś znormalnieje i w dalekiej przyszłości będzie chciała się zająć jakąś bardziej konkretną pracą.

Ale pewnego dnia zupełnie niespodziewanie stwierdziła, że nigdy nie będzie czarownicą. Bałam się zapytać, czy to przez brak talentu, czy przez brak odpowiednich szkół (Hogwarth jeszcze się nie ujawnił), czy może rynek pracy w tej dziedzinie jest już nasycony, ale z jej wyjątkowo racjonalnych zeznań wynikało, że po prostu dorosła do niebycia czarownicą.

Od tamtej pory mam wrażenie, że wprawdzie interesuje ją wiele rzeczy - ciuchy, imprezy, muzyka rap, podkradanie drobnych na papierosy i oglądanie kilku seriali w telewizji, ale niestety żadna z nich nie jest tym, co może dać jej w przyszłości pracę. I satysfakcję. I może nawet kasę. I spokój dla jej starej matki.

- Czy to twój największy problem ze szkołą? - spytałam podstępnie, licząc na to, że ujawni więcej swoich kłopotów, a ja będę mogła w porę im zaradzić albo chociaż przestrzec ją przed konsekwencjami.

- Mhm.

- A nie mogłaś mi o tym powiedzieć dawno temu? Wiesz, o ile mniej byłoby kłótni i moich nieprzespanych nocy? - Zaczynałam się denerwować. Właściwie zaczynałam się strasznie wkurzać, wiedząc równocześnie, że nie mogę tego

okazać.

- Przepraszam...

Dobra odpowiedź. Postanowiłam powstrzymać atak wściekłości za wszelką cenę, żeby niczego nie zepsuć. Chciałam być w porządku dla dobra sprawy, żeby nikt nie mógł mi zarzucić, że coś spieprzyłam. Ale teraz musiałam iść do toalety. Wstałam i usiadłam z powrotem, bo Mimi stała zbyt blisko mnie.

- Muszę iść do toalety - wyjaśniłam, widząc jej zdziwione spojrzenie.

Odsunęła się, a potem usiadła na zwolnionym przeze mnie miejscu.

- Wiesz, o ile więcej miałabyś spokoju? Właściwie to obydwie miałybyśmy więcej spokoju - mówiłam głośno z łazienki, wycierając mokre ręce o spodnie. Chciałam jak najszybciej wrócić, żeby mi nie zwała, a w tej sytuacji wycieranie rąk ręcznikiem było stratą czasu. - Powiedz mi, czy to dlatego wagarowałaś?

- Mhm.

Zaczęłam się śmiać. Zastanawiałam się, co jeszcze wymyśli moja córka, żeby usprawiedliwić swoje lenistwo i głupotę. I czy naprawdę tak nisko ocenia moją inteligencję? Przez co najmniej trzy lata wyciągałam na wierzch jej ciemne sprawki, obnażałam kłamstwa i mistyfikacje, śledziłam oszustwa. Zwykle uświadamiałam jej popełnione błędy i prawie zawsze mówiłam jej o wynikach moich śledztw.

Czasem widziałam nawet podziw w jej oczach, kiedy udało mi się ujawnić jakiś przekręt, nad którym musiała bardziej się nagłować, ale zwykle szła w zaparte i udawała, że nie ma pojęcia, o czym mówię. Doprowadzało mnie do szału, kiedy zaprzeczała faktom. Chciałam, żeby się wstydziła za swoje uczynki, to jasne, ale chciałam też, żeby uczyła się na swoich błędach, choć tego raczej nie udało mi się osiągnąć.

Usiadłam wygodnie na kanapie i spojrzałam na nią. Siedziała skulona w fotelu, patrząc na mnie oczami skrzywdzonego szczeniaczka, całą sobą przekonując o swojej niewinności i gotowości do wszelkich poświęceń. Była taka słodka w granatowym sweterku zapiętym pod szyję, z ciemnoblond lokami, które mogłyby reklamować szampony, gdyby tylko zechciała je czesać częściej niż raz na dwa tygodnie. Jak zwykle była blada i wyglądała na trzynaście lat, ale wiedziałam, że pod tą delikatną powłoką czaiły się ciemne siły, które trzeba było koniecznie okiełznać, zanim ją pogrążą i zanim pociągnie mnie za sobą.

- Kotku, ale powiedz mi, czemu nie powiedziałaś wcześniej o swoich kłopotach? Przecież już dawno można by było temu zaradzić... - zadałam kontrolne pytanie.

- Bo się bałam...

- Bałaś się?! Ale czego? Że będziesz mądrzejsza? - Ironia to moje drugie imię.

Pokręciła głową, a jej oczy zrobiły się już zupełnie takie, jak u jelonka Bambi.

- No, Mimi, na miłość boską, czego ty się bałaś?

- Że będziesz się denerwować.

O Boże!

•

W ciągu kilku następnych tygodni zauważałam wyraźnie, że Mimi się zmienia. Ale może zaczęła zmieniać się już wcześniej, zaraz po śmierci babci? Nigdy bym nie przypuszczała, że może być do niej tak bardzo przywiązana. Wiem, że spędzały ze sobą dużo czasu, choć kosztem szkolnych obowiązków Mimi. Teraz trudno mi było robić jej wyrzuty z tego powodu. Zresztą wiedziałam, że miało to dobry wpływ na nie obie, choć mogło się zdawać, że niewiele mogły mieć ze sobą wspólnego. Bałam się, że obie czuły się bardzo samotne, a ja oczywiście nie miałam o tym pojęcia, jak zwykle zajęta najbardziej sobą.

Mimi wydawała się cichsza i bardziej skupiona. Demonstracyjnie przeglądała notatki, siedząc pod kocem przed telewizorem, zamiast chować się w swoim pokoju. Kiedy prosiłam, robiła herbatę i choć z utyskiwaniem, to trochę sprzątała swój pokój i czasem myła naczynia. A przede wszystkim rozmawiała ze mną, choć łatwo okazywała zniecierpliwienie i kiedy temat jej nie odpowiadał, uciekała na górę. Rzadziej wychodziła, za to Tom był prawie codziennym gościem, co na razie przeszkadzało mi w niewielkim stopniu, o ile nie plątali się po całym domu.

Tom okazał się bardzo miłym chłopcem, wstrząsająco grzecznym i uczynnym, i w jakiś staroświecki, rozczulający



sposób uczciwym. Potrafi słuchać moich mało znaczących wywodów w skupieniu, choć na szczęście dla niego nie rozmawiamy często. Zwykle trochę go buntuję przeciwko dominacji Mimi, ale to tylko dlatego, że lubię równowagę w przyrodzie.

Nadal czekałam na wiadomości od Jill. Rano, jeszcze przed zrobieniem sobie kawy, sprawdzałam pocztę w Internecie, potem zerkałam co chwilę przez okno, żeby nie przeoczyć listonoszki. Alicja też nie dostała od Jill żadnej informacji, ale chyba na nią nie czekała. Była zaabsorbowana czymś innym i choć nie zdradziła mi, o co chodzi, to wyglądała na zadowoloną z życia. Wynajęła komuś swoje mieszkanie wraz z meblami i przeniosła się na moją ulicę cztery domy dalej, do swoich rodziców, więc widywałyśmy się dość często. Czasem wpadała, wracając z biura, żeby opowiedzieć o swoim dniu i obejrzeć rezultaty mojej pracy. Poza tym w ramach mojej socjalizacji wychodziłyśmy w każdą sobotę na kolację do centrum, za każdym razem odwiedzając inną zatłoczoną restaurację. Wyglądało na to, że żadna z nas nie chciała trwać w zwyczaju spędzania piątkowych wieczorów u mnie, ale zamieniając piątki na soboty, stworzyłyśmy nową tradycję.

Mimi tymczasem wracała ze szkoły w porze, w której wraca się ze szkoły. Kilka razy widziałam ją uczesaną i była miła dla wielkiej wzrostem i rozumem studentki Beverly, która tłumaczyła jej matkę dwa razy w tygodniu, zjadając powoli moje oszczędności. Nie mogłam przez to spać po nocach, zastanawiając się, gdzie są granice poświęcenia, ale

zaczęłam wierzyć, że wszystko się ułoży. Jednocześnie panikowałam na myśl, że czegoś nie dopatrzyłam i nie przewidziałam i że to coś czai się za drzwiami, żeby zaatakować, kiedy uśpiona pozornym szczęściem i harmonią nie będę się spodziewać niczego złego.

Zawsze trzeba być czujnym. Zwłaszcza wtedy, kiedy wszystko zaczyna się układać.

- 
- \* No dobra, same koszyczki zatrzymałam, przecież są wiklinowe.
  - \* Zwyciężyła zdecydowanie „Witty Bitch”.
  - \* Jest niesamowity - [www.banksy.co.uk](http://www.banksy.co.uk).

EPILOG  
*czyli kilka lat później*

Nie wiem, czy jestem szczęśliwa. Budzę się codziennie o tej samej porze, wyglądam przez jedno okno na ciągle zmieniający się ogród, potem przez drugie okno na ciągle tę samą ulicę. Hortensje w tym roku nie są zbyt wielkie, ale to prawdopodobnie wina wiosennej suszy. Niedługo nadejdzie czas hortensjowych żniw. Wielkie różowe i niebieskie kule zawisną w pralni na kilka tygodni, a później zastąpią zeszłoroczne, spłowiałe kwiaty.

Za to winobluszcz dość dobrze zniósł zimę i sięga już do połowy zachodniej ściany domu, nieśmiało zaglądając do okna w salonie. Zaczął już lekko się czerwienić i mogę sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać dom za następne trzy lata, kiedy pnącze zajmie kolejne metry muru.

Za to rozmaryn niestety nie przeżył. Pozostała po nim brązowa kula uschniętych, nadal pachnących listków. Usechł pewnie dlatego, że kazałam mu rosnąć w ziemi, która przemarza zimą na dwa metry, podczas gdy w jego ojczyźnie grozi mu najwyżej przymrozek. Natomiast róże... Róże, jak to róże, zbierają wszystkie szkodniki i zarazy z całej okolicy i zawsze wyglądają, jakby rosły na wulkanie – szare liście,

jakby pokryte popiołem i błyskawicznie więdnące kwiaty. Co roku obiecuję sobie, że wreszcie je wywalę, ale wczesną wiosną wyglądają nieźle, a później już mi się nie chce nimi zajmować.

W sumie ogród nie wygląda źle. Dzieci koszą trawę latem, a jesienią grabią suche liście. A ja patrzę na to przez okno i martwię się, że nie umiem tego docenić, i wtedy jest mi smutno, i staram się to docenić ze wszystkich sił. Jakiś czas temu zaczęło do mnie docierać, że życie jest tu i teraz, ale jakoś ciągle nie potrafię korzystać z tej wiedzy.

Mimi studiuje jakieś bzdury na Uniwersytecie Montrealskim, który niestety zawsze będzie mi się kojarzył z masakrą z 1989 roku. Poza tym nie mogłam zrozumieć, dlaczego wstąpiła na francuskojęzyczną uczelnię. Nawet nie wiedziałam, że zna francuski na tyle dobrze, żeby studiować w tym języku, ale przecież nie wiem o niej wielu rzeczy, co komunikuje mi radośnie od czasu do czasu. Ważne, że sobie radzi, a ja mogę być z niej dumna, mimo że poszła po najmniejszej linii oporu. Przy minimum wysiłku chce osiągnąć maksimum efektu. Niegdyś było to moje credo i właściwie powinnam docenić, że idzie w moje ślady, ale jakoś nie potrafię. Może dlatego, że nadal mieszka ze mną... Tak, nadal mieszka ze mną. Kochana córeczka mamusi.

Miała krótki epizod samodzielności. Ona i Tom zamieszkali prawie naprzeciwko uniwersytetu, przy stacji metra Édouard Montpetit, w niewielkim dwupokojowym mieszkaniu z balkonem, jedną sypialnią i małą kuchnią z

drzwiami wychodzącymi na schody przeciwpożarowe. W zależności od okoliczności wystarczająco daleko i wystarczająco blisko mnie. Oboje trochę pracowali, trochę bawili się w dom, dużo imprezowali i uczyli się gotować, kiedy brakowało im kasy na śmieciowe jedzenie poza domem.

A ja na te pół roku znalazłam się w raju. Zamknęłam się w domu i zaczęłam żyć tak, jak zawsze chciałam. Czasem myślę, że mi się to śniło, bo przecież nikt nie może być tak szczęśliwy każdego dnia przez całe sześć miesięcy.

Każdy dzień był przewidywalny, uporządkowany i cudowny. Każdy dzień był wzorem dnia, każdy zaczynał się i kończył o tej samej godzinie, bez względu na porę roku, pogodę i dzień tygodnia. Wstawałam o szóstej, jadłam śniadanie, pracowałam osiem godzin z przerwą na obiad, potem miałam czas na czytanie, depilowanie nóg, korespondencję, pracę w ogrodzie, oglądanie obrazków, manikiur, słuchanie muzyki i ulubione seriale. I nigdy nie zapomniałam posmarować się kremem po kąpielach. Nigdy się nie złościłam, kiedy coś mi nie wyszło, kiedy musiałam trzy razy chodzić po to samo, bo zapomniałam, po co przyszłam, albo kiedy coś mi wypadało z rąk dwadzieścia razy. Odżywiałam się zdrowo, a alkohol piłam najwyżej raz na dwa tygodnie, i to w małych ilościach. O dziesiątej szykowałam się do snu, o jedenastej zasypiałam, spokojnie i radośnie oczekując następnego dnia.

Raz w tygodniu odwiedzałam dwa sklepy ze starymi

meblami i zwykle udawało mi się wypatrzeć chociaż jedną rzecz, która warta była mojej pracy. Przez pół roku moja kreatywność wzrosła niebotycznie, a poziom frustracji spadł do poziomu dwóch w dziesięciostopniowej skali. Zajął się na poważnie odnawianiem starych mebli i nagle okazało się, że wielu ludzi chce mieć moje meble. Miałam zlecenia na kilka miesięcy i wreszcie zaczęłam zarabiać trochę więcej, mogłam więc płacić chesne Mimi i wprawdzie dalej nie stać mnie było na nowe ciuchy, ale przynajmniej przestałam kupować najtańsze jedzenie w supermarketach. Zaczęłam nawet odkładać pieniądze na podróż statkiem dookoła świata, która stała się moim marzeniem.

Pewnej soboty bogowie pod postacią Mimi wygonili mnie z raj. Pewnego niedzielnego popołudnia, kiedy nieopatrznie zaprosiłam ich na podwieczorek, Mimi oznajmiła mi radośnie, że na chwilę wraca do domu i jeśli się zgodzę, to Tom zamieszka razem z nią.

- Nie jest fajnie mieszkać z dala ode mnie? - zadałam podchwytliwe pytanie, próbując ją naprowadzić na właściwą drogę.

- Fajnie, ale z tobą lepiej - powiedziała rozbrajająco.

Na pewno wcześniej wymyśliła tę genialną gadkę. Nie miałam już argumentów.

- Nie wiem dlaczego, bo przecież nie lubiłaś tu mieszkać, pamiętasz? Kłóciłyśmy się i w ogóle...

- To było kiedyś - powiedziała z całym przekonaniem,

jakby teraz była już ponad nasze wieczne walki. - A co, nie chcesz mnie?

- Skarbie, bardzo mi miło, że pomyślałaś o powrocie do swojej starej matki, ale na pewno nie lepiej mieć własny dom? Wiesz, kiedy możesz mieć tak, jak ci się podoba, i nikt się nie wtrąca?

- Mamo, ty nie rozumiesz - stwierdziła z mocą. - Mieszkanie kosztuje nas dużo kasy, a kiedy zamieszkamy tutaj, będziemy mogli zaoszczędzić i potem kupić jakiś mały dom.

- Świetny plan - powiedziałam szczerze. - Tylko czy uda wam się naprawdę oszczędzać te pieniądze?

- Ale my już oszczędzamy - powiedział Tom, a Mimi przytaknęła.

- To ty nauczyłaś mnie oszczędzać. - Moja cwana córka wiedziała, jak mnie przekonać. - Nawet nie kupuję już tylu ciuchów i gotujemy sami, tylko raz w tygodniu zamawiamy coś gotowego.

Byłam zrozpaczona. Moje dziecko mądrzało z miesiąca na miesiąc, myślało poważnie o przyszłości i było gotowe się dla niej poświęcić. A ja chciałam tylko, żeby wszystko zostało po staremu. Odwieczny konflikt pokoleń.

- Tom, a co na to twoi rodzice? - spytałam podstępnie, nieudolnie próbując podsunąć im pomysł zamieszkania w domu jego rodziców.

- Mimi nie chce z nimi mieszkać - powiedział, a ja

pomyślałam ciepło o jego inteligencji, która dotąd była niedoceniana.

Westchnęłam ciężko i patrząc na nich, próbowałam sobie wyobrazić nasze wspólne życie i zastanawiałam się, czy powinnam zrezygnować ze swojego ulubionego okresu w życiu w imię ich dobra? Odpowiedź była oczywista. Musiałam się poświęcić.

- Jak myślicie, jak długo mieszkalibyście tutaj?

Tak więc zamieszkali na moim kawałku planety, ale tylko na chwilę i na pewno będę z nich zadowolona, bo nie będą bałaganić i we wszystkim mi pomogą.

Jestem z nich zadowolona. Robią wiele niepotrzebnych rzeczy, ale bardzo się starają. Poza tym są ze sobą tak długo, że aż mi zaimponowali, a w dodatku Tom przestał nosić obwisłe spodnie i ma dłuższe włosy. Ciągle szuka stałej pracy, w czwartki odkurza dom, często gotuje i pracuje w weekendy. Mimi dalej się uczy, trochę dorabia w irlandzkim pubie i próbuje zawładnąć moim domem. Przeszawia moje rzeczy w kuchni i ciągle mi truje, że powinnam zmienić meble w salonie i że mam fatalny gust. Odpowiadam zawsze to samo: „Własny dom urządzisz tak, jak będziesz chciała”.

Nie chciałam żadnej pomocy i strasznie mnie wkurza takie traktowanie. Uciekam wtedy do mojej pracowni w pralni, ale i tam potrafią mnie znaleźć i zatruwać mi życie. Nie mam już miejsca, gdzie mogłabym się schować, by znowu nabrać dystansu.



A przecież zrobiłam dokładnie to samo mojej mamie. Wiele lat temu wróciłam niespodziewanie do domu i wygoniłam ją na farmę Iana. Wróciłam do domu z paskudnym bagażem - depresją, małym dzieckiem, wszystkimi moimi kiepskimi doświadczeniami, niemożnością podejmowania decyzji i wielkim smutkiem, który jeszcze teraz czasem wyłazi z jakiejś nory, za to bez pieniędzy i bez żadnego programu na życie.

Może powinnam zrobić to samo: znaleźć sobie nowe miejsce i zacząć od nowa, spłacając tym samym dług zaciągnięty u mamy? Tylko dlaczego miałabym to robić?

Jakiś czas temu dzieci kupiły sobie własny telewizor i nie mamy wspólnej łazienki. Szczęście znów puka nieśmiało w okno.

•

W zeszłym roku wreszcie odwiedziłam mamę i Iana na ich farmie. Mamę bolało biodro, więc kategorycznie zażądała mojej wizyty, używając brzydkich argumentów typu: „nie widziałam cię już ponad rok”, „bardzo chcę cię zobaczyć” i „ze mną może być coraz gorzej, więc raczej nie dam rady przyjechać”. Uległam.

Najpierw przez wiele miesięcy oglądałam zdjęcia, próbując się utwierdzić w przekonaniu, że warto poświęcić na to mój czas i siły. Szukałam też wymówki, żeby jednak nie jechać, bo przecież Ian był w moim domu tylko raz, kiedy jeszcze randkował z mamą, a było to jakieś dwadzieścia lat temu. Poza tym miałam wrażenie, że on mnie nie lubi, ale nie

dociekałam dlaczego. Prawdopodobnie dlatego, że jest taki jak ja – lubi samotność i zajmowanie się swoimi sprawami.

Pakowałam się kilka tygodni, jakbym miała jechać do Urugwaju, a nie sto pięćdziesiąt kilometrów od domu. W końcu wyruszyłam w niedzielę wczesnym rankiem, mając nadzieję na niewielki ruch na drodze. Po dwóch godzinach byłam na miejscu, witana wylewnie przez dwa wielkie, czarne i ślicznie uczesane psy, w których natychmiast się zakochałam.

Potem zakochałam się w farmie.

Zobaczyłam ją, kiedy skończyła się wąska droga biegnąca przez sosnowy las. Niewielki dom z brązowej cegły, z białymi okiennicami stał na oświetlonej słońcem polanie, a nieopodal pasły się dwa siwe konie. Kilkanaście metrów w lewo wznosiła się drewniana stodoła trzy razy większa od domu, obwieszona doniczkami i skrzynkami pełnymi złocieni, floksów i pelargonii. Reszta zabudowań gospodarczych, traktor i pikap stały prawie niewidoczne za rzędem kwitnących krzewów. Na ganku stała mama, uśmiechając się jak królowa leśnych elfów.

- Ładnie się urządziłaś - powiedziałam, przytulając ją.

- Wiem - odpowiedziała.

- A gdzie mieszkają indyki? - rozejrzałam się dookoła, wypatrując ptaków oraz Iana.

- Nie ma ich od dawna - powiedziała, biorąc ode mnie torbę. - Co ty tam przywiozłaś?

- Twoje słoiki - odpowiedziałam, wchodząc do domu.

Wtedy zakochałam się też w domu, urządzonego minimalistycznie meblami zrobionymi w większości przez Iana - prostymi i surowymi, bez żadnych ozdób, a często nawet nietkniętymi farbami. Pokój, w którym spałam, jest kwintesencją quebeckiej prowincji, z metalowym łóżkiem i jednodrzwiową szafą pachnącą żywicą.

Spędziłam tam trzy urocze dni i dwie prawie nieprzespane noce. Nocami wyskakiwałam trzydzieści razy z łóżka i wpatrywałam się w ciemność za oknem, szeleszczącą, nieprzenikniętą i straszną, przerywaną krzykami jakichś wielkich ptaków, zapewne pterodaktyli. Dni upłynęły mi na spacerach wokół domu, pogaduszkach z mamą i przyglądaniu się koniom, które zajęte swoimi sprawami, nie zwracały na mnie uwagi, a ja bałam się do nich podejść.

Ian nadal jest żyłasty, poważny i milczący, ale ma już siedemdziesiąt pięć lat i zapewne już się nie zmieni. Zamierza sprzedać farmę i przestawić się na korzystanie z emerytury. Mama bardzo to popiera, choć nie mam pojęcia, jak zniesie jego ciągłą obecność w domu. Mam nadzieję, że wpadną na pomysł zamieszkania u syna Iana w St. Albans w stanie Vermont, co uwolni mnie od konieczności odwiedzenia ich, bo to już będzie naprawdę kawał drogi. Jakies trzydzieści kilometrów mniej niż teraz.

•

Alicja wyjechała. Przez kilka miesięcy wysyłała swoje CV do różnych banków w Europie. Po kilkustopniowej,

wyczerpującej rekrutacji zatrudnił ją Bank Szkocji na stanowisku dyrektora do spraw kluczowych klientów. Jakkolwiek skomplikowanie brzmiała nazwa jej stanowiska, to odnalazła się na nim świetnie. Uwielbia swoją pracę, nienawidzi Glasgow i nie za bardzo może się dogadać z sąsiadami, bo nie rozumie, co do niej mówią, a dodatkowo podpadła, kiedy nakryli ją niosącą ze sklepu whisky z Kentucky, zamiast ze szkockiego Lowlandu. Ale twierdzi, że ma to gdzieś, bo i tak się nie zna na lokalnych trunkach, a chciała się tylko nawalić.

- Po prostu muszę wyjechać - tłumaczyła mi w Nowy Rok, zionąc mi w nos oddechem pełnym lekko przetrawionego koktajlu „Rusty Nail” i tartaletek krabowych, ściskając kurczowo moją rękę.

- Jasne. Rozumiem cię - odpowiedziałam smutno, starając się bardzo dokładnie wymawiać końcówki słów.

- Zrozum, nie chcę już stresów, nie chcę go już nigdy więcej spotkać - przekonywała dalej, podpierając dłonią kiwającą się głowę.

- Alicja, rozumiem - poklepałam ją w ramię, choć chciałam ją pogłaskać po głowie.

- Ciągle mam wrażenie, że wpadnę na niego gdzieś przypadkiem. I znowu będę się martwić, znowu będę przeżywać. Po co? Ciężko pracowałam na mój spokój. Montreal jest za mały dla nas obojga. Cała Kanada jest za mała dla nas o-obojga - przekonywała samą siebie z pierwszymi objawami czkawki. - Wy-wybaczysz?

- Alicja, sama bym tak zrobiła na twoim miejscu...

- Cała Ka-kanada jest za mała dla nas o-obojga - wyszczerzyła zęby do faceta w golfie, który mijał ją, niebezpiecznie balansując pełnym kuflem nad naszymi głowami. - Wybaczysz? Po-powiedz!

- ...gdybym tylko mogła, naprawdę.

Wyjechała na początku marca, zabierając ze sobą tylko jedną walizkę.

„Zima to najgorszy czas, żeby zaczynać życie w Szkocji. Już tęsknię za słonecznym i gorącym Montrealem” - napisała SMS-a zaraz po wylądowaniu. Termometr za moim oknem wskazywał wtedy minus pięć stopni Celsjusza, a śnieg sypał poziomo.

W Glasgow czekało na nią służbowe mieszkanie z pełną lodówką, a następnego dnia rano kierowca ze służbowym samochodem. Teraz chodzi do pracy pieszo i to jedyna forma sportu, jaką uprawia. Poza tym trochę flirtuje ze starcami z zarządu banku, pracując tym samym na pozytywny wizerunek kanadyjskich kobiet. Twierdzi, że to jej daje „zdrową perspektywę”. Nie mam pojęcia, co to znaczy, ale to pewnie jeden z tych biznesowych frazesów, którymi mamy się nieświadomych niczego klientów. Albo coś w tym rodzaju.

Mamy ze sobą prawie codzienny kontakt przez Skype'a, a kiedy przyjeżdża czasem do rodziców, to zawsze znajduje czas, żeby iść ze mną na kolację.

Nie wiem, jak w tej chwili układa jej się życie ze starcami,

bo mamy ciekawsze tematy, ale Glasgow wcale nie jest takie brzydkie. Sprawdziłam. Mają tam nawet prawdziwy szkocki zamek.

•

Rodzina rozpadła się zaraz po śmierci babci. Rodzeństwo pożarło się o pieniądze i dom, co przewidziałam bezbłędnie z dziesięć lat temu. Moja była ciotka Elizabeth wpadła do domu babci w dzień po jej śmierci i łapiąc ze stołu srebrną cukiernicę, wrzeszczała histerycznie, że jej się też coś należy. Potem rzuciła się do kredensu i dalej wykrzykując coś nieskładnie, władowała do torby srebrne sztuce oraz kilka porcelanowych filizanek. Mój były wuj Jeremy stał w tym czasie w drzwiach salonu babci i wcale nie wyglądał na zakłopotanego.

Kilka tygodni po pogrzebie mama dostała od wrednego Jeremy'ego list, w którym wyliczał jej wszystko, co kiedykolwiek dostała od swoich rodziców, łącznie z prezentem ślubnym. Wszystko, o czym wiedział, i wszystko, co w swojej pokopanej wyobraźni stworzyła jego żona. Żądał zwrotu połowy części spadku mamy, co jak twierdził, pokryłoby w niewielkim stopniu jego straty, i straszył mamę prawnikiem.

Nie mam pojęcia, o jakie straty mu chodziło, ale strat w jego mózgu nie pokryją żadne pieniądze. Mama nie mogła spać tygodniami przez te idiotyczne wyliczanki, a ja błagałam babcię, żeby wystawiła rękę z nieba i jak za dawnych czasów trzepnęła durnia w parszywy łeb. Szkoda,

że to niemożliwe.

Nie wierzę w bzdury o niebie i życiu pozagrobowym, ale wierzę w pewien rodzaj sprawiedliwości ludowej. Coś jak w *Chłopakach z ferajny*. Bo pewne jest, że były wuj ma długi, a przecież nie wiadomo, u kogo pożyczył pieniądze.

Głupek Jeremy wprawdzie wkrótce się opamiętał i przeproszał, ale wiedziałam, że jeśli kiedykolwiek go jeszcze spotkam, to będę miała moralne prawo, a nawet obowiązek nasikać mu na nogawkę.

Tak oto Rodzina, trzymana razem tylko dzięki determinacji babci, stała się dla mnie byłą rodziną. Ku mojej radości nie muszę się już z nimi spotykać z okazji jakichkolwiek świąt, nie muszę z nimi rozmawiać i nie muszę ich już nigdy widzieć. Czuję wielką ulgę, bo nie muszę też udawać, że rodzina to podstawa cywilizacji.

•

Jill odzywa się średnio raz na pół roku, choć stwierdzenie „odzywa się” to raczej przesada. Wysyła pocztówki z lekko spłowiałym widokiem morza i kawałka plaży z lotu ptaka. Podejrzewam, że nie udało jej się opanować obsługi Internetu w wystarczającym stopniu, żeby wysyłać wiadomości tą drogą. Ale być może jest tradycjonalistką, która odrzuciła technologię\* na rzecz starych, dobrych pocztówek.

„Kochane dziewczyny, pozdrawiam ze słonecznych Włoch. U mnie wszystko bardzo dobrze, babcia zdrowa, ja też, pogoda piękna. Czekam na wieści od was, całuję”.

Każda następna kartka z tym samym widokiem jest pisana w tym stylu i na żadnej nie ma zwrotnego adresu. Jill wysyła je tak rzadko, że zapewne zapomina o zmianie widoczków i modyfikacji treści. Bardzo wkurzające, ale mam nadzieję, że wkrótce wyczerpie się nakład tych pocztówek i wtedy dostanę kartkę z palmą i uliczką.

Tym sposobem Jill zwolniła mnie z obowiązku martwienia się o nią i właściwie zniknęła z mojej codzienności, i nawet nie przysyła już od dawna czeków za swoje mieszkanie. Czasem myślę o niej, ale staram się nie wspominać starych czasów. Prawie sobie wmówiłam, że czeka mnie jeszcze tyle dobrych rzeczy, że nie warto rozpamiętywać tego, co już się zdarzyło, i trzymam się tego kurczowo. Stare czasy traktuję jak dawno przebrzmiałą klęskę, czekając, aż smutne wspomnienia zatrą się w pamięci.

Czasem w ciągu dnia przerywam pracę i kładę się na łóżku. Gapiąc się w sufit, wymyślam plany awaryjne i drogi ucieczki na wypadek, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Potem długo sprawdzam w Internecie ceny domów, barek rzecznych i latarni morskich do wynajęcia w różnych częściach świata. Oglądam małe, okropnie urządzone chatki w południowej Szwecji, mieszkanka w małych, brudnych i okropnych miejscach na Karaibach, małe *fincas* w hiszpańskim interiorze. Przeczესuję świat w poszukiwaniu tanich hotelików przy plażach, ale coraz trudniej takie znaleźć.

Ale tak naprawdę nie chcę wyjeżdżać. Pocieszam się



tylko, że teraz wreszcie mam wyjście i nie mam już zobowiązań. Mój czas na podróże na razie minął. Duch, który sprawiał, że gnało mnie gdzieś w świat, zestarzał się i pewnie umarł. Choć chciałabym być wszędzie, to nie chcę opuszczać domu, bo tylko tu czuję się naprawdę dobrze. I w dodatku okazało się, że tak niewiele potrzebuję do szczęścia. Nawet nie jem dużo, zużywam niewiele wody i proszku do prania, nie jem mięsa ssaków, nie urodziłam mnóstwa dzieci, które zanieczyszczałyby planetę. Segreguję śmieci i nigdy nie używam jednorazowych sztućców. W nagrodę chcę dostać spokój.

Faceci? Sama nie wiem. Wprowadzają taki nieład i chaos w każde uporządkowane życie, że nie wiem, czy warto się tym zajmować. Mają swoje Strasznie Ważne Sprawy i w czarodziejski sposób sprawiają, że nasze sprawy schodzą na dalszy plan, a nawet znikają zupełnie. Zawsze znajdą sposób, żeby zmusić nas do opieki nad nimi, a to zabiera nasz cenny czas i jeszcze cenniejsze siły. Nie chce mi się też znowu przyzwyczajać do kogoś nowego i udawać, że jestem lepsza, niż jestem.

W zeszłym tygodniu spotkałam kolegę ze szkoły. Przyjechał odwiedzić rodziców, którzy mieszkają przy sąsiedniej ulicy. Cóż, jesienny czas powrotów zaczął się wcześniej w tym roku. Niestety nie pamiętam, jak ma na imię, nie pamiętam, do której chodził klasy i czy w szkole zamieniliśmy chociaż jedno zdanie, ale wyglądał nieźle, jak na pięćdziesięciolatka.

Nie umówiłam się z nim na drinka ani na kawę, chociaż był bardzo miły i wyglądał na zachwyconego spotkaniem ze mną, mimo że byłam rozczochrana, bez makijażu i w roboczym stroju. W niedzielę jadę na pchli targ do Saint-Eustache. Wcześniej rano. Powiedziałam mu, że jeśli się pojawi, może jechać ze mną.

Pojechałam sama, ale nie było mi smutno z tego powodu. No dobra, było mi smutno, ale tylko przez chwilę, bo na pchlim targu mam mnóstwo znajomych i wielbicieli – trzech czerwonicznych, krzepkich staruszków, którzy chętnie przyznają się do młodości spędzonej na harleyach-davidsonach. Teraz eksponują swoje wielkie brzuchy w opiętych czarnych koszulkach z napisem „Bad to the bone” i sprzedają części do motocykli, odznaki z napisami „US MARSHALL” oraz starą broń, dzieląc się opowieściami o przygodach na przemytniczym szlaku, który przemierzali w 1974 roku, przywożąc z indiańskich rezerwatów papierosy przemycane ze Stanów.

Flirtuję z nimi trochę i rozśmieszają mnie do łez swoimi głupimi dowcipami. Oni donoszą mi o okazjach, które mogą mnie zainteresować, ja doceniam ich poczucie humoru, i wszyscy są zachwyceni.

Niedługo znów będzie zima. Tom narąbie drewna do kominka, a Mimi, która ostatnio odkryła pieczenie babeczek, może wymyśli jakieś inne słodkie szaleństwo. Spadnie śnieg, będzie strasznie zimno, a mi będzie przytulnie w moim domowym kokonie. I znów będzie się z czego cieszyć. Proste

radości i tyle.

---

\* E-pistolografie.

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Z. za to, że zawsze mnie wspierał i chwalił, wytykając tylko niektóre błędy i zabierając mi mnóstwo czasu na swoje Ważne Sprawy.

Mamo, dziękuję mimo wszystko.

Dziękuję też Mimi, która wprawdzie nie ma tak na imię, ale jest moją córką i nieźle dała mi w kość. Teraz jest grzeczna, ale jest Bardzo Ważną Osobą i nie wypada jej inaczej.

*Wakacje i inne nieszczęścia*

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8083-794-2

© E.K. Urlik i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

KOREKTA: Elżbieta Zasempa

OKŁADKA: Wiola Pierzgalska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: [InkPad.pl](http://InkPad.pl)

## WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96 / 98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl),  
<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

